

na DROGA KIJÓW



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

DROGA NA RIJOW

S. SKLARENKO

DROGA NA KIJÓW

POWIEŚĆ

TOM I

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Typo: oryginalna
SELACH NA KIJIU
Ilustrowano: ukraińskiego
MARIA ZAGÓRSKA
Okładkę zaprojektował
MIECZYSLAW WIŚNIEWSKI

Redaktor: **ELŻBIETA WASSONGOWA**
Redaktor techn.: **KAZIMIERZ SZUBERT**
Korektorzy: **D. MACZYŃSKA I R. KARWOWSKA**

Wydawnictwo **RSW PRASA**

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1954. Wydanie II

Nakład 50 000 egz. Obj. 14,5 ark. wyd., 15 ark. druk.
Papier gazet. 50 g. Format 63 rot.
Oddano do składu 25 IX 53 r. Podpis do druku 18 XII 53 r.
Druk ukończ. 30 I 54 r. Nr zam. 4502 z dn. 25 IX 53 r.
Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie
4-B-54454
Cena 2,40

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W Kijowie na Zwierzyńcu nastąpił wybuch, z okien powypadały wszystkie szyby i na kilka godzin całe miasto zasnuło się dymem. Ludzie chodzili czarni, z zakopconymi twarzami. W piwnicach przestraszeni, zaniepokojeni kijowianie zapewniali, że nastąpi zmiana władzy, bo powstańcy zbliżając się do Kijowa już wysadzili w powietrze składy wojskowe na Zwierzyńcu, a w nocy wysadzą jeszcze kilka dzielnic. Ten i ów przygotowywał broń, wykopywał ją z ziemi.

Zmiana władzy jednak nie nastąpiła, powstańcy nie zbliżali się do Kijowa. Niemcy w dalszym ciągu paradowali po Kreszczatiku — w szarych mundurach, surowi, twardzi i obcy; na zachód zaś szły transporty, Niemcy wywozili zrabowane zboże, cukier, żelazo i bydło, a w wagonach o zakratowanych oknach — tak zwanych „Zivilgefängenerów“* — świeże uzupełnienie dla obozów koncentracyjnych w Białej, Brześciu, Prużanach i Kobryniu.

Potem został zabity marszałek Eichhorn i znów rozeszły się pogłoski, że to już koniec z Niemcami. Teraz niezawodnie musi się zmienić władza. Przez parę dni miasto oczekiwało w napięciu. W powietrzu pachniało krwią i żelazem. W kilka dni po zabójstwie Eichhorna, pod wieczór w mieście zaczęło się dziać coś dziwnego. Niemcy otoczyli gęstym kordonem Kreszczatik, Funduklejewską, całą drogę na Lipki, gdzie mieścił się sztab i mieszkali wyżsi oficerowie z dowództwa sił zbrojnych, aż do dworca.

Znów jak błyskawica przeleciała wieść z jednego krańca miasta na drugi, że teraz już na pewno nastąpi zmiana władzy, zacznie się przewrót. Niemcy obstawiają ulice, żeby przygotować sobie drogę odwrotu. Kijów przycichł, ale wszyscy wiedzieli, że przyjdą bol-

* Zivilgefängener — jeńiec cywilny

szewicy. Koniec katuszom, znęcaniu się, grabieży! Koniec panowaniu hetmana Skoropadskiego, ukoronowanego w kijowskim cyrku. Jakież to odpowiednie dla niego nazwisko — szybko dochrapał się hetmańskiej godności, ale i szybko upadł!

I tylko jedno było zastanawiające: dlaczego w mieście panuje taka pełna napięcia cisza, dlaczego słychać tylko szcęk żelaznych podkówek niemieckich żołnierzy?...

Późną nocą na górze w Lipkach zaczęło grać naraz kilka orkiestr i dźwięki strumieniami miedzi spłynęły w ciszę nasłuchującego miasta. Na ulicach zwartymi szeregami stali Niemcy, pilnowali, żeby nikt nie wyglądał z balkonów, więc kijowianie obserwowali wydarzenia przez zamknięte okna.

Szły orkiestry jedna po drugiej, przejeżdżały jedne po drugich oddziały kawalerii, na lawecie wieziono trumnę ze zwłokami Eichorna, a za nią szedł utykając na lewą nogę hetman Skoropadski. Żółte płomienie pochodni lizwały czarne niebo. Wszystkie orkiestry grały ten sam urywek marsza ze „Zmierzchu bogów“ Wagnera. Gdzieś w pobliżu ulicy Bezakowskiej samochód hetmana zawrócił do Lipek; dalej Niemcy sami odprowadzali swego marszałka, który zgiął, jak wilk, na cudzej ziemi.

I znów miasto przycichło. Orkiestry wciąż ćwiczyły przeciągłe piosenki tyrolskie, oficerowie o czerwonych policzkach prowadzili pod rękę wypielegnowane panienki, od przystani szły w dół parostatki wiozące desanty i działa, ażeby ostrzeliwać wsie. Chodziły słuchy o powstaniach; armaty wydobyte z bagien niszczyły Niemców i znów znikaly w głębi bagien.

Nastala złota, łagodna jesień. Płomiennozłote liście opadły i pokryły bulwary Kijowa. Ale szybciej niż liście leciały pogłoski. Przez stepy, zgrzytając jak zepsute katarynki, mknęły pociągi. A ci, którzy nimi przejeżdżali, przywozili niezliczone ilości nowin.

Zaszumiała Ukraina. Gnębione obszary zahuczały wybuchami powstań. Niespodzianie dla Niemców większa część Kijowszczyzny znalazła się w rękach powstańców.

A już zupełną niespodzianką dla wyższego dowództwa niemieckiego była wiadomość o rewolucji w Niemczech, o demonstracjach robotników w Berlinie i Hamburgu. Dowództwo ogarnęła trwoga: co będzie dalej w Niemczech, co będzie się działo w rozrzuconych po całej Ukrainie oddziałach wojsk niemieckich?

Tymczasem powstańcy przywrócili władzę radziecką w Skwirze, Radomyślu i Kaniowie. Wypędzali okupantów z Charkowszczyzny. Rozgorzały powstania na Poltawszczyźnie i Czernihowszczyźnie. Spod Ostra, spod Konotopa i Bachmacza posuwali się powstańcy. I pod Kijowem przez cały tydzień toczyły się walki pomiędzy powstańcami a oddziałami oficerskimi.

W soborze św. Włodzimierza kilka razy dziennie odbywały się nabożeństwa żałobne za poległych oficerów.

Epidemia strachu szalała na równi z epidemią hiszpanki. Znany profesor Janowski drukował artykuły o bakterjach hiszpanki, o walce z tą chorobą, która kosiła wówczas ludność tego wielkiego miasta. Miasto miotano się w niepokoju: dokąd iść, co będzie jutro? Rzucono się na gazety — może tam znajdzie się jakaś odpowiedź? A w gazetach pisano:

„UCZONY CHIROMANTA SYSTEMEM DEBAROLA I PROF. NESTLERA
Z LINII RĄK I KSZTAŁTU CZASZKI PRZEPOWIADA PRZYSZŁOŚĆ
KAZDEMUM...“

„ZNANA WRÓŻKA — UL. TARASOWSKA 6, POKOJE UMEBLOWANE —
NIEOMYLNIE PRZEPOWIADA KAZDEMUM...“

Udawano się też do Boga. Do Kijowa przyjechał patriarcha Tichon, metropolita odeski, oraz chersoński Platon i w starożytnym soborze św. Zofii pod freskami z XI wieku rzucali klątwy na bolszewików i modlili się za swych wczorajszych wrogów — Niemców, modlili się o zjednoczoną i niepodzielną Rosję.

„Czołgi... ultrafioletowe promienie... czarny proszek... bakterie...“
— wciąż szerzyły się coraz to nowe pogłoski.

„Japończycy są już pod Nagasaki...“

„Czy Amerykanie i Anglicy już są w Jassach...“

I jeszcze raz, nie pierwszy, ale i nie ostatni w czasie rewolucji, Ukraina stała się teatrem działań wojennych. Głównodowodzącym armiami frontu został generał Keller. Wydał on rozkaz mobilizacji oficerów do pięćdziesiątego roku życia, jak również wszystkich nadterminowych podoficerów i podlegających służbie wojskowej studentów. Oficerowie wyruszali w okolice podmiejskie Kijowa i do wsi. Druty telegraficzne niosły rozkazy hetmana, który wzywał wszystkich bogatych chłopów, aby bezlitośnie rozprawiali się z biedakami wiejskimi, nie żałując w tej walce naboju.

Trzeciego listopada na małej stacyjce Skorochodowo, w pobliżu Poitawy, odbyło się poufne spotkanie hetmana Skoropadskiego z atamanem dońskim Krasnowem, który przyjechał z Nowoczerkaska.

— Wasza ekscelencjo, pan ze swoim narodem pierwszy podał rękę Kozakom dońskim, Kozaczyzna znać Donu nigdy tego nie zapomni. W jedności braterskiej — mówił Krasnow — siedzimy oto przy wspólnym stole i to jest właśnie początek wielkiego czynu, którego powinien pan dokonać. Bohaterowie kijowscy stanęli już na wszystkich rubieżach Ukrainy. Don jest uwolniony od nienawistnego ciemnicy. Na Kubaniu potomkowie Zaporozców torują drogę wzduż zaśnieszonych grzbietów górskich...

I natychmiast po powrocie hetmana do Kijowa został wydany nowy rozkaz:

„Wprowadzić jako karę dla aresztowanych ciemnicę i przywrócić stosowane kajdanków (ręcznych) podczas transportu aresztowanych z jednego miejsca na drugie“

I znów po dwóch tygodniach, dnia dwudziestego listopada, generał Denikin podawał do wiadomości:

„Z chwilą gdy Ukraina weszła na drogę państwowości rosyjskiej, zachodzi potrzeba porozumienia się co do stworzenia jednolitego frontu i jednolitego dowództwa do walki z bolszewikami, jak również jednolitego rosyjskiego przedstawicielstwa na kongres międzynarodowy. Za podstawę ugody armia ochotnicza przyjmuje trzy następujące tezy: 1) zjednoczona i niepodzielna Rosja. 2) walka z bolszewikami aż do zwycięstwa. 3) wierność układom z aliancami“.

Tak zeszyły się drogi hetmana Skoropadskiego, atamana Krasnowa i generała Denikina. Trójkolorowa flaga załopotała nad miastem i na ulicach zaśniły naramienniki carskich oficerów. Z rozkazu hetmana zabroniono urządzania zebrań i manifestacyj, zamknięto wszystkie wyższe zakłady naukowe i wprowadzono prewencyjną cenzurę wojskową. Nieruchawego hrabiego Kellera zastąpił książę Dolgorukow. A posłuszny sługa i protegowany hetmana, generał Kirpiezow, opublikował rozkaz, że przyjmuje dowództwo nad drużynami ochotniczymi, które będą strzegły porządku i spokoju w Kijowie.

Ogłoszono mobilizację czterdziestu nowych roczników, ale zwolniono od niej robotników pracujących w przemyśle. Robotników, jako bolszewików, brano się w armii.

Za najmniejszy objaw sprzeciwu groziła okrutna kara. Zabijano

każdą żywą myśl. Na Uniwersytecie Kijowskim odbyło się zebranie studentów; na drugi dzień komendant miasta Kijowa kazał zamknąć uniwersytet. W odpowiedzi na to następnego dnia studenci zebrali się na wiec. Przez wysokie ogrodzenie przedostali się na dziedziniec uniwersytecki. Odbyli wiec, otworzyli bramę i wyszli na ulicę. Śpiewając „Międzynarodówkę“, trzymając się pod ręce kilkaset osób szło jak żywy mur.

Na rogu ulic Funduklejewskiej i Włodimirskiej natknęli się na oddział kawalerii pierwszej drużyny ochotniczej. W oddziale znajdowali się również hajdamacy.

Po pierwszej salwie upadły: studentka Jegorowa, studentka Olga Iwanowa, Eta Winawer...

Po drugiej i trzeciej salwie upadli: Fieofil Bakłanow, Omełko Huk, Borys Bażanow. Zabito ośmiu studentów, raniono dwunastu. Demonstrację rozpedzono.

Wieczorem po Kreszczatiku przedefilował uzbrojony oddział „sierdiuków“*. Na ulicy Wołodimirskiej, gdzie jeszcze czerniały plamy krwi, śpiewali jadący na dworzec Niemcy, którzy przygotowywali się do opuszczenia Kijowa.

Następnie w fabrykach Gretera i Filwerta-Dediny zastrajkowali robotnicy; kierowników strajku wsadzono do więzienia, a na podwórzu fabrycznym ustawiono karabiny maszynowe. Hetman nie tylko wzywał zamożnych chłopów ukraińskich do walki, lecz wprost rozkazywał im zbroić się i rozpoczynać wojnę z biedotą wiejską. Gorączkowo prowadził rozmowy z samozwańczym konsulem francuskim — awanturnikiem Henault, nie miał już nadziei na dalszą pomoc Niemców; niemieckie dowództwo, ratując własną skórę, ogłosiło, że będzie nadal przestrzegać neutralności, za prawowitą władzę uzna tę stronę, która zwycięży, a w granicach miasta będzie utrzymywać porządek i nie dopuści do walk ulicznych. Okupanci zmykali z Ukrainy; wyższe dowództwo niemieckie czuło, że nadchodzi czas zapłaty za zboże, żelazo i było wywiezione do Niemiec i za tysiące niewinnie rozstrzelanych ludzi.

Niemcy godzili się nawet pójść na ugodę z Dyrektorią**, 29 listo-

* Sierdluk — członek gwardii przybocznej hetmana kozaczyzny.

** Dyktoria Ukraińska — kontrrewolucyjny rząd nacjonalistyczny utworzony w Kijowie w końcu 1918 r. z Petlurą i Winniczenką na czele

pada 1918 roku do Dyrektorii — mitycznego rządu, który miał „armię” składającą się z dwóch tysięcy żołnierzy, przyjechała delegacja niemieckiego dowództwa. Niemcy myśleli tylko o tym, w jaki sposób przy wycofywaniu się przeskoczyć stację Bojarkę, która była w posiadaniu Dyrektorii. W zaplutej i brudnej sali stacyjnej przedstawiciele dowództwa niemieckiego podpisali następującą umowę:

„Niemieckie oddziały garnizonu kijowskiego zobowiązuja się nie przekraczać linii oznaczonej niebieską kreską na mapie dołączonej do umowy...”

Pod osłoną tej niebieskiej kreski ruszały ostatnie transporty do Niemiec. Gliniane nogi, na których stała władza hetmańska, kruszyły się; sromotnie uciekali Niemcy.

Wówczas Ententa, która marzyła o zduszeniu rewolucji na wschodzie, jeszcze raz wykazała swą „szlachetność”; przez usta konsula Henault oświadczyła, że gotowa jest podtrzymać rząd hetmana i dopomagać w odbudowie swemu wiernemu sojusznikowi, Rosji.

A wypadki rozwijały się dalej. W Kijowie działał podziemny sztab bolszewików. Kijów otoczony był przez powstańców. Wioski pod Kijowem — Krukowszczyznę, Kitajów, Hatne, Jurkówkę i Chotów — zajęli powstańcy. Maszerowali pod czerwonymi sztandarami, na których płonęły ogniste litery:

„CAŁA WŁADZA W RĘCE RAD!”

Z drugiej strony, od Hostomla, Irpenia i Worceła, maszerowały na Puszcę-Wodycę bandy Dyrektorii...

ROZDZIAŁ DRUGI

Przed świtem z dworca kijowskiego odszedł pociąg. Niedaleko w pobliżu szosy Kadeckiej i na Szulawce biły armaty. W świetle wybuchów na tle czarnego nieba ukazywała się lokomotywa i trzy wagony pierwszej i drugiej klasy, pobłyskując kryształowymi szymbami. Powoli, często zatrzymując się, pociąg sunął naprzód, oddalając się coraz bardziej od Kijowa.

Gdy zaczęło świtać, widziano ten pociąg w pobliżu Posterunku Wodyńskiego. Sapiąc ciężko, wyrzucając z siebie kłęby dymu, po-

woli szedł naprzód, bez gwizdków i sygnałów. Na wierzchołkach omiatanych przez wiatr pagórków, które ciągnęły się nieprzerwanym pasmem na horyzoncie, stali wartownicy. Żołnierze ubrani byli w czarne świtki i spieczaste czapki. Tam, na tych właśnie pagórkach, wstrząsane wyrzucanymi pociskami, stały armaty ostrzeliwujące Kijów.

Wzdłuż toru i na samym torze leżało mnóstwo trupów, lecz nikt nie wychodził z pociągu, aby je uprzątnąć. Koła pociągów miażdżyły trupy i nikt się tym nie przejmował. Na przodzie lokomotywy powiewały dwie chorągwie: czerwona z dużym, białym krzyżem — szwajcarska — i czerwona z niebieskim krzyżem — norweska. Oprócz tych dwóch chorągwi na wysokim drzewcu powiewała jeszcze trzecia — biała.

Na stacji Żulany do pociągu przyłączył się wagon pancerny. Z otworów strzelniczych wyglądały jak lisie oczy wycelowane lufy karabinów maszynowych.

Pod osłoną wagonu pancernego pociąg posuwał się szybciej. Wśród ciszy pól, przerywanej tylko wybuchami pocisków, przebiegł on odcinek między stacjami i zatrzymał się w Bojarce.

— Angielka przyjechała! — krzyknął na peronie jakiś pijak bez nosa. — An-giel-ka-a!...

W drzwiach wagonu stał sekretarz konsulatu francuskiego w Kijowie — de Moulin. Jego bladą, wystraszoną, wykrzywioną twarz zakrywał kapelusz stosowany. Ręce miał schowane pod czarną peleryną.

— Cyrk przyjechał! Bracia! Hu-ra-a! — wrzeszczał pijak bez nosa.

Na malutkiej podmiejskiej stacyjce stał sztab Dyrektorii. W tym czasie, gdy cała Ukraina objęta była powstaniami przeciwko hetmanowi i Niemcom, Petlura i Winniczenko wzniesili także „powstanie“ w Białej Cerkwi i ogłosili się legalnym rządem Ukrainy, mając tylko tyle terytorium co pod stopami i uzbierawszy zaledwie kilka tysięcy łobuzów i kulaków. Z tym „wojskiem“ Dyrektorja ruszyła na Kijów, zajmując po drodze Bojarkę.

*Cóż to u nas narobili —
Aż nam w głowach przewrócili:
Był Kiereński, Skoropadski,
Nasz jest rząd w obecnej chwili...*

*Od Kijowa do Połtawy
Zasadziłam ten i kwiaty..
Na przekąskę mam granaty,
A na obiad — dwie armaty..*

Mała podmiejska stacja tętniła wrzawą i pijackimi okrzykami! Pan de Moulin od kilku minut stał na stopniach wagonu, bojąc się zejść. Zdawało mu się, że jak tylko zejdzie na peron, różnolicie odziany tłum rzuci się nań, zgniecie go i rozszarpie.

— *Allons, monsieur de Moulin** — powiedział pułkownik Udowiczenko, przedstawiciel hetmana, który przyjechał z panem de Moulin w celu nawiązania rozmów z Dyrektorią — *Oni nas nie zaczepią. Chodźmy.*

Ale de Moulin nie ruszył się z miejsca. Wtedy pułkownik Udowiczenko wyminał go, wysunął się naprzód i stanął przed petlurowcami. W tej chwili słońce wyjrzało spoza chmur i szlify na ramionach Udowiczunki zabłyśły czystym złotem. Wąsy pułkownika były gęste i okazałe. Pułkownik uśmiechnął się wesoło.

— Witajcie, zuchy! — krzyknął do tłumy głośno, po wojskowemu.
— Wita-a-my-y! — zahuczało, zaszumiało pod stropami dworca.
— Gdzie naczelny ataman?
— Chwileczkę, panie generale — wyrwał się beznosy pijak — Naczelny ataman śpi. Proszę za mną!

— Widzi pan — zwrócił się pułkownik do de Moulina. — Nie trzeba się bać. Proszę, proszę! Pani tłumaczko, proszę z nami.

Przeszli przez tory do pociągu otoczonego wartownikami. A za nimi nadal rozlegały się krzyki, długo i jednostajnie rzępoliła harmonia

*Tak mnie bił, tak walił
Blisko Sanu, koło Jana,
I nad Bzurą, i nad Dźwina,
Ze poruszać już nie mogę
Kędzierzawą mą głowina.*

*W twarz dostałem kul otowiem,
W ciemie ostrą salwą z działa,
W głowę mię, w brzuch bagnietem.
Zęby kolba obrabiałe*

* Chodźmy, panie de Moulina.

Tak, mnie bili, tak wali,
że nikt tego nie wystawił
A narody wszystkie na to
Dobrze mu tak, podaćowi.

12 grudnia 1918 roku. Stacja Bojarka. Wagon naczelnego atamana Dyrektorii — Symona Petlury. Przez całą noc w wagonie rozlegały się śpiewy. Lał się strumieniami spirytus, duszno było od oddechów i dymu. Jakaś dziewczyna siedziała przy oknie i w zamyśleniu wystukiwała palcem takty walca na zapotniałej szybie. Ataman, przechyliwszy głowę, drzemał i marzył.

— Pan de Moulin, sekretarz konsulatu francuskiego

— Pan Symon Wasylowicz Petlura, naczelny ataman wojsk Dyrektorii.

Pułkownik Udowiczenko przyzwyczajony był do wspantających przyjęć na dworzę hetmana. Ceremonia w wagonie była uboga i nudna.

Dziewczyna wyszła z wagonu. Zegar z wahadłem, przypominającym księżyc w pełni, obojętnie odmierzał sekundy.

— Wojska Dyrektorii ostrzeliwiają Kijów. Jest dużo ofiar. Alianci mają tylko jeden cel przed sobą — dopomóc narodom Rosji do wydobycia się z nieszczęścia. Jesteśmy państwami neutralnymi, pragniemy jedynie dopomóc.

A tymczasem pan sekretarz konsulatu myśli o kapitałach aliantów, włożonych w kopalnie Donbasu, w huty, tramwaje, i o tym, że te kapitały mogą przepaść, więc trzeba je ratować. Pan sekretarz myśli również o tym, że alia ci już od dawna zawarli ugodę z Denikinem, że taką samą ugodę zawarto z hetmanem Skoropadskim. Ale do Denikina daleko, a ostrzał Kijowa mówi o nieuniknionym końcu władzy hetmana. W mózgu sekretarza konsulatu kołaczę się myśli: na kim teraz mogliby się oprzeć alianci, z kim iść dalej? Czy można polegać na tym atamanie, który siedzi przed nim, którego żołnierzy widział dziś de Moulin na szczytach kurhanów i w jarach w pobliżu Kijowa? Pan Gallup — przedstawiciel wielkiej międzynarodowej loży masońskiej, a zarazem agent dowództwa, zakomunikował mu, że Petlura wstąpił do loży. Czy można mu pomagać i dawać broń?

— Przestrzegamy ścisłej neutralności — mówi pan de Moulin.

— Rozumiem — tłumaczka układa niezgrabne przemówienie naczelnego atamana w dźwięczne i wyraźne zdania. — Armia Dyrekto-

rii liczy sto tysięcy żołnierzy; jeszcze nie wydaliśmy walnej bitwy, koncentrujemy siły... Cała Ukraina...

Gdyby sekretarz konsulatu umiał czytać w cudzych myślach, odczytałby coś zupełnie innego niż to, co bardzo poważnie i powoli mówił w tej chwili ataman.

Ataman Petlura myśli, że armia Dyrektorii liczy tylko dwa tysiące żołnierzy. Przecież to zaledwie pułk, a nie armia! A zajmuje nie całą Ukrainę, lecz tylko tyle ziemi co pod stopami!

„W wagonie — Dyrektorja, pod wagonem — terytoria“ — jaki złośliwy, ale trafny dowcip!

Naczelnny ataman uporczywie myśli, że cała Ukraina objęta jest powstaniami przeciwko hetmanowi. Fale tych powstań uderzają o progi Kijowa. Głodni i znużeni walką z Niemcami powstańcy idą na Kijów. Zdobędą go. A co dalej? Nie uspokoją się, dopóki nie wypędzą wszystkich Niemców. Dyrektorja zdobyła ważne punkty pod względem strategicznym. Trzeba zdobyć w Kijowie broń. Z gmin wiejskich przychodzą do Petlury zamożni chłopcy i mówią: tam u nas już wszystko jest przygotowane. Teraz trzeba tylko wskoczyć na grzbiet rozszalałych fal, zdobyć Kijów, wziąć go w swoje ręce. Wtedy wszystko będzie można zrobić po swojemu. Z Galicji nadchodzi dobrze wyszkolona armia złożona z oficerów.

— Muszę porozumieć się z wysoką Dyrektorją — mówi ataman. — Tylko Dyrektorja może powstrzymać ruch milionowych mas.

Pułkownik Udowiczenko serdecznie i przyjaźnie rozmawia z naczelnym atamanem. Na stacji nawiązują łączność z Białą Cerkwią. Pan sekretarz konsulatu podchodzi do okna i widzi niezwykle obrazek. Kilku wojskowych ciągnie pod uschniętą akacją ubranego w świtkę chłopca. Jeden z nich zrećnie zarzuca na uschniętą gałąź sznur. Chłop krzyczy rozpaczliwie, widać wyraźnie jego wystraszoną, bladą twarz i szeroko otwarte usta.

— *Mon Dieu!** — szepcze sekretarz i odwraca się od okna.

— Biała Cerkiew! — wykrzykuje ataman. — Jestem przy telefonie!

Z natężenia występują mu żyły na grubej szyi. Pryska śliną aż na stół.

* Mój Boże!

— Warunki?... Proszę, warunki. Proszę je przedłożyć! Hetman podaje się do dymisji.

— Weźmiemy to pod uwagę — zgadza się sekretarz.

— Armia ochotnicza opuszcza Kijów.

— Przyjęte — zgadza się sekretarz.

— Alianci dają pomoc.

— Stawiamy kwestię...

Gdy sekretarz konsulatu opuszcza wagon atamana, zapada już zmierzch. Na platformie stoi dziewczyna. Naprzeciwko wagonu na gałęzi wisi chłop; wiatr porusza martwym ciałem jak wahadłem. Gawrony z wrzaskiem krążą nad akacjami.

Sekretarz kroczy w milczeniu. Obok niego idzie pułkownik Udowiczenko. Na stacji taki sam jak poprzednio ścisk i bieganina.

— Żegnam pana — mówi pułkownik Udowiczenko oglądając wagony. — Do zobaczenia w Kijowie.

— Co pan mówi? — nie rozumie sekretarz. — Przecież pan jest delegatem rządu hetmana.

— Pan pojedzie sam do Kijowa. Dogadałem się z naczelnym atamanem. Stawia dogodne warunki. Dobranoc!

De Moulin nie wrócił tego dnia do Kijowa. Pancerką odprowadziła jego pociąg aż do Żulan. Gdy zaś pociąg spróbował ruszyć dalej, ostrzelano go z dział od przodu i od tyłu. Pan de Moulin wyskoczył z wagonu i schował się do budki dróżnika. Tam wbiegła również tłumaczka i maszynista. Lokomotywa jeszcze długo wypuszczała cieniutką strugę dymu, aż wreszcie zamarła.

Wobec tego pan de Moulin przenocował w budce dróżnika. Nie spał przez całą noc. Ani tłumaczka, ani dróżnik nie spali również.

Tylko maszynista chrapał pogwizdując przez sen.

— Co on mówi? — zapytał tłumaczki de Moulin, słysząc, że dróżnik wciąż porusza się w ciemnościach i bez przerwy coś mamrocze.

— Wymyśla — odpowiedziała tłumaczka.

— Komu wymyśla? — zapytał de Moulin.

— Okropnie wymyśla. Carowi, hetmanowi, Petlurze... wymyśla Panu Bogu... a teraz Matce Boskiej...

— Nie trzeba — przerwał jej de Moulin. — Niech pani zamilknie!

Przez całą noc słychać było wybuchy, przez całą noc okienko w budce błyskało szkarłatną czerwienią jak rozżarzony piec.

— Milion — powiedział o świecie z mordowany de Moulin — Dam mu milion jeżeli odprowadzi mnie do Kijowa.

Dróżnik wziął dwie chorągwie — norweską i szwajcarską. De Moulin trzymał w ręku białą chorągiew.

— Proszę iść z prawej strony — powiedział de Moulin do tłumaczki — Niech pani weźmie mnie za rękę, madamel!

— Boję się... Nie mogę... Znow strzelają!

— Życzę powodzenia — powiedział jej uprzejmy de Moulin i ruszył piechotą wraz z dróżnikiem wzdłuż toru prowadzącego do Kijowa. Z dolin i z jarów dwoma potokami płynęły tłumy ludzi. Jeden potok płynął do Kijowa z południa — drugi z północy. Środkiem kroczył pan de Moulin ze swymi chorągwiami.

Koło Posterunku Wołyńskiego spoza nasypu wyłoniło się naraz kilku obdartych, opalonych, ubranych w najrozmaitsze stroje mężczyzn.

— Kto idzie? — krzyknął jeden z nich, w czapce z wyleniałego futra zajęczego i kurteczce przepasanej wytartym do połysku skórzanym paskiem.

— *Moi... Parlez-vous français? Moi, je suis le consul français...** — bełkotał Francuz.

— Ręce do góry! — padł dobitny rozkaz.

— Phoszę... phoszę!

— Zrewidować go! — rozkazała zajęcza czapka.

De Moulina zrewidowano. Znalaziono kilka chusteczek do nosa portrel z nieznanymi pieniędzmi i papierosy.

— Nie rusz! — powiedziała zajęcza czapka. — Nie bierz papierośów.

— *Nous... nous... sommes neutres et voilà mon passeport. Je représente ici tout les Etats... La France... l'Hollande... la Turquie... l'Autriche...*** — powtarzał swoje Francuz.

— Za dużo gada, to znaczy, że kłamie! — wykrzyknął czarnobrody, łysy osobnik z gołą głową — Wsadź mu kulę w gębę, żeby nie kwał jak żaba, zabij go, towarzyszu Horowacha.

— Ts! — powiedział surowo Horowacha. — Wsadzić kulę w gębę to nie sztuka.

* Ja... Czy mówicie po francusku? Jestem konsulem francuskim...

** My... my... jesteśmy neutralni... oto mój paszport. Jestem przedstawicielem wszystkich państw... Francji, Holandii, Turcji, Austrii...

— Gdzie go prowadzisz? — zapytał Horowacha dróżnika, który stał w milczeniu, trzymając chorągwie.

— A diabli go wiedzą, dokąd on mnie prowadzi — odpowiedział dróżnik. — Uczepił się mnie jak wesz kożucha.

— Zabić go to za mało — znów wtrącił się czarnobrody. — Wałęsa się tutaj różne paskudztwo... To szpieg, ot co...

Pan de Moulin pokornie przysłuchiwał się niezrozumiałej dlań mowie. Stał i czekał. Twarz mu drgała.

— Wczoraj z rana — opowiadał dróżnik — przyjechał pociągiem z Kijowa. Dalej jak w Bojarce nie był. Przed wieczorem wrócił. Nocował u mnie w budce. Spojrzałem na niego nazajutrz z rana... a bodajbym go nigdy nie widział! Płacze, pokazuje na Kijów, prosi, żeby go odprowadzić. No to prowadzę. Mnie tam wszystko jedno...

— Ach, to tak — zrozumiał wreszcie Horowacha. — On nie jest szpiegiem, to dyplomata...

— *Oui, oui, diplomate!* — szybko zaczął powtarzać de Moulin. — *Oui, diplomate... certainement.**

— No widzisz — ucieszył się Horowacha. — A wy wciąż: szpieg, szpieg. Słuchajcie Horowachy, a nie zginiecie. Przez trzy gubernie do Kijowa doprowadziłem was, a wy mi tu mówicie: szpieg, szpieg.

— Pewnie że tak... — zgodził się czarnobrody — tylko czego on tu lazi?

— A... — machnął ręką Horowacha. — Czy ty rozumiesz się na polityce?

— Ty, kamarada, Francuz? — zwrócił się do de Moulina.

— *Français... consul français...***

— No widzisz... Wszystko jest jasne. Francuz, a do tego jeszcze konsul. Zaraz porozmawiamy sobie po francusku. Siadaj, siadaj...

Horowacha kręcił papierosa, de Moulin wyjął swojego.

— *Fumez, je vous prie.****

— Dziękuję za żuwepri, nie palę takich. Duszę się od nich... Lepiej własnego sampantre...

W tej chwili gdzieś w pobliżu wybuchł pocisk. Za nasypem wzbil się w powietrze czarny słup ziemi.

* Tak, tak, dyplomata!... Oczywiście.

** Francuz... konsul francuski...

*** Proszę, niech pan zapali.

— *Nous voulons la paix.** Pokój... pokój... — de Moulin zasłonił twarz rękami.

— No, rzecz jasna, że chcesz pokoju — odpowiedział Horowacha.

— My też chcemy pokoju. Gdyby nie ten bandyta Petlura...

De Moulin podniósł głowę.

— *Je crois... ce sont des bolcheviques*** — wyrwało mu się. — *Och, tovarich... Camarade... Mais Petlura... c'est un bandit**** — zaterkotał znów.

— Otóż to! — z tryumfem powiedział Horowacha do powstańców.

— Słyszycie, co opowiada? Mówi, że jeździł do Petlury, bo chciał go zabić...

— A może nie chciał zabić?

— *Petlura?* — ciągnął Francuz. — *Pas d'accord, pas d'entente...*****

— A ty mówisz, że nie — z wyrzutem zwrócił się Horowacha do czarnobrodego. — Teraz zrozumiałeś.

Czarnobrody zamilkł.

— Zapisz to sobie — odwrócił się Horowacha do Francuza. — Z hetmanem koniec...

— *Tout à fait... Avec l'hetman. C'est fini... ****** — zrozumiał de Moulin.

— Petlura już nie zmartwychwstanie...

— *Certainement!****** — zgadzał się ze wszystkim de Moulin.

— Racja — powiedział Horowacha. — Niech ich diabli porwą, nie nas!

— Ale i ty, kamarada, nie wólcz się tutaj. Tobie...

Teraz zupełnie już blisko wybuchł pocisk. Obsypała ich ziemia.

— Uciekaj do diabła! — krzyknął Horowacha do Francuza. — Aliur, musje... Naprzód marsz.

— *Au revoir, messieurs!****** — ochryplym głosem powiedział de Moulin.

I pobiegł kłusem wzdłuż torów, a za nim dróżnik z chorągwiemi — szwajcarską i norweską.

* Chcemy pokoju.

** Myślę, że to są bolszewicy.

*** Och, towarzyszu... Ależ Petlura... to bandyta.

**** Nie ma zgody, nie ma porozumienia...

***** Całkowicie... Z hetmanem. Skończone...

***** Oczywiście!

***** Do widzenia, panowie!

— Ależ biega — głośno śmiał się Horowacha. — Co to znaczy Francuz!

Oddziały bolszewickie zajęły Padoł. W rejonie płoskim i padolskim rozdawano broń robotnikom.

Przez całą noc z 12 na 13 grudnia 1918 roku działa waliły bez przerwy. Płonęły domy na Peczersku.

W środku miasta powiewały carskie flagi. W Muzeum Pedagogicznym kwaterował oddział armii ochotniczej generała Kirpiczowa. Przez miasto przemaszerowały oddziały generała Hurki. Na ulicy Proreznej nad sztabem armii ochotniczej powiewała biało-niebiesko-czerwona flaga. Kijów miotał się. Władza przechodziła w inne ręce. Krew lała się potokiem; nadchodził kres panowania hetmana i pastwienia się Niemców. Lada chwila, może już za godzinę, mocniej nacisną oddziały robotnicze z Padołu i Szulawki — i koniec z hetmanem, pójdzie śladem Niemców.

Afiszę krzyczały:

„DOŚWIADCZONY CHIROMANTA PRZEPOWIADA PRZYSZŁOŚĆ.
SYSTEM DOKTORA PREISNERA...”

Przez Padoł przejeżdżały z hukiem samochody pancerne białogwardzistów. Na ucichłych ulicach terkotały karabiny maszynowe. Robotnicy wycofywali się pod zabójczym ogniem. Na opustoszałych ulicach leżały trupy. I znów robotnicy ruszyli do natarcia.

W powietrzu na kształt eskadry miniaturowych okręcików unosiły się porwane mocnym podmuchem wiatru, czarne, zbutwiałe liście. Grubą warstwą pokrywały cały bulwar Bibikowski. Na szynach leżał przewrócony tramwaj. Na parkanach wzywał kogoś afisz:

„OSTATNI KONCERT SKRZYPKA WACŁAWA KOCHAŃSKIEGO”.

Bulwarem, wymijając przewrócony tramwaj, sunął rząd wozów. Na wozach w milczeniu, nasunawszy szare furażerki na oczy, siedzieli Niemcy. Wozy dojechały do ulicy Bezakowskiej i skręciły w stronę dworca. Na bulwarze zapadła cisza. Zaczął padać drobny, grudniowy deszyk ze śniegiem.

Na końcu bulwaru, w pobliżu Ogrodu Botanicznego, pojawił się jakiś człowiek. Szedł powoli, jakby umyślnie zwalniając kroku.

Gdy minął Ogród Botaniczny, przystanął. Uważnie obejrzał się dookoła. Uwagę jego przyciągnęło ogłoszenie umieszczone na żelaznych sztachetach ogrodu, ozdobionych zawiłym ornamentem. Podszedł bliżej i przeczytał ogłoszenie w żalobnej obwódcie:

„Podaje się do wiadomości, że za udział w powstaniu i agitację przeciwko istniejącemu ustrojowi i wojskom niemieckim — z rozporządzenia dowództwa niemieckiego zostali skazani na karę śmierci i rozstrzelani:

SMAGŁYJ PETRO
KOMAR NESTOR
KURENKO HALINA...“

Dalej następowała długa lista rozstrzelanych. Lista została nieumiejętnie zlamana w drukarni, ostatnia szpalta była trochę za krótka, a po podpisie „Niemiecka Komendantura“ umieszczono kliszę przedstawiającą leżącego ptaszka trzymającego w dzióbku gałązkę — zapewne laurową.

Człowiek długo i uważnie odczytywał listę. Potem rozejrzał się dookoła. Powietrze płynące z Ogrodu Botanicznego przepojone było zapachem zleżałych, zbutwiałych liści.

Człowiek szybko przeszedł przez ulicę i zbliżył się do wysokiego budynku. Nad wejściem frontowym widniał napis:

„CZERWONY KRZYŻ
DLA JEŃCÓW WOJENNYCH I UCHODźCÓW“

Człowiek wszedł wejściem frontowym, szybko wbiegł po schodach na górę i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu siwa, stara kobieta. Oczy miała podpuchnięte jakby od długiego płaczu.

— A to pan, doktorzel — rozejrzawszy się po schodach, przywitała przybyłego.

— Czy wie pan, rozstrzelali Halę — powiedziała zatrzymując się obok doktora w ciemnym korytarzu, a zamknąwszy drzwi zaczęła szlochać w ciemnościach.

— Wiem — powiedział człowiek nazwany doktorem. — Proszę nie płakać... Nie trzeba płakać... Zapłacimy im za nią. A teraz proszę nie płakać, nie trzeba!

— Już nie będę — odpowiedziała szeptem. — Nie będę. Wczoraj z rana zabrali mi córkę i już jej nie ma...

Doktor poszedł ciemnym korytarzem aż do końca i tam przystanął. Kobieta zapaliła lampę. Na drzwiach był napis:

„REJESTRACJA JEŃCÓW WOJENNYCH“

Otworzył drzwi.

W pokoju było pełno dymu z papierosów. Za oknem czerniały topole. Najwidoczniej przed chwilą toczyła się tutaj ożywiona rozmowa, ale gdy wszedł doktor, urwała się natychmiast.

— Dzień dobry! — doktor ścisnął ręce obecnych, pilnie przyglądając się ich twarzom. — Dawno już was nie widziałem, bardzo dawno. I usiadł w fotelu w pobliżu okna.

— A poza tym — powiedział przyglądając się brunetowi, który siedział obok niego — są tutaj ludzie, z którymi jeszcze nie zdążyłem się zapoznać.

— Jestem z Czernihowszczyzny — odezwał się brunet.

— A my z Jekaterynosławia — rzekł jego sąsiad.

— Czy łatwo było odnaleźć nas w Kijowie? — zapytał doktor.

— Mieliliśmy adres. Czerwony Krzyż w Kijowie łatwo jest odnaleźć. Dowiedzieliśmy się na dworcu, że mieści się na bulwarze Bibikowskim.

— A jak się jechało?

— Dobrze. Na każdej stacji sprawdzają dokumenty. Ale... Czerwonego Krzyża nie ruszają.

— Tak — powiedział doktor — dotychczas jeszcze nie ruszają Czerwonego Krzyża.

Zaplakana kobieta również usiadła na krześle, w pobliżu drzwi. Słuchała i przyglądała się.

— No, cóż... zaczniemy — powiedział doktor. — Otwieram posiedzenie Kijowskiego Gubernialnego Komitetu Komunistycznej Partii (bolszewików) Rosji.

— Cóż powiecie, towarzysze? — zapytał sekretarz komitetu. — Co się dzieje w terenie?

O godzinie pierwszej gabinet ministrów uchwalił:

„Rozważywszy żądania Dyrektorii Rada Ministrów postanawia zrzec się swych uprawnień i przekazać władzę Dyrektorii“.

Kilka minut po trzeciej do sztabu naczelnego dowódcy przedostał się z wielkimi trudnościami przez barykady pewien oficer.

— Podporucznik baron Erdman! Do księcia Dołgorukowa!

Ochlapane żółtą gliną buty i wykrzywiona twarz zupełnie nie pasowały do tak głośnego nazwiska.

Księcia Dołgorukowa nie było w sztabie. Podporucznika Erdmana przyjął szczypty, podstarzały generał Broński.

— Pan hetman rozkazał mi doręczyć księciu Dołgorukowowi ważne papiery.

— Jestem szefem sztabu generalnego — odpowiedział Broński — proszę mi przekazać te papiery.

Podporucznik Erdman podał kopertę generałowi.

Generał przeczytał:

„Ja, hetman całej Ukrainy, przez siedem i pół miesiąca dokładałem wszelkich starań aby wybawić kraj z ciężkiej sytuacji. w jakiej obecnie się znajduje. Bóg odmówił mi sił do podołania temu zadaniu. Obecnie ze względu na układ stosunków, kierując się wyłącznie dobrem Ukrainy, zrzekam się władzy.

Pawło Skoropadski“

— Już? — wymknęło się generałowi. I jego nastroszone jak szczoteczki wąsy poruszyły się pod nosem. — Tak szybko?

Ale od razu zrozumiał własną niezręczność i postanowił ją naprawić:

— Gdzie jest hetman? — zapytał podporucznika. — Może potrzebna mu ochrona.

— Znajduje się w bezpiecznym miejscu. Strzegą go oddani ludzie — zsalutował na pożegnanie podporucznik, spiesząc się, aby jak najszybciej wykonać misję, która przybliżała również godzinę jego zglady.

Podporucznik Erdman wyszedłszy ze sztabu skierował się do sekretarza konsulatu de Moulina, żeby przekazać mu, jako przedstawicielowi aliantów, kopię aktu zrzeczenia się władzy przez hetmana.

W konsulacie francuskim pan de Moulin nie był sam. Znajdował się tu również poseł polski Wańkowicz, konsul holenderski Fokker, poseł bułgarski Szyszmanow, poseł finlandzki Humerus, turecki — Muchtar-bej, radca poselstwa austriackiego, hrabia Fürstenberg.

Poseł Finlandii pan Humerus wykrzykiwał, żywo gestykulując:

— Oni nie mają prawa! Nam oddano na użytek poselstwa hotel „François“. A teraz zabrali go nam oficerowie. Oni nie mają prawa zabierać go, zwrócę się z protestem do władz. Wyślę notę...

W tej samej chwili wszedł podporucznik Erdman. Zsalutował. Wręczył akt zrzeczenia się hetmana.

W treści aktu nie było właściwie nic nowego i zdumiewającego dla posłów i konsulów. Sekretarz konsulatu francuskiego pan de Moulin już uprzednio poinformował ich o nowej sytuacji. Dla nich od dawna było oczywiste, że władza hetmana, która faktycznie była władzą niemiecką na Ukrainie, dobiega kresu. Upadek jej był nieuchronny.

Jednak tekst zrzeczenia zdumiał ich. Konsul holenderski Fokker wziął szczyptę tabaki ze swej tabakierki ozdobionej miniaturą à la Rubens i tak zastygł, z podniesioną prawą ręką, jakby miał zamiar komuś, może nawet samemu hetmanowi, wypalić reprimendę. Sekretarz konsulatu francuskiego de Moulin, dotychczas jeszcze zdenerwowany swą podróżą do Bojarki, był bladezielony. Worki obwisłej skóry pod jego oczami podnosiły się i opadały, jakby były napełnione powietrzem.

Pan Szyszmanow modlitewnym ruchem złożył ręce na brzuchu. I wszyscy milczeli długą chwilę.

Na ulicy coraz częściej rozlegały się strzały. Ktoś rozpaczliwie krzychał pod oknami konsulatu. Przechodził oddział armii ochotniczej.

Raptem zadźwięczała szyba w oknie. Kula przeleciała przez pokój i uderzyła w wysoki piec. Na podłogę posypał się tynk.

— Teraz — zwrócił się pan de Moulin do posła Finlandii, a w jego słowach naprawdę kryło się dużo humoru — teraz, panie Humerus, może pan bez żadnych obaw wysłać swoją notę adresując ją...

Przypomniał sobie noc spędzoną w budce dróżnika.

— ...adresując ją do samego Pana Boga!

Horowacha jechał konno na czele swego oddziału. Konik był mały, niepokaźny, podbił sobie gdzieś kopyta i utykał na przednie nogi. Ponieważ był głodny i przez cały czas żuł wędzidło, więc wydawało się, że za każdym krokiem kłania się i jednocześnie szeroko się uśmiecha szczerząc żółte zęby.

Ale Horowacha na to nie zważał. Siedział dumnie na koniu, z grubym papierosem w zębach, i uważnie rozglądał się dookoła.

A było na co patrzeć. Ogon kolumny powstańców ginął gdzieś w oddali na skrzyżowaniu ulic. Taczanki turkotwały, skrzypiały wozy, rżały konie, szczekała broń. Poszarzali, osmagani wiatrem, szli i jechali powstańcy. Niektórzy z nich mieli na sobie świtki, inni płaszcze wojskowe. Na czele jednego z oddziałów maszerowała krzepka, czerwono-nolica dziewczyna w zielonej chustce w czerwone wzory i w sutej bluzce z bufiastymi rękawami. Na szyi miała naszyjnik z dziesięciu chyba sznurków czerwonych koralu i żółtych bursztynów.

— Horpyno! — krzyczeli powstańcy. — Horpynko! Horpyno... Zaśpiewaj...

Dziewczyna szła w milczeniu i tylko obracała głową to w jedną to w drugą stronę przyglądając się kijowianom stojącym wzdłuż chodników na ulicy Wasylkowskiej, którą maszerowali powstańcy.

— Horpynko! Zaśpiewaj!

Na rogu, tam gdzie ulica Wasylkowska dochodzi do Kreszczatiku, dziewczyna przystanąła. Tłum zalał szeroką ulicę. Matki trzymały dzieci na rękach, mężczyźni wymachiwali czapkami.

— Horpyno! — krzyczano również na chodnikach.

Horpyna przystanąła. Powstańcy idący obok niej usunęli się trochę na bok. Dziewczyna znalazła się w środku regularnego, dużego koła.

Wtedy Horpyna zaśpiewała basem. Jej potężny głos odbił się od budynków i doleciał aż do tłumu stojącego na drugim końcu ulicy.

*Pełta synogarlica lebiode, lebiode,
I postala grzywacza po wodę, po wodę.
Idź, grzywaczu, nie marudź długo przy krynicy...*

— Cha, cha, cha! — zanosili się śmiechem powstańcy. — To ci dopiero Horpyna! Ano, Horpyno! Słowiku, dodaj gazul!...

Horpyna śpiewała, a potem puściła się w przysudy... Zrzuciła chustkę i teraz już twarz jej nie wyglądała na kobiecą. Zrzuciła bluzkę z bufiastymi rękawami i przy akompaniamencie wybuchów śmiechu tłumu tańczył już korpulentny, tęgi powstaniec... Przeleciał w tańcu na brzeg chodnika, porwał z tłumu młodą dziewczynę i ruszył z nią, wywijając po ulicy, wyginając się i przysiadając. Dziewczyna z początku uchylała się wstydliwie, ale potem, rozbawiona, sama zaczęła szybko drobić nogami w tańcu. Jeszcze kilka par ruszyło do tańca i zahuczała ulica Wasylkowska, bębny wybijały takt do tańca, a harmonie prowadziły melodię:

*Idź, grzywaczu, nie marudź długo przy krynicy,
Nie przyglądaj się obcej synogarlicy,
Obca synogarlica uleci...*

— Idźcie do diabła! — krzyknął ze złością Horowacha. — Tu chodzi o rewolucję, a oni zabrali się do tańców. Dzieci jesteście, czy co. Z tyłu za nami wiozą zwłoki partyzanta, a oni szaleją... Rozwińcie chorągwie — mówił dalej — żeby widzieli kijowianie, z czym do nich przychodzimy.. Rozwińcie chorągwie na wozach, żeby było widać, pod jakimi flagami płyniemy.

I czerwone chorągwie załopotały nad oddziałami powstańców.

— Za władzę radziecką! — zahuczała ulica.

— Za władzę robotników i chłopów!...

Horowacha dumnie zsunął do tyłu czapkę.

A innymi ulicami dążyły inne, uformowane w czworobok oddziały. Żółto-błękitny sztandar powiewał nad pierwszą kolumną. Maszerował przy nim oficer. Samochód pancerny poprzedzał oddział drugi taki sam toczył się z łoskotem z tyłu. Cała kolumna sprawiała wrażenie szarej — austriackie płaszcze wojskowe, białe kołnierze, szare furazjerki. Szli w milczeniu, wybijając krok lewą nogą. Te kolumny maszerowały innymi ulicami, a potem dopiero ukazały się na Wasylkowskiej.

— Ale przecież... przecież to są hetmańcy! — rozniosło się po ulicy, gdy pierwsza kolumna doszła do Kreszczatiku — prawdziwi hetmańcy...

Zaczął kropić deszcz. Niebo szarzało i jak szare chmury płynęły ulicą kolumny wojska. A na przedmieściach ukazały się znowu takie same kolumny, od strony Bojarki szły samochody pancerne, sunęła pijana horda petlurowska, której na pomoc przybyli oficerowie z Galicji.

Koszary mirgorodzkie na Peczersku ogarnął twardy sen. Tylko wartownicy chodzą wokół budynków, a w koszarach śpią zmęczeni powstańcy. Horowacha leży rozkrzyżowawszy ręce i słyhać w całych koszarach jego potężne chrapanie — odsypia za jednym zamachem wiele nie przespanych nocy. I widzi Horowacha we śnie szerokie pole. Idzie przez to pole szeroką drogą. A po bokach tej drogi w dwa rzędy rosną grusze. Wysoko w niebie śpiewają skowronki, słońce świeci, ciepło i łagodne...

Stanął Horowacha, potrząsnął drzewem, aż posypały się z niego na ziemię dojrzałe gruszki.

— Dlaczegoż miałbym nie potrząsać? Przecie to nasza własność — i pola, i owoce z drzew... Nie na darmo walczyliśmy: jedz i pij, ile dusza zapagnie!

Położył się na miękkiej, zielonej trawie i patrzy w niebo. A niebo takie łagodne, że przez całe życie można by w nie patrzeć i nie znudzi się. Nadgryził pachnącą gruszkę i sok trysnął z miąższu... Trawy i oziminy na polu chylą się i szepcą doń: Towarzyszu Horowacha!... Towarzyszu Horowacha!

Zdziwił się Horowacha:

Od kiedy to trawy nauczyły się mówić? Ot, co znacza nowe czasy!
Nawet zielsko przemówiło...

A trawy coraz głośniej:

Towarzyszu Horowacha!

Nawet zaczęły się pod nim owe trawy poruszać.

Najmilsze moje!

Obudził się Horowacha. Znikły trawy, nie ma pola, nie ma grusz.
Migoce kaganek w koszarach, śpią zmęczeni powstańcy, a dyżurny stoi
nad nim i trzęsie go za ramiona.

— Towarzyszu Horowacha! Wzywają cię.

— Kto?

Wyszli z koszar przeskakując przez ciała leżące na podłodze.

Była ciepła, jesienna noc. Na dworze czekało na nich kilku ludzi.

— Jesteśmy ze sztabu dowództwa. Z korpusu oblężniczego. Czy
to wy jesteście dowódcą oddziału partyzanckiego?

— Ja.

— Oto rozkaz. Oddział partyzancki zostaje rozwiązany i ma na-
tychmiast oddać broń. Obronę miasta przejmuje korpus oblężniczy
pod dowództwem pułkownika Konowalca. Partyzanci mogą wrócić
do domu.

— Towarzysze!...

— Rozmawia z wami pułkownik Udowiczenko.

— Więc po tośmy przyszli? Przecież chcieliśmy osiągnąć...

Bolało, burzyło się serce. Czy po to przyprowadził z tak daleka aż
do Kijowa swych partyzantów? Czy za to polegli Staś Michalczuk,
Iwan Soroka i bez nóg został gdzieś na polach Kostek Prymost? Czy
po to zrosili pola własną krwią, żeby teraz tak bezmyślnie i głupio od-
dać broń? Śpią strudzeni przemarszem powstańcy, śpi Denys Neczuj,
śpi Skorochoł, Bezrydnyj... Pobiec, zaalarmować koszary, chwycić
karabiny, uderzyć na tego pana pułkownika...

— Koszary są otoczone. Na ulicach wojsko Dyrektorii. Z koszar nie
wyjdzie nikt.

Dokoła koszar są wysokie wały usypane jeszcze za Mikołaja I.
Wiatr donosi spoza nich szcęk broni, po jezdni przetoczyło się z ło-
skotem działo.

— Bracia! — wyciągnął szablę Horowacha. — Sprzedano nas, bra-
cia moi!

I z poranionej ręki wypadła szabla na jesienną ziemię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz odbył się przegląd pułku Bohuńskiego. Szli żołnierze, którzy okryli się sławą w walkach z Niemcami, zahartowali się tępiąc wroga. Przez długie miesiące zbierali się i ćwiczyli na północnej Ukrainie, zawzięcie odpierali niemiecką nawałę, a teraz rwali się do walki przeciwko Dyrektorii, która zdradziecko chwyciła władzę.

Przybyły z Moskwy przedstawiciel — inspektor sztabu generalnego — patrzył, krzywiąc usta, na setki mijających go żołnierzy. Pobłyskiwały jego starannie wyczyszczone buciki, granatowe szkiełka okularów zakrywały oczy. Inspektor interesował się ilością bohuńczyków, rozpytywał o uzbrojenie, o minione operacje wojenne.

Przegląd się zakończył. Szczors wraz z inspektorem siedzieli w sztabie. Pogoda się zmieniła. Jeszcze z rana niebo pociemniało niby zalane ołowiem, za oknem widać było szare, ciężkie, postrzępione chmury. Szumiął wiatr, gałęzie uderzały o szyby, kropił deszcz.

— Przyjechaliście na inspekcję naszego pułku. No, cóż, pułk Bohuński wypróbowany jest w walkach — mówił cicho Szczors. — W Klincach, koło Robczyka, pod Homlem spotykaliśmy się z Niemcami. Znają nasz pułk także żołnierze hetmana. Teraz czekamy tylko jednego — rozkazu natarcia. Wtedy koniec z Dyrektorią i Petlurą. Przez Nieżyn, Starodub, Czernihów jak fala ruszymy na Kijów. Przyłączą się do nas tysiące. Zdobędziemy Kijów.

— Ale w sztabie generalnym są innego zdania — zmrużywszy oczy mówił inspektor. — Tam uważają, że istnieje jeszcze jedna droga na Kijów. Bezpośrednim niebezpieczeństwem dzisiaj jest Don, Krasnow, Denikin... Trzeba najpierw rozbić wroga na Donie, a już potem...

Szczors nachmurzył się.

— Więc niby jak?

— Całkiem po prostu. Dzisiaj sam dokonałem przeglądu oddziałów. Są w znakomitym stanie. Zupełnie spokojnie można je przerzucić nad Don, a potem, gdy Rostów i północny Kaukaz będą w naszych rękach, można ruszyć i na Kijów...

— Stąd, z Polesia, iść na Kijów przez Rostów! — wykrzyknął Szczors. — Popędzić pułk Bohuński na Rostów! A któż pójdzie walczyć przeciwko ukraińskim bogaczom, obszarnikom i fabrykantom? Kto poprowadzi robotników, biedotę ukraińską, ukraińskie chłopstwo pracujące przeciwko Dyrektorii? Kto chciałby zabrać bohuńczyków z frontu walki przeciwko Niemcom i prowadzić ich teraz nad Don, te-

raz, gdy nie można zwlekać ani jednego dnia, ani jednej godziny, gdy trzeba się spieszyć i zaczynać bój?

Inspektor milczał.

— Kto chciałby oderwać nas od walki z Niemcami, odciągnąć nas od walki z ziemianami i kulakami?

Inspektor wciąż milczał.

— Może Trocki? — nerwowo pytał Szczors. — Czy to on chce nas zniszczyć?

— Towarzyszu dowódco pułku, wasz ton nie podoba mi się wcale.

— Wiem, towarzyszu ze sztabu generalnego, że nie podoba się wam mój ton — zachłystując się ze zdenerwowania mówił Szczors. — Ale — podszedł do inspektora — pułk Bohuński nie pójdzie nad Don. Don i Kubań powstają, już powstały. Ruszą ławą przeciwko Denikinowi i Krasnowowi... Nigdy nie odmówimy pomocy Donowi i Kubaniowi. Ale teraz, gdy płonie cała Ukraina, płonie cały kraj, gdy Petlura usiłuje wskoczyć na grzbiet fali, gdy Dyrektorja zdradziecko chwyciła władzę — powinniśmy rozbić ją, zniszczyć. Powinniśmy iść na pomoc robotnikowi, biedakowi, wyrobnikowi ukraińskiemu, który jęczy pod jarzmem Dyrektorii, który oczekuje nas jak wybawienia, bo tym samym dopomagamy naszym braciom znad Donu. Czekamy na rozkaz... I jestem pewien, że taki rozkaz nadejdzie. O naszej rozmowie będzie wiedział towarzysz Lenin.

Zapadał wilgotny, jesienny wieczór. W fioletowym zmroku haftowanym cieniami wieczoru maszerowały wracające z ćwiczeń kompanie, ucichła miedź orkiestr. Z rynny, koło której stali Dowhalewicz i Remez, kapłało jednostajnie.

— Doczekaliśmy się! — ochryplym głosem przemówił Dowhalewicz. — Tu się wszystko zakończy.

— Nie popełnimy omyłki? — zapytał Remez.

— To nie pierwszyczna — odpowiedział Dowhalewicz. — Brałem udział w groźniejszych historiach. Powodzenie murowane. Ludzie padają ze zmęczenia po ćwiczeniach, wikt zły. O sytuacji na frontach nikt nic dokładnie nie wie. Trudno o bardziej dogodny moment. I z Kijowa naciskają.

Proszę nie zapominać jeszcze o jednym — ożywił się Dowhalewicz. — Przyjechał inspektor ze sztabu generalnego. Chodzą słuchy, że bohuńczyków przerzucają nad Don. To woda na nasz młyn. W bata-

lionach ludzie są już poruszeni. Trzeba ich tylko jeszcze bardziej roz-
palić.

Wieczorem — cicho zaczął mówić Dowhalewicz — wszyscy ofi-
cerowie udają się na zbiórkę. Szczorsa odwiedzimy osobno — już zor-
ganizowałem grupę kilku ludzi, a my musimy iść do kaemistów, do
zwiadawców konnych i do baterii. Tam nadeszły uzupełnienia. Żli są
wszyscy jak osy. Rwą się do walki przeciwko Dyrektorii, mieli na-
dzieję, że ich poprowadzą, a tu... posyłają ich nad Don. Czy wyobra-
ża pan sobie, co to za sytuacja? Istny proch! Tylko przytknąć zapal-
kę — wybuchnie cała beczka.

Szli powoli ulicą Unieczy. Pod nogami leżały zamarłe, czarne kału-
że, złożone ostatnimi promieniami zachodu.

Wstąpili do kaemistów. Remez pozostał na ulicy. Dowhalewicz po-
biegł do sztabu dowództwa. Potem poszli do baterii i do zwiadawców
konných.

— Kieliszek by się przydał — mówił idąc za Dowhalewiczem przy-
saskowaty, gruby pijaczyna w kozackiej czapie z czerwonym oto-
kiem — bo mam jakieś dręszcze.

Dowhalewicz przystanął. Na dziobatą twarz wystąpiły mu rumień-
ce. Oczy miał zmrużone — przyglądał się uważnie Kozakowi.

— Chodźmy — poprowadził go do siebie Dowhalewicz. — Dam ci
wódki. Tylko że potem pójdziesz do niego, do samego Szczorsa.

Gwałtownie zadzwonił telefon. W zastygłej ciszy pokoju dzwonek
zabrział rozpaczliwie jak alarm. Szczors szybko wstał od stołu
i podszedł do telefonu.

— Słucham!

Głos kobiety, o dobrze znanej mu modulacji, rzucał w słuchawkę:

— Proszę Szczorsa! Dowódcę pułku Bohuńskiego, Szczorsa! Na-
tychmiast zawołajcie Szczorsa!

— Jestem przy aparacie... Frumo! Słucham! Szczors przy telefo-
nie! Co ci jest? Nie poznajesz mnie?

— Poznaję! Teraz poznaję! Słuchaj, Kola, czy u ciebie wszystko
w porządku?

— W porządku — Szczors zrozumiał, że Fruma ma na myśli pułk,
i uśmiechnął się. — Wszystko w porządku.

— Wydaje mi się, że trzeba pilnować. Zauważyłam... Musimy po-
rozmawiać osobiście. Kiedy będziesz wolny?

— Jeszcze mam robotę w sztabie, a potem zebranie, które pewno się przeciągnie. Chyba dopiero po dziesiątej.

— Przyjdź, jak tylko będziesz wolny.

— Oczywiście. Do widzenia...

Telefonowała Fruma Rostowa z Czeka* w Unieczy, bliska przyjaciółka i towarzyszka Szczorsa. Głos jej był pełen niepokoju, na pewno nie mogła powiedzieć przez telefon wszystkiego, co ją nurtowało.

Pewno jakieś nieporozumienie — powiedział do siebie Szczors. — Wspaniały z niej towarzysz walk, ale jest nerwowa, przejmuje się drobnostkami.

Zatelefonował do wydziału politycznego.

— Czy prędko rozpocznie się zebranie?

— Już się zbierają.

— Proszę zadzwonić po mnie.

Przez okno widać było oświetlone chałupki Unieczy. Gdzieś nieopodal sztabu grała harmonia, noc spokojnie płynęła nad miasteczkiem.

Szczors usiadł przy stole. Chciał napisać list. Napisać o wszystkim, co już zrobiono i co teraz robi, opowiedzieć o swych niepokojach, napisać do Lenina.

I jak zawsze w takiej chwili, przesunęło się przed nim całe jego życie. Niedługie życie — ma dopiero dwadzieścia dwa lata. Ale ile już przeżył!... Niedaleko stąd leży Snowsk — malutkie miasteczko na Czernihowszczyźnie. Ojciec — maszynista, matka — chorowita, wiecznie kaszłająca, stara kobieta. Matka często biadała: Co zrobić z tobą, synku? Jak sobie dasz radę w życiu. Widzisz, u nas bieda, niedostatek.

Ojciec, wieczorem po powrocie z pracy, siada, myśli i wreszcie wybucha.

— A gdyby tak, Mykoło, zawieźć cię do Kijowa? Mówią, że jest tam szkoła felczerska. Nauka nic nie kosztuje. I jeść dają. Pojedziemy, Kola?

Kijów... Z tym miastem, które obecnie zajęli wrogowie, wiąże się dla Mykoły Szczorsa tyle wspomnień. Daleko, bardzo daleko z Unieczy do Kijowa, ale on widzi go, widzi szkołę felczerską w pobliżu

* Czeka (Człowieczyzajnaja Komissija) — Komisja Nadzwyczajna do walki z kontrrewolucją i sabotażem

rynku Besarabskiego i więzienie „Pod krzywą basztą“, które znajdowało się tuż za szkołą. Ile myśli nasuwało się Szczorsowi, gdy widział ludzi prowadzonych w kajdanach do więzienia. A Kreszczatik, Arsenal, pagórki nad Dnieprem, stepy zadnieprzańskie!...

Ile walk, ile pragnień i marzeń wiąże się z tym miastem! Kształcił się na felczera, ale ani przez chwilę nie wierzył, że nim zostanie. Musiał uczyć się tej sztuki — za to otrzymywał kawałek chleba. Książki Puszkina, Szewczenki, płomienne artykuły Lenina i Stalina, które trafiały nawet do ich szkoły. Kijów, który co chwila wybuchał burzą powstań, ulotki mówiące o przyszłości klasy robotniczej — właśnie do tego, jak młode pędy do słońca, lgnął Mykoła Szczors. Wierzył i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nadejdzie, musi nadejść piękniejsza, jaśniejsza przyszłość.

Felczer Mykoła Szczors bywał i na wojnie. Pierwszy dzień rewolucji zastaje go ciężko chorego na gruźlicę. Mykoła ma na sobie szlafrok szpitalny, ale czyż można chorować na przedwiośniu nowego świata?

Ciężkie dni przeżywa Ukraina. Wraz z nią przeżywa je także Mykoła Szczors. Nie wytrzymał! Gdy na Ukrainę ruszyli Niemcy, gdzieś pod Nowozybkowem, w rejonie wsi Semenówki zjawił się oddział partyzantów, który nie dawał Niemcom chwili wytchnienia, a dowodził nim Mykoła Szczors. Ale oddział miał mało ludzi, a Niemców były setki tysięcy. I młody dowódca rozwiązuje swój oddział, a sam przebiega się do Moskwy, do towarzysza Lenina.

Zamyślił się głęboko Mykoła Ołeksandrowicz. Jeszcze teraz stoi mu przed oczyma łagodne, dobre i spokojne oblicze Włodzimierza Iljicza. Szczors z całą grupą towarzyszy, którzy przedostali się z podbitej przez Niemców i ujarzmionej przez hetmana Ukrainy do Moskwy, przyszedł na Kreml — zaprosił ich do siebie Włodzimierz Iljicz.

Sprawy referował Szczors. Opowiadał o tym, co się dzieje na Ukrainie: płoną wsie, idą do Niemiec transporty ze zrabowanym mieniem, bogaty kraj zamienia się w kraj nędzy. Z Połtawszczyzny, Czerniowszczyzny i Kijowszczyzny do strefy neutralnej płyną nieprzerwanym strumieniem powstańcy. Osmagane batogami plecy, płonące nienawiścią serca — oto co z sobą przynoszą. Wielki pochód wyruszył z Ukrainy, trzeba tylko tę siłę zorganizować, wyszkolić...

Lenin uważnie słuchał tych słów. Niekiedy przerywał Szczorsowi, wypytywał o szczegóły. Coś zapisywał na arkusiku papieru. A potem

przemówił do nich. Na całe życie pozostał Szczorsowi w pamięci Lenin, który mówił, że trzeba przez pewien czas wstrzymać się od bezpośredniej wojny z Niemcami, trzeba wykorzystać chwilę wytchnienia zdobytą w Brześciu, po to, żeby zbierać i gromadzić siły, organizować oddziały Armii Czerwonej, które wkrótce wyruszą w bój...

Część towarzyszy, którzy byli razem ze Szczorsesem u Lenina, pozostała, aby uczyć się w Moskwie, Szczorsa na krótki czas przerzucono na Sybir.

A potem Uniecza, uporczywa praca nad utworzeniem pierwszego pułku. Wrócili towarzysze z Moskwy, stanęli do roboty, zorganizowali pułk Bohuński.

I już nieraz odczuli Niemcy mocne uderzenie bohuńczyków. Pułk ma już broń, mundury, karabiny maszynowe, granaty. Pobił Niemców pod Starodubem, Homlem, Unieczą i Snowskim. I stało się to jakby sygnałem — fala potoczyła się po całej Ukrainie. Powstawali robotnicy w miastach, powstawała biedota wiejska i fonałe przeciwko Niemcom i żołnierzom hetmana, płonęły luny powstań nad wioskami. W tym czasie w Niemczech wybuchła rewolucja. Niemcy uciekali z Ukrainy... Codziennie do Szczorsa zgłaszali się powstańcy. Szedł lud z całej Ukrainy. Pułk Bohuński rośnie, gotów już jest do natarcia...

Zamyślił się Szczors. To go niepokoi. Do pułku wstępuje mnóstwo ludzi. Większość z nich przychodzi z kijkiem i torbą na plecach... A dokumenty?... Dokumentem jest to, co każdy o sobie zechce powiedzieć. Dopiero przed chwilą telefonowała przewodnicząca Czeka, Rostowa — pewnie znów coś słyszała o zaburzeniach w pułku. Czy on sam nie odczuwa tych zaburzeń? Setki czerwonoarmistów w pułku — to setki dusz ludzkich. Spójrzy czasem w oczy któremu z nich i dostrzeże w nich miłość, bezgraniczną wierność. Ale inni! Wróg dociera do najtajniejszych spraw. Szczors czuje wrogów nawet w samym pułku.

I jeszcze jedno go niepokoiło. Słowa Lenina były takie proste, takie zrozumiałe: wykorzystać chwilę wytchnienia, aby stworzyć armię, wychować kadry, zorganizować pułk. Należy dołożyć wszelkich starań, aby pułk stał się ziarnem, z którego potem wyrosną nowe pułki.

Dlaczego teraz, gdy pułk gotowy już jest do wystąpienia, nie ma rozkazu natarcia, na który czeka pułk i cała Ukraina? Co gorsza —

przyjeżdżają inspektorzy sztabu generalnego i zbierają informacje, czy pułk jest gotów... wyruszyć nad Don!

Szczors przypomniał sobie tego ulizanego, zwinnego inspektora sztabu generalnego, który kręcił się przez kilka dni po pułku i dopiero przy pożegnaniu powiedział, że sztab ma zamiar przerzucić pułk Bohuński nad Don.

— I jakież dureń — głośno wymyślał Szczors — pójdzie dziś na Kijów przez Rostów?

Dowódca pułku pochylił się nad stołem. Trzeba napisać list do Włodzimierza Iljicza. Napisać o tym, jak się organizował pułk i jak wykonuje rozkaz bojowy.

„Pułk istnieje! — pisał Szczors. — *I gotów jest do wyruszenia...*“

Dowhalewicz i Remez siedzieli w wydziale politycznym aż do chwili nadejścia wszystkich dowódców. Dopiero wówczas wyszli jeden po drugim na ulicę. W tej samej chwili rozległ się terkot karabinu maszynowego.

— Zaczęło się! — powiedział Dowhalewicz.

I pospiesznie przeskakując po kilka stopni naraz, zbiegł z ganku.

— Do kaemistów! — podwinął poly płaszcza i pobiegł, aż błoto tryskało mu spod stóp.

Kaemiści byli zaniepokojeni. Już od kilku dni w koszarach toczyły się rozmowy o tym, że wkrótce otrzymają nowe rozkazy.

— Uwaga! — krzyknął Dowhalewicz wbiegając do koszar. — Uwaga, mówię wam!

— Cicho! — zawołano. — Słuchajcie, co powiedzą...

— Uwaga! — krzyczał dalej Dowhalewicz. — Przyszedłem do was z telegrafu. Nadeszła depesza, żeby nasz pułk przerzucić nad Don. Tam jest pełno Anglików i Amerykanów, zabijają ludzi ultrafioletowymi promieniami...

— I nas wysyłają tam na zagładę! — dodał głośno Remez. — Jako mięso armatnie. Nasz własny dom płonie, a nas odrywają od niego.

W koszarach zahuczało.

— Bracia! Czyżby nas mieli popędzić nad Don?

— Jak to? — pytał długobrody czerwonooarmista z siwymi wąsami, stojący blisko Dowhalewicza. — Czy może być, żeby nas popędzono nad Don? A kto tu będzie robić rewolucję?

— Milcz! — krzyknęło naraz kilka osób.
— Wszystkiego narobił ten bolszewik Szczors — krzyczał Dowhalewicz. — Przyjeżdżają do niego inspektorzy, oprowadza ich, radzi się, naradza, układa się z nimi, żeby prowadzić nas nad Don.

— Szczors jest zaarrestowany — dodał głośno Remez. — Już nas nigdzie nie popędzi.

— Do karabinów maszynowych!

— Poczekajcie — stanął na progu Remez. — Karabiny już zabrano. Najpierw trzeba wybrać dowódcę — a ten już nas poprowadzi.

— Wybrać dowódcę... Zapytać Szczorsa... Wybrać Dowhalewicza! — zaczęto krzyczeć dokoła.

— Prowadź nas! — krzyknął Remez i jeszcze kilku, którzy skupili się wokół Dowhalewicza.

Rzucili się i zaczęli rozchwytywać broń. Przed gankiem ustawili karabiny maszynowe. Koło sztabu pułku oraz gdzieś w okolicy dworca zaterkotało naraz kilka karabinów maszynowych. Rozjęczała się strwożona noc. Od razu pogasły światła w chatach Unieczy, miasteczko zapadło w ciemność.

— Do urzędu telegraficznego! — cicho powiedział Dowhalewicz do Remeza. — Niezwłocznie zawiadomić Dyrektorję, żeby tu przyszli, można brać wszystko gołymi rękami...

— Lepiej delegatów!...

— Posyłaj! Niech idą natychmiast.

— Biegiem! Do sztabu!

Bezlądny tupot nóg nappełnił ulicę.

— Wkrótce wyruszymy — mówił cicho Szczors do adiutanta. — Dopóki zima trwa, zniszczymy wroga, a na wiosnę ziemia będzie wolna, radziecka. Zakwitną sady, zazielenią się pola...

Umilkł. Gdzieś niedaleko, na ulicy, zaterkotał karabin maszynowy i natychmiast urwał.

— Idź zobacz, co się tam dzieje! — zwrócił się Szczors do adiutanta.

Adiutant wyszedł.

Przy ganku domu, gdzie mieściło się dowództwo pułku, powstał hałas. Szczors usłyszał głos adiutanta. Przerwał mu potężny bas.

— Milcz!...

Do pokoju raptownie wdarło się kilku ludzi. Pierwszy wpadł i stanął przed Szczorssem gruby pijaczyna z czubem na głowie, w czapce z czerwonym otokiem. Karabin trzymał w pogotowiu, twarz czerwona — pijana.

— Czego chcesz? — nie ruszając się z miejsca zapytał Szczors. Grubas ruszył naprzód.

— Poddaj się! — wrzasnął z całej siły, podchodząc do stołu.

— Poczekaj — powiedział Szczors — poczekaj, jeszcze tylko skończę list, a potem...

Pochylił się nad stołem, dopisał kilka słów. Zbity z tropu pijaczyna, który wciąż stał przy stole, obejrzał się.

— A co dalej? — zapytał Szczors przyglądając mu się spokojnie.

— Dosyć! — krzyknął grubas. — Teraz mamy własnego dowódcę.

— I co? — zapytał Szczors.

— Oddaj broń!

— Dawać broń! — rozległo się w sieni.

— Broń? — uśmiechnął się Szczors. — Potrzebna wam jest broń? Zaraz...

Wyciągnął rękę i powoli otwierał szufladę stołu.

— Co robisz? — krzyknął grubas zobaczywszy, że Szczors nagle wyszarpnął z szuflady granat.

— Ano! — krzyknął dowódca pułku Bohuńskiego. — Poddajcie się, psie syny! — Podniósł granat nad głowę. — Zabiję!... — wzniósł rękę jeszcze wyżej.

Zakręcił się czerwony otok, grubas skoczył i spróbował wycelować do Szczorsa z karabinu, ale ręka mu opadła. Obejrzał się w tył ku sieni, ale stamtąd wszyscy już uciekli. Wówczas stropiony rzucił się do ucieczki, uderzył o futrynę drzwi i wymknął się z pokoju.

Pod oknem zatupotały nogi uciekających. Ktoś krzyknął głośno. Zagrzemiał strzał.

Szczors stał jeszcze przez chwilę koło stołu trzymając w ręku granat. Ręka mu drgnęła, opadła w dół. Granat uderzył o stół.

— Wybuchnie! — krzyknął od progu wchodzący do pokoju adiutant.

— Nie ma zapalnika — roześmiał się Szczors.

— Nie podchodźcie do okna — powiedział adiutant, gdy zobaczył, że Szczors zbliża się do telefonu.

— Głupstwo — odpowiedział dowódca kręcąc korbą aparatu. — Oni teraz boją się nawet zbliżyć do okna. Tchórze!

— Nie odpowiada — długo trzymał przy uchu słuchawkę. — Milczy Czek. Biegnij do urzędu telegraficznego i uprzedź sztab dywizji — rozkazał adiutantowi.

— Towarzyszu dowódco! Mykoło Oleksandrowiczu! Musicie się ukryć.

— Idź! — powiedział twardo.

Adiutant odszedł. Kroki na ganku. Przeszedł pod oknem.

Szczors powoli podszedł do stołu, podpisał ukończony list, zakleił, napisał adres i schował go do kieszeni.

Zgasił lampę. Otworzył drzwi na ganek. Rozejrzał się uważnie. W chałupach zgasły światła. Ulice Unieczy były ciemne. Ale on czuł, że tu gdzieś w pobliżu chaty stoi ktoś obcy. Posłyszał nawet kroki i przyciszony głos.

Wrócił do pokoju. Podszedł do okna. Otworzył je. Lekko przerzucił nogę przez parapet i zeskoczył.

W koszarach batalionu było gwarно. Wiszące na ścianach kaganki sapały dokoła słabe, żółtawe światło.

Przez otwarte na oścież drzwi jedni wchodzili, drudzy wychodzili — zimny wiatr hulał po koszarach jak po ulicy. Na stojakach brakowało kilku karabinów, na ich miejscu czerniała próżnia, widomy znak zdrady. Wszyscy stłoczyli się wokół skrzyni.

— Towarzysze! — wykrzyknął stojący na skrzyni zastępca dowódcy. — Zdrada w pułku. Wróg przedostał się do nas, usiłuje utracić towarzysza Szczorsa...

— Powiadają, że już został utracony.

— Kłamstwo. Nikt go nie utraci. Wrogowie chcą utracić Szczorsa i obrać własnego dowódcę, który by ugiął grzbiet przed Niemcami i hajdamakami.

— A Don daleko! — wyrwało się z tłumu. — Własna chata płonie, a nas odrywają...

— Kto to powiedział? — spytał zastępca dowódcy.

— Ja... ja... — odezwał się jeden wypchnięty z tłumu. — Nie mówię, że trzeba Niemców i hajdamaków. My już ich znamy.

— Wyłóż swój program! — krzyknięto w tłumie.

— Pospieszcie się, chłopcy, noc jest krótka — popędzał ktoś.

— Towarzyszu dowódcu! — wystąpił jeszcze jeden. — Wśród nas rozchodzą się pogłoski, że pułk Bohuński zamierza przerwucić nad Don, że już dość robienia rewolucji w domu.

— Kłamstwo! — krzyknął zastępca dowódcy. — Nikt was nie posyła nad Don. Oczekujemy rozkazu uderzenia na petlurowców.

— Może i tak — padło z tłumu. — A wtedy lepiej popatrzeć, jak się to wszystko skończy i nie wtrącać się do tego.

— Żebyśmy to wiedzieli! — westchnął ktoś.

Zastępca dowódcy zacisnął pięści.

— Chłopcy! — krzyknął. — Dokąd idziecie? Kogo słuchacie?

Brakło mu słów, aby wypowiedzieć to wszystko, co wzbierało i kipiało mu w piersi. Nie poznawał swych żołnierzy. Czyż to oni wczoraj walczyli z Niemcami? Było w nich coś nowego...

— Przeciwno komu się buntujecie? — krzyknął zastępca dowódcy.

— Nie buntujemy się, towarzyszu dowódcu — odpowiedział chłopak ze skrwawionym opatrunkiem na czole. — Nie chcieliśmy i nie chcemy rozpoczynać zamętu. Przychodzili do nas Dowhalewicz i Remez, próbowali agitować, pokazaliśmy im drzwi. Ale nie chcemy również wtrącać się do tej sprawy. Niech nas nie zaczepiają i my też nikogo zaczepiać nie będziemy.

— To znaczy: robić rewolucję bez was? — spytał zastępca dowódcy.

— Nie, jesteśmy za rewolucją! — rozległy się głosy. — Ale na razie jesteśmy za zachowaniem neutralności. Towarzysz Szczors zaareztowany, zaczyna się nowy przewrót...

— Zmęczeni jesteśmy, dosyć tego!

— Serce nam się kraje!

— Zamkniemy koszary, nikogo nie wpuścimy! Nawojowaliśmy się dosyć.

— Głosować! — krzyknął ktoś z tłumu. — Dość gadania! Głosować za zachowaniem neutralności! Kto za zachowaniem neutralności — podnieść rękę!

— Chłopcy! Brać! — krzyczeli inni. — Opamiętajcie się!

— Podnoś, podnoś! Podnoś, bo inaczej ciebie samego podniesiemy na bagnietach!

Dużo rąk podniosło się do góry.

— Towarzysze! — raptem krzyknął ktoś z przestrachem.

Bezdładny, nie milknący gwar, panujący dotychczas w koszarach, zaczął opadać.

— Towarzy-sze! — dołączyło się jeszcze kilka głosów.

Do koszar wszedł i stanął pośród tłumu Mykoła Oleksandrowicz Szczors.

— Baczność! — rozległa się komenda dyżurnego batalionu. — Towarzyszu dowódco pułku — rzucił się do dowódcy. — Pozwólcie złożyć raport. Stan batalionu... ludzi... urlopowanych nie ma... nieobecnych... — wciąż nie mógł skleić raportu.

— Raportuj mi prawdę, jak się to wszystko stało — powiedział Szczors.

— Wróg przedostał się do pułku. Nieszczęście! — krzyknął dyżurny.

— Spocznij! — powiedział Szczors. — Nie umiesz składać raportu. Słyszałem o wszystkim — powiedział rozglądając się po tłumie. — Słyszałem, że nie chcieliście się buntować przeciwko mnie. Zuchy jesteście! Dziękuję wam.

Cisza zaległa koszary.

— A więc, towarzysze, jesteście za zachowaniem neutralności — zapytał Szczors. — Wobec kogo? Wobec Niemców, hajdamaków, petlurowców...? I wobec mnie także. W stosunku do bolszewików też chcecie zachować neutralność? Głosowaliście za tym? Ale czy za zachowaniem neutralności głosowaliście? — I odpowiedział sam od razu: — Nie! Nie za zachowaniem neutralności! Teraz nie ma neutralnych. I nigdy nie było neutralnych.

— Tyś mówił — Szczors wskazał chłopca z opatrunkiem na czole — że trzeba zobaczyć, jak się wszystko skończy, i nie wtrącać się. A czy ty, nim wstąpiłeś do pułku Bohuńskiego, wtrącałeś się w sprawy Niemców, hajdamaków?

— Nie, nie wtrącałem się — cicho odpowiedział chłopak.

— A gdzie jest twój ojciec? — zapytał Szczors.

— Niemcy zabili go — jeszcze ciszej odpowiedział chłopak.

— A chata twoja gdzie?

— Niemcy... spalili.

— Czy chcesz, żeby ci teraz życie zabrali? Dlaczego pragniesz zachowania neutralności?

— A ty — zwrócił się Szczors do innego — widziałeś neutralnych? Czy wszyscy twój żyją?

— Żonę... zabili... żołnierze hetmana...
— A mnie, towarzyszu dowódcu... — odezwał się inny.
— U nas... — zawołało kilka głosów naraz.
— Wszędzie to samo — mówił Szczors. — Niemcy, hajdamacy, petlurowcy krzyczeli o neutralności, aby was ograbić i osadzić znów panów w ich majątkach. Od takiej neutralności uciekaliście tutaj do nas. Przyszliście, żeby walczyć z wrogami rewolucji. A teraz? Teraz ciągnął dalej Szczors — umyśliliście sprzedać rewolucję. Upadliście na duchu, wahacie się. Uwierzyliście, że posyłają was nad Don. Komu uwierzyliście? Uwierzyliście wrogom. Kto powiedział, że posyłają was nad Don, teraz gdy nadszedł czas ruszenia na Ukrainę, żeby wypędzić Niemców, hajdamaków, petlurowców? Wróg wam to powiedział. Chytry, podstępny wróg rewolucji, wróg ludzi pracy.

Ale jeżeli partia bolszewików rozkaże nam ruszyć przeciwko wrogom, którzy rozsiedli się nad Donem, jeżeli zawołają nas na pomoc nasi bracia znad Donu, czy odmówimy im pomocy? — Szczors badawczo przyglądał się żołnierzom.

— Pójdziemy — odpowiedziano z tłumu. — Jak można nie pójść? Przecież to bracia!

— Więc jak? — powiedział Szczors. — Zachowujemy neutralność? Głosujemy, kto z was jest za neutralnością.

Nie podniosła się ani jedna ręka.

— Gdzie Dowhalewicz? — koszary ocknęły się jakby po ciężkim śnie. I szary, podniecony tłum rzucił się na Remeza.

— W urzędzie telegraficznym! Rozmawia z Moskwą!

Wiedział jednak dobrze, że Dowhalewicza nie ma w urzędzie telegraficznym. Dowhalewicz z kilkoma ludźmi przeszedł w nocy linię demarkacyjną — aby wezwać petlurowców. Lecz noc już mija, a ich dotychczas nie widać.

W Unieczy wszystko poszło inaczej, wbrew przewidywaniom. Od kilku tygodni Dowhalewicz i Remez podburzali kaemistów, zwiadowców konnych i artylerzystów. Rzucili tam wszystkie siły: kilku oficerów-petlurowców, kilku agitatorów. Zmęczeni, zniechęceni wojną, kiereńszczyzną, hetmańszczyzną, rozjątrzeni nieludzkim znęcaniem się Niemców ludzie uwierzyli, że mogą ich przerzucić z Ukrainy objętej powstaniem przeciwko Niemcom i Dyrektorii nad Don. Uwierzyli i przerazili się.

Kaemiści, którzy po krótkiej przemowie Dowhalewicza zaczęli protestować, od razu zamilkli. Dowhalewicz rozkazał zawieźć karabiny maszynowe do sztabu, ale okazało się, że karabiny są zepsute. Wydał rozkaz, aby bateria wyjechała ze wsi i ostrzelała Unieczę, ale nie znalaziono ani jednego pocisku. Dowhalewicz ruszył w nocy do rządu Dyrektorii — noc mija, a jego wciąż nie ma — ucichły rozmowy w koszarach, Remez boi się spojrzeć ludziom w oczy i wszyscy unikają jego wzroku.

Siedzą w milczeniu, bojąc się świtu, który zbliża się nieubłaganie.

— Jakże teraz będzie? — zwracał się do wszystkich stary, długobrody dziad, który rozpytywał Dowhalewicza o powstanie. — Otu-
manieś ludzi, a teraz się chowasz? Prowadź nas do Szczorsa, poroz-
mawiamy z nim otwarcie.

Zaczęło świtać. Nikt nie opuszczał koszar. Wpadł pierwszy pro-
mień, oświetlił wystraszone twarze.

— Cośmy narobili!...

— Gdzie Dowhalewicz?

— Gdzie Remez?

! Nie było już i Remeza. Znikł z koszar.

— Jakże się to stało, towarzysze? — wystąpił naprzód siwobro-
dy. — Oszukano nas!

Przez okna koszar obficie wlewało się światło dnia. Widać było,
jak bohuńczycy idą ulicą, ustawiają się przed koszarami.

— Towarzysze! — rozpaczliwie krzyknął siwobrody. — towarzy-
sze, wysłuchajcie mnie!

Wszyscy skupili się wokół niego.

— Chłopcy, przepadliśmy! Nie tędy droga! Stoimy nad przepaścią
i już nas tam ciągnie, zbliża się nasz koniec!

— Delegatów! — zahuczały koszary. — Wysłać delegatów do
Szczorsa, prosić o łaskę...

— Nic z tego nie będzie — powiedział długobrody. — Próżne sło-
wa! Niczym nie odkupimy naszej winy.

Siadł na ławie i ciężko pochylił głowę.

Szczors rozkazał:

— Wszyscy do szeregów!

— Stawaj! — krzyknął siwobrody.

Ustawiali się na dziedzińcu koszarowym. Nierówno, nie tak jak zawsze — strach było stać w takich szeregach.

Szczors siedł spokojnie jak zwykle. Twarz miał bladą. Bacznie przyglądał się ludziom.

Niekiedy przystawał, wzrok jego zatrzymywał się na którejś z twarzy. Tu — siwy dziad, który spokojnie patrzy Szczorsowi w oczy. Wszystko jest jasne, nie potrzebuje już niczego ukrywać. Tylko usta się poruszają staremu — powiedziec, powiedziec kilka słów leżących na dnie, w głębi świadomości, bo pieką go te słowa jak ogniem. A tu — pognieciony czerwony otok i oczy zmrużone w przeczuciu nieuniknionego ciosu. Trochę się otworzyły te oczy, zerknęły i znów się zamknęły.

Słońce wyszło spoza Unieczy. Promienie jego padły na twarz Szczorsa, zapłonęły mu oczy.

— Składać broń — powiedział Szczors.

— Broń na ziemię! — krzyknął siwobrody.

Spadły karabiny.

— Wydawać podżegaczy! — rozkazywał Szczors.

— A czemu ty tak postępujesz? — siwobrody przystąpił do jednego z kaemistów. — Wczoraj sam się napraszałeś, żeby cię posłać z karabinem do sztabu, a dziś się cofasz? Wychodź! — wypchnął go z szeregu.

— Dowhalewicz... Remeza... Szukajcie tych przeklętych! — rozlegały się głosy.

— Wychodź!

Popchnięty z tyłu Kozak z czerwonym otokiem usiadł na ziemi. Siedział, kręcił głową nie otwierając oczu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Żerdiaha sypiał czujnie. Tak się już przyzwyczał. Z wieczora zasypia twardo, śpi jak zabity, a po północy sen jego staje się urywany, zdrzemnie się Syła Mynowicz i nagle nie wiadomo dlaczego drgnie, obudzi się i usiądzie na łóżku. Wydaje mu się, że czeka go jakaś praca, że pewnie zapomniał o czymś szczególnie ważnym, ale sam nie wie, o czym.

Wyjdzie z chaty, nasłuchuje — cicho jest we wsi, tylko psy szczekają na podwórzach. Zajrzy do szopy — tam głośno oddycha koń

Frant. Po gospodarsku, zostawiając ślady na rosie, obejdzie chatę dookoła, stanie na progu i nasłuchuje ciszy wiejskiej.

Ułoży się znowu, ale nie śpi, aż do rana przewraca się z boku na bok.

Pewnej jesiennej nocy, zaledwie świt zaczął osnuwać chatę siłą pajęczyną, Żerdiaha obudził się. Dokuczliwy kapuśniaczek, jak zaczął wczoraj, tak przez całą noc bezustannie uderzał o ściany chaty. Ucho przyzwyczało się do tego monotonnego szumu i już nie słyszało go; wydawało się, że za chatą rozpościera się pustka ciszy nocnej. Przy szumie deszczu nawet spało się lepiej.

Nie deszcz obudził Syłę Żerdiaha. Nagle podrzuciło pod nim do góry ławę i coś zahuczało przeciągle i donośnie.

Może grzmot? — usiadł na pościeli nasłuchując. — Ale o tej porze nie bywa grzmotów.

Na ławie spokojnie oddechał syn Denys. Na plecach cicho spała żona, córka Ola szeroko rozrzuciła ręczki, pod parciane okrycie wsunął się najmłodszy synek Anton, gdzieś w kącie poruszało się kocię. A za oknem nic nawet nie drgnie, pustka.

Przesłyszało mi się — pomyślał znów. — Aleśmy się doczekali! Tu Kiereński, tam Rada Centralna, tu znowu hetman, a teraz nowa władza — Dyrektorja; i wciąż się zdaje, że strzelają!

W tej chwili posłyszał już wyraźnie. Jak echo w pustej beczce narodził się dźwięk za oknem. Jednocześnie zadrżała ziemia i powoli zakolysała się chata, miski na półce głośno zabrzęczały. Dźwięk się powtórzył, ale już nieco dalej. Po nim dopiero zapanowała cisza.

Trzeba to zbadać! — postanowił Żerdiaha.

— Maria! — rzucił w stronę pieca. — Wstawaj, bo... krowę trzeba wydoić — dodał cicho.

Szybko włożył buty, wyszedł na dwór. Zaledwie rumienił się skrawek nieba. Gdzieś nie opodal skrzyknęły wrota. Obok, w jakimś zakątku podwórza, zapiał kogut. Syła Żerdiaha obrócił się na piętach — znów usłyszał ten sam dźwięk, który zaniepokoił go już w chacie. Teraz słyhać było wyraźniej. Na północ od wioski wystrzelono z działa i od razu huk wybuchu zmieszał się z echem wystrzału. Wystrzelono tak kilka razy, a on wciąż stał, oczekując czujnie i w napięciu. I tylko jedna myśl go dręczyła — dlaczego strzelanina dola tuje z północy, kiedy w tej stronie zdaje się nie ma wojska? Co się stało tam w głuchych lasach Polesia?

Postanowił przejść się po wsi. Na ulicach już się zaczął ruch. Gdyby tak spotkać kogo i zamienić parę słów...

— Wedle wszelkich oznak rewolucja trwa — powiedział już w chacie, ściągając się mocno pasem.

Z lasów leżących na północy wyjechało kilka wozów. Ciągnęli ludzie z jarmarku. Nocowali na placu we wsi. Hołoble podnieśli do góry jak sztandary i gotowali w sagánach wieczerzę. Zapachniało dymem, nad wioską unosiła się woń gotującego się jadła, na placu zapłonęły ognie, które jak czerwone palce obmacywały suche gałęzie sosnowe.

Do wozów, przywabieni ogniem, jak ryby wypływające nocą z ciemnych wód jeziora, przyszli chłopci.

— Nikogo z władz nie ma w naszej wiosce, moi dobrzy ludzie — mówił układnie bogacz miejscowy Hryhory Remez. — Wszyscy uciekli. Kto bogatszy uciekał na Odessę lub Kijów, a ludzie średniozamożni czekają w Czernihowie, aż miną te straszne czasy. A co słychać na północy?

— Zaczął się ruch — przegarniając węgle powiedział jeden z przyjezdnych ze strzechą rudych włosów na głowie; spod jego kijka róż iskier wylatywał w granatowe niebo. — Zaczął się ruch na północy. Nadchodzą bolszewicy!

Plomienie nie zdołały oświetlić rąk i nóg ludzi siedzących dokoła ogniska na kłodach i przywiezionych z jarmarku stołeczkach — tylko głowy wyraźnie odcinały się na czarnym aksamicie nocy. Niekiedy z mroku wyrывała się na światło niespokojna ręka — ale i ona wydawała się w ciemnościach nocy dziwnie długa, chuda i żylasta.

— Którędy idą?

Stary, samotny, podobny do nocnego ptaka dziad — pastuch gromadzki Łuka Czornomor — podszedł i usiadł przy ognisku. Ogień oślepił go, więc gdy tylko usiadł, zmrużył oczy.

— Opowiedz, synku — zwrócił się dziad do rudego — co słychać? Naród się niepokoi. Chce wiedzieć prawdę!

Siedział przy ognisku, grzał nad nim wyciągnięte przed siebie wyschłe ręce i czekał na odpowiedź.

— Niewiele wiemy — powiedział rudy. — Idą z północy, suną jak chmura. Uderzyli na Niemców tak, że wraz z gratami potoczyli się

aż do granicy. A teraz nacierają na południe. Tacy są bolszewicy, a za starszego jest u nich Lenin.

— Niemcy bardzo go przeklinali, pewnie rozumny człowiek — powiedział stary. — Czy on też z nimi idzie?

— Nie, Lenin tylko kieruje nimi. A pułki prowadzi Szczors. Też bolszewik, trzyma za władzą radziecką.

— Tak jak w 1905 roku — po polesku, z naciskiem wymawiając głoskę „u“, zaczął mówić stary Czornomor. — Wtedy było tak: gdy ogłoszono manifest carski, w każdym z nas mocniej zabiło serce. Myśleliśmy, że teraz ziemia będzie nasza, że nam służyć będzie. Rzeki będą nasze, lasy nasze. Tak sobie myśleli wszyscy w naszej wiosce Behaczach, gdzie wtedy mieszkałem, niedaleko stąd, też w Czernihowszczyźnie. I nasza wieś Behacze znana była wówczas szeroko.

— Długo będzie gadać — szepnął stary Remez. — Gadatliwy dziad.

— Cicho! — rozległy się głosy i poruszyły się głowy w ciemności. — Niech opowiada, wieczór długi.

— Wiedziano o naszej wsi wówczas nie tylko na Czernihowszczyźnie — opowiadał dalej stary — ale w całej Rosji, bo była wtedy u nas władza biedniaków, za którą bijemy się i teraz...

— Znalazł się wojak! — zaśmiał się ktoś siedzący na kłodzie.

— Nie przeszkadzaj. I tobie kiedyś wypadną zęby!

Powracający z jarmarku jedli wieczrę; Zerdiaha pilnie słuchał starego, syn zaś jego Denys stał nie opodal ogniska i spoglądał zamysłony gdzieś głęboko w ciemności nocy. Rumiana młódka przysunęła się bliżej do starego. Gdzieś niedaleko w końcu wioski zaśpiewały dziewczęta i drżące echo niesło się przez wieś, toczyło się daleko do stepów, do lasów.

— A potem — ciągnął stary Czornomor — przyjechał do nas generał Dubasow z Kozakami. „Rezykucję“ robił, przekleństwem. Nalazło ich do wsi bez liku, co szopa — to koński ogon, co chata — to czapka z carskim orłem. Bili nas nielitościwie, tratowali kopytami końskimi. Ich wilcze gardła piły naszą krew.

— Och, och, to wraża siła! — powiedział ktoś ochryple, z wysiłkiem. — Czy tylko w Behaczach tak było?... W całej Rosji!

— Nie, nie w całej Rosji — uśmiechając się, z zamkniętymi oczami odpowiedział dziadek. — Bili po całej Rosji, a my... my ze wsi Behacze... z nami poszły nawet baby i dzieci... Wzięliśmy widły,

drażni, siekiery, zęby z bron osadziliśmy na kijach, robiliśmy szable z kos, a sierpy nacinaliśmy pilnikiem i takiego sprzętu narobiliśmy, że generał Dubasow nie doliczył się wielu Kozaków, a ci, którzy zostali przy życiu, na czworakach poczołgali się do domu...

— A wy, dziadku?... A wy? — nie wytrzymała rumiana młódka.

— Ja? — otworzył oczy i przyglądał się jej długo i przenikliwie. — Korci cię, żeby się dowiedzieć? Z mojej rodziny nikt nie pozostał w tyle. Żonę miałem rumianą jak jabłuszko. Poszła ze mną. Miałem syna — dopomógł ojcu. A skończyło się tak, że wyszedłem pewnego dnia o świtaniu z bagniska, gdzie chowałem się przed Kozakami, zakradłem się do chaty, żeby wziąć kawałek chleba, i z powrotem na bagnisko. I widzę, że w chacie leży moja żona, porzuciła mnie — odeszła bez pożegnania... Syn ręce rozkrzyżował, zamknął na zawsze oczy, nie widzi już nic, nie poznaje rodzzonego ojca. Spojrzałem wtedy na siebie i sam siebie nie poznałem. Zbielała mi od razu głowa, osiwiałem. Zapaliłem zapałkę i wsunąłem ją pod strzechę — zabrali mi żonę, zamęczyli syna, niech więc choć dym z chaty pójdzie za nimi...

— Och — jęknęła młódka. — Mateczko!

Zamilkli wszyscy. Tak cichnie rzeka, gdy podmyta bryła ziemi spada w głębinę. Rzeka zrobi miejsce wielkiemu ciężarowi, pochłonie go i płynie dalej, milcząca i cicha. W tłumie ktoś westchnął. Remez uderzył krzesiwem o krzemień i iskra niby błyskawica oświetliła jego zmarszczone brwi.

— Dobrze powiedziane — wykrztusił wreszcie — ale tylko dzieci lubią bajki.

— Dlaczego tylko dzieci? — z wyrzutem spojrzał nań stary. — Nie wadzi posłuchać i dorosłemu. A jeżeli ci się nie podoba, to milcz, nie do ciebie mówiłem.

— Ja milczę, ale ty już mów, kiedyś zaczął. Do czego zmierzasz w tej bajce?

— A do tego — z zapałem mówił dziad i aż dziwne było, że potrafi jeszcze tak się zapalić; rozbłysły mu oczy, zacisnął pięści, wysoko podniósł głowę — do tego zmierzam, że zaczęliśmy w 1905 roku, a teraz trzeba dokończyć... potęgą ludu idzie.

— Widziałeś ją?

— Nie widziałem, ale słyszałem!

— Czego ślepy nie dowidzi, to zmyśli — zaśmiał się Remez. —

Widzieliśmy już takich! Byłem na froncie. Wysiedziałem w okopach cztery lata.

— W okopach czy pod kopą? — drwiąco odezwał się ktoś z tłumu.

— Zajrzyj do mojej książeczki wojskowej... Pod kopą!... A rany skąd?

— Oho, urwało ci mały palec.

— A choćby tylko mały palec — Remez cofnął się w mrok. — Na wojnie urwało mi mały palec, więc nie chcę, żeby tu w domu urwano mi głowę.

— Ho, ho, ho! Też wymyślił!...

— Zobaczysz sam. Będzie jeszcze lepiej niż w 1905.

— Na razie nie słychać, żeby zabijali ludzi — odezwał się rudy chłop. — Spotkaliśmy zwiadowców. Posiedzieliśmy z nimi, z bolszewikami — wszyscy pochodzili albo z Połtawy, albo z Kijowa. Połtawscy i kijowscy chłopcy... Dobrzy ludzie, chętnie rozmawiają, palą machorkę.

— Pokurzą, a potem podkurzą — roześmiał się Remez.

— A kogo trzeba będzie — nawet wykurzą — padło z ciemności — zwłaszcza tych, czyli synowie przystali do hajdamaków.

— Synowie ojcem nie rządzą — odpowiedział Remez. — Ojciec nie odpowiada za syna.

— Wspomnisz te słowa...

— Dosyć — wystąpił naprzód Syła Żerdiaha. — Żniwa daleko, a oni już biorą się do cepów.

— Czy daleko stąd spotkaliście zwiadowców? — zapytał nauczyciel wiejski Naum Kowany.

— Za Hruzdiami — odpowiedzieli przyjezdni. — Wyjechać dobrym koniem po śniadaniu, a dojedzie się przed południem. Jutro tu będą.

I zamilkli.

Nie opodal śpiewały dziewczęta:

*Oj, żurawiu, żurawiu, powiedz mi całą prawdę!
Która niwa lepsza: czy pierwsza, czy druga?*

Wioska jeszcze nie spała. Wieś żyła, kochała się, odpoczywała. Zamyśleni ludzie siedzieli nad dopalającym się ogniskiem. Złote iskierki wirowały, płynęły w ciemne niebo i tam znikwały łącząc się z gwiazdami.

A tam, obok wsi — ciągną się ciemne lasy. A po lasach włóczy się zwierz, latają drapieżne ptaki... I kto wie? Może przedziera się zły człowiek, skrada się do wioski, a zdradliwa rosa kryje jego ślady.

— Czas spać — powiedział jeden z przyjezdnych. — Wkrótce wszędzie czumackie * słońce — księżyc, już późna godzina.

Ognisko zagasło. Ludzie w milczeniu rozchodzili się do chat. Pozostał tylko Remez. Siedział na kłocu, czarny i milczący.

— A kiedy ruszacie dalej, przyjaciele? — spytał życzliwie i przyjaźnie podróżnych, gdy już nie było nikogo z miejscowych.

— Jak tylko zacznie świtać. A bo co?

— Nic. Tylko że lepiej dla was, abyście jak najprędzej odjechali do domu. Swawolą tu u nas na wsi. Ja tak po przyjacielsku radzę. Lepiej jedźcie do domu.

I poszedł.

W nocy, gdy tylko księżyc wyjrzał spoza lasu, przyjezdni istotnie opuścili wieś. Remez słyszał tupot koni: siedział na podwórzu i uśmiechał się z zadowoleniem, a nad nim wisiał w błękitnej pustce nieba żółty księżyc...

Z rana wszyscy zebrali się na placu. Nikt ich właściwie nie zwoływał. Ale minionej nocy wiele rzeczy przemyślano, a każda myśl była ziarnem, z którego wyrastały bujne pędy.

A wszystko to sprawiły słowa przejeżdżającego z jarmarku rudzielca, który rozповідаł o Leninie, o partii bolszewickiej i o posiłkach, które ciągną z północy. Również opowiadania dziadka Czornomora dały ludziom wiele do myślenia. Mówił nie o sobie — lecz o wielu takich jak on...

Leży przed nimi rodzinna wioska, z kominów kurzy się poranny dym. Bieda nieopisana pochyliła chaty, pochyliła ludzi. Ale nie ugięła ich aż do ziemi.

Wczesnym rankiem obudzili się ludzie w wiosce i pociągnęli wszyscy na plac, na naradę. Szli mężczyźni, kobiety, zbierano się tam, gdzie wczoraj w nocy obozowali przyjezdni. Myślano, że jeszcze nie odjechali, trzeba by ich wypytać, bo wczoraj tak mało powiedzieli, jakby tylko jeden grosz rzucili żebrakowi.

* Czumackie, od czumak — chłop, który w dawnych czasach woził z Ukrainy na Krym zboże, a przywoził stamtąd sól i ryby.

— Ale dobrze nam będzie, kochani ludziska! — dowodził z zapalem dziadek Czornomor. — Widzicie, zebrali się wszyscy. To dobrze, tak być powinno. A teraz wyjdźmy za wieś na spotkanie gości.

— Zdaje się, że nikt o to nie prosił... A nieproszonych gości nie wszyscy lubią... — spróbował jeszcze raz Remez.

— Może lepiej poczekać w domu, w chacie — przytaknął stary Żerdiaha.

Ale syn jego Denys cały się jakby rozplomienił, błysnął oczami, podszedł do dziadka Czornomora i zapytał:

— Chorągwie będą?

— Weźmiemy, synku, weźmiemy. Widzicie, jak spieszno naszej młodzieży! Szyli przez cały ranek.

Stary Żerdiaha nic nie powiedział. Nie podobało mu się, że syn wyrывa się pierwszy. Lepiej siedziałby w domu, nie pchałby się, gdy go nie wołają. I po co się wyrывa, gdy ojciec milczy.

— Bierz chorągiew — powiedział dziad.

I chorągiew uroczyście popłynęła w stronę pól otaczających wieś. Niósł ją na samym przedzie Denys Żerdiaha. Dziad Czornomor trzymał w rękach bochen chleba.

— Niech się bawi — z poczuciem winy rzekł Syła Żerdiaha do Remeza wskazując syna. — Młody jeszcze, więc pstro ma w głowie.

— Żeby się tylko nie dograł — szepnęła Remez. — Ej, kumie, czasem zabawy smutno się kończą.

Niektórzy z obecnych pozostali w tyle, ale większość przyłączyła się do tłumu — potok ludzki wezbrał, nim dopłynął do końca wioski.

Ranek jesienny był czysty jak iza — świeże, spokojne i przejrzyste było niebo na horyzoncie, gdzie zwracały się oczy wszystkich. Za wioską rozpościerał się cudowny widok — pola, same pola, poprzecinane szarymi czuprynami miedz, i horyzont spowity siną smugą lasów, jak dziewczęcy gorset połyskujący ciemną wstęgą.

— Ot, tu i tam stoją gruszki na naszych miedzach — wskazywał Syła Żerdiaha Remezowi. — Otoczyłeś mnie, moje cztery dziesięciny utonęły wśród twoich. Cztery miedze na moim zagonie, a wszystkie sąsiadują z twoimi. — Jestem jak w niewoli u ciebie.

— Ale gruszki są dobre — ciągnął weselej już Żerdiaha. — Jeszcze rok, dwa i zaczną owocować. To są wczesne gruszki, sapieżanki.

Na pieńku, na wyhaftowanym w czerwone wzory ręczniku położył dziad Czornomor bochen chleba i grudkę soli. Zmrużył oczy. pra-

wie zupełnie kryjąc je pod gęstymi brwiami, i co chwila rozczesywał palcami swoją siwą brodę.

Pod wilgotnym tchnieniem powiewów z pola sól leżąca na bochenku chleba pokryła się kropelkami rosy.

— Będzie odwilż — powiedział Syła Żerdiaha do Remeza. — Sól wchłania wodę.

— Dobry znak. Żeby tylko, kumie, udało się nam zebrać z pola.

I doczekali się. Z daleka z gąszczy leśnych wypadli jeźdźcy. Jechali bardzo szybko. Z początku widać było tylko ciemną plamę na szarym tle ścierniska. Potem można było rozróżnić jeźdźców i konie. Pędzili klusem, aż grzmiała droga stepowa.

— Otóż i są orły! — powiedział cicho dziadek Czornomor, ale wszyscy go posłyszeli. — Lecą jak orły!

I ruszył powoli naprzód. Za nim poszedł Denys Żerdiaha. Syła Żerdiaha — ojciec — stał w miejscu i patrzył zmieszany. Remez zaniepokojony odszedł na bok, na zaoraną rolę, jak gdyby się bał, że jeźdźcy przelecą im nad głowami, zmiatając wszystko po drodze.

— Zaśpiewalibyście co! — krzyknęła młódka.

— Śpiewaj „Pod Twoją obronę“ — zaśmiał się Remez, ale nikt nie dosłyszał jego słów: słychać było tylko rżenie koni.

Jeźdźcy zatrzymali się nie opodal tłumu. Trudno było utrzymać rozgorączkowane konie. Na czele oddziału jechał dowódca — słońce padało na jego dziobatą twarz. Otaczało go kilku jeźdźców.

— Ludzie kochani — odwrócił się do swoich dziad Czornomor. — Chodźcie bliżej, ludzie!

Zerwał z głowy czapkę i pospiesznie ruszył naprzód. Uśmiechnął się, pochylił głowę na prawe ramię, a zdjętą czapkę przyciskał do serca.

— Ludzie kochani! — powiedział teraz do jeźdźców. — Wyszliśmy całą wsią na wasze spotkanie.

Dziobaty zeskoczył z konia, uśmiechnął się szeroko.

— Do kogóż to wyszliście?

Dziadek stał z odkrytą głową. Był bardzo mały w porównaniu z dziobatym. Patrzył mu prosto w oczy i cichy uśmiech rozlał się na jego pomarszczonej twarzy.

— Wychodziliśmy naprzeciw rewolucji już w 1905 roku — mówił dziad — Wtedy mieszkalem w Behaczach. Może słyszeliście o tej

wsi? Wyszliśmy na spotkanie z chorągwiemi i bito nas za to kolbami. Poznaliśmy cara, Kiereńskiego, Niemców, hajdamaków i petlurowców. Jeszcze nasze wnuki pamiętać ich będą. A wam, naszym towarzyszom... — obejrzał się. Młódka niosła już bochen chleba na ręczniku, więc szybko wziął go z jej rąk — wam dajemy chleb nasz święty i zapraszamy władzę radziecką do naszej wioski.

Dziobaty uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zabłysły mu oczy, zapłonęły w nich iskierki. A potem wolniutko podszedł do dziada, wziął od niego chleb i pocałował spieczoną skórkę.

Przybysze jedli obiad u Remeza, który wyciągnął z piwnicy starą śliwownicę, przygotował w chacie obfity poczęstunek, a sam zamknął się z dziobatym w komorze.

— Poznaliście mnie? — zapytał dziobaty.

— Jeszczebym też nie poznał Dowhalewicza! Spojrzałem i zamarłem — Dowhalewicz. A potem chciało mi się śmiać — ale myślę sobie, będzie tu gorąco, odwdzięczy im się Dowhalewicz za chleb i sól. Popamiętają to witanie czerwonych... Dzieciom zakażą.

— Musiałem się powstrzymywać — powiedział Dowhalewicz. — W sercu mi zawrzało i ręka już się podniosła, aby wpakować starym kulę w łeb, ale opanowałem się, ochłodziłem... i ręka powolutku opadła i sięgnęła po chleb.

— I pocałowałeś chleb! — zaśmiał się Remez.

— Chleb można pocałować — powiedział Dowhalewicz — a do chleba...

— Trzeba podać zakąskę?

— A jakże inaczej? Do chleba albo po chlebie.

Obok w izbie brzęczały naczynia, hałasowali pijani goście. Częstując gości Remezowa dogadywała cienkim, przenikliwym głosem:

— A bodaj naszym wrogom oczy powyłaziły...

— Czyżby to już był koniec? — zapytał Remez.

— Do końca daleko, ale źle z nami — westchnął Dowhalewicz. — Już próbowałem dostać się do czerwonych, do samego Szczorsa — ale się nie udało. Uciekłem stamtąd. Musimy się cofać. Wczoraj biliśmy się za Horodnem, a dziś uciekamy. Patrole szperają wszędzie. Idziemy na Czerniów — tam będzie walna bitwa.

Żeby nie zapomniał — mówił dalej Dowhalewicz. — Syn wasz, Omelko, przesyła pozdrowienia. Dziś w nocy przez sąsiednie wio-

ski wyruszył na Czernihów. Do domu nie zajrzał, żeby go nie widziano we wsi. A wam kazał tam przyjechać. „Powiedz ojcu — mówił — niech rzeczy i lepszą odzież zapakuje na wóz, co ma cenniejszego w chacie, niech zabiera, ze skrytki niech wszystko wyjmie i wiezie do Czernihowa. A stamtąd może wypadnie aż do Kijowa rzeczy przerzucić, dopóki nie ucichnie. Bo inaczej wszystko się zmarnuje...”

— Mądry synek — uśmiechnął się Remez. — W wiosce teraz jak w ulu. Poruszone pszczoły tak szybko się nie uspokoją. Zagryźć mogą. Rwą się do czerwonych jak muchy do miodu. Po odejściu Niemców rozbestwili się do reszty. Nie daj Boże przyjdą czerwoni — rograbią wszystko.

Ale — zamyślił się przez dłuższą chwilę Remez — zabił mi synek klina. Graty trzeba ratować, ale jak je wywieźć? Próbowałem wczoraj powiedzieć coś niecoś przeciwko czerwonym, o mało mnie nie rozszarpano. Chodzę, ale dusza na ramieniu. Załaduję rzeczy na wóz — to nie wypuszczą mnie ze wsi. I was dlatego witają tak serdecznie chlebem i solą, bo uważają was za czerwonych.

— Tak właśnie — roześmiał się Dowhalewicz, aż dzioby na jego twarzy wydały się głębsze. — Trudno życzliwiej.

— Pojechać z wami — przyjdą czerwoni, spalą chatę — rozważał głośno Remez. — Nie można odjeżdżać... A samemu...

— Inaczej zrobimy — uspokoił go Dowhalewicz. — Należcie jeszcze trochę śliwownicy. Wezmę wasze rzeczy na przechowanie. Ale dla siebie wyszukajcie sami schronienia.

Przez cały dzień kwaterowali jeźdźcy u Remeza. A gdy zaczęło się zmierzchać, na podwórzu Remeza rozległ się krzyk.

— Oj, ludzie! — krzyczała Remezowa. — Gwałtu! Ratujcie!

Dziobaty strzelił trzykrotnie w komin chaty Remeza.

— Zaprzęgaj! — krzyczał do Remeza. — Wyprowadzaj konie! Dostyc znęcania się nad nami! Dostyc już picia naszej krwi!

Remez milczał. Dwaj wojskowi wepchnęli go do stajni. Wyprowadził stamtąd parę siwych kłusaków nie mogących ustać w miejscu.

— Nie będę zaprzęgał! — krzyknął. — Sami zaprzęgajcie!

— Zaprzęgaj, jeśli ci życie mile! — i dziobaty jeszcze raz strzelił z rewolweru w komin.

Chłopi wyglądali zza drzwi chałup. Widzieli wszystko. Niebo wieczorne było czerwone, poczerwieniała również ziemia, zalana promieniami zachodzącego słońca. W gęstym, czerwonym potoku światła chodził Remez wokół wozu, zaprzęgając ogniste konie.

— Oj, mateczko moja — lamentowała Remezowa — co oni wyrabiają? Co nam zostanie?

Nikt nie zajrzał na obejście Remeza. Zasłużył sobie na to ten kat. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Ile wyłopał krwi ludzkiej, ile ziemi nakupił za cudze, ciężką pracą zarobione pieniądze! Nikt palcem nie kiwnie w jego obronie.

Tymczasem przybysze zaczęli wywlekać z chaty zboże i ładować je na wóz. Wynosili sztuki płótna, materiały, samowary, kozuchy, wrzucali wszystko na wóz i z wierzchu umocowywali sznurami.

— O matko moja! — zawodziła Remezowa. — Dokąd wy?... Gdzie?...

Wyjechali z podwórza. Remez próbował biec za wozem, ale konie od razu ruszyły klusem, zdołał przebiec zaledwie kilka kroków i upadł na ziemię, wyciągając ręce w kierunku wozu. Ale tamci nawet się nie obejrzeni, popędzali konie i mknęli przez wieś.

Wtedy od stawu zaszedł im drogę dziadek Czornomor. Bardzo mu było spieszo, toteż szybko przebierał nogami, opierając się na kijku.

Nikt nie słyszał, co powiedział, gdy podszedł do jeźdźców. Plac duży, a dziadek mówił cicho. Ale wszyscy widzieli, że dziobaty powiedział kilka słów, wyciągnął rewolwer i nagły wystrzał przeciął ciszę wiejską. Dziadek zachwiał się, usiadł, a potem legł na ziemi.

— Nie grzebać go! — krzyknął głośno na cały plac dziobaty. — Zabiję każdego, kto dotknie go choćby palcem. — I jeźdźcy wypadli cwałem z wioski. Wypielęgowane konie Remeza szły klusem. Gdy mijali ostatnie chaty — załopotana nad wozem czerwona chorągiew. Zjechali z wiejskiej ulicy i wypadli na step. Nikt nie widział, gdzie skręcili z głównego gościńca — czerwone światło oślepiało i gęste jak sok wiśniowy powietrze pochłonęło jeźdźców.

Denys Żerdiaha siedział w kącie przygnębiony i milczący. Matka krzątała się koło pieca, ojciec półgłosem rozmawiał z Remezem, który do nich wstąpił.

— Goły jestem jak święty turecki — powiedział Remez wchodząc

do chaty. — Miałem wszystko i nie mam nic. — Bóg dał — ludzie zabrali.

I zaczął opowiadać, ile chustek mu zabrano, ile sztuk płótna, ile metrów szarego sukna austriackiego.

— I koniki... koniki... Nie mam już moich orłów!

Z dworu jak z krynicy napływał do chaty granatowy zmierzch, silne strumyki powietrza wciąż gęstniały i ciemniały, a Remez wciąż jeszcze obliczał, skarżył się i narzekał.

— Ja pierwszy padłem ofiarą — mówił — ale to dopiero początek.

— Ni stąd, ni zowąd zabili dziadka — z trudem wykrztusił Syła Żerdiaha — zginął człowiek.

Widmo zabitego dziadka zdawało się snuć po chacie. A on wciąż leżał tam na placu. Nikt nie odważył się go zabrać, bo dziobaty zagroził, że wróciwszy zabije tego, kto by go dotknął. Przez płoty ogrodów widać było: dziadek leży jak czarny pień. Ciało przyprószył śnieżek, który zaczął padać już wczoraj. Spadnie płatek śniegu na brodę i nie topnieje, jeszcze jeden spadnie i nie topnieje. Wciąż na nowo stawał ten obraz przed oczami.

— I nas mogli zabić — powiedział Remez.

— Ja nie wojowałem z nikim na świecie — rzekł Żerdiaha. — Za co mieliby mnie zabijać?

— Nikt nie będzie o to pytać — z pogroźką powiedział Remez — czy wojujesz, czy nie! Dziadek też z nikim nie wojował.

— A my jeszcze wychodziliśmy ich witać — w ciemności wyraźnie widać było wyciągniętą rękę Remeza. — Denys nawet niósł chorągiew. Czy rozumiesz, Denysku, kogośmy witali? — zapytał drwiąco.

Denys milczał.

— I teraz — z przejęciem, jakby prawił kazanie, mówił Remez głośno — nie mam nic. Jestem biedakiem jak jaki świniopas. A jednak cieszę się, bo mogło być gorzej. Mogli nam odebrać życie. Dziobaty jadł u mnie obiad i opowiadał, jak to oni — komuniści, znęcają się nad chłopami. Spodoba się któremu z nich cudza żona — utną mężowi głowę, jeżeli któryś ojciec, co ma młodego syna w chałupie, nie posłał go do czerwonych, ucinają ręce ojcu. Takiego strachu ludziom napędzili, że cała okolica aż drży. A wy mówicie, że to żarty!

Milczał stary Żerdiaha. Ponościło go, żeby krzyknąć rozpaczliwie i głośno. Milczał, był jednak jak kawał żelaza włożony w ogień, ale

jeszcze nie rozżarzony, jeszcze nie wybuchający płomieniem. Spojrzeć nań — czarne, a dotknąć ręką — zlezie skóra.

— Dlatego też zabił on starego. Nie takie to proste — pif-paf z karabinu, i nie ma człowieka. Jeżeli on po pijanemu potrafi ni stąd, ni zowąd zabić, to na trzeźwo nabroji jeszcze więcej.

Żerdiaha znów nie odpowiedział. Dużo myśli kłębiło mu się po głowie, ale żadnej nie umiał wypowiedzieć. Było mu bardzo ciężko, jakby go kto przywalił kamieniem.

— Chodźmy, kumie, odprowadźcie mnie. Rozejrzymy się po wsi. — Remez wstał. — Teraz jeszcze nie ma się czego bać, to dopiero kwiatuszki, jagódki będą później.

Wyszli na dwór i stanęli koło przyzby. Do chaty dobiegała niezbyt głośna rozmowa. Denys podszedł do okna, nasłuchiwał — poznał głos ojca i Remeza, ale o czym mówili, nie mógł zrozumieć. Remez uderzał rękami o poły ubrania, a stary Żerdiaha stał przed nim pochylony jak podcięte drzewo. Potem ruszyli z podwórza i czapki ich mignęły nad przełazem w płocie.

Strach spędził ludzi do jednej chaty. Wszyscy milczeli, bali się mówić — ale nikt nie chciał pozostać w samotności, każdy pragnął czuć obok siebie obecność innego człowieka.

Nie chciało się wprost wierzyć, że coś podobnego zdarzyło się we wsi. Wczoraj był cichy, pogodny wieczór. Siedzieli na kłocach, marzyli o dniu jutrzejszym i o wielu innych, które po nim przyjdą. Cicho płynęło opowiadanie dziadka Czornomora, na skraju wioski dziewczęta śpiewały o swej młodości, przyjezdny, rudowłosy chłop przegarniał kijkiem węgle w ognisku i opowiadał o pulkach ciągnących z północy.

I już nie ma tego wieczoru. A przyszedł inny wieczór — straszny i niezrozumiały. Straszne było nie to, że zabrali parę koni Remezowi i przetrząsnęli jego kufry, ale dziwne się wydało, że owi jeźdźcy nikomu słowa nie powiedzieli — przecież trzeba było zwołać ludzi z wioski, dać konie tym, którzy je wyhodowali — przecież we wsi pełno jest parobków i biedoty. Że zabrali, to nawet lepiej — zdobytego cudzą pracą nie szkoda.

Przeraża ich co innego. Dziadek Czornomor leży na placu i nikt nie ma odwagi zabrać ciała.

Za co zabito człowieka?

I czy to koniec? Co będzie jutro, co przyniesie dzień następny? Nie chce się wierzyć, że po takiej okropności jutro znów wszędzie słońce i jego promienie obnażą grozę okrytą pomroką nocy.

— Gdy odjeżdżali, rozwinęli czerwoną chorągiew — przemówił ktoś w ciemności. — Jakże to tak?

— Dziobaty mówił — dorzucił zjadliwie Remez — że gdy nadejdzie prawdziwa armia, będzie jeszcze gorzej. Ci byli nasi — Ukraińcy, zabili tylko jednego, a przecież idą jeszcze Chińczycy, Łotysze — ci dopiero nabroją!...

— Nie chce się wierzyć — westchnął ktoś z głębi serca. — Trudno uwierzyć, że tak mogą postępować ludzie. Jakże to tak? O nic nie pytać, tylko od razu zabijać! Przecież ich witał chlebem i solą.

Remez śmiał się długo, donośnie.

I nawet ci, w których tlił się płomyk miłości do rewolucji, i ci, którzy jeszcze wczoraj wierzyli w czerwonych — nie mieli nic do powiedzenia. I płomyk przygasił, zamiast miłości wstępował w serca strach.

— Będzie jeszcze gorzej — dowodził Remez. — Spełni się wszystko, o czym mówi Pismo święte. Przyjdzie zwierzę o dwu głowach, a za nim jeszcze jedno zwierzę o dwu głowach, a za nim znów zwierzę z trzema głowami. A później...

Sam nie wiedział, co będzie później. Nawet twórcy Apokalipsy za brakło fantazji, ażeby odmalować przyszłość.

Ludzie długo siedzieli w milczeniu. Przygnębieni, przybici, bez pragnień. Zaczęli się rozchodzić do domów. Wiatr gwizdał po ulicach, przenikliwy i ostry. Bali się zapalić światła, więc zmrok wciskał się do wsi. Przechodząc przez plac widzieli, jak w nocnym zmroku czerniał na cieniutkiej warstewce śniegu trup dziadka Czornomora.

Ojciec późno wrócił do domu.

— Nie trzeba zapalać światła — powiedział do żony. — Obejdziemy się. Bo teraz do światła ciągnie zwierzę.

Chodził w ciemności po chałupie. Skrzypnęło wieko skrzyni — ojciec szeleści papierami. Przyniósł coś z komory — położył na ławie.

— Tu gdzieś leżała torba...

— Wisi na kołku przy drzwiach — odezwała się z pieca matka.

— Od razu byś tak powiedziała, czemu milczysz?

Gdzie on się wybiera? — myślał Denys. — Szuka torby na jadło, wziął coś ze skrzyni. Co zamierza?

Chciał spytać, ale zmilczał. Doptero gdy ojciec był już na dworze, wyszedł za nim i stanął koło drzwi do sieni. Ojciec skierował się prosto do stajni i Denys posłyszał, że zbliżył się do konia Franta. Frant nie dawał się zaprząć. Syła Żerdiaha w ciemności długo się z nim borykał. Widocznie usiłował założyć mu na szyję chomąto. Frant bał się ciemności i rąk, które go laskotały, rzucał się, kręcił głową i chrapał.

— Zadzuszę cię, gadzino — Syła Żerdiaha uderzył konia w brzuch.
— Tu takie rzeczy — prawie zajęczał — a ty...

Wreszcie złapał konia, założył mu uzdę, wyprowadził ze stajni i przywiązał do futryny drzwi. Przeszedł obok Denysa do komory (sposzregł syna, ale się do niego nie odezwał), wrócił i zaczął zaprzęgać konia do wozu.

Północny wiatr, wymlatając ostatnie ślady jesieni, sypał rzadkim śniegiem. Niebo było całe w strzępach. Szare chmury napływały na widniejące jeszcze, bezgwiezdne niebo. Szumiały zeschniętymi liśćmi akacje rosnące wzdłuż ulicy.

Ojciec poszedł jeszcze raz do stajni, zagegały gęś, postawił klatkę na wozie, głośno zakrzyczał przestraszony gąsior.

Za ojcem wszedł do chałupy Denys.

— Zaświeć na chwilę — powiedział Żerdiaha.

Żona wynurzyła się z ciemności tuż obok nich.

— Gdzie jedziesz, tato? — zapytał Denys.

— Na targ.

— Na targ?

Matka klasnęła w dłonie. W kaganku zamigotał płomyk. We wsi nie ma żadnych władz, kto jest za wsią, nie wiadomo — ludzi zabijają, a on wybiera się w drogę! Dokąd jedzie? Po co? Spotkają go na drodze — Bóg wie co mogą zrobić — zamęczą.

— Nie twoja sprawa — rozgniewał się stary. — Noe zbudował arkę, Chrystus uciekł przed pokusami na pustynię, a ja...

Nie skończył. Spojrzał na ławę, na której stało wiadro z wczorzym udojem.

— Lepiej pilnuj mleka!

I zamilkł. Włożył kożuszek, przepasał się zielonym pasem. Stał pośrodku chaty, wąsy zwisały mu nad ustami, brwi zmarszczone, jak gdyby pochylał się cały.

— Żegnajcie — powiedział. — Z robotą sami się uporać.

— Nie — powiedział Denys — nie puścimy was. Trzeba być w domu... Matka chora.

Zastąpił mu drogę. Stał w drzwiach i na twarz jego padło światło kaganka. Szeroko rozdymały mu się nozdrza, oddech był przyspieszony; rękami uchwycił się klamki u drzwi, jakby przyrósł do nich.

— To ty tak? — ochryple powiedział Żerdiaha. — Tak zaczynasz?

— Boże mój, Boże! Opamiętajcie się, ludzie! — zaczęła zawodzić matka. Śpiące na ławie dzieci obudziły się i wystraszonymi oczami spoglądały na matkę...

— To ty tak — ruszył naprzód Żerdiaha. — Starego ojca chcesz uczyć? Z czerwonymi chorągwiami chodzisz? Sam szukasz śmierci i na mnie chcesz ją sprowadzić?

Był straszny. Słowa z bulgotem wrywały mu się z gardła, dyszał ciężko. Ruszył całym ciałem podany naprzód, zrobił jeden krok, drugi, podszedł do syna i spojrział mu w oczy.

— Przeciwno ojcu?...

Schwycił syna za ręce, z całej siły je wykręcił, przyciągnął chłopca do siebie i z rozmachem uderzył go w pierś.

— Mateńko moja... ludzie! — zawodziła żona.

— Ma-a-mo! — krzyczały leżące na ławie dzieci.

Denys upadł, boleśnie uderzył głową o futrynę drzwi. W oczach mu pociemniało, znikło światelko kaganka. I gdy powoli, bardzo powoli podnosił się z ziemi, wydawało mu się, że płynie ku krzykom matki i dzieci, ku mdłemu światelku w chałupie.

Trzasnęły drzwi w sieni, zaturkotały koła pod oknem. Denys wybiegł na dwór. Ojciec wyjeżdżał już na ulicę. Twarz Denysa płonęła ze wstydu, krew w nim wrzała. Ciężko mu było ruszyć się krokiem od drzwi, aby pobiec za ojcem, powstrzymywała go doznana straszna zniewaga. Ale jednak wyszedł i krzyknął:

— Tato... tato!

Ojciec przystanął za bramą. Zaczekał na Denysa. Stał z pochyloną głową.

— Nie pytaj — rzekł — jutro przyjdą komuniści! Dziś już byli ci pierwszy!

— To nie komuniści! Komuniści nie tacy. Nie może być! Trafimy do samego Szczorsa!

— Zobaczysz! Zobaczysz i komunistów, i Szczorsa! Zniszczą nas! Ziemię zabiorą, chata przepadnie. Nie ja jeden... Remez, Czynka, Kitajczuk, Mozol... pójdź na wieś, zapytaj...

— Tato, przecież Remez i Czynka to są bogacze!

— Teraz Remez też jest biedakiem.

Smagnął konia i pojechał w noc. Słyszał tylko było stukot końskich kopyt po zamrażniętej ziemi. Z sąsiedniej bramy wypadł wóz — wyjechał Remez. Jeszcze jeden wóz zaturkotał na drugim końcu ulicy.

Denys stał przy bramie; nie wiedział, jak zaradzić złemu, co począć?

Nasłuchiwał. Cisza była nad wsią. Całe niebo pokryły chmury. Dookoła było ciemno i pusto.

Na pierwszym wozie jechał Remez. Lepsze konie zabrał mu Dowhalewicz, para gorszych została — jeden bułany, drugi kary, z białą gwiazdką na czole. Zręszą nawet i za tymi końmi ciężko było nadążyć Frantowi. A z tyłu jechało jeszcze kilka wozów — nie tylko Żerdiaha postanowił uciekać ze wsi.

Gdy jechał ulicą we wsi, było mu jakoś nieswojo, zupełnie jakby porzucił na zawsze rodzinną wieś. Dokąd jechać? Gdzie szukać przytułku. W dodatku nie powiedział nic ani żonie, ani Denysowi. Jeszcze obraził syna, uderzył go. Za co? Za to, że go kocha. Ma teraz ochotę szarpnąć lejce, zawrócić do starych, klonowych wrót. Na pewno Denys jeszcze nie zdążył ich zamknąć. Stoi zgnębiony przed bramą i spogląda w pustą ulicę. A w chacie chora żona, która lada dzień urodzi dziecko, przestraszone dzieci, na ławie w cebrzykú stoi mleko...

Głupstwa — łajał sam siebie. — Dojedziemy do Czernihowa, a wtedy... wtedy...

— A śnieg pada coraz gęściejszy. Trzeba było na wóz jeszcze i sennie włożyć — powiedział jadący obok wozu Żerdiahy Remez. — Nie martw się — przesiadł się na wóz Żerdiahy.

— Z Czernihową wrócimy jeszcze wozami. Zdążymy. Ale jednak — zapalił zapalną i przez chwilę Żerdiaha widział jego okrągłe, czerwone policzki — dobrze zrobiliśmy, żeśmy wyjechali ze wsi. Kto wie, jak tam będzie? I tak nie utrzymamy się na wsi. Komunisci tak tam pohulają, że zapomnisz języka w gębie. Opowiadał dziobaty, że skórę z pleców zdierają, krzyże wypalają na czołach. Niech robią,

co chcą, a my spokojnie przeczekamy w Czernihowie. Żony i dzieci nasze zostawiają w spokoju.

Zamigotał czerwonym płomykiem papieros. Padał coraz większy śnieg, kilka wozów turkotało po zamarznętej drodze do Czernihowa. I coraz spokojniejszy czuł się Syła Żerdiaha — właśnie tak należało postąpić. Przeczekać przez pewien czas w Czernihowie — tak będzie najlepiej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Suchy, mroźny poranek jesienny. Ciasnym, zwartym murem otoczyli bohuńscy ganek. Nawet chorągiew nie porusza się w zastygłym, nieruchomym powietrzu. Szczors i Wasyl Nazarowicz Bożenko, który przybył na naradę do Unieczy, mają uroczysty wygląd. Toczy się między nimi rozmowa cicha i spokojna.

— Towarzysze! — wystąpił naprzód Szczors. — Towarzysze bohuńscy!

— Baczość! — rozległo się na placu.

Szeregi zamarły w oczekiwaniu.

— Bohuńscy mają już za sobą pełną chwały drogę — podniósł dumnie głowę Mykoła Oleksandrowicz — a jeszcze chwalebniejsza droga leży przed nami. Przypadł nam w udziale zaszczyt kroczenia w awangardzie żołnierzy rewolucji. Tu, w Unieczy, na zapadłym Polesiu, wybuchło powstanie przeciwko hetmanowi i Niemcom, a historia zapisze, że na czele tego powstania stanęli bolszewicy. Do nas, jak do ognia na stepie, w ciemną, nieprzeniknioną noc, zbiegali się powstańcy z całej Ukrainy. Bijaliśmy już Niemców i wojsko hetmana. Chwałą okryli bohuńscy swe bojowe sztandary...

Ojej, jak się to wszystko nie podobało — zatrzymał się na chwilę — naszym wrogom. Szli i idą na nas z bagnetami, a myśmy połamali ich bagnety jak zapałki. Wtedy spróbowali działać inaczej. Wcisnęli się w nasze szeregi, usiłovali zaprzepaścić naszą wielką sprawę. Kilka dni temu niepokój zapanował w pułku. Kto próbował macić? Czy może bohuńscy? Nie! Bohuńczyk nie może występować przeciwko sobie samemu. Bohuńczyk — to robotnik, to małorolny chłop, fernal. Bohuńczyk — to żołnierz, który poniewierał się na frontach wojennych.

Wrogowie nasi usiłovali nas oszukać. Wcisnęli się do naszego puł-

ku jak drapieżne zwierzęta, jak lisy. Widzą, że nasza sława rośnie, rosną i potężniej oddziały Armii Czerwonej, przedostali się więc do nas, żeby poderwać naszą moc, moc partii bolszewickiej.

Chodził wolnym krokiem po ganku, powoli kołysząc się w takt własnych słów. Gdy przerywał na chwilę przemówienie — przystawał. W mroźnym, jesiennym powietrzu panowała niezwykła cisza, każde słowo trafiało do serca.

— Nie udała się próba — Szczors uśmiechnął się — rozsądzenia naszej partii i Armii Czerwonej. Jeżeli nie dziś, to jutro wyśledzimy każdego z tych, co to wciskają się do nas w złych zamiarach; wyśledzimy i żadnemu z nas wówczas nie zadrży ręka karząca zdrajcę. Nie będzie litości. Istnieje tylko jedna kara dla wroga — śmierć.

Musimy teraz pilnować, żeby żaden wróg do nas się nie wcisnął. Podwoimy i potroimy naszą czujność.

Ale to za mało — Szczors zbliżył się do żołnierzy i zdawało się, że stoi już pośród nich. — To za mało. Trzeba dbać nie tylko o to, żeby wśród nas nie było wrogów, my sami musimy chcieć, musimy pragnąć aż do ostatniego tchu, żeby zwyciężyła rewolucja i nasza armia.

Złożymy dziś uroczystą obietnicę... Każdy z nas da słowo, że będzie uczciwym żołnierzem armii robotniczo-chłopskiej. Przysięgniemy na naszą przyszłość, przysięgniemy na rewolucję, że doprowadzimy sprawę do końca. Przysięgniemy wszyscy!

W ciszy pełnej napięcia Mykoła Oleksandrowicz Szczors odczytał: „*Ja, syn ludu pracującego, obywatel Republiki Radzieckiej, przyjmuję godność żołnierza armii robotniczo-chłopskiej*“.

W zimnym, jesiennym powietrzu wyraźnie rozlegało się każde słowo.

„*Wobec klas pracujących całego świata zobowiązuję się sprawować tę godność z honorem, studiować sztukę wojenną i strzec jak źrenicy oka mienia narodowego i wojskowego przed grabieżą i zniszczeniem.*

Zobowiązuję się przestrzegać surowo i nieugięcie dyscypliny wojskowej i bez sprzeciwu wykonywać wszystkie rozkazy dowódców mianowanych przez władzę robotniczo-chłopską.

Zobowiązuję się nie popełniać sam i powstrzymywać swoich towarzyszy od wszelkich czynów hańbiących i poniżających godność

obywatela Republiki Radzieckiej i wszystkie swoje sprawy i pragnienia podporządkować wielkiemu celowi wyzwolenia wszystkich ludzi pracy.

Zobowiązuję się na pierwsze wezwanie rządu robotniczo-chłopskiego bronić Republiki Radzieckiej przed wszelkimi niebezpieczeństwami i zamachami jej wrogów i walce za Republikę Socjalistyczną, za sprawę socjalizmu i braterstwa narodów nie szczędzić ani sił, ani życia.

Jeżeli ze złej woli złamię tę uroczystą przysięgę, to niech stanie się mym udziałem pogarda ogólna i niech mnie pokarze ręka sprawiedliwości rewolucyjnej...“

Bohunczycy powtarzali za nim słowa uroczystej przysięgi.

— Mykoło Oleksandrowiczu! Mykoło Oleksandrowiczu! Zbudźcie się!

— Słucham!

Szczors w ciemności usiadł na łóżku.

— Przybył przedstawiciel Rewolucyjnej Rady Wojennej.

— Gdzie jest?

— W sztabie.

— Zaraz się ubiorę, niech zaczeka chwilę.

Szczors wszedł ruchliwy i wyświeżony. Wojskowy podniósł głowę, wstał od stołu i podszedł do Mykoły Oleksandrowicza.

— Proszę mi wybaczyć, o mało nie usnąłem. Trzy dni wlokłem się z Kurska. I w wagonie, i na wagonie, i między wagonami — powiedział.

Był bezbarwny, zmęczony, jak każdy podróżny.

— Jeżeli po to — oczy Mykoły Oleksandrowicza zabłysły — żeby zrobić przegląd pułku, przyjąć defiladę i odjechać z powrotem — to nie warto było się męczyć.

Przedstawiciel Rady Wojennej, zbity z tropu, przyglądał się, jak wzburzony Szczors krążył i miotał się po pokoju.

— Jeżdżą, jeżdżą — jakby nie widząc przybyłego mówił Szczors — oglądają, obiecują, znikają i nie dają nic. Ileż już było tych inspekcji! Czyżby w Radzie Wojennej myślano tylko o tym, dokąd popędzić lub gdzie przerzucić pułk Bohuński, żeby go zniszczyć?... Trocki nie uznaje frontu ukraińskiego, proponuje marsz na Kijów przez Rostów, Po cóż więc te przeglądy i defilady.

— Przepraszam — przemówił cichym głosem przedstawiciel Rady Wojennej — towarzyszu dowódcu pułku! Towarzyszu Szczors!

— Słuchajcie — jak gdyby nie słysząc jego słów mówił Szczors. — Słuchajcie i opowiedzcie tam. Na w pół nadziei, na w pół zagłębieni bohuńscy stoją na północnej Ukrainie. Tu się zebrałi prześladowani, głodni, katowani. Bili i biją Niemców, kruszą wojska hetmana. Tutaj pod Unieczę od dawna już utworzył się front ukraiński. Teraz nie czas spierać się, dokąd posłać pułk Bohuński — nad Don czy na Sybir. Powstaje już i Don, i Sybir. Dopomożemy im. Ale przecież istnieje front ukraiński i żaden rozkaz nie ukryje faktu jego istnienia. Oczekuje nas cała Ukraina. Potrzebujemy tylko jednego... Nie mamy butów — Szczors zdenerwowany usiadł na krześle. — I broni mało! Ale my nawet tego nie wymagamy! — krzyczał dalej. — My wymagamy, żeby nas zostawiono w spokoju, żeby nie przysyłano do nas delegatów, nie urządzano uroczystych defilad... żeby dano nam możliwość rozszerzenia frontu ukraińskiego. I żeby już nie przysyłano do nas inspektorów, oglądaczy i podglądaczy — zakończył Szczors. — Nie przysyłać!

Przedstawiciel Rady Wojennej wstał. Gniewne słowa Szczorsa dotyczyły nie tylko Rady Wojennej — dotyczyły również i jego — przedstawiciela sztabu. Pozostawało mu tylko jedno: jak najszybciej opuścić Unieczę. Miał prawo się obrazić...

Ale twarz jego była spokojna, bez śladu zdenerwowania.

— Rozumiem was — powiedział cicho. — Całkowicie was rozumiem.

Szczors przyglądał mu się badawczo.

— W Moskwie przez cały czas toczyła się walka — mówił przedstawiciel. — Znaleźli się tacy, którzy wypowiadali się przeciwko wspomaganemu ruchowi rewolucyjnego na Ukrainie, którzy nie wierzyli w wewnętrzne siły rewolucji.

Szczors wysoko podniósł głowę. Nozdrza drgnęły.

— I ośmielili się twierdzić — powiedział głośno — że droga na Kijów, że droga do umocnienia się tam władzy radzieckiej, prowadzi nie przez Starodub, nie przez Nieżyn, lecz przez Rostów...

— Były takie zdania — odrzekł przedstawiciel Rady Wojennej. Gdy się spokojnie rozważy, to wydaje się, że naumyślnie szukano jak najdłuższej drogi na Kijów.

— I to drogi nie do zwycięstwa, lecz do zagłady.

— Teraz — przybyły usiadł sam i poprosił Mykołę Ołeksandrowicza; aby również zajął miejsce — sytuacja się zmieniła. Utworzono Rewolucyjną Radę Wojenną Frontu Ukraińskiego. Przedwczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie. Referent, członek Rewolucyjnej Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego, rzucił taką myśl: wystarczy wprowadzić na Ukrainę nieznaczne siły — a takie siły już są w pogotowiu — żeby na Ukrainie rozpoczęło się ogólne powstanie robotników i chłopów, na skutek czego siły te ogromnie wzrosną w bardzo krótkim czasie. W rezultacie nastąpi nie osłabienie, lecz potężny wzrost sił rewolucyjnych. Front ukraiński już istnieje, wyznaczono mu drogę na Kijów — przez Nieżyn, Starodub, Czernihów. Czas rozpocząć natarcie. Przywiozłem rozkaz Rady Wojennej dla Frontu Ukraińskiego.

Szczors, wstrząśnięty, powoli wstał z krzesła, uważnie wysłuchał słów przedstawiciela Rady Rewolucyjnej.

— Sownarkom* uchwalił, aby przystąpić niezwłocznie do działań na Ukrainie — mówił przedstawiciel Rady Wojennej. — Nikt nie ośmieli się wtrącać do czynności Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego. Postanowiono oddzielić Front Południowy od Frontu Ukraińskiego.

Szczors podszedł do przedstawiciela Rady Wojennej.

— Kto powiedział, że wystarczy rzucić nieznaczne siły na Ukrainę, aby z nich natychmiast powstały olbrzymie siły? Kto wyznaczył drogę na Kijów?

— Stalin — odpowiedział przedstawiciel Rewolucyjnej Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Generał Terenkewicz gniewał się. I miał do tego powody. W pobliżu Czernihowa słychać było kanonadę. Z urzędu telegraficznego nadeszła wiadomość, że czerwoni zdobyli Sedniów. Prawda, że dziś w gazecie tłustym drukiem podano, iż Sedniów odbito, a oddział Ostro-

* Sownarkom (Sowieci Narodnych Komissarow) — Rada Komisarzy Ludowych.

wsklego, który uderzył na Sedniów, został rozbity. Ale przecież to gazeta petlurowska!

Na ulicy, na którą coraz to wyglądał generał, było pusto — najpewniejsza oznaka, że znów zaczyna się zamieszanie: każdy wciska się do swej kryjówki, zamyka się w domu, nawet nosa nie wysunie na ulicę.

— Tchórze! — zgrzytnął zębami generał. — Ojczyzna ginie, a oni...
Holota!

Nie mógł się uspokoić. Ze złością kręcił korbkę złotego w czarne prążki, pomalowanego „pod dąb“ aparatu telefonicznego firmy Ericksson.

— Proszę pani... Proszę pani! Chcę mówić z komendantem! Tak!
Przy telefonie dowódca korpusu.

Panie komendancie! — zaczął rozmowę. — Tak, to ja! Tak, w imieniu oficerów. Czerwoni blisko. Wiem, że Sedniów odbito, ale tak jest dziś, a jutro... Jedność działania — to sprawa najważniejsza! Wasze wojska przechodzą pod naszą komendę. Rozbijemy wroga w puch.

Wieczorem do generała przybyła delegacja. Generał długo się ubierał, rozczesywał swe bujne wąsy, namyślał się, czy ma zawiesić na piersi i szyi wszystkie swe ordery i wystąpić uroczyście, w pełnym blasku, czy też ubrać się zwyczajnie, po codziennemu. Wreszcie zdecydował się przypiąć ordery do piersi, a te na szyję tylko przymierzył i schował z powrotem do szkatułki.

Otworzył drzwi do poczekalni. Trzymał w ręku zapalonego papierosa, dym otaczał go siwymi kóleczkami. Wszedł do pokoju i zaraz za progiem, zrobiwszy krok naprzód, zatrzymał się pochylając nieco głowę na prawe ramię.

— Witam panów!

Spoglądał przez kóleczka dymu.

Delegaci nieśmiało cisnęli się w pobliżu drzwi. Między nimi a generałem błyszczała posadzka. Na tę posadzkę, wyginając po kociemu grzbiet, wszedł delegat, miejscowy czernihowski adwokat, w złotych okularach, z czarną bródką przyszyzoną w kształt klina. Szedł i wciąż kiwał bródką, jakby stwierdzając, że zgadza się ze wszystkim, co już się stało lub może się stać.

— My... tutaj... Jesteśmy przedstawicielami wszystkich partii — mówił szybko — oprócz bolszewików! Komitet obrony miasta. Postanowiliśmy zwrócić się do pana, panie generale, z prośbą o pomoc. Do niedawna... co więcej, jeszcze teraz... istnieją między nami różnice poglądów o charakterze czysto programowym, ale gdy nasze miasto znajduje się w niebezpieczeństwie...

— Cały kraj — padło z tłumy delegatów.

— Ale czemu panowie stoją? — ruszył naprzód generał, żałując w duchu, że nie włożył orderów również i na szyję. — Proszę usiąść przy stole... Dzisiaj — wymówił to słowo z naciskiem — jest tu u mnie jeszcze gdzie usiąść!

Delegaci, stąpając ostrożnie, jak gdyby połyskująca posadzka pod ich stopami była brzegiem przepaści, podchodzili i siadali w fotelach i na kanapie.

— Cały kraj — mówił dalej adwokat, który poczuł przyływ siły i pewności siebie — jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Zagrożone jest to wszystko, co przez wieki stworzyła ludzkość, zaatakowano kulturę i podstawowe zasady moralności...

Generał słuchał, uważnie spoglądając na delegatów, którzy siedzieli nieufni i strzyżeni. Jeden z nich, szczupły brunet, siedzący w pobliżu generała, raz po raz spoglądał na przeciwległą ścianę, w duże lustro, w którym widział odbicie całej swojej postaci od stóp aż do głowy. Brunet wiercił się wciąż na krześle, jakby sprawdzał, pełen wahania, czy to lustro tak zniekształca odbicie, czy też on istotnie tak się zmienił.

Nie chce wierzyć, bestia, że przyszło mu bić pokłony przede mną. Ech, szkoda... — Generał znów wspomniął o swym pięknym orderze obsypanym brylantami. — Nie wytrzymałby tego blasku.

— Każda z partii usiłowała walczyć i walczyła własnymi siłami, korzystając z własnych zasobów — mówił adwokat. — Jest to jednak bardzo przykre, że istniała między nami taka rozbieżność zdań choćby w drobiazgach. Czy sedno sprawy leży w tym, ile dziesięcin, czterdzieści czy pięćdziesiąt, mamy pozostawić obszarnikom?

Obok szczupłego bruneta siedział pewny siebie, wsparty mocno łokciami o poręczę fotela, szeroko rozrzucawszy poły czamarki, miejscowy ziemianin. Przy oknie, na krytej różowym atlasem, rzeźbionej kanapie siedzieli obok siebie trzej cywile.

Lekarze albo nauczyciele — pomyślał generał. — Też mi politycy! Kiedy ich bieda przycisnęła, rzucili się w te pędy do mnie, a przedtem pewno kręcili kuprem przed petlurowcami!... Drobnica... Wermiszel. — Generał znalazł odpowiednie określenie i żywo wyobraził sobie kłęb śliskich nitczek wermiszelu, różnych wymiarów, ale jednokowej barwy.

Jeszcze jeden delegat stał przy drzwiach, z odrzuconą do tyłu i wspartą o futrynę głową. Zdawało się, że wcale nie słucha słów adwokata albo przynajmniej nie chce ich słuchać. Był jednak tutaj, w poczekalni generała, i musiał słyszeć wszystko.

— I oto teraz wszyscy razem przyszedliśmy do pana, generale — zakończył adwokat swe płynące szybkim nurtem przemówienie. — Wróg jest blisko, powinniśmy się ze sobą porozumieć. Musimy przejść do porządku nad wszelkimi drobiazgami i tym, co nieistotne. Przyszedliśmy prosić pana o otoczenie miasta żelaznym pierścieniem wojska...

— Przepraszam — przerwał mu generał — ale kto... w czym imieniu pan o to prosi?

— O... — z ulgą odetchnął adwokat, który od dawna spodziewał się tego pytania i przygotował sobie odpowiedź — między nami panuje całkowita jednomyślność. Oto panowie Kurypko i Didycz — przedstawiciele obywateli ziemskich. Pan Zozulenko — przedstawiciel nauczycielstwa, przedstawiciel armii kultury — inteligencji. Ataman Hucuk — którego oddział idzie przez Czernihów na Kijów — jest przedstawicielem sił niezależnych. Zapewne słyszał pan o nim?... Radomyśl — Humań. Żywiol! Kompozytor Runin — od Żydów-socjalistów...

— A ten młody człowiek — generał wskazał oczami delegata stojącego przy drzwiach. — Też partyjny?

— Od socjalistów-rewolucjonistów*... towarzysz... obywatel! Dzendia — wyjaśnił adwokat.

— Okoliczności zmusiły mnie do przyjęcia tutaj — jakoś wymijająco i niezbyt głośno powiedział Dzendia. — W danym momencie, w danych warunkach i okolicznościach...

* Partia socjalistów-rewolucjonistów (eserowców) — założona w 1902 r. wyrażała interesy i dążenia bogatego chłopstwa.

— Tak, tak... te okoliczności... — dopomagał mu generał. — Okoliczności, że tak powiem...

— Przyszedłem tutaj — z trudem wydobywał z siebie słowa Dzenia — tylko dlatego, że my pragniemy naszej, odrębnej, ukraińskiej władzy. Ale oddziały Dyrektorii w obecnej chwili nie rozporządzają odpowiednimi siłami.

— Odrębnej — szeroko i głośno roześmiał się generał. — Odrębnej władzy? — powtórzył jeszcze raz.

Tak — wstał z krzesła i podszedł do Dzendi kładąc mu rękę na ramieniu. — Rozumiem wszystko, panowie. Wy jesteście za odrębną, ukraińską władzą. Cóż, młody człowieku, my wojskowi jesteśmy przyzwyczajeni do ścisłości. Nie można rozmawiać o tym w sposób wymijający, przedyskutujemy to dokładnie. Chcecie władzy? My też nie dzieci! I my chcemy władzy. Tu rozbieżności nie ma. Więc skoro my dziś walczymy na Ukrainie — to i władza będzie ukraińska. A potem, gdy zwyciężymy, niewątpliwie przyjdzie tej władzy rządzić również Ukrainą. Tak... trzeba rządzić Ukrainą. Znów nie ma rozbieżności. A co się tyczy odrębności tej władzy, to może zostawimy to zagadnienie w spokoju do stosowniejszej po temu chwili. Prawda, młody człowieku?... A pan jest przeciw?... socjalistą-rewoiucjonistą. Przed rewolucją było modne krasomówstwo. Czarnooka księżniczka i paż z sercem rewolucjonisty. To wszystko romantyzm. Utopia, młody człowieku — spłowiwały już oczy księżniczki. Więc co teraz, wsadzić rączki do kieszeni i umierać, oddając się lekturze w ciszy swego pokoiku? Ale gdy bolszewicy wychodzą na ulicę — wtedy koniec z utopiami... A widzi pan, żeśmy się porozumieli.

— A pan jest kompozytorem? — podszedł generał do Runina.

— Jestem członkiem partii socjalistycznej — pośpiesznie odpowiedział Runin.

— Ależ oczywiście, oczywiście — bąknął łagodnie generał. — Socjalizm — to muzyka. A zna pan muzykę do „Boże, chroń cara“? — zapytał niespodzianie.

— Znam — po dłuższej chwili odpowiedział Runin.

— A do „Jakże sławny nasz pan na Syjonie“?

— Muzykę klasyczną... znam, oczywiście... Wychowywaliśmy się...

— A „Marsylianę“?

— Tak.

— Otóż to — uśmiechnął się generał: — Trzeba znać muzykę. I trzeba umieć grać!

I zamilkł na długą chwilę. Do pokoju wpelzał zmierzch — włochaty jak niedźwiedź i zimny jak trup. Twarze wszystkich obecnych przybrały zielonkawy odcień, rysy zacierały się, upodabniając się do masek. Na piersi generała przy oddechu wysoko wznosiły się ordery. W kątach pokoju mrok wciąż gęstniał — zdawało się, że ktoś tam stoi i podsłuchuje.

— Dziękuję panom — powiedział generał. Wydało mu się, że się przeniósł ze swej poczekalni w sztabie korpusu w Czernihowie, dokąd go zapędził wicher rewolucji, do swego pałacu i stoi tam w sali na podwyższeniu; naokoło na ścianach wiszą stare, bardzo stare portrety w pozłacanych ramach, a wygodne ławy piętrzą się dokoła...

Dziękuję panom — powiedział generał. — W chwili obecnej poparcie wasze jest dla mnie bardzo cenne. Ja ze swej strony również gwarantuję panom pomoc. Bardzo się wam ona przyda. Dziś otrzymaliśmy telegram. Konsul francuski Henault zawiadamia, że sprzymierzeni postanowili przystąpić do walki z bolszewikami. Wobec tego — generał wypiął dumnie pierś — wszystkie nasze oddziały winny się uważać za oddziały znajdujące się pod dowództwem sprzymierzonych. Czy jasno się wyrażam?

Oddziały armii ochotniczej — mówił dalej generał — powinny zachować swój rynsztunek bojowy. Oddziały armii ochotniczej powinny trzymać się zasady ścisłej neutralności w stosunku do Dyrektorii. Nasze wejście do Kijowa nastąpi dopiero wtedy — mówił uroczyście — gdy nawiążę łączność z dowództwem sił sojuszniczych, obecnie znajdujących się w drodze. Po przybyciu oddziały armii ochotniczej wezmą udział w walkach przeciwko bolszewikom, potem zaś zostaną przerzucone dla dalszych walk do armii Denikina. Chciałbym przypomnieć — ciągnął dalej — że armia Denikina korzysta z materialnej i moralnej pomocy naszych zagranicznych przyjaciół..

Mam nadzieję — zwrócił się do obecnych — że nie będziecie, panowie, przeciwni ingerencji w nasze sprawy najkulturalniejszych na świecie krajów? Zresztą nasze sprawy stoją tak kiepsko, że bez tej ingerencji się nie obejdzie. Nie protestujecie, panowie, przeciwko pomocy sprzymierzonych?

Wszyscy milczeli.

— Dziękuję panom — mówił generał. — Nie można opuszczać Rosji w nieszczęściu. Jeszcze będzie czas, by debatować nad zagadnieniem władzy. Tymczasem... przeprowadzam zjednoczenie korpusu z oddziałami Dyrektorii. Wy zaś, panowie, urabiajcie opinię społeczeństwa i zapewnijcie mi jego poparcie... Wyruszymy razem z oddziałami Dyrektorii, pójdziemy na północ...

Generał poczuł nagle, że ogarnęły go wzniosłe uczucia. Nie mógł usiedzieć, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, z żołnierską fantazją przytupując obcasami.

— I nie upadać na duchu — rozładował pełne napięcia milczenie generał. — Najważniejsze, by nie upadać na duchu. Dziś w domu gubernatora odbędzie się wielki bal. Kwiaty, tańce, trunki. Bal aż do rana. Niech nasi wrogowie się smućą, a my będziemy się bawić. Stawcie się sami i przyprowadźcie swoje panie, pozwólcie swoim sercom uderzać swobodnie. Miłość, wino, karty... Będziemy dzisiaj bawić się, aby już jutro wyruszyć do natarcia na północ...

Stał przed zamazniętym oknem. Stróż zamykał okiennice zgrzytając żelaznym drągiem.

Bal odbywał się w dawnym pałacu gubernatora. Gromadka wojskowych, stojących na dole w sieni w płaszczach, z karabinami w rękach, nie nasuwała myśli o balu. Dawna służba gubernatora, zebrana na ten wieczór, usiłowała robić wszystko tak jak dawniej. Stary, pełen godności odźwierny stał w przedsionku, broda jego, rozdzielona na dwie równe części, spływała aż na piersi. I tak samo jak ongi za czasów gubernatora pochylał głowę przed każdym nowym gościem, ale po twarzy błąkał mu się wgardliwy i zły uśmieszek.

Udają panów — myślał odźwierny. — Ale nie mają tego ducha.

Schody od przedsionka aż do drugiego piętra wysłane były dywanem zielonym w czerwone kwiaty. Pod ścianami ustawiono kwiaty, ale jakies bezbarwne, zwiędłe, wcale nie harmonizujące z balowym nastrojem. Na drugim piętrze stał wysoki, staroświecki zegar. Wahało kołysało się powoli, z jakimś osobliwym szmerem.

Nawet goście zbierali się nie tak jak ongi. Przed wejściem frontowym nie było niecierpliwych koni zaprzężonych do pozłacanych sani, nie było również czernihowskich dorożek z latarniami i numerami na zachlapanych błotem szybkach latarni. Goście przychodzili na bal

piechotą, jeden tylko samochód stał przed wejściem i wokół niego kręciło się kilku wartowników.

— Czyżbym się spóźnił? — pomyślał Dzendia zbliżając się do domu gubernatora. — Pali się światło w oknach, ale jakaż cisza dokoła...

Przez plac brnęło po błocie jeszcze kilka postaci kierując się w tę stronę.

Brodaty odzwierny pochylił głowę także i przed Dzendią.

Zuch — pomyślał Dzendia. — Widać od razu, że zna służbę...

Dzendia nie wiedział wprawdzie, czy postępuje właściwie, ale uściśnął odzwiernemu rękę.

— Palnąłem głupstwo — zrozumiał, gdy spojrział mu w oczy.

Po zielonym dywanie poszedł na górę, strzepnął białą nitkę z czarnej marynarki i zatrzymał się przed zegarem rzekomo w celu sprawdzenia godziny, ale naprawdę dlatego, że mu się bardzo spodobał ten duży zegar. W tej chwili na sali zupełnie niespodziewanie zagrzmiała orkiestra dęta. I naraz cały budynek jak gdyby ożył i rozjaśnił się. Dzendia szybko pobiegł schodami na górę i stanął w progu sali.

Kilku mężczyzn cicho wyszło z ogrodu i ruszyło ciemnymi ulicami.

— Sztab korpusu kwateruje tutaj — wskazał jeden z nich na czarny kontur klasztoru. — Działa są na podwórzu, garaż trochę dalej w stronę sadu... W tym budynku z zamkniętymi okiennicami mieszka generał Terenkewicz.

Zirny, mroźny wiatr zrywał z gałęzi uschłe liście, które wirowały w powietrzu i spadały na ziemię. Wydawało się, że pod nogami porusza się coś żywego.

— Uważajcie, tu leży trup — rzekł im spotkany na rogu towarzysz, który siedł innymi ulicami. — A tam — wskazał oświetlony, piętrowy budynek, który stał na pagórku — dzisiaj odbywa się bal.

Weszli między drzewa i zbliżyli się do budynku. Z okien sączyło się światło — przed wejściem widać było samochód, dwaj wartownicy chodzili wzdłuż muru. I w mroźnej ciszy nocnej wyraźnie było słyhać muzykę taneczną.

Na zamazanych szybach okien tańczyły powykęcane, potworne cienie.

— Kto idzie? — krzyknął wartownik stojący przy wejściu.

— Ja, ojczulku... Ja... — przez kaluże na placu brnęła jakaś stara kobieta pod czarną parasolką. W ciemności wyglądała jak wielki grzyb.

Gromadka ludzi cofnęła się i zawróciła do miasta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Był ciepły, jasny dzień. Nawet słońeczko przygrzewało — pewno ostatni taki dzień przed zimą. Z pagórków szemrząc spływały strumyki, niebo było błękitne i błyszczące jak emalia.

Już od dwóch dni leżał dziadek Czornomor na placu. Bano się zbliżyć do niego, bo oczekiwano powrotu dziobatego. A dziobatego wciąż nie było widać. Oddział odszedł, z północy nikt nie nadciągał. Druty telefoniczną milczały również jak zakłęte. Poszli nocą, po ciemku przynieśli ciało Czornomora, złożyli w urzędzie gminnym. A nazajutrz dziadka grzebano.

Płynął wysoko ponad ulicą dziadek Czornomor. Słońce padało na jego bladą twarz i długą, siwą brodę. Pod trumną leżały kilimy: zginął dziadek za wspólną sprawę — trzeba go nieść na kilimach.

Pop odmówił udziału w pogrzebie. Powiedział, że cierpi na nerwy i nie może wyjść z domu. Zdarzało się to nie po raz pierwszy — gdy wiedział, że ludzie nie mają czym zapłacić, nie kwapił się. Nie ma grosików, nie będzie i ojczenaszków!

Ale ludzi zebrało się dosyć. Tłum zapelniał całą ulicę. Nie było słychać rozmów, każdy szedł ulicą skupiony, zagłębiony we własnych myślach, a jednocześnie pogrążony we wspólnym smutku. Słońce z początku podążało za nimi, a potem, gdy skręcili — wyprzedziło ich i widać było, jak w końcu ulicy, lekkie niby puszki dmuchawca, przebiega i podskakuje po cieniutkiej warstewce śniegu pokrywającego step.

Za wioską leży cmentarz. Stoją tam nowe krzyże, a są także i stare nagrobki wykute z kamienia, postawione na grobach bogatszych chłopów. Na krzyżach wiszą szerniałe ręczniki — ręczniczek na prawym ramieniu krzyża oznacza, że leży tu chłopiec, na lewym — że dziewczyna. Pośrodku cmentarza żółci się niemało świeżych mogił i czernieje gotowy już dół dla dziadka Czornomora. Za cmentarzem widać jar, a po jego dnie bieżą ścieżki prowadzące na łąki.

Gdy posuwający się w milczeniu orszak doszedł do cmentarza, z jaru wyjechali jeźdźcy. Jechali nie spiesząc się, nawet powstrzymując konie. Spostrzegli tłum, ale i wtedy nie przynaglili koni, jechali powoli, rozglądając się na wszystkie strony.

— Jadą! — krzyknął ktoś z tłumy. — Znow jadą!

Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, runęli na cmentarz i stłoczyli się za ogrodzeniem. Nawet ci, którzy dźwigali mary z nieboszczykiem, porzucili trumnę, postawili ją na zalanej słońcem drodze i uciekli na cmentarz.

— Jadą... jadą... Uciekajcie!

— Ludzie kochani... znow jadą!

Wszyscy już byli za ogrodzeniem. Na drodze nikt nie został. Stała tam tylko trumna i do niej, wciąż powoli, niemal powstrzymując konie, zbliżali się jeźdźcy.

Zatrzymali się, stanęli przed otwartą trumną dziadka Czornomora.

— Co się stało? — spytał jeden z nich i wszyscy zrozumieli, że teraz już milczeć nie można. Trzeba mówić, trzeba opowiedzieć wszystko a potem... aż strach było pomyśleć, co będzie potem.

Wystąpił naprzód nauczyciel Naum Kowany.

Wszyscy zdali sobie sprawę, że Naum Demydowicz, który przez całe swe życie uczył ich dzieci, nie mógł jednak dotąd powiedzieć im tej całej prawdy, którą wyczytał w książkach, siedząc nocami przy świetle zielonej lampy w swym pokoiku. Naum Demydowicz, który nie miał ani krewnych, ani przyjaciół, postanowił poświęcić się dla gromady, by powiedzieć całą prawdę, która wrzała w jego piersi.

— Chcę właśnie powiedzieć wam prawdę — bardzo cicho przemówił Kowany. — Przedwczoraj wpadli tu do naszej wioski wojskowi. Nie wiemy, kim byli, nie wiemy, skąd przyszli. Nie pytali nas, czego pragniemy. I tak, zwyczajnie, w biały dzień, pod tym samym niebem zabili dziadka Czornomora. Odjeżdżali ze wsi pod czerwoną chorągwią. Dlatego właśnie tak przestraszeni są nasi ludzie. Przelękli się również i was.

— Pomyliliście się, moi drodzy — powiedział wojskowy. — Wzięliście nas za kogo innego. Do waszej wsi wchodzi Armia Czerwona, idzie pułk Bohuński i Taraszczański, a prowadzi je Mykoła Szczors... Właśnie nadchodzą... Tam jedzie towarzysz Szczors. Chcemy wyzwolić was od Petlury, od tych wszystkich krwiopicców, którzy wysysali waszą krew. To nie my zabiliśmy waszych ludzi.

W tej samej chwili z fary wypadli jeźdźcy. Na czele jechał człowiek w czarnej, skórzanej kurtce. Obok niego — sztandary. Za jeźdźcami szli piesi, jechały tabory.

Jeździec, który rozmawiał z chłopami, trącił konia i pomknął na spotkanie oddziału. Zbliżywszy się do Szczorsa jechał obok niego i opowiadał mu coś bardzo żywo. A tłum zgromadzony na cmentarzu stał nieruchomo.

Jeźdźcy dojechali do bramy cmentarza, kilku z nich zeskoczyło z koni i przywiązało je do ogrodzenia. Następnie wzięli na ramiona trumnę i ponieśli. Szczors również zsiadł z konia i poszedł za trumną. Był bez czapki, spojrzenie miał spokojne i jasne. Wiaterek rozwiewał jego niewielką, kasztanową bródkę. Wśród ogólnej ciszy nieśli wojskowi trumnę przez cmentarz i postawili ją obok wykopanego dołu. Twarze wszystkich obecnych były zamyślane, spowijał je głęboki smutek.

Słońce zalewało promieniami cmentarz. Słońce odbijało się w oczach. Słońce lśniło na trąbach. Szczors wziął grudkę ziemi i rzucił ją na trumnę.

Denys nie poszedł na cmentarz. Widział, jak koło chaty przeniesiono dziadka Czornomora; chciał pójść także, złączyć się z tłumem.

Ale nie poszedł. Matka napytała sobie biedy. Nie kręciłaby się, skoro taki czas na nią przyszedł, leżałaby spokojnie i czekała rozwiązania. Ale czy ona kogo posłucha? Z samego rana zabrała się do gospodarstwa, pewnie dźwignęła coś ciężkiego, nieprzytomną złapał ją Denys pod rękę i z trudem wciągnął do chaty. Trochę krzyczała, potem ucichła i leżała w komorze, pod zgrzebną płachtą. Bał się wyjść z chaty i zostawić ją samą. Ojca nie ma, trzeba sobie radzić samemu.

Poza tym nie poszedł jeszcze i z innej przyczyny. Gdy tylko wyjdzie na ulicę, spotka ludzi — nie uniknie rozmowy, znów będą rozpytywać, gdzie jest ojciec, dokąd pojechał, czemu nie ma go na pogrzebie.

A co ma im odpowiedzieć, co mówić? Ojciec odjechał, w domu zrobiło się pusto, brakuje najważniejszej osoby — gospodarza. I nie tylko brakuje go, ale w chacie jest tak, jakby stało się jakieś nieszczęście; dawniej wszystko wydawało się takie proste: smutek, przykrość, radość — wiedziało się, że te smutki i radości będą przezywać razem całą rodziną... A teraz co ich czeka?

Nie poszedł. Nie chciał zostawić matki i obawiał się wyjść z chaty. Siedział przygnębiony, milczący. Młodsze dzieci wybiegły na dwór, matka milczała i chłopcu wydawało się, że został w domu zupełnie sam. Długo tak siedział.

A potem wpadli do chaty Ola i Anton. Radośni, rozszczębiotani:

— Idą... Armia Czerwona... Mamo...

— Bądźcie cicho. Matka chora, a oni tu...

Zamilkli, Skrzypnęły drzwi, dzieci wyszły znów na dwór; nie mogły opanować swej radości.

Drzwi się otworzyły.

Idą szukać ojca — pomyślał natychmiast.

W drzwiach stanęli dwaj ludzie.

— Czy to chata Żerdiahy?

— Tak.

Przyjrzał się im. Jeden z wojskowych był to krępy szeregowiec, w rękę miał karabin, drugi — szczupły, z bródką, w zielonej czapce, z rewolwerem przy boku.

— Tu będzie kwaterował dowódca pułku Bohuńskiego, towarzyszy Szczors — powiedział krępy.

Mródz przebiegł Denysowi po skórze. Więc to ten, o którym tyle było we wsi gadania. Ten, o którym mówiono, że jest dawnym carskim generałem.

Młode, niebieskie oczy Szczorsa spoglądały na Denysa głęboko i przenikliwie.

— Towarzysze... — zaczął mówić Denys.

Dowie się o ojcu — przemknęła myśl. — Zapyta... I koniec...

— Ciasno u nas... Nie ma miejsca.

— Mnie dużo nie trzeba — łagodnie i spokojnie powiedział Szczors. — Brzeżek ławy... I nie na długo. Poleżę godzinę. Wkrótce ruszamy dalej.

Krępy wyszedł z chaty.

Przepadło — pomyślał Denys. — Teraz już wszystko na nic. Przepadło.

Szczors usiadł na ławie przy stole. Teraz twarz jego oświetlało słońce; na Denysa patrzyły oczy zmęczone, z siatką czerwonych żyłek. Denys widział, że wystarczy, by Szczors dotknął głową poduszki,

a oczy same mu się zamkną, i dowódca pułku, siedzący teraz przed nim, zaśnie głębokim snem.

Wydawało się jednak, że Szczors ani myśli o spaniu. Uważnie, bardzo uważnie przyglądał się chłopcu.

— Młody jesteś — powiedział cicho.

— Dziewiętnasty rok zacząłem.

— I zdrowy — dorzucił Szczors. — Zuch z ciebie!

Teraz zapyta mnie o ojca. Co mu powiedzieć? Co robić? Patrzy na mnie jak... jak brat, a ja... co powiedzieć? — przemknęło mu przez myśl.

Ale Szczors o nic nie pytał. Nagle zaszło coś nieoczekiwanego. Obok w komorze rozległ się rozpaczliwy krzyk kobiecy. I krzyk ten trwał długo, nie cichł — odwrotnie, wzrastał się, stawał się coraz głośniejszy.

— A-a-a-a...

Męka i cierpienie brzmiały w tym krzyku.

Szczors porwał się z ławy. Spojrzał pytająco na chłopca. Ale w oczach Denysa malował się tylko strach.

Wtedy Szczors sam pobiegł do komory. Szybko otworzył drzwi i od razu zamknął je za sobą.

Denys stanął przy stole. I on chciał się rzucić do komory, ale nie zdobył się na to. Chciał się poruszyć — i tego nie potrafił.

Drzwi komory otworzyły się, na progu znów stanął Szczors.

— Czy we wsi jest lekarz? — doleciało z daleka jakby gdzieś z ulicy.

— Nie ma — wyszeptał Denys.

Wszystko odbywało się jak we śnie. Szczors wybiegł z chaty.

— Zawołaj lekarza... ze sztabu! I natychmiast wracaj z nim!

Przez okno widać było, jak wartownik pobiegł. Wrócił z lekarzem. Zjawiała się kobieta w białej chusteczce na głowie, zajrzała do pieca, wyciągnęła stamtąd sagan z ciepłą wodą.

Trochę ludzi zebrało się koło chaty. Stanęli pod oknem, pytali o coś wartownika.

— Śpi — posłyszał Denys głos wartownika. — Dowódca pułku Bołuńskiego śpi!

A Szczors siedział przy stole i ani myślał o spaniu. Matka krzyczała długo. Potem umilkła. Zdawało się, że w komorze nie ma nikogo.

Denys chciał rzucić się do drzwi komory, popatrzeć. Może z matką jest źle?

Lecz nie mógł ruszyć się z miejsca. Nogi miał jak kłody. Czas płynął bardzo wolno. Zaczynało się zmierzchać, ale Denys nie zauważył tego, był jakby poza czasem. Cisza pogłębiała się, stawała się pełna napięcia.

Wreszcie została przerwana. Denys posłyszał w komorze krzyk dziecka. Płakało niemowlę. Tuż obok siebie, zupełnie blisko, Denys zobaczył jeszcze raz oczy Szczorsa.

W sieni szkoły toczyła się cicha rozmowa.

— Wcale nie jest generałem. Młody, żywy, wesoly. A jego żołnierze — to nasi chłopcy ze wsi. Biedota i fonałe, lecz są również z miasta. Zachowują się cicho — na wsi ani krzyków, ani hałasu.

Denys wszedł do szkoły.

— Wiemy o tym, że przed nami, jak ptaki, lecą pogłoski, że podobno jesteśmy okrutni, zabijamy, rozstrzelujemy — posłyszał Denys znany mu już głos.

To prawda — odetchnął głośno Szczors i jeszcze ciszej zrobiło się w dużej izbie szkolnej — jesteśmy straszni! Straszni jesteśmy dla naszych wrogów. Straszni dla panów obszarników, dla zdzierców, bogaczy wiejskich, straszni dla carskich sług, dla petlurowców, którzy bronią swych majątków, przedsiębiorstw i fabryk, straszni dla tych, którzy sprowadzili Niemców na Ukrainę, a teraz usiłują sprowadzić Francuzów i Anglików. Bogacze całego świata są ich braćmi. Dla nich jesteśmy straszni.

To prawda — Szczors przysunął się bliżej do chłopów — że jesteśmy okrutni! Okrutni dla naszych wrogów. Nie mamy litości dla tych, którzy mordują, zabijają naszych żołnierzy. Nie mamy litości dla tych, którym się zdaje, że nas zwyciężą. Ale nieprawdą jest — uśmiechnął się — że jesteśmy straszni dla was! To kłamstwo! Partia bolszewicka jest partią robotników, jest przyjacielem każdego biedaka. Nasza armia jest przyjacielem wszystkich pracujących, którzy własnymi rękami uczciwie pracują na roli i w fabrykach i nie wykorzystują cudzej pracy.

Wojuje nie tylko ten, kto z bronią w ręku idzie z nami lub przeciwko nam — ciągnął dalej Szczors. — Wojuje także ten, kto od nas ucieka. Wojuje nawet taki, który wylegując się na piecu, myśli, że to nie

jego sprawa. Nasza armia — to wielomilionowy naród. Jedni wyruszają z karabinami na front drudzy powinni pracować w domu, pracować uczciwie, dopomagać tym, którzy walczą na froncie. Od rewolucji nie można uciec.

Podczas gdy Szczors mówił o rewolucji, która zaczęła się i wciąż przybiera na sile, gdy opowiadał, co daje rewolucja tym, którzy za nią walczą — Denys czuł, że jest mu ciężko jak nigdy w życiu.

Miał ochotę wstać i krzyknąć na cały głos, że to wszystko prawda, że sam nieraz już o tym myślał. Marzył, że powie, iż oddaje siebie, swe ręce na usługi rewolucji, ale w tej samej chwili powstawały w nim inne myśli:

A ojciec? Jesteś jego synem, czy nie? Dokąd poszedł ojciec?

Mród go przeniknął, gdy wyobraził sobie, co się może stać z ojcem. I on — jego syn — musi za niego odpowiadać. Przecie powiedział, że jedzie do Czernihowa, ale z nim razem pojechał Remez i Demyd Czynka, ojciec pojechał z tymi, których Szczors nazywa wrogami. Dokąd pojechali? Po co? Gdzie są teraz?

Kilka kobiet — same sąsiadki — robiło porządek w chacie.

— Mamo — powiedział Denys, który późno wrócił do domu — I dla mnie przygotuj torbę na drogę!

— Co takiego? — powiedziała matka, nieporadna i słaba. — Co znów wymyśliłeś? Poszedł już jeden szukać nie wiadomo czego, a teraz...

— Pójdę szukać ojca — powiedział tak stanowczo i przekonująco, że matka nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. — Wam ludzie dopomogą.

— Gdzie go będziesz szukał? Dokąd chcesz iść?

— On jest tam — Denys wskazał przestrzeń za oknem. — Tam szukać go trzeba, tam. Nie płaczcie, mamó, ojciec pojechał i nie powiedział dokąd, a ja przecież mówię wam, dokąd się wybieram. I wrócę, gdy go znajdę. Wrócimy razem. Płakać nie ma czego, wszystko minie.

Pocałował matkę; jej łzy zwilżyły mu policzki.

— Nie płaczcie, mamó — powiedział raz jeszcze i wyszedł z chaty,

Koło szkoły, gdzie pomimo późnej nocy zgromadziło się dużo ludzi, Denys przyłączył się do gromadki młodzieży, która zbiegła się ze wszystkich zakątków wsi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przyjechali do Czernihowa o świcie. Dzień był pochmurny, padał mokry śnieg.

Remez pojechał do swych krewnych, obiecując Żerdiasze, że odzuka go w którymś z domów zajezdnych. Zabrał ze sobą Demyda Czynkę.

Swój do swego ciągnie — pomyślał Żerdiaha. — Jak trzeba było uciekać przed niebezpieczeństwem, to przyszedł, pokłonił się mnie.

A tu nie zdążyliśmy się rozejrzeć, jak już się ode mnie odsuwa.

Żerdiaha stanął w zajeździe, postawił Franta w ciepłej stajni, w gromadzie obcych koni, starannie okrył mu grzbiet derką, podrzucił wiązkę siana.

— Jedz, Franciku, bo kto wie, jak teraz będzie?

Wypił herbatę w dużej izbie, gdzie siedzieli podróżni. I sufit, i ściany, a nawet stół były mokre od nocnej wilgoci, którą wnosili ze sobą przyjezdni i która sączyła się całą noc przez drzwi. Z wilgocią mieszał się dym mocnego tytoniu, więc wydawało się, że ludzi i rzeczy w pokoju nakrywa zapotniały, szklany klosz. Nawet cienie na zabrudzonych twarzach były głębokie i ciemne.

— A to pięknie — cicho powiedział Żerdiaha — czegoż lepszego trzeba?

Żerdiaha najadł się do syta i wypił herbatę. Rozmyślał, co teraz począć. Remez obiecał, że przyjdzie do niego do zajazdu. Ale pewnie dużo wody upłynie, nim przyjdzie. Jest jeszcze czas, aby pójść na targ. Wziął z domu gąsiora, trzeba go tymczasem sprzedać, bo kto wie, co będzie dalej — grosz przyda się zawsze. Aby tylko nie zrobić głupstwa: za jakie pieniądze go sprzedać — za carskie, za kierenki* czy grzywny**? Postanowił przyjmować tylko carskie: „katarzynkę“***

* Kierenki — pieniądze wypuszczone przez rząd Kiereńskiego.

** Grzywny — pieniądze papierowe puszczone w obieg przez hetmana Skopadskiego

*** Katarzynka — banknot sturublowy z wizerunkiem Katarzyny Wielkiej.

— ani mniej, ani więcej! Po ludzku! Może trochę za drogo — nie ma już cara, ale jego pieniądze nie mogą przepaść, oparte są na złocie i na rencie gruntowej... Bo co można ściągnąć z Kiereńskiego? Grzywny też są bez wartości — papier.

— Tylko „katarzynkę“!

Zdjął koszyk z wozu, wziął gąsiora i poszedł na targ.

Na podłodze koło stołu stała świeża trumna, zbita z pachnących, sosnowych desek.

Wiek trumny stało też tutaj, oparte o półkę z naczyniami.

Przed ikonami paliła się lampka.

Remez siedział na poczesnym miejscu, z rozpiętym pasem, spocyny.

— Na razie wszystko idzie jak z płatka — mówił. — Rzeczy nieporęczne i ciężkie Dowhalewicz dowiózł mi z Czernihowa — drobniejsze i kosztowniejsze sam przywiozłem w worku z owsem. Teraz synek pojechał do Kijowa, mój brat jest kościelnym w soborze św. Włodzimierza, mam gdzie przechować te rzeczy, ale część ich, chyba mi tego nie odmówicie, pozostanie u was. Jeszcze tylko muszę ulokować konie, a wtedy już wszystko będzie w porządku. Gdyby czerwoni zajęli naszą wieś — to też się nie przestraszę i pojedę do domu, wyłożę im wszystko i powiem: Dopomóżcie mi, bo przez was poniosłem szkody... Należcie mi, kumie, szklaneczkę herbaty. Dobra herbata! Pewnie trzykrotnie parzona?

Kum, Musij Demianowicz Kużił — starannie ogolony, w koszuli z wykładanym kołnierzem, związanym niebieskim sznureczkiem, w okularach w złotej oprawie, czarnowłosy, z wypomadowaną do połysku głową, nie odstępował Remeza ani na chwilę.

— Obserwując otaczające nas życie — skręcał papierosa kum Kużił — doszedłem do wniosku, że człowiek, choćby po najdłuższym życiu — w końcu musi umrzeć. Wszyscy tam będziemy, jak mawiał pewien filozof. I nie trzeba się bać śmierci. Od niej w żaden sposób się nie wykręcisz. Niegdyś bałem się nawet myśleć o zmarłych i o trumnach, ale teraz inne czasy, inne warunki. Ot, jak do tego doszedłem: dawniej byłem urzędnikiem akcyzy — nie miałem czasu na rozmyślanie. Teraz, gdy skasowano akcyzę, zacząłem rozmyślać. Widzę, że w naszych czasach ludzie mrą jak muchy. Dziś człowiek żywy i zdrowy, a jutro już go nie ma. Wystarczy na niego dmuchnąć — a już po nim.

Tyle już ludzi zginęło, a ile jeszcze zginie! I tak rozważając zacząłem przyglądać się, jak ludzie umierają i co z tego wynika? Doszedłem do wniosku, że umierają, można powiedzieć, bardzo źle. Bez planu i porządku. Weźmy na przykład Niemców. Rozstrzelali mnóstwo ludzi i bardzo dużo narodu zginęło marnie, bo nie miał kto zadbać o nich jak należy. Rostrzelają ich Niemcy i wyrzucają na śmietnisko, mamy tu za Czernihowem takie miejsce. Krewni radzi by oddać im ostatnią posługę — tym nieboszczykom — ale jak: ani desek, ani gwoździ nie ma. Oddaliby wszystko za trumnę, ale jej nie ma, a przecież nie można pochować człowieka w samym ubraniu.

Otóż doszedłem do takiego wniosku: postanowiłem, że ja zatroszczę się o rozstrzelanych. Miałem deski przygotowane na parkan, gwoździe różnych wymiarów pozostały mi jeszcze z carskich czasów... Gdy urzędników akcyzy zwolniono, zacząłem trudnić się stolarką. Na przykład dowiaduję się, że kogoś rozstrzelano. Idę tam, mówię, kim jestem, i proponuję, że jeżeli trzeba, to mogę dopomóc w nieszczęściu — i oporzędzić nieboszczyka. Na wieczór przygotowuje się trumnę, nieboszczyk będzie w porządku i wszystko jak się patrzy. Przygotowałem tę trumnę dla siebie, ale odstępuję ją tylko dla miłych przyjaciół. I w ten sposób zacząłem zarabiać po trochu. Ludzie są zadowoleni i ja też nie narzekam. Każdy da mi, co zechcę, aby tylko zmarły został pochowany jak należy.

A teraz, skoroście wy przyjechali, rozszerzymy nasz interes — uśmiechnął się Kużil. — Dyrektoria szaleje na całego! Ma masę wrogów! Tysiące! Tyle jest do roboty! Co noc dziesiątki ludzi wyprawiają na tamten świat. Nie wydołam sam obstalunkom. A nie chcę brać do pomocy obcego człowieka. Wy pomożecie mi teraz, a ja wam też kiedyś pomogę. Będziemy mówić ludziom, że pracujecie u mnie jako dozorca. Mam znajomości w straży pożarnej, w ich stajni będzie można postawić waże konie. Tam ich nie ruszą. A my zabierzemy się do siekiery i hebla.

Po herbacie wzięli się do roboty. Na ścianie tykał zegar z kukułką. Gospodyni gotowała smaczny obiad. A tymczasem z pachnących, sennych desek powstawały obszerne, duże trumny.

— Dzisiaj w nocy — wecując ostrza hebli mówił Kużil — potańcujemy. Przyłóżcie się do roboty, kumie, żebyśmy nadążyli z obstalunkami.

W drodze na targ zobaczył Syła Żerdiaha kolumnę wojska. Na czele

jechał konno generał. Obok niego harcowało kilku oficerów. Za nimi maszerowali czwórkami żołnierze. Oddział najeżony był ostrymi, czarnymi bagnetami. Z tyłu jechały z łoskotem samochody pancerne.

Wydawało mu się, że jeszcze nigdy nie widział tylu żołnierzy, tak znacznych sił wojskowych. Nigdy nie widział takich samochodów okrytych ze wszystkich stron żelazem, z których poprzez otwory sterowały milczące i groźne lufy karabinów maszynowych. Żołnierze śpiewali i Żerdiasze zdawało się, że nigdy jeszcze nie słyszał tak wesołej i radosnej piosenki.

I gdzież im tam do tych żołnierzy -- przypomniał sobie Żerdiaha wojskowych, którzy przyjechali do ich wsi. — Ciężko będzie, ciężko!

Za pierwszą kolumną posuwała się druga. Żółto-niebieski sztandar powiewał na porannym wietrze. Zielone hełmy przypominały kolczaste zarośla na czarnej ziemi. Przeważali młodzi, tylko w pierwszych szeregach maszerowali ludzie starsi. Płynęła kpiąca piosenka:

*Hej, nie dziwcie się, dobrzy ludzie,
Temu, co się na Ukrainie stało...*

Dziwne było, że tej pieśni słuchał dorodny generał jadący na czele pierwszej kolumny oraz jego oficerowie i że w takt tego marsza idą żołnierze mający naramienniki, jak również ci inni, w zielonych hełmach. Ale Żerdiaha nie zwrócił na to uwagi — słuchał muzyki, widział przed sobą tylko siłę i przerażony był tą siłą kroczącego ulicą wojska.

Długo spoglądał za ostatnią kolumną, przed którą niesiono sztandar — czaszkę i dwie skrzyżowane kości na czarnym polu — i myślał o dziwactwach ludzi. Dopiero gdy kolumna z hałasem skręciła za róg, powoli ruszył na targ.

Ale nie doszedł tam. W głuchym zaułku, tuż za murami klasztoru, gąsior wysunął głowę zza Żerdiahowej pazuchy, trzepnął skrzydłami i zanim Syła się opamiętał, pobiegł przypadając aż do ziemi i gwałtownie podskakując w górę, a potem poleciał i znikł za budynkami wąziutkiego zaułka.

— Ot, i masz handel — rozłożył ręce stary. — Zaczęło się siora, a co będzie dalej?

W nocy obudzono wszystkich w zajeździe

— Gospodarzu! Czyje to konie? Wstawaj!

Kilku wojskowych chodziło i poszturchiwało rozespanych podróżnych, inni tłoczyli się na podwórku. W pobliżu stajni jak ryba w mętnej wodzie poruszała się latarnia zwana „nietoperzem“. Wyprowadzano konie, cienie ich — długie, cienkie nogi i olbrzymie głowy — chygotały na mokrej ziemi. Frant już także został odwiązany — wyprowadzono go na podwórze.

— Gdzie? Dokąd go prowadzicie? — krzyknął rozpaczliwie Żerdiaha.

— Nie pytaj dokąd, bo będziesz zbyt mądry! Zaprzęgaj prędzej, bo...

Przekonująco i wymownie pchnięto go w bok.

— Ja... My przecież chłopci... Tylko na targ — usiłował spierać się z nimi Żerdiaha.

Frant drżał. Przerażało go światło latarni, którą ktoś to podnosił w górę, to opuszczał w dół. Kręcił głową, wierzgał tylnymi nogami, nie chciał stanąć w dyszlach. Przerażony oddychał szybko.

W bramie wóz zaczął się osiść o deskę.

— Sam los nie pozwala, zostawcie starego!

— Poganiaj, poganiaj! Też mi stary!

Żerdiaha podszedł i popchnął unieruchomiony wóz.

Ulicami Czernihowa wozy sunęły jeden za drugim. Ludzie cicho rozmawiali ze sobą. Okna budynków były ciemne, zdawało się, że przejeżdżają ulicami wymarłego, opustoszałego miasta.

Co będzie? — myślał Żerdiaha. — Jak się to stało?

Obok wysokiego budynku z kopułami, których szczyty zlewały się z czarnym niebem, wozy zatrzymały się. Między budynkiem i wozami zaczęli szybko przebiegać ludzie. Brzęczało żelastwo, w skrzyniach groźnie przesypywały się naboje.

Może do domu? — przemknęło mu przez głowę. — Ale przecież stamtąd idzie natarcie...

I chociaż dopiero jeden dzień był poza domem, chociaż uciekł i nie chciał być we wsi, którą zajęli straszni, nie znani nikomu żołnierze, w tej mroźnej godzinie nocej poczuł gwałtowną ochotę, aby znaleźć się we własnej, ciepłej chacie.

Grzechotały w skrzyniach naboje, on zaś wciąż myślał o domu, o przeciągłej piosence świerszcza, który zaszył się na zapiecku i trze tam skrzydełkiem o skrzydełko ciesząc się z ciepła. Żerdiaha bardzo

chciał wrócić do domu i nawet usiłował w siebie wmówić, że wozy na pewno skierują się na północ, do jego wioski.

— Poganiaj! — na skrzyniach leżących na wozie siadło nagle kilku ludzi. — Poganiaj szybciej!

I Żerdiaha, wciąż myśląc o rodzinnym domu, uderzył batem konia, nasunął czapkę na oczy i przygotował się do jazdy w ciemnościach nocnych po drodze, gdzie znana mu była każda wyrwa i każdy zakręt. Przed nim na drodze turkotały wozy, reszta wozów gubiła się z tyłu w ciemnościach. Wozy kluczyły ulicami, skręcały raz na prawo, raz na lewo, czarne budynki jak pomniki cmentarne majaczyły w ciemności.

Wkrótce będzie mostek — rozmyślał. — Dalej step. Droga na Horodnię. A tam... — Nagle gdzieś w pobliżu zagwizdała lokomotywa. Pod kołami zadźwięczały szyny. Tabor wozów mijając stację jechał dalej, wyjeżdżał z Czernihowa, oddalał się od jego wsi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nocowali w obcej, nieznałej wsi. W ciągu dnia ujechali niewielki kawałek drogi. Zdawało się Żerdiasze, że jest blisko domu — jeszcze trochę, może dzień, a zajedzie tam. I ta bliskość domu najbardziej go niepokoiła. Choć noclegi spędzał razem z innymi woźnicami, sypiał jednak źle — kilkakrotnie budził się w nocy i wychodził na podwórze, aby popatrzeć na Franta.

— Tak blisko, a takie wszystko obce.

Obce parkany rozdzielały obce ogrody, śnieg leżący na polach był jakiegoś dziwnego, popielatego koloru i nawet niebo było nie takie ciepłe i bliskie jak w domu, gdzie zdawało się, że można by je dosięgnąć ręką — tu było dalekie, zimne i obce.

— Posuńcie się trochę, ziomku — położył się na ławce obok innego woźnicy.

Wojskowy, który jechał na jego wozie, znikł, gdy tylko przyjechali do wsi, i przyszedł dopiero przed świtem — pijany, ubłocony.

Znowu jechali cały dzień, wciąż oddalając się od Czernihowa i od domu. Jeżeli pierwszego dnia Żerdiaha z trwogą oczekiwał wieczoru, to drugiego dnia czekał go już spokojniej — no cóż, trzeba jeszcze raz nocować w obcej chałupie, jeszcze raz poczuć, jak wokoło nie śpi, ciężko przewracając się w bezsennej noc, obca wieś. Niepokoiło go co

innego — kończyły się zapasy jedzenia — skąd ma je wziąć na przyszłość? I zupełnie nie wiadomo, kiedy się to wszystko skończy? „Czy nas wynajęto, czy jesteśmy niewolnikami?” — miał ochotę krzyknąć.

Ale krzyk nie wyrwał mu się z gardła. Rozpościerał się przed nim step. Żerdiaha coraz bardziej oddalał się od domu. Szedł z trudem, wyciągając nogi z lepkiego błota, wciąż zastanawiając się — co zrobić, jak postąpić?

Przypomniał sobie sąsiada Remeza.

— Nabral mnie, wyciągnął z domu i porzucił. I jeszcze nazywa się moim kumem. Tfu!

Tak minęło kilka dni. Daleko odjechał od domu w tym czasie Syła Mynowicz Żerdiaha. Nadchodziła nieunikniona, nieubłagana zima, na stepie hulała już zamieć. Długo męczył się Frant ciągnąc naładowany wóz, a potem zaczął ustawać; w wioskach, gdzie nocowano, inni wojskowi zdobywali dla swych woźniców owies i siano, rozbijali komory, otwierali stodoły. Ale wojskowy, który jechał z Żerdiaha, nie dbał o nic...

Frant zmarniał, często w nocy kładł się, stękał, z trudem podnosił się z rana, a Żerdiaha patrzył na niego ze współczuciem.

— Nie wytrzyma, nie pociągnie już długo! Cóż wtedy zrobić? Biedny ty mój koniku. No i co zrobimy, Francie?

Na przedzie jechał samochód, za nim długim szeregiem ciągnęły wozy. Kropił deszcz, przemoczył odzież, siano na wozie. Z rana chwycił mróz i lód cieniutką skorupką okrył ludzi, konie i wozy. Było bardzo zimno, więc woźnice biegli obok wozów, zabijali ręce i rozpytywali innych:

— Skąd wy?

— Spod Olewska.

— A my z Żytomierza. Już od dwóch tygodni w drodze. Jak maszyna!

Zatrzymali się, zapalili papierosy schylając się nisko dla osłony przed wiatrem. I znowu biegli za wozami, nie wiedząc, dokąd ich pędzą i po co... Jechali dalej, zawracali, potem na prawo, znów z powrotem, kluczyli między kurhanami, starymi mogiłami. Ponieważ szare chmury stałe zakrywały niebo, woźnice nie widzieli wcale słońca i zagubili kierunek, w którym znajdowały się ich wioski i domy.

Syła Żerdiaha nic już nie rozumiał. Pewnego poranka odważył się podejść do jednego z wojskowych, żeby się poskarżyć...

— Jesteśmy ze wsi, niepiśmienni. W domu mamy tyle pracy. Zostały tylko dzieci i stara. Pozwólcie nam odejść, wasza wielmożność. Jak długo jeszcze będziemy jechać?

„Jego wielmożność“ spojrział na Żerdiaha takim wzrokiem, że aż serce w nim zamarło. Więcej już nie pytał i nie miał ochoty pytać. Zrozumiał, że „jego wielmożność“ nie odpowie mu, a jeżeli on, Żerdiaha, piśnie jeszcze słowo, to może być z nim źle.

Jechali dalej w milczeniu. Woźnice pożywili się na wozach, czerstwy chleb rozmoczyli w wodzie z krynicy stepowej.

Jadący na przedzie samochód zepsuł się. Wozy stanęły pośród srebrzących się kałuż. Żerdiaha z tłumem chłopów stał niedaleko samochodu. Siedziała w nim otulona w futro młoda kobieta. Kierowca kręcił się dokoła samochodu, próbując zapuścić silnik.

— Nie ruszy — z przekonaniem i twardo powiedział wreszcie. — Tu będzie zimować.

I wydało się to tak oczywiste, że aż śmieszne: samochód za nic nie ruszy z miejsca, żeby Bóg wie co robiono. Będzie stał tu na stepie, jego serce — silnik, zastygnie.

— A właśnie że ruszy! — krzyknął dowódca.

Obudziło to zainteresowanie — jak może zapalić taki silnik? Przecież kierowca zna swój samochód.

— Wyprzęgać konie z wozów, tu przyczepić linki — dowódca wskazał reflektory samochodu. — Bierzcie tego konia i tamtego — stał przed furami oglądając konie.

Mój Frant nie nadaje się, pomyślał Żerdiaha. — Dobrze, że to taki marny koń.

— Zaprzęgać do samochodu i pojedziemy dalej... — kończył wybierać konie dowódca.

— Ojczulku..., panoczku, a wozy? Jak wrócimy do domu? — otoczyli go kołem.

Mocnymi więzami przymocowano linki do reflektorów i do przedniego zderzaka samochodu zaprzężono konie, woźnice podnieśli baty, huknęli, zakrzyknęli — w głosie ich dźwięczał ból — samochód ruszył na czele długiego taboru. Wozy, które pozostały w stepie, długo jeszcze czerniały z daleka.

Po obiedzie zaczął prószyć drobny śnieg. Kałuże zamarzały, błoto oblepiło koła wozów — konie szły z trudem, naciągając postronki.

Czas płynął powoli. Syła Żerdiaha często pomagał konłowi ciągnąć, a mimo to pod wieczór znalazł się na końcu taboru.

Idąc obok Franta karmił go sianem z ręki. Ale to nie pomagało: koń przystawał coraz częściej. I oto już Syła Żerdiaha znalazł się nie na końcu taboru, ale pozostał daleko w tyle. Na wozie siedział żołnierz: widział, że Żerdiaha nie nadąza i pozostaje z tyłu, ale ponieważ wóz nica popędzał konią z całych sił, nie odzywał się.

Wreszcie wybuchł. Gniewnie spojrzzał na błoto dookoła, pokręcił kilka razy głową i zeskoczył z wozu.

— Popędzaj mocniej. wujaszku! — krzyknął. — Bo my...

Pobiegł, by dopędzić tabor, który czerniał daleko na przedzie i zniknął już w parowie.

— Doganiaj! — krzyknął z daleka jeszcze raz. — Do-ga-niaj!...

I Syła Żerdiaha pozostał sam w polu. Sam ze swym koniem. Nadchodziła noc. Na wozie leżała broń. Z konia buchała kłębami para. Trzeszczał lód na kałużach. Śnieg padał coraz gęściej.

— Wio! — zawołał Syła. — Wio, koniku! Wio!

Frant szarpnął kilka razy, koła poruszyły się... i zatrzymały.

— Zginiemy! — krzyczał rozpaczliwie Syła Żerdiaha. — Zginiemy marnie!

Okladał Franta biczyskiem, ale ten stał nieruchomo, jakby nie czuł razów; pochylił głowę do ziemi, ciężko dyszał. Żerdiaha bił coraz mocniej, wreszcie podskoczył i ze złością kopnął go w brzuch — nie nie pomogło, koń nie miał sił uciągnąć tak ciężkiego wozu.

Wówczas Żerdiaha rozejrzał się dokoła. Tabor znikł we mgle. Czarne ślady pozostawione przez mnóstwo wozów ciągnęły się aż do parowu, ale już przysypywał je śnieg. W polu było cicho, niekiedy powiewał wiaterek donosząc z daleka czyjś kaszel — i znów cisza zaległa pole.

Żerdiaha śpieszył się. Podszedł do wozu i spróbował zrzucić z niego ciężki karabin maszynowy. Karabin czepiał się kół nóżkami, jak gdyby był żywym stworzeniem, potem z głośnym szcękaniem wpadł do kałuży. Śpiesząc się coraz bardziej, zrzucił Żerdiaha skrzynki z nabojami. Zrzucił także dziesięć karabinów. Na samym dnie skrzyni leżało kilka taśm z nabojami do karabinu maszynowego. Podnosząc je wysoko nad wozem, jakby to były powróśla, zrzucił także taśmy z nabojami. Wóz był opróżniony.

Żerdiaha otarł czoło. Zgrzał się. Rozpiął kożuszek. Kilka minut stał w milczeniu, rozmyślając nad czymś uparcie i odpoczywając.

Potem nachylił się nad zrzuconą z wozu bronią i wybrał najmasywniejszy karabin. Położył go na wóz pod słomę. Schylił się nad napęczętą skrzynią z nabojami, wziął dwadzieścia sztuk i też włożył na wóz.

— Na wszelki wypadek mogą się przydać.

Podszedł do konia.

— No, teraz pojedziemy... — powiedział łagodnie i serdecznie. Nawet poklepał konia po szyi. — Odpocząłeś i wóz lżejszy. Jedźmy, Franciel!

Koń wysilił się, szarpnął wóz, zrobił kilka kroków.

— Wio! wio! — biegł popuściwszy lejców Żerdiaha. — No, Franciel! Wio, gołąbeczku!

Koń stał w miejscu. Nie mógł uciągnąć po błocie tego przekleście ciężkiego wozu. Koła były jak kamienie młyńskie, wóz mokry.

Żerdiaha podszedł do konia.

— Ot i przyjechaliśmy — powiedział ze złością. — Ot i masz! Ech, niedźny z ciebie Frant! Do diabła z takim frantem!

Dalej działał już szybko. Zabrał się do chomąta. Chciał rozluźnić suponię. Zziębnięte palce nie usłuchały go — rzemienie namokły, napęczniały; męczył się i nie mógł ich rozsupłać. Wówczas wyjął błyszczący scyzoryk (niegdyś na jarmarku zapłacił za niego całego karbowańca) i przeciął pośpiesznie rzemienie. I jednocześnie przeciął rzemień hołoblowy, nawet nie próbując go rozwiązać. Koń z łatwością wyszedł z hołobli i cichutko zarżał zrozumiawszy, że nie ma za nim z tyłu ciężkiego wozu.

— A, poczułeś swobodę, bodajbyś szczeł!

Żerdiaha wrócił do wozu. Wyjął karabin i niezręcznie, jak młody, niewprawny myśliwy, zawiesił go na piersi. Ręce zaczęły mu drżeć.

— Zmarzłem, czy co?

Ale nie było mu zimno. Przeciwnie — spocił się, buchał parą.

Sprawnie zebrał z dna wozu naboje, przeliczył.

— Zdaje się, że dziewiętnaście. Brakuje jednego. Gdzie się podział?

Pogrzebał i znalazł brakujący nabój — leżał wśród śmiecia na dnie wozu. Naboje były wszystkie — dwadzieścia sztuk. Wsypał je, jak orzechy, do kieszeni.

Wtedy chwacko wskoczył na konia. Ruszył z powrotem, do Czernihowa! A tam dalej rodzinna wieś!

— Dobrze, że mi się udało wymknąć. A mogło być gorzej. Mogłoby być tak, że...

Przejeżdżając obok wozu zatrzymał konia. Stał chwilę nad wozem jak nad grobem. Minął kupę broni leżącej na ziemi.

Iluz to ludzi może zły człowiek zabić z tej broni. I jak długo jeszcze będą trwały wojny? Jak długo jeden człowiek będzie zabijał drugiego? Kiedy będzie temu koniec?

Pojechał dalej i znów stanął. Nie myślał o zatrzymaniu się, ale ręce same ściągnęły konia, który stanął posłusznie.

Co się ze mną dzieje? Czemu? Syło Mynowiczu! Co ci jest?

Obejrzał się. Niedaleko czerniał wóz i kupa leżącej na ziemi broni. Trzeba jeszcze trochę odjechać — a nie będzie tego widać.

Raz już zatrzymawszy konia nie mógł się zdecydować, aby jechać dalej. Dokąd jechać, co czeka go w drodze?

Może się natknąć albo na petlurowców, albo na czerwonych.

Co powiedzą petlurowcy, gdy spotkają go samego na stepie?

Gdzie byłeś — powiedzą — Syło Mynowiczu, i dlaczego teraz wracasz do Czernihowa, skoro my stamtąd uciekamy? Chcesz uciec od nas? Nie, nie uciekniesz. Jeżeli tak — to żegnaj się ze światem.

A jeśli spotkają go czerwoni, to wtedy:

Czemuż to ty, Syło Żerdiaha — zapytają — znalazłeś się tu, za Czernihowem, kiedy powinieneś być w swej rodzinnej wsi? Mówisz, że cię nastraszył Remez? Przecież masz swój rozum. Przyznaj się, przystałeś do petlurowców i już nawet masz karabin. Wojować chcesz? Cóż — dograłeś się, złaż z konia.

— Nie zleżę — powiedział Żerdiaha i sam się zdziwił, jak donośnie zabrzmiał w stepie jego głos.

Spod miedzy, przestraszony zapewne dźwiękiem jego głosu, zerwał się nocny, szerokoskrzydły ptak i poleciał nisko nad ziemią, pohukując załośnię.

Żerdiaha jeszcze raz rozejrzał się dokoła. I Frant, posłuszny wędzidłu, zatoczył kółko w miejscu.

— Ruszaj — powiedział Żerdiaha. — Ruszaj, Francie.

Koń ruszył posłusznie śladem taboru, który już od dawna znikł w ciemnościach.

Syła Żerdiaha dopędził wozy w chwili, gdy już dojeżdżały do wsi. Było zupełnie ciemno. Obce pola, jakieś zupełnie inne niż jego własna chata domy o spiczastych dachach, o malowanych okiennicach, otoczone wiśniowymi sadami. Całkiem inaczej niż w domu. Smutek go ogarnął, gdy wjechał w ulicę, bał się, że przyłapią go petlurowcy, domyślał się, iż porzucił na stepie wóz z bronią, i ukarzą go.

Ale gdy po ostrym wietrze w stepie jechał ciepłą ulicą i dołączył do ostatnich wozów, nikt nie podszedł do niego i nikt nie zainteresował się, dlaczego znalazł się tu bez wozu.

Dopiero gdy mijali jakiś oświetlony budynek — gminę czy szkołę — poznał go w smudze światła i podszedł do niego żołnierz, który od samego Czernihowa jechał na jego wozie.

— A — a — a — podszedł bliżej — mój ziomek. I ty tutaj?

— Tak, ja... Mój koń nie mógł uciągnąć wozu. Chwyciło go, zrozumiałem, że to nie przelewki... Odkarmię go tu na wsi i wrócę po wóz. Bo tam została taka dobra broń.

— Do diabła z bronią. Też jest czego żałować. W pierwszej napotkanej wsi dostaniemy broń. Dowódca już wydał rozkaz, aby przetrząsnąć całą wieś. Przepędzą ich przez kije — to wydadzą broń. A co poczniesz teraz? Może podarujesz mi konika, a sam wrócisz do domu?... — I roześmiał się: — Lepiej sam daj, bo i tak ci zabiorę.

Przypadnie Frant — pomyślał Żerdiaha. — Tyle się z nim namęczyłem, a teraz...

— Po cóż to mam iść do domu? — udając wesołość powiedział do żołnierza. — Może przystanę do was.

— Ho! ho! ho! — zaniósł się śmiechem żołnierz. — Toś ty taki, bratku! To rozumiem. Powiększa się nasza gromada.

Wozy jechały zaciszną, wiejską ulicą. Skrzypiały na mrozie drzwi chałup. Błyskały ogniki papierosów. Wydawało się nawet, że ociepliło się na dworze.

— Rozbiegli się nasi — powiedział nowy przyjaciel. — Zanocujemy razem. Chodźmy do tej chałupy. Od razu się gospodarze rozwesela, gdy tam wejdziemy.

Otworzyła im drzwi kobieta. Właściwie Żerdiaha nawet nie zauważył, czy to ona otworzyła, czy też drzwi same się otwarły, gdy uderzył w nie nogą jego przyjaciel. Weszli do ciemnej chaty.

— Czemu nie zaświecicie? Przyszła armia wyzwolicieli, a oni wygrzewają brzuchy na piecach.

— Zaraz, zaraz — powiedziała kobieta zapalając zapalną.

— Od razu tak trzeba mówić — usiadł ciężko na ławie przyjaciel Żerdiahy.

Kaganek zatrzepotał sinym jęczyzkiem ognia. Promyk światła przebiegł po chacie. Kobieta postawiła kaganek na kominie, żeby było jaśniej. Sama stanęła przy piecu.

Chata była obszerna. Prowadziły z niej drzwi do komory. Na podłodze leżała słoma.

— A gdzie twój mąż? — gniewnie zapytał przyjaciel Żerdiahy.

— Nie mam męża. Jestem niezamężna.

— Gdzie ojciec?

— Ojca z wozem popędzili do Kijowa. Pojechali przedwczoraj i jeszcze nie wrócili.

— Takie to czasy, wszystkich zahaczają — przytaknął przyjaciel.

— No to stawiaj przed nami wieczerzę, póki nie nadszedł czas śniadania. Bośmy głodni jak wilki.

Wyszedł na chwilę i przyniósł flaszkę samogonu.

— Jak ja zechcę — mówił — to nawet umarły zagada. Widzę każdego na wylot. Nazywaj mnie Hawryło. Hawryło Kłymowicz Saż. A ty, dziewczyno, postaw lampę na stole i dawaj prędzej jeść.

Gdy dziewczyna stawiała na stole kapustę, ogórki i chleb, Syła Żerdiaha przyjrzał się jej. Była młoda. Hawryło tylko mrugnął na niego:

— Patrz! Jak ogóreczek! Nie turbuj się — głośno powiedział do Żerdiahy, zaprzątniętego własnymi myślami — ja zawsze dopnę swego. Nikt mi się jeszcze z rąk nie wymknie. Przejdziemy przez ogień i wodę i nic nam się złego nie stanie.

Syła Żerdiaha zrozumiał. Hawryło mówił o dziewczynie. Przestraszył się. Taka młoda! I nic nie poradzi, nie obroni się. Jeśli będzie się opierać — zginie!

Ale nic nie powiedział.

— Skąd jesteś? — zapytał Żerdiaha żołnierza.

— Z miasteczka Raduli... niedaleko stąd, nad Dnieprem. Od niepamiętnych czasów siedzimy w Raduli. I moi ojcowie, i ojcowie

moich ojców zawsze tam mieszkali. A teraz nie dają nam żyć. Co komu do tego, że mój ojciec ma osiem foluszów * na Dnieprze? Mamy oddać je za darmo, czy jak? Może ci coś jeszcze dodać? I zawrzało mi w sercu. Zabierasz moje dobro — nie daruję ci. Ojciec został w domu, pilnuje foluszów, a ja ruszyłem z wartą ** i zalałem sadła za skórę tym złodziejom. Teraz się cofamy. Nie zakosztowałaś jeszcze takiego życia? To nic, przywykniesz, jakbyś nigdy inaczej nie żył.

Żerdiaha przypomniał sobie swego syna Denysa i ostatnią z nim rozmowę.

— U mnie jest na odwrót — powiedział. — Syn pozostał w domu, a ojciec musiał uciekać. Nie mamy foluszów. Brak nam odpowiedniej rzeczki. Mam sześć dziesięcin ziemi i też ich nie oddam. Wara od mojej ziemi. Spłacałem bank przez całe życie. Nie dojadłem, nie wypilem. To moja krwawica. Więc poszedłem. Syn niech pilnuje domu.

— Jak się nazywasz? — zapytał Hawryło stojącej przy piecu dziewczyny.

— Maria... Maria Purga.

— Piękne masz imię. Proste, ale ładne.

Maria podeszła do okna.

— Komuniści ustanawiają monopol na zboże — ciągnął Hawryło. — Też pomysł. Ty pracuj przy zbożu, a oni zabiorą ci wszystko. Mówią, że w Petersburgu i Moskwie głód. Co mnie to obchodzi, że ktoś jest głodny? Niech nawet wszyscy wyzdychają, bylebym ja miał.

— U nas hetman skasował monopol — wtrąciła się Maria.

— I co? — zapytał Żerdiaha.

— Płacili sto i dwieście za pud, a teraz nawet za pięćset się nie dostanie — odpowiedziała Maria. — Zabrakło chleba. I nie ma nici ani nafty... Dokąd tak będzie? Spódnice szyjemy sobie z worków.

— Mądrze mówisz — powiedział Hawryło. — Nie jak dziewczyna, ale jak agitator. Pokocham cię nawet w tej parcianej spódnicy.

I tak spojrział na dziewczynę, że skamieniała. Usiadła w kącie i zamilkła. Tylko oczy jej błyszczały.

Przygotowywali się do spania. Byli pijani.

* Folusz — młyn blecharski do filcowania tkanin.

** Warta — oddziały straży hetmańskiej.

— Właż na piec — powiedział Hawryło do Żerdiaha. — Ja ulokuję się tutaj na dole.

Żerdiaha wiedział, do czego zmierza Hawryło. Dziewczyna patrzyła na niego błagalnie, jak gdyby prosząc o pomoc.

I cóż poradzę? — myślał Żerdiaha. — Zwykła ludzka niedola.

W tej samej chwili ktoś zapukał do okna. Przyszedł rozkaz dowódcy — natychmiast pomimo nocy ruszać dalej.

Żerdiaha po ciemku siodłał konia. Położył zamiast siodła kawałek plachty i wyjechał na ulicę. Hawryło wybiegł gdzieś. Dziewczyna zamknęła drzwi. Żerdiaha przyłączył się do oddziału. Nad wsią unosiły się rozpaczliwe głosy: kwiczały świnię, ryczały krowy, psy ujadły po kątach. Ktoś nie opodal lamentował.

Maria długo stała w sieni. Petlurowcy opuścili chatę. Minął strach. Wyszyły wilki z chałupy. Została sama. Całe ciało dygotało z radości, że los ją oszczędził. Bała się poruszyć. Ktoś przebiegł za chałupą, ulicą przejeżdżali konni. Ktoś krzyknął w pobliżu.

Ach, gdybyż jak najszybciej wyjechali ze wsi. Jeżeli teraz ktoś spróbuje wdrzeć się do chaty, nie wpuści. Zębami wpije się w zasuwę, stanie murem na progu, będzie walczyć w milczeniu, bez słowa.

Przez cały ten czas myślała o ojcu.

Ukrył się w ogrodzie. Mówiła mu, żeby się nie ukrywał. Co by mu zrobili? Nie, nie posłuchał, żal mu było konia. „Boję się — powiedział — wilków“. Gdzieś tam poszedł go ukryć. Na pewno siedzi w stodole okolonej leszczyną.

Wszystko dokoła ucichło. Zamilkła wieś. Cichutko otworzyła drzwi. Skrzypnęły, a jej się wydało, że ten skrzyp przeleciał nad wsią jak grzmot.

Gdzieś daleko za wsią, już na grobli, słychać było turkot wozów. We wsi trwała pełna napięcia cisza. Nawet psy zamilkły.

Nie zamknęła chaty. Prędko pobiegła do stodoly.

— Tato! Tato!

Wiatr poruszał krzakami leszczyny, mgła podniosła się i osiadała nad błotem. Nikt się nie odezwał.

— Tato!

Stanąła przed stodolą.

Boi się... milczy. Pewno nie poznaje po głosie.

I czego ja tu stoję? Przecież tam już nikogo nie ma. Tamci wszyscy już ze wsi odeszli. Prędszej otworzyć drzwi. O tak! Ale one są otwarte.

— Tato! Tato! — szeptała.

Nikt nie odpowiadał. Maria zaczęła biegać po stodołę dotykając rękami miękkiego, pachnącego siana. W kącie, gdzie ojciec zwykle przywiązywał konia, było pusto. Tylko wiatr gwizdał w górze pod dachem stodoły. Wiatr hulał i na dole — przenikał całe ciało na wylot.

— Cóż to jest?... Tato!

Poszła na klepisko. I nagle potknęła się.

— Oj, mamol!

Pochyliła się, wyciągnęła ręce przed siebie i palce dotknęły brody ojca. Poznała — broda była miękka jak len. Od razu wszystko zrozumiała.

— Boże!

Nie wiedziała nawet, kiedy i jak wybiegła ze stodoły do chałupy, wypadła na ulicę i zaczęła lamentować.

Z drugiego końca wioski odpowiedział jej krzyk innej kobiety.

Wyjeżdżającego ze wsi Żerdiaha dopędził Hawryło. Nie piechotą — jechał już na dobrym koniu. Koń się opierał, stawał dęba.

— Syło... Syło Żerdiaha! — krzyczał Hawryło. — Hop! Hop!

Pojechali obok siebie na czele taboru, w pobliżu samochodu.

— Wszystko jest tak jak w naszej wiosce — zaczął Hawryło:

*Nawet król nie ma takiego konia —
Mój koń ma bujną, złocistą grzywę,
Srebrne kopyta, ogon perłowy.
Rozjaśnia stajnię grzywa złocista,
I kamień kruszą kopyta srebrne,
A ogon z pereł ślady zamiata.*

— Cóż bym począł bez konia? My wojujemy, a oni będą się wylegiwać? Poszedłem do ogrodów, zajrzałem do jednej stodoły, do drugiej. Widzę w ciemnościach, a oczy mam jak sowa, że na klepisku stoi koń. Oho, myślę, on tutaj, mój orzeł. No to ja do niego, chwyciłem go za grzywę. A gospodarz wypadł z kąta i do mnie. Palnąłem go tym, co się nawinęło pod rękę, może widłami. Zły byłem, złość przechodzi na ręce: przebiłem go na wylot. Zaharczał tak, jakby się

roześmiał. Będziesz mi się śmiał jeszcze. Na konia i hajda. Czy nie wyglądam na kawalerzystę? Wio, przeklęty — uderzył konia. I dodał:
— Głupie bydlę, ale czuje wszystko.

Żerdiaha nie mógł zrozumieć, dlaczego Hawryło klnie i narzeka na gospodarza, który ukrył przed nim swego konia. Przecież tak samo ukryłby swego Franta i on, Syła Żerdiaha. Czyż Hawryło nie ukrywa przed ludźmi swego folusza? Dlaczego zabił człowieka? Aż strach było jechać obok niego. Ale gdzie i z kim ma teraz jechać? Wszystkim jest obcy. I jemu wszyscy są obcy.

Śnieg już nie padał. Szara płachta stepu leżała przed nimi. Na przodzie konie ciągnęły samochód. Jak czarny wąż wiła się kolumna jeźdźców, piechurów i wozów. Gwarem cichych rozmów szemrał step.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Drapieżnicy zaczynają walczyć ze sobą dopiero wtedy, gdy ofiara leży już przed jednym z nich. Dopóki zdobycz jest daleko, mkną, gonią ją jak zgodna rodzina. Amerykanie i Anglicy, chociaż działa nie zdążyły jeszcze ostygnąć po walkach z Niemcami, Austriakami i Rumunami, dostrzegli łakomy kasek w Ukrainie Wschodniej; ogromne przestrzenie, kopalnie, rzeki, morza...

Okręty wyłaniają się z mgły Morza Czarnego, zjawiają się na reddie odeskiej i angielski kontrtorpedowiec staje obok francuskiego krążownika... Na pancerniku „Mirabeau“ przybywa misja francuska; kapitan Langéron stoi na pokładzie pancernika i przygląda się Odessie.

Następnie przybywa oddział Serbów, ląduje legion polski. Z morza nadpływa wielki pancernik angielski „Superbe“, za nim włoski krążownik „Accordante“.

Odessa pełna jest panków, którzy po objęciu władzy przez hetmana uciekli aż tu z Kijowa lub ze swych majątków, bądź też umknęli z Moskwy. W „Hotelu Londyńskim“ zamieszkała ze swymi freilina-
mi * żona księcia Michała Aleksandrowicza. Suchomlinowowie — ojciec i syn, krewni byłego carskiego ministra spraw wojskowych — rozbijali się po mieście w czarnych, lśniących ekwipażach. Właściciel w elu majątków hrabia Sumarokow-Elston z córką i zięciem wyda-

* Freilina (niem Fräulein) — panna z arystokratycznej rodziny, dama dworu.

wali bale. Hrabia i hrabina Pahlen, były prezydent miasta Odessy Pelikan, przemysłowiec Wilkoczewski, księżę Lieven, księżę Trubeccki, baron Renault, baron Ungern-Sternberg, hrabia Koczubej... zlecieli się wszyscy do Odessy jak kruki.

Gdy okręty wysłane przez amerykańskich i angielskich kapitalistów zjawily się na odeskiej redzie, panowie tłumnie wylegli na bulwar nadbrzeżny. Było dużo późnych, jesiennych kwiatów, grała muzyka. Cudzoziemcy wychodzili na brzeg.

Morze się pieni, na straży stoją trzy torpedowce i wielki pancernik „Ernest Renan“. Z czterech transportowców pod osłoną dział „Renana“ i torpedowców wychodzi na brzeg desant francuski. Wraz z desantem przybył naczelny dowódca francuskich sił morskich w Dardanelach, generał Amette. Z Galaczu przyjeżdża generał Barthelot. Dowództwo sprzymierzonych mianuje gubernatorem trzydziestoletniego generała, „ulubienica dam“, awanturnika Griszina-Almazowa. Natarcie zaczyna się z południa. W Jassach panuje febra. Ze wszystkich stron zlatują się tam kapitaliści rosyjscy — Milukow, Szebeko, Hurko, Riabuszyński — handlują Rosją i targują się.

Wczorajsi wrogowie stają się przyjaciółmi, gdy się nadarzy okazja polowania. Nowy rząd niemieckiej zapomina o Verdun, o marszu na Paryż... Jakież to wszystko dalekie teraz, gdy w Rosji zaczęła się rewolucja, gdy na wschodzie powstał robotnicy i chłopci przeciwko panom, gdy burzą tam podstawy własności.

Foch, który jeszcze tak niedawno prowadził swe dywizje przeciwko Niemcom, żąda, aby dywizje francuskie i niemieckie szły razem na Rosję. W tym samym czasie, gdy w Odessie ląduje desant sprzymierzonych, w Berlinie tworzy się specjalna „Żelazna Dywizja“ do walki z bolszewikami. Winning w krajach bałtyckich organizuje korpus ochotniczy generała von der Goltz. Piłsudski ogłasza powszechną mobilizację.

Niemcy wyciągnęli rękę do sprzymierzonych, sprzymierzeni — do Niemców. Zdaje się, że jeszcze wczoraj byli wrogami. Ale dziś nie są już wrogami. Imperialistyczna Anglia, Francja, Niemcy i Wuj Sam zza oceanu — zawsze są przyjaciółmi.

Wieczorem odbył się bankiet na cześć ukraińskich oficerów z Galicji. Przemawiali, wysoko wznosząc kielichy, posłowie parlamentu

austrjackiego i sejmku galicyjskiego, narodowi demokraci i radykałowie. Mowy ich były prawie jednakowe, składały się ze słów: „Wielka zjednoczona Ukraina“, „Chwała“ i „Niech żyje!“.

W przedziale kolejowym polski arystokrata mówił o granicach z 1772 roku. Jadący z nim uczony żydowski rozwijał fantastyczny plan zaludnienia Palestyny Żydami, ale takimi, z których każdy miałby nie mniej niż dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów, i drobniawo omawiał życie przesiedleńców po przeprowadzeniu owego planu. W chwili gdy uczony przeszedł do projektu założenia ogromnych stawów w całej Palestynie i zarybienia ich szczupakami i leszczami — Rakow usnął. Śniło mu się, że trafił do ogromnej sieci i wokół niego, w wodzie, pełnej wodorostów, pływają szczupaki i leszcze i że największy szczupak ma głowę Winniczenki, a leszcz leżący na dnie i leniwie poruszający pletwami ma oczy i głowę zupełnie jak Petlura. Leszcz wypuszczał z pyska pęcherzyki powietrza i w wodzie powstawały dźwięki przypominające głos Petlury, gdy się gniewa. Potem szczupak podpłynął od tyłu do leszcza i usiłował go połknąć, leszcz zaś bił ogonem i wyglądał teraz jak wierzgający koń. Przed świtem pociąg, z hukiem uderzając buforami, zatrzymał się w stepie. Rozległo się kilka wystrzałów. Ktoś krzyknął.

— Wejść! — obudził się generał Miedwiediew. — Przyjechaliśmy — zwrócił się do Rakowa, gdy zrozumiał, że nikt do drzwi nie pukał.

— Diabli wiedzą — wyrzwał przez okno Rakow. — Noc czarna jak bawarskie piwo. Żeby czasem...

Po jakie licho zgodziłem się jechać z tym reakcjonistą? — pomyślał.

Do sąsiedniego wagonu weszli wojskowi. Dźwięczała broń, uczony żydowski krzyknął coś o Palestynie i szybko zaczął powtarzać w kółko słowo „tysiąc“. Wszystko jednak zakończyło się pomyślnie.

— Bandyci — szepnął Rakow i tak nieprzyjemnie ścisnęło mu się serce, jakby świeżą ranę posypano mu solą. — Niech pan choć swe szlify generalskie...

— Nic podobnego! — obruszył się w ciemności Miedwiediew. — Zobaczy pan, że nic nie będzie.

Drzwi przedziału otworzyły się ze skrzypieniem. Konduktor zaświecił latarką. Ktoś niewidzialny — zaledwie można było dostrzec,

że jest w kosmatej czapce i burce kaukaskiej — zapytał huczącym basem:

— Kto tu jedzie?

— Delegacja Ukraińskiej Republiki Ludowej — odpowiedział bardzo pewnie Miedwiediew. — Pełnomocnik Rakow i generał Miedwiediew.

Na korytarzu odbyła się lakoniczna rozmowa.

— Czy nie było rozkazu bat'ki o takich jak oni?

— Niech jadą... Do diabła z nimi.

— Nie rusz ich.

— Będzie jeszcze więcej anarchii.

Drzwi zamknęły się z takim samym przeraźliwym skrzypnięciem.

— Ruszaj — huknął pod oknem potężny głos. — Kręć Hawryło, aż dokręcisz do mogiły.

— Ala! la! la!... — zawtórowały dziesiątki głosów.

— A pan się bał — powiedział generał Miedwiediew. — Wszystko tak się poplątało, że nikt się w tym nie połapie.

Odwrócił się na drugi bok i natychmiast zasnął.

Stacje pod Odessą już były zajęte przez Francuzów. Ich żołnierze, w czerwonych czapkach, siedzieli zgarbieni na platformach przejeżdżających pociągów pod łożami dział, nie rozumiejąc, dokąd ich wiozą i po co. W miasteczkach, na osiołkach, sięgając nogami ziemi, paradowała „Jezusowa kawaleria“ — Grecy. Strzelcy szkoccy spacerowali w swych spódniczkach — szczupli, obcy, obojętni na to, co się dzieje wokoło nich.

Na stacji Wygoda pociąg Dyrektorii zatrzymano. Weszło doń dwóch oficerów. Jeden z nich, wysoki brunet, oznajmił, że nie może przepuścić pociągu, dopóki nie rozmówi się ze sztabem generała d'Anselme'a.

Ten jest z Połtawszczyzny — pomyślał Rakow o drugim oficerze francuskim. — Przebrał się za Francuza. Francuskie są tylko kamasze i płaszcz.

Pociąg stał przez kilka godzin na stacji. Na peronie śpiewali żuawi,* a pieśń to była przeciągła, leniwa i beznadziejna, niczym ruch

* Żuawi — żołnierze oddziałów piechoty francuskiej, utworzonej w Algierze w 1831 r.

piasków na pustyni. Jakiś Szkot tak samo tęsknie grał na kobzie, bezustannie dmąc w miech.

Po jakimś czasie niespodzianie zjawił się polski arystokrata i żydowski uczonek, którzy zniknęli, gdy tylko pociąg stanął na stacji.

— Wszystko ułoży się jak najlepiej — powiedział arystokrata — pan d'Anselme przyjmie panów na audiencji o godzinie drugiej.

Uczonek żydowski z zachwytem opowiadał:

— Pułkownik Freidenberg — szef sztabu pana d'Anselme'a, to najprawdziwszy Żyd. Pochodzi z Alzacji, to bogaty Żyd. Zachwycił się ideą Palestyny... Przez dziesięć lat pracował z Murzynami... — I dodał konspiracyjnym tonem: — Pan Freidenberg interesuje się wysokością wynagrodzenia... naszej misji czy komisji... Tylko w dolarach amerykańskich. Mogę wam dopomóc.

Przyjęcie zawiodło pokładane w nim nadzieje. Od dworca do pałacu nad morzem, gdzie mieścił się sztab, trzeba było jechać roztrzęsioną, odrapaną dorożką zaprzęzoną w parę zmęczonych, brudnych koni. W pobliżu gmachu Opery jeden z koni potknął się i upadł, trzeba było wysiąść z dorożki i pokrzykiwać „wio! wio! wio!“ — nim koń wypoczął i ruszył dalej. I nikt, absolutnie nikt nie zwracał na nich uwagi, nikt nie wyszedł na ich spotkanie, żadnych powitań, jak gdyby nic o nich nie wiadomo, jakby nikogo nie interesowało, że tego właśnie dnia Ukraińska Republika Ludowa zawiera nie pierwszą, nie korzystną, ale ważną umowę.

General Miedwiediew udawał zucha, wchodząc szerokimi, marmurowymi schodami na górę, wypinał naprzód pierś ozdobioną orderami, ale Rakow czuł się dosyć kiepsko.

Żuawi stali przy drzwiach, nieruchomi jak manekiny, i tylko strzelali czkami to w prawo, to w lewo, w ten sposób witając przybywających.

Długo siedzieli w poczekalni. Rakow spróbował zapalić, ale papieros dymił jak lokomotywa, a smak tego dymu również miał sporo podobieństwa do smaku dymu lokomotywy. Nieznacznie zgasił papierosa o poręcz fotela, poszukał popielniczki, a nie znalazłszy jej schował po prostu niedopalek do kieszeni. I dalej siedzieli w milczeniu, przyglądając się obrazom na ścianach. W połączonych kwadratach ram tonęły okręty Ajwazowskiego*, szło stado wśród głębi

* Ajwazowski Iwan (1817—1900) — rosyjski malarz marynista.

zapadającego zmroku obrazów Lewitana,* a w kącie marmurowy Amor kokietował pozbawioną oczu Psyche.

Generał d'Anselme wyszedł do nich gniewny. W nocy była pijatyka, mieszano różne gatunki wina, a potem... ten kłopot z artystką Wierą Chołodną. Wczoraj była na bankiecie, a dziś z rana umarła otruta. Czyja to sprawka? Konsula Henault czy jego żony, pięknej Besarabki?

— Cała Dyrektorja fiut... — rozpoczął audiencję d'Anselme.

Miedwiediew, który znał język francuski, potakiwał kiwając już głową. Rakow często pytał powtórnie tłumacza, próbował się spierać.

— Skład Dyrektorji można zmienić. Oczywiście za zgodą i wiedzą Francji, Anglii i Ameryki. Zmieniona tak Dyrektorja będzie suwerenna... — trajkotał tłumacz.

— Jaki jest pogląd pana generała na państwowość i niepodległość Ukrainy? — nieśmiało zapytał Rakow. — Anglia uznała niepodległość Gruzji...

— Nie jestem politykiem — przez tłumacza odpowiedział d'Anselme — nasze zadanie to walka z bolszewikami. Zagadnienie niepodległości Ukrainy zostanie rozstrzygnięte przez sprzymierzonych.

A tłumacz dalej wyłuszczał żądania d'Anselme'a.

— Koleje i finanse przejdą pod bezpośrednią kontrolę i zarząd sprzymierzonych. Kierownicze stanowiska obejmą nasi ludzie. Na niższych szczeblach pozostaną dawni. Wasza armia powinna prowadzić wojnę przeciwko bolszewikom i iść z nami aż do Petersburga. Dyrektorja wyda deklarację i będzie prosić o protektorat sprzymierzonych w zakresie spraw wojskowych, finansowych i polityki zagranicznej. W deklaracji powinno być zaznaczone, że Ukraina zwraca się do znanej ze swej szlachetności Ententy — do Francuzów, Anglików i Amerykanów.

Rakow jeszcze kilka razy próbował oponować. Potem machnął ręką, przypominawszy sobie słowa: „Zgadzaście się na wszystko”.

Tekst umowy został spisany na wspaniałym kredowym papierze. Na lewo — wywijasy tekstu francuskiego, na prawo — nieortogra-

* Lewitan Isaak (1861—1900) — znany pejzażysta rosyjski.

ficzny przekład ukraiński, zrobiony na pewno przez tego samego tłumacza z bulwaru Francuskiego. Generał Miedwiediew wziął pióro i zamasyście, zakrętasem przypominającym ślad końskiego kopyta podpisał swoje nazwisko. Rakow również wziął pióro.

— Et point * — powiedział tłumacz do d'Anselme'a.

Następnego dnia pociąg Dyrektorii wracał do Kijowa. Żuawi na stacjach wyładowywali działa. Na redzie w Odessie stały okręty. Na budynkach dworcowych rozlepiano rozkaz komisarza Stryżewskiego:

„Zawiadamiam, że w związku z koniecznością przerwania wojsk sojusznicznych na odcinkach Odessa — Razdielna — Tyraspol, Odessa — Akerman, Odessa — Kołobówka — Nikołajew za zgodą Dyrektorii i dowództwa sprzymierzonych wyżej wymienione odcinki przechodzą do stref wpływu i pod władzę wojska“.

Gdy pociąg opuścił stację, generał Miedwiediew wyjął z walizki lekką przekąskę i buteleczkę starego wina... Wino chybotło się w szklankach i wylewało na ceratę stolika.

— Napijmy się — powiedział generał do Rakowa. — Zapłaciliśmy pięć milionów kontrybucji. Na pierwszy raz to nie tak znów dużo. A możemy w ten sposób uratować miliardy.

— Za co pijemy?— spytał Rakow.

— Pan za swoje — ja za swój!

Wypili myśląc o tym samym.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nad ranem mróz zelżał. Na wschodzie jak pajęczyna srebrzyły się chmurki. Wydawało się, że łąki, porzrucane tu i ówdzie laski, cała odległa przestrzeń jest przykryta szybą z zapotniałego szkła. Dookoła było cicho.

W dali siniało miasto. Migotały we mgle żółte płomyki otoczone różową aureolą, od czasu do czasu wiaterek donosił warkot samochodu ciężarowego. Ten huk niósł się echem po łąkach i toczył się dalej. I znów nastawała cisza, napięta i czujna.

Pułk zbliżył się nocą do Czernihowa. Bohuńcy, starając się nie-

* Et point (franc.). — kropka.

postrzeżenie podejść pod Czernihów, chwytali na wybojach za szprychy kół działa zdobytego w Sedniowie, nieśli je niemal na rękach. Z równą ostrożnością kawalerzyści prowadzili konie, cicho posuwała się piechota.

W nocy Szczors rozdzielił swe siły. Jeden batalion i zwiadowcy konni poszli na prawo, żeby obejść Czernihów od tyłu. Oddział ten wyruszył okreśną drogą, by dostać się do mostu na Desnie. Było umówione, że o świcie, gdy już znajdują się na tyłach Czernihowa, zwiadowcy konni dadzą sygnał rakieta. I wówczas z kilku stron naraz ruszą wszyscy do ataku na petlurowców i denikinowców okupujących miasto.

Minęło kilka godzin. Świt pełzał przez pola. Szeleściło w poranym wietrze zamrażnięte ściernisko. Bohuńcy, ukryci wśród wozów i lasków, stoją w pogotowiu. Każdy z nich wpatruje się w dal, w szare niebo nad miastem. Lecz na niebie wciąż nic nie widać, tylko stada gawronów lecą z Czernihowa i krążą nad polami. Oderwie się od stada jeden gawron i polecą w górę jak rakieta, za nim wlatuje drugi. Ale sygnału rakiety wciąż nie ma.

Żołnierz Armii Czerwonej Stepan Nakorak leżał razem z Denysem na wozie. Długie, płowe włosy wystawały mu spod czapki, jasne brwi i rzęsy nadawały jego twarzy wyraz łagodny i spokojny.

— Ni mniej, ni więcej, ale ze trzysta lat minęło od czasu, gdy się to wszystko wydarzyło — opowiadał Stepan. — Był wówczas w Winnicy pułkownik Iwan Bohun. Długo przyglądał się, jak panowie polscy katują chłopów na Ukrainie, a potem zebrał setkę chłopaków mających gorące serca i wyruszył z nimi na polskich panów. Dużo strat przyczynił im Bohun. Gdzie przeszedł, tam wyciął panów do nogi. Panowie próbowali walczyć z Bohunem, ale jak z nim walczyć, skoro dziś jest na Wołyniu, jutro na Podolu, a pojutrze na Kijowszczyźnie? Zdawało się panom, że już są na jego tropie, śpieszą do wsi, w której stanął Bohun, lecz gdy przyjadą — już go tam nie ma. Pytają, czy nie przechodził tędy Bohun ze swym wojskiem — wszyscy odpowiadają jednogłośnie, że nawet nie słyszeli o takim. Ale gdy tylko panowie opuszczają wieś, Bohun spłami zadaje im cios w plecy. Sam hetman koronny wysyłał wojska przeciwko Bohunowi. Jeden z panów polskich podszedł ze swym wojskiem pod Winnicę. Bohun wówczas miał mało żołnierzy, wiedział, że nie utrzyma miasta. Jedyłą jego nadzieją było nadejście posiłków.

Uroczyście, podniosłe opowiadał Stepan Nakorak. W jego dobrych, jasnych oczach migotały ogniki. Leżący wokół niego słuchali uważnie. A świt rozwieszał coraz więcej jasnych pasm na łąkach, pola białały, tylko niebo wciąż było spowite czarną trwogą nocy.

— Część swego wojska pozostawił Bohun w Winnicy, z drugą poszedł naprzeciw panom. Walkę rozpoczął Bohun, ale uprzednio rozkazał swym oddziałom cofać się tak, żeby pańskie wojsko deptało im po piętach. Cofnęli się bohuńczycy aż do Bohu. Śladem ich ruszyła szlachta. Cieszył się pan, posyłał gońców do hetmana koronnego, że zaledwie zdołał zetknąć się z bohuńczykami, a oni już tyl podali. W nocy Bohun przeprawił swe wojsko przez Boh. Przez całą noc pracowali bohuńczycy rąbiąc lód na rzece. Przed świtem cienki, świeży lód, który zdążył utworzyć się przez noc, rozkazał Bohun przyprószyć słomą, aby się wydawało, że tamtędy przechodził on ze swymi Kozakami. Z rana pańskie wojska stanęły nad Bohem. Widząc, że po tamtej stronie rzeki, pod ścianami klasztoru, przejeżdża wojsko Bohuna i na lodzie widoczny jest ślad jego przejścia przyprószonego słomą, panowie dali rozkaz, by uderzyć na Bohuna; przejechać przez Boh i ścigać bohuńczyków, samego zaś Bohuna wziąć do niewoli. Rozpędzili się pańscy wojacy i wjechali na porąbany lód. Konie i ludzie wpadli do wody, z góry zaś sypał na nich kulkami ołowianymi Bohun ze swymi Kozakami... Zginęło pańskie wojsko! Pewnego poranku, takiego samego poranku jak dziś... spadł pierwszy śnieg, mróz też był taki jak dzisiaj, ludzie Bohuna byli zaś tacy jak my... Przebrał Bohun część swych ludzi za Tatarów, owinął im głowy czerwonymi, babskimi chustkami... Rozłożyli się naokoło i czekają, wy-czekują, świta, coraz jaśniejsze niebo... I wtedy krzyknął sławny Bohun do swoich Kozaków...

Zamilkł Stepan, nie skończył opowiadania. Na ciemnej płachcie nieba, nad Czernihowem, nad sinymi zarysami budowli powoli wzbijała się rakieta. Wznosiła się coraz wyżej, lot jej stawał się coraz powolniejszy, wydawało się, że tam w górze uderzyła o warstwę stęzalego, mroźnego powietrza i nastąpił wybuch, rozproszone jego echo doleciało do ziemi. Rakieta wybuchła jak gwiazda jaskrawozielona i powoli gnała rozsypując setki migocących iskier, zostawiając po sobie ślad, niby puszysty ogon, upadła...

— Co powiedział Bohun?... Stepanie!

— Bohuńczycy! — dał się słyszeć z daleka głos dowódcy pułku Bohuńskiego, Szczorsa.

— Bohuńczycy! — zabrzmiało bliżej. — Ruszaj...

— Naprzód!

Wystrzeliło działo — pomknęła naprzód kawaleria, poszli szeroką tyralierą piechurzy.

Obok Denysa biegł Stepan Nakorak. Wysoko podnosił karabin i wyciągając nogi ze śniegu, krzyczał:

— Bohuńczycy!

— Bohuńczycy... — biegł dotrzymując mu kroku Denys.

Generał popijał drobnymi łykami zimną herbatę, zapewne nie zdając sobie z tego sprawy. Ręce mu dygotały.

W sztabie panował półmrok. Przez zamarznięte okna sączyło się skąpe światło, nie pomagała nawet paląca się lampa. Twarze obecnych były zielonawoziemiste, jak u chorych na malarię.

— Więc tak, panowie — generał rozcapierzył palce jak wachlarz. — Zrobiłem wszystko, żeby się dogadać z Dyrektorią Bezskutecznie. Jak groch o ścianę. Mówiłem ich komendantowi o niebezpieczeństwie, o tym, że Szczors nadciąga...

Gdzieś w pobliżu rzeczywiście wybuchł pocisk i generał przerwał przemówienie.

— Mówię mu o niebezpieczeństwie — ciągnął dalej generał, gdy echo wybuchu ucichło — a on wciąż to samo... Ukraina, niepodległość, własna armia...

W pobliżu zaterkotał karabin maszynowy.

— Widzicie — generała prawie ucieszyło to terkotanie. — Więc macie. Doigraliście się. Właśnie dlatego zaprosiłem panów. — Generał wstał usiłując trzymać się prosto. — W takiej chwili nie można sprzeczać się z komendantem. Powinniśmy walczyć, odeprzeć wroga, a potem... Potem zobaczymy, jak to będzie z tą waszą niepodległością i waszym komendantem. Ja mu...

Generał nie mógł znaleźć słów, aby wyrazić swe uczucia, krew tak mu uderzyła do głowy, że aż uszy poczerwieniały.

— Ja mu...

Bu-u-u-ch! — odpowiedział wybuch koło sztabu.

Dzyń-dzyń-dzyń — zadźwięczały szyby.

Poprzez brzęczenie i huk dolatywały słowa generała.

— Do niego. Idę do komendanta. Przygotujcie się, panowie. Niechaj dziś dowodzi komendant. Ale jutro...

Generał nie był przyzwyczajony do jazdy konno. Kiwał się jak worek wypchany sianem. Ale trzeba było się spieszyć. Działa strzelały gdzieś w pobliżu, a karabiny maszynowe terkotały na sąsiedniej ulicy. Generał ścisnął boki konia i jeszcze wyżej zaczął podskakiwać w siodle. Adiutant ledwie za nim nadązał.

Czyżby to byli czerwoni? — myślał generał. — Czyżby to był Szczors? Ależ nie — pocieszał sam siebie. — Horodnia jest daleko, po drodze jeszcze Sedniów. Petlurowcy są co prawda głupi, ale przecież wystawili czujki za miastem. Na pewno biją się między sobą.

Generał z adiutantem mknęli dalej przez pustą ulicę, a działa za miastem waliły coraz mocniej, karabiny maszynowe wypuszczały serię za serią.

Nagle generał wstrzymał konia. Przy końcu ulicy wjeżdżali pod górę kawalerzyści. Jechali powstrzymując zgorączkowane konie.

Komendant — zrozumiał generał. — Ja do sztabu, a on ze sztabu.

Generał jeszcze bardziej wypiął pierś, wyprostował ramiona, lekko pchnął konia.

— Naprzód, siwku!

— Wasza ekscel...cjo — mamrotał ochryple adiutant.

— Wyżej głowę. Przed kim się tu schylać? — powiedział generał.

Chciał uroczyście podjechać do tego znieprawionego komendanta. Nie ustąpi mu — nie, tylko okoliczności zmuszają go, zresztą na krótko, do pogodzenia się z nim, bo teraz muszą walczyć razem.

Zbliżali się jeźdźcy. Schyliwszy głowę na bok generał jechał uśmiechając się pogardliwie i uważnie obserwując jeźdźców. Już tyle czasu przebywa w Czernihowie, ale duma wciąż mu nie pozwalała złożyć wizyty komendantowi. Komendant rządził niezależnie od generała, generał również nie pytał go o zdanie. Więc nie widywali się i nie spotykali ze sobą.

— Panie komendancie! — zatrzymał konia generał. — Sytuacja jest tak poważna, że godzę się na kompromis. Nie możemy wdawać się w szczegóły dzielących nas poglądów w chwili, gdy wróg uderza

na miasto. Powinniśmy się pojednać, zjednoczyć. Nie czas na sprzeczki. Postanowiliśmy wystąpić razem z wami. Platformę polityczną omówimy później.

— Już omówiliśmy — odpowiedział żołnierz jadący na czele oddziału kawalerii. — Już dogadaliśmy się z panem, generale! Zsiądźcie z konia!

Czy to się tylko wydaje, czy rzeczywiście strzela kilka dział z różnych stron wokoło Czernihowa? W przerwach między wybuchami generał posłyszał piosenkę:

*W tamtej stronie ogień płonie,
Gwarno i brzęcząco...
Przyszedł Szczors do Czernihowa —
Panom tam gorąco...*

A żołnierz zmrugał oczy koloru stali...

Kawalerzyści przemknęli przez Czernihów i osadzili konie Szczors zatrzymał się na krawędzi nasypu. Stanął w strzemionach i patrzył, jak bohuńczycy przebiegają z lasku do Desny.

— Padnij! Przebiegaj pojedynczo! — krzyczał. — Podaj dalej, żeby padali!

— Na most! — krzyknął do kawalerzystów. — Przez Desnę!

I trzech jeźdźcy, jakby tylko czekali na ten rozkaz, wpadli na most. Jeden z nich wysunął się naprzód, wymachując połyskującą klingą szabli i głośno coś krzycząc. Jeźdźcy przechylili się do tyłu, jak pod naporem szalonego wichru.

Ale w tej samej chwili za mostem zapłonęły żółte ognie i jeden z jeźdźców, z giętką szablą w ręce, wyleciał nagle z siodła, zaczepił się o balustradę i bił o nią rękami, jakby usiłując sięgnąć po szablę, która leżała na moście.

A potem drugi jeździec zwałił się do przodu, na kark konia, koń zaś, przeszyty kulami, skoczył tak, jakby brał przeszkodę, i zaczął kręcić się jak bąk na drewnianym moście. Trzeci jeździec zawrócił: koń jego, wystraszony gwizdem, rykiem i krzykiem, popędził daleko poza most i tam stawał dęba, wysoko podrzucając przednie nogi. Kawalerzyści zaczęli się cofać, mocno ściągając wodze i kładąc się na końskich karkach. Pachniało prochem, a teraz zapachniało krwią. Naraz jakby się rozjaśniło niebo nad Desną, widoczne stały się czarne potoki ludzi, które płynęły od miasta ku rzece, i widoczna

stała się zbieleła zupełnie twarz żołnierza Armii Czerwonej, wiszącego na balustradzie mostu.

Kawalerzyści podnieśli głowy znad końskich karków, ale wodze wciąż jeszcze były ściągnięte krótko i mocno. Jeszcze jeden ruch, jedna chwilka, jeszcze odrobina strachu i wahania, wodze zostaną ściągnięte jeszcze mocniej i ostrogi wbiją się w boki końskie, ale wtedy konie nie pomkną naprzód, na most, lecz ostro zawrócą do tyłu, runą na łąki, gaje, pomkną z powrotem do miasta. Jeszcze chwila i ruszy za nimi piechota...

Wówczas Szczors tracił konia ostrogami. Koń ruszył z miejsca, ale odrzucił głowę do tyłu, wciąż usiłując, skrócić w bok od mostu. Szczors mocno uderzył go znów ostrogami i koń posłusznie, pokornie, ciężko posapując wszedł na most i przeszedł kilka kroków. Jeźdźcy i piesi patrzyli, jak dowódca wjeżdża na most.

Na moście Szczors zatrzymał się. Setki oczu patrzyły na niego. Dowódca bohuńczyków siedział na koniu jakby przyrośnięty do siodła. Kule gwizdały natrętnie i ostro. I Szczors nieznacznie, tak jak zawsze, uśmiechnął się.

W tej chwili nastąpiło jeszcze jedno wydarzenie. Denys, uważnie obserwując most, spostrzegł, jak po tamtej stronie mostu kilku petlurowców przebiegło z krzaków nadbrzeżnych do budki. Między nimi — poznał od razu — był jego ojciec. Ojciec biegł schylony, na głowie miał starą czapkę, ubrany był w kozuch przewiązany zielonym pasem... Tak jak wyszedł z domu.

Jeszcze chwila — pomyślał Denys — i wszystko będzie skończone. Naprzód — postanowił. — I prędzej zatrzymać go, zawrócić.

— Naprzód! — padła komenda z ust Szczorsa.

Denys wystąpił z szeregu i wszedł na most. Przed sobą, jak jakąś świętość trzymał karabin. Szedł i widział teraz tylko Szczorsa, który stał na moście. Minał go i pobiegł dalej.

— Nie tłoczyć się! — krzyczał z tyłu Szczors.

I galopem ruszył przez most, tylko poły płaszcza powiewały za nim. Wykrzykując jakieś słowa zlewające się w jeden napięty, straszny krzyk, pomknęli jeźdźcy, ruszyła piechota. Most drżał od tupotu kopyt. Trzeszczał pod filarami mostu cienki lód. Czarne potoki ludzkie spływały z urwisk na brzegi Desny. Wrzawa wzmałała się, rozszerzała się coraz dalej, aż wreszcie zmieniła się w jeden ogólny zgiełk.

Minęła może minuta, ale wydawało się, że już bardzo dawno Szczors wydał rozkaz i że od dawna już są na moście kawalerzyści i piechota. Kule siekły powietrze, niektórzy jeźdźcy spadali, ale zapominało się o tym wszystkim, wszystko wydawało się drobne i niedostrzegalne, bo niedaleko świeciły, jak świeczki, lufy, z których sypały się kule, i każdy myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej dopaść drugiego brzegu i zgasić te świece.

Na przedzie mknął na koniu Szczors. Wydawało się, że leci wysoko nad ziemią, w przestworzach, na czele stada orłów. Krzyk, który rozlegał się poza nim, wciąż wzmagał się i potężniał jak krzyk zwycięzców, jak głos orłów. Było to potężne, stokrotne:

— Hu-ra-a!... Hu-ra-a!...

Wystraszeni petlurowcy, szeroko rozłożywszy ręce, uciekali od rozgrzanych karabinów maszynowych. Ale dopędzały ich kule i połykiwały nad nimi szable. Zimna, zwyciężona Desna krzepła pokrywając się skorupą brudnego lodu, a ludzie nieprzerwanie pędzili przez nią z tym samym okrzykiem:

— Hu-ra-a!... Hu-ra-a!...

Wszystko było w ruchu i ruch ten narastał, choć jeźdźcy już przemknęli przez most. Karabiny maszynowe umilkły na chwilę i obrócone na podstawach w stronę cofających się petlurowców, znów zaczęły grać.

Już kiedy przebiegł most, spostrzegł Denys znajomy, ojcowski kożuszek i czapkę. Ojciec uciekał. Denys pobiegł za nim. Razem z Denysem biegli jego towarzysze. Już jest blisko ojca. Jeszcze chwila, a dopadnie go...

Uciekający odwrócił się i zaczął celować doń z karabinu. I Denys jeszcze raz zobaczył przed sobą szary kożuch, zielony pas i zupełnie obcą twarz. To nie był ojciec. Czarna broda sięgała mu aż do piersi, oczy były czarne i złe. Denys ujrzał przed sobą wroga.

Petlurowiec przypadł na kolano i zaczął podnosić karabin.

— Niedoczekanie twoje! — krzyknął Denys i z całej siły wyrzucił go kolbą w głowę. — Niedoczekanie twoje, przekleńniku! — powtarzał Denys.

Kawalerzyści popędzili za petlurowcami. Szczors podjechał do Denysa.

— Zuch z ciebie! — powiedział do niego.

Denysowi od razu zrobiło się wesoło, chciał głośno krzyknąć o swej radości. Uśmiech zaigrał na jego twarzy i uśmiech ten poniósł chłopak w ciszę ulic Czernihowa, gdy wracali do miasta. I długo, długo uśmiech ten nie schodził mu z ust.

Denys w Czernihowie uporczywie szukał ojca. Obszedł wszystkie zajazdy, rozpytywał, czy nie było tam kogoś z ich wsi — nikt nie umiał mu nic powiedzieć o ojcu.

Zupełnie przypadkowo spotkał na ulicy Remeza. Z początku nie chciał wierzyć własnym oczom — Remez, z ogromną miotłą, w fartuchu z workowego płótna, stał przed jednym z budynków na głównej ulicy i starannie zamiatał jezdnię.

— Czy to wy? — przyglądał mu się Denys.

— A któż by?!

Remez skręcił z papieru gazetowego długiego papierosa. Zapalił i wypuszczał dym cieniutką smużką.

— Gdzie ojciec? — zapytał natychmiast Denys.

— Oho! ho! ho! — roześmiał się Remez. — Czyż można go utrzymać? Stary, ale młodemu nie ustąpi. Do Czernihowa przyjechaliśmy razem, ale tu już nie chciał... „Sam — powiada — poszukam sobie miejsca. Mam tu — powiada — rodzinę...“ No i znikł. Mówią ludzie, że pojechał dalej, do Kijowa. Gdy cofała się armia petlurowska, poszedł z nimi! Co to znaczy człowiek słabego ducha! Siedziałby sobie cichutko, przeczekałby w Czernihowie. Jeszcze gdy z domu jechaliśmy tutaj, zacząłem się wahać: po co, myślę sobie, jechać? Dokąd? I radziłem się go. Ale on mi odpowiada: „Nie, pojedę do Czernihowa!“ Uparł się, no i pojechaliśmy...

Denys przypomniał sobie zakłopotaną twarz ojca, gdy stał w chałupie i zawiązywał pas, przypomniał sobie, jak ojciec się z nim zegnał za bramą, i ogarnął go smutek. Nie mógł pojąć: jakże Remez może tak do niego mówić, skoro wie doskonale, że stary Żerdiaha niechętnie odjeżdżał ze wsi i że on sam go do tego namówił.

— A co u was? — tylko na takie pytanie zdobył się Denys.

— Ja... gospodaruję tutaj. Mam brata stryjeczno-ciotecznego, to jego domek. Były urzędnik akcyzy. Ma domek, Malutki, trzy pokójki, dwa zajmuje sam, a trzeci wynajmuje, więc póki trwa zima i nie ma roboty w polu, zgodziłem się do niego jakby za stróża... A na wiosnę, a wiosna za pasem, zajrzę na wieś. Może trzeba będzie zasiać albo zaorać. Konie moje są tutaj, braciszek znalazł dla nich

miejsce... Mam czym wyjechać w pole. Nie mogę zrozumieć twego ojca — westchnął Remez. — Czego ten człowiek chce? Kto by go się czepiał? Bohuńcy — to niezłe wojsko. Trochę was doksztalca, możecie jeszcze wyjść na ludzi. A potem, jak dostaniecie sprzęt zagraniczny — będzie koniec z tą całą sprawą... A jednak twój ojciec nie chciał na was czekać. Odwiedź mnie — żegnał się z Denysem. — Odwiedź, mówię, jeżeli masz czas. Opowiesz nam nowiny. Brat mój jest wykształcony, może poczyta nam książkę. Nastawi gramofon, posłuchamy muzyki. Tylko tam — dodał szeptem — gdy przyjdiesz... na kwaterze u brata stoją dwaj dowódcy bohuńcyków. Partyjni i widać, że komuniści; nic nie mów wtedy o ojcu, bo wiesz, to jakoś niezręcznie — syn idzie z władzą radziecką, a ojciec pokumał się z petlurowcami. To jakoś głupio wygląda. Lepiej milcz! O władzy radzieckiej możesz opowiadać, ale o ojcu milcz. Napijemy się herbaty. Jeżeli masz zbywający cukier — macie teraz wszystkiego pod dostatkiem, składy miejskie są w waszym ręku — nie zapomnij wziąć ze sobą. Was to nic nie kosztuje...

Denys poszedł szeroką ulicą prowadzącą do Desny, a stary Remez zabrał się do zmiatania ulicy, szeroko wymachując miotłą. Denys wszedł na wierzchołek góry i długo patrzył na Desnę. Błękitniał lód przy brzegach i tu, i ówdzie, jak czarne oczy, połyskiwały przełęble. Ojca nie było.

Zabrakło wesołka i tancerza Stepana Nakoraka. Padł na polu bitwy. Zbyt się pospieszył, gdy wypędzano petlurowców za Desnę, oderwał się od pułku, pomknął za petlurowcami, jego giętka szabla połyskiwała w srebrzystym świetle nadchodzącego wieczoru.. Minęło kilka minut i tylko ciemna plamka widniała wśród szerokiego, srebrnobiałego pola.

Wraża kula trafiła Stepana — upadł. Rzucili się bohuńcy na pomoc koledze, ale zapędził się zbyt daleko.

Nie zdążyli — kawalerzyści petlurowscy otoczyli pieszego i zarąbali Stepana szablami, nim nadeszła pomoc.

Złożyli go do trumny. Leżał okaleczony, blady i jakby zamyślny, w dużej sali koszarowej, gdzie jeszcze wczoraj kwatrowali oficerowie, a dziś rozlokowali się bohuńcy.

Bohuńcy przystroili trumnę sośniną — jutro będą chować tych, którzy zginęli w bitwie pod Czernihowem.

Nie chce się wierzyć, że nie ma już Stepana, że nie zdążył dokończyć swego opowiadania o sławnym pułkowniku Bohunie, który zwyciężał polskich i ukraińskich panów. Wydaje się, że tu blisko, obok stoi Stepan Nakorak i jak bajkę opowiada swym cichym, przenikającym do serca głosem dalsze dzieje Bohuna:

„I rzekł sławny ataman biedoty, rzekł sławny Bohun do swych chłopców:

— Hej, bohuńczycy, naprzód!

Pobiegli przebrani za Tatarów Kozacy-bohuńczycy, uderzyli z drugiej strony Kozacy konni, panowie rzucili się do ucieczki, aż ziemia zajęczała pod kopytami końskimi, a niebo poczerniało od dymu i rzeki poczerwieniały od krwi“.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ktoś cichutko zapukał do drzwi.

Przepadło! Nie zdążyłem! — pomyślał Dzendia.

Milczał kilka chwil. Nie dlatego, że postanowił nie wpuszczać tego, kto pukał do drzwi; nie, przez ten czas uporczywie obmyślał, jak ma się zachować, przygotowywał odpowiedzi na przypuszczalne pytania. Lecz pytań tych mogło być tysiące, a pukanie znów się powtórzyło. Nerwowe czy groźne?

— Wejść! — głośno powiedział Dzendia.

Drzwi się otworzyły, ale gość nie wszedł od razu. Na pewno badał z ciemnego korytarza, kto jest w pokoju.

— Proszę wejść! — już ze złością powtórzył Dzendia.

Z ciemności do jasnego pokoju wszedł młody, wysoki człowiek. Dzendia obrzucił go szybkim spojrzeniem od stóp do głów — wysokie buty, płaszcz wojskowy, wojskowa czapka, smągła, cygańska twarz ze śladami ospy.

— Nie poznajecie?

— Nie poznaję — Dzendia postanowił zachowywać się swobodnie, w ten sposób opanuje się i zbije z tropu obserwatora: usiadł spokojnie w fotelu, wyjął z kieszeni papierośnicę, postukał w nią jak zwykle palcami, potem wyjął papierosa, długo, starannie przypalał go nad lampą. Nie patrzył nawet na spóźnionego gościa.

— Nie poznajecie? — jeszcze raz zapytał nieznajomy.

— Nie, nie poznaję — odpowiedział Dzendia.

Spojrzał na niego. Nieznajomy mrużył oczy i uśmiechał się z lekka. Było coś znajomego, nawet dziwnie znajomego w jego twarzy: właśnie te przymrużone oczy i pełne obludy, wygięte w łuk usta.

— Przecież spaliśmy, można powiedzieć, na jednym łóżku — rozemniał się głośno gość.

— To wy? — wstał Dzendia.

— Tak... ja...

— Dowhalewicz? — wyrwało się Dzendi.

— Ten sam — skinął głową Dowhalewicz.

I naraz znikł mu uśmiech z twarzy.

— Gimnazjum — powiedział Dowhalewicz. — Socjaliści-rewolucjoniści, jeździliśmy razem do Brześcia, a teraz... Wszystkie drogi prowadzą do jednego punktu... chociaż nie do Rzymu — zakończył. — Jadę prosto z Kijowa — po chwili znów się odezwał.

— Z Kijowa? — zdziwił się Dzendia. — Mam ochotę uciec jak najprędzej do Kijowa, przedrzeć się przez pierścień czerwonych...

— To zdążysz zrobić zawsze. Naczelny ataman rozkazał nie wyjeżdżać... zostać tam, gdzie są czerwoni...

— Cóż to — na lewo? Kontakt z bolszewikami?

— Ani na prawo, ani na lewo, ale tam, gdzie jest siła.

— Nie rozumiem...

Dowhalewicz opowiadał, jak stopniowo kształtuje się orientacja polityczna Dyrektorii.

Petlura i Winniczenko gotowi skoczyć sobie do gardła. Jacy tam z nich ministrowie? Nie chodzi przecież o ministrów — mówił dalej Dowhalewicz — dekoracje zawsze można zmienić, sedno sprawy leży w tym, że platforma polityczna staje się coraz bardziej wyraźna. Teraz już nie trzeba się bać. Na dziś naczelny ataman wydaje rozkazy...

— Naczelny ataman jest esdekiem * — my eserowcami...

— Gdy gaszą pożar, nikt nie pyta, czyje ręce to robią — cicho zaśmiał się Dowhalewicz — i eserowcy, i esdecy pracują dziś wspólnie. Wszystko, co mieliśmy, wyrrywają nam z rąk. Zabierają ziemię, odbierają fabryki, zakłady przemysłowe... Bolszewicy wysunęły hasło „Rad robotniczo-chłopskich“. I my wysuwamy to samo hasło. Tylko że

* Esdek — socjaldemokrata.

Rady nie robotniczo-chłopskie, ale „Rady mas pracujących“. Kto jest gospodarzem w naszym kraju? — Dowhalewicz chodził po pokoju. — Chłop. Kto powinien mieć władzę? Właśnie chłop.

— W arsenale wybuchło powstanie — przerwał mu Dzendia.

— Głupstwo! Więc trzeba dać ukraińskiemu chłopu władzę radziecką bez dyktatury proletariatu. I w ogóle... po co robotnikowi dawać miejsce w Radach? Robotnik jest dla nas niebezpieczny.

— A ziemia? — wyrwało się Dzendi.

— Skończy się wojna, to pomówimy o ziemi — odpowiedział Dowhalewicz. — Nawet wcześniej... w styczniu odbędzie się Kongres Pracy... Jak najwięcej gadać o „Radach mas pracujących“, o Kongresie Pracy. Trzeba, aby uwierzyli w Kongres jako w swe wyzwolenie. A już my się postaramy, żeby na Kongres trafili tylko swoi, potrzebni nam ludzie.

— Ale — nie mógł zrozumieć Dzendia — po co mam zostawać tutaj? Chcę... wolałbym wyjechać do Kijowa.

— Nie trzeba zostawać, nie — przerwał mu Dowhalewicz — trzeba samemu zgłosić się do Armii Czerwonej, iść do Szczorsa... Kwasz głową? Nie kiwaj! Trzeba pójść — musimy wiedzieć, co się u nich dzieje. I trzeba pracować... dla „Rad mas pracujących“. Zadanie nie-trudne — tylko przyjrzeć się, porachować siły — i do Kijowa...

— A dokumenty... czy jest rozkaz? — wciąż nie mógł uwierzyć Dzendia.

— Nie każdy rozkaz pisze się na papierze. Istnieje dyscyplina partyjna...

— O, do diabła — zaklął Dzendia z wściekłością. — A ty — wpadł na Dowhalewicza. — Co ty zrobisz? Idziesz ze mną?

— Nie, ja jeszcze dalej — nie śpieszył się z odpowiedzią Dowhalewicz. — W Odessie — sprzymierzeni, w Kijowie — Dyrektoria, z dziesięciu takich jak ty w armii, a ja z moimi zuchami (ależ kupę lotrów zebrałem!) pójdę za wami...

— Na tyły?

— Tak — odpowiedział Dowhalewicz.

Milczeli długo, lampka powoli dopalała się.

— Wstąp do armii — namawiał Dowhalewicz.

— Ale jeżeli — w Dzendi zrodziła się obawa — jeżeli tam o tym wiedzą i...

— Ech, ty chochole! — zaśmiał się wstając Dowhalewicz. — Przed chwilą prosiłeś o dokumenty, a teraz boisz się, żeby nie znaleziono ich przy tobie. Twoje oczy są dokumentem. Naucz się patrzeć nimi tak, żeby ani mrugnąć. Któż może o tym wiedzieć? Nikt! Kto słyszał? Nikt! Kim jesteś? Socjalistą! I oni są socjalistami.

— Boję się — powiedział Dzendia.

— Znam to uczucie — drwiąco odpowiedział Dowhalewicz. — Byłem już u Szczorsa, próbowałem rozniecić powstanie. Nie udało się! Musiałem uciekać. A teraz, po podróży do Kijowa, pójdę na tyły. Uczucie strachu znam! Nie bój się!

Z początku Dzendia chciał się przyłączyć do jednego z oddziałów wyruszających z Czernihowa w stronę Kijowa. Przecież zebrali się tu ludzie z różnych stron i codziennie napływają nowi. Przyłączy się do nich — nikt nie zwróci na niego uwagi... Będzie szedł z nimi, aż do stosownej chwili, jak długo mu to będzie potrzebne.

Ale równocześnie pamiętał, że i w czasach kiereńszczyzny, i później, za czasów Rady Centralnej, zdarzało mu się często jeździć po Czernihowszczyźnie. Polecenia, mityngi, ekspedycja karna. Mnóstwo ludzi go widziało! Podejdzie któryś z nich i powie mu spokojnie: „A pan Dzendia! I pan tutaj? Co pan tu robi? Jakie są pańskie przekonania? Dlaczego nie przyznaje się pan do nich?”

Skóra na nim cierpła, gdy o tym myślał. Długo się wahał, znów przyszło mu na myśl, żeby ominąć szlak Armii Czerwonej i inną drogą dotrzeć do Kijowa. Powiedzieć tam, że próbował dostać się do Szczorsa, ale nie potrafił, nic z tego nie wyszło, o mało nie wykryto go, musiał uciekać. I z góry wiedział: nie uwierzą, żeby on, Dzendia, nie potrafił dostać się do Szczorsa. Prawda, że nic mu nie zrobią, tylko wykpią i wyśmieją... „Tchórz — powiedzą — inteligent“.

Właśnie teraz, gdy naokoło taka zawierucha, gdy wszyscy jego przyjaciele wypływają na powierzchnię, gdy nadarza się okazja wybicia się i otrzymania wysokiego stanowiska, może nawet...

Minister — ścierpł cały — minister spraw wewnętrznych lub minister kolei... Mi—ni—ster Dzendia, czy to źle brzmi? Czy jest gorszy od Lwa Timofiejewa — ministra kolei? Albo może jest gorszy od Petra Drobiazki, który jest wiceministrem? Chodziliśmy razem do szkoły, za uszy obu nas targano i wspólnie kradliśmy jabłka z sadu archijereja... Czy było tak? Było! Jesteśmy tacy sami, tacy sami. Więc

dłaczego Timofiejew jest ministrem, Drobiazko — wiceministrem, a o Dzendi nikt nic nie wie?

Nie — rozumował Dzendia — wszyscy jesteŃmy jednakowi, wszyscy równi. Ale Ńeby kt3ryś z nas wysun3ł si3 z t3łumu, musi nadarzyć si3 odpowiednia okazja. Dłaczego wybił si3 Lew Timofiejew? Ożenił si3 z siostr3 premiera. Wi3c premier zajał si3 swym szwagrem. Dłaczego zrobił karier3 Drobiazko? Bo raz zaryzykował, pojechał jako delegat do Moskwy, ale w rzeczywistości wykonywał tam zlecenia premiera i stał si3 jego zaufanym. Tylko Dzendia wci3ż nie może znaleźć odpowiedniej okazji, Ńeby od razu stan3ć na nogi i wykazać swe moŃliwoŃci i zdolnoŃci.

I oto trafia si3 taka okazja. KC eserowców polecił mu (bo tylko on si3 do tego nadaje) zostać na tyłach i iŃć do Kijowa razem ze Szczorssem. Wi3c pójdzie razem z nim i gdzieŃ w pobliŃu Kijowa przejdzie przez Dniepr... Zostanie u Szczorsa tydzień lub dwa, wszystko wypatrzy, wszystkiego si3 dowie, a potem... UroczyŃcie uderz3 dzwony soboru Ńw. Zofii, gdy Dyrektorja b3dzie Ńwi3cić swe zwycięstwo, a Dzendia niemało moŃe si3 przyczynić do tego zwycięstwa... Potem juŃz nikt nie b3dzie m3gł pomijać jego osoby milczeniem. Nie jest, co prawda, krewnym premiera, ale nie jest gorszy od innych ministr3w.

Dzendia powzi3ł stanowcz3 i ostateczn3 decyzj3.

Dzendia uŃmiechn3ł si3. Ale Szczors zrozumiał, Ńe uŃmiech ten nie jest szczery, Ńe inne uczucia wykrzywiaj3 usta i tworz3 zmarszczki w k3cikach oczu Dzendi.

— Przyszedłem do was, towarzyszu Szczors — zaczął Dzendia, a w g3osie jego czuło si3 niepok3j.

— Moje nazwisko Dzendia — mówił dalej, juŃz odważniej. Zdennerwowanie prawie znikło, g3os stał si3 pewniejszy. — Jestem miejscowym rewolucjonist3... Socjalista-rewolucjonista... — poprawił si3.

Szczors gwałtownie podni3ł g3ow3. Spogl3dał na Dzendi3 zmruŃonymi oczami d3ugo i przenikliwie.

— Co skłoniło was do przyj3cia do mnie? — zapytał poprosiwszy Dzendi3, aby usiadł.

— Co mnie skłoniło? — Dzendia usiadł juŃz całkowicie opanowany. — Bardzo duŃo powaŃnych i g3ębokich przyczyn.

— C3ż to za przyczyny? — zainteresował si3 Szczors.

— Nasza partia popełnia szereg zasadniczych błędów. Nie mieliśmy i nie mamy autorytetu wśród mas. Teraz, gdy widzę zwycięski pochód waszych oddziałów z północy na południe, do Kijowa, rozumiem, że droga, którą dotąd szedłem, jest niewłaściwa. Socjalista-rewolucjonista powinien iść tylko z wami, tylko z władzą radziecką. Oczy Szczorsa wciąż były zmrużone.

— Z władzą radziecką? — spytał powtórnie Dzendia.

— Tak, z władzą radziecką — powtórzył Dzendia i znów, jak przedtem, chłód przejął całe jego ciało. Zrozumiał, że wszystko zostało już powiedziane i że nie trzeba więcej dodawać ani słowa. Szczors zaraz mu odpowie; ta krótka odpowiedź będzie również zawierała wszystko, co ma być powiedziane.

— Charakterystyczny wypadek! — powiedział Szczors jak gdyby nie do Dzendi, ale do komisarza politycznego, który wszedł w tej chwili do pokoju. — Tam podczas marszu przyłączyły się do nas tysiące. A tutaj w Czernihowie uznaje nas — Szczors bardzo głośno powiedział to słowo — ten oto towarzysz...

— Dzendia — pośpiesznie podpowiedział Dzendia.

— Uznaje nas i eserowiec, towarzysz Dzendia — zakończył surowo.

Po co wszedł ten czarny? — pomyślał Dzendia. — Składnie szła rozmowa, a teraz znów trzeba będzie powtarzać. I kto wie, czy po raz drugi pójdzie tak gładko.

Ale wszystko załatwione — pocieszał się Dzendia. — Przecież powiedział słowo: towarzysz. Jeszcze chwila i wszystko się skończy. Wszystko, wszystko... Zwycięstwo.

— Cóż, taka postawa może spotkać się tylko z uznaniem — znów zaczął Szczors. — Jeżeli to wszystko jest prawdą, jeżeli mówicie szczerze, należy się wam uznanie.

Teraz już naprawdę było po wszystkim. Dzendi wydało się, że w pokoju zrobiło się jaśniej. I już nie przerażało go, że ten czarny wszedł do pokoju. Straszna chwila minęła, mógł iść śmiało dalej.

Plugawy eserowiec poszedł, Szczors w ciszy siedział sam i myślał o niedawnej przeszłości, Unieca — Sedniów — pierwsze walki z Niemcami.

Śmiały plan Stalina.

Przypomniały mu się jego słowa, że wystarczy wprowadzić na Ukrainę nieznaczne siły, a urosną w bardzo krótkim czasie.

I oto już Czernihów. Jeszcze kilka dni, jeszcze tydzień lub dwa i staną pod Kijowem. Cudowny plan. Najkrótsza droga na Kijów. Wszedł komisarz polityczny i powiedział:

— Idą ze wsi, z miasteczek. Proszą, żeby przyjąć ich do pułku. Na placu i na ulicach pełno wozów. Przyjeżdżają całymi rodzinami: ojcowie, synowie.

— Wołaj! — powiedział Szczors.

Przypomniawszy sobie niedawno bunt w pułku wywołany przez Re-mezę i Dowhalewicza.

Sprawdzić... wy badać każdego — myślał ustawicznie.

Wszedł krępy chłopak.

— Nazwisko?

— Mychajło Huszcza.

— Dokumenty?

Chłopak nieporadnie rozejrzał się dokoła. Spróbował uśmiechnąć się, ale jakoś nie wyszło.

— Nasi ze wsi opowiedzą o Mychajle Huszczy. Walczyłem z hajdamakami i z Niemcami. A teraz wrywa się dusza, żeby walczyć z Petlurą. Dojedli nam.

— Pokaż dokumenty — podszedł do niego Szczors.

Huszcza jeszcze raz rozejrzał się dookoła. I nagle roześmiał się:

— Dobrze, towarzyszu Szczors.. Zaraz... pokażę.

Gwałtownie rozpiął kołnierz. Spadła na podłogę sprzączka pasa. Mychajło zdejmował koszulę.

— Proszę, towarzyszu Szczors, dokumenty.. Niemcy wydali mi paszport.

Obrócił się plecami do Szczorsa i Szczors zobaczył jego pocięte, okryte świeżymi bliznami plecy.

— Pisz — powiedział Szczors do komisarza politycznego. — Zapisz Mychajłę Huszcę do trzeciej kompanii. Kto następny?

Cały plac zapechany był wozami. A ludzie wciąż się zjeżdżali z Czernihowszczyzny, z Połtawszczyzny, spod Kijowa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wozów było coraz mniej. Woźnice prosili i wymyślali, czekali i traciли wiarę, wreszcie cierpliwość się wyczerpała — porzucili tabor.. Jednego z uciekających złapali petlurowcy na stepie wraz z wozem —

zabili go na miejscu. Inni próbowali wlec uciekać bez wozów — siadali na konie, wydawało się im, że wierzchem łatwiej będzie uciekać. Gdy petlurowcy złapali dwóch takich zbiegłych jeźdźców, powiesili ich publicznie na nagich, kolczastych gałęziach akacji. Ludzie porzucali konie i wozy i szli przed siebie, gdzie oczy poniosą.

Syła Żerdiaha pozostał. Nie mógł porzucić taboru i swego Franta. Brakło mu odwagi.

— Chodźmy na zebranie — powiedział z rana Hawryło do Żerdiahy. — Dowódca chce się zabrać do zorganizowania oddziału. Najwyższy czas! Bo wciąż ni to, ni owo! No bo i jacy tam z nas Kozacy?

Na placu tuż przy gminie już hałasowali woźnice i petlurowcy. Wykrzywiwszy usta dowódca taboru stał na ganku.

— Rozkaz z Kijowa — zaczął. — Od wysokiej Dyrektorii.

— Ciszej! — zakrzyczano dookoła. — Tu o życie chodzi, a oni gęgają jak gęsi.

Hałas ucichł.

— Z Kijowa przyszedł rozkaz, żeby utworzyć z nas pułk. Będzie to pułk imienia Petlury. Dowódcą pułku mianowano mnie. Słyszeliście o pułkowniku Barabaszu? Więc właśnie! Wszystkie konie zostają upaństwowione. Kto zechce pójść do domu — dostanie kwit — po zwycięstwie zwrócimy mu konia. Wozy można zabierać już teraz. Zabierajcie je do domu własnym przemyślem. A kto ma ochotę, ten może zapisać się do nas, do pułku... Nie oddam nikomu ani jednego konia...

— Zgoda... zgoda... Zapisujcie nas do pułku! — zakrzyknął Hawryło wraz z kilku innymi.

— Poczekaj — próbował Żerdiaha. — Jakże to tak? Konia zabrali... a teraz chcą i duszę...

— Milcz lepiej! — ofuknął go Hawryło. — Bo tyle głupstw nagadasz, że potem nawet przez trzy dni w tym się nie wyznasz.

Dobrze mówi — pomyślał Żerdiaha. — Do domu nie dojdiesz, od wojny nie uciekniesz. Oddać im konia, to już lepiej samemu włożyć pętlę na szyję. Przepadło wszystko... Bronilem się, jak mogłem, a jednak się nie udało.

— Jakże to jest? — zapytał Hawryły. — Jestem chłopem średniorolnym, ojciec mój był jeszcze chłopem pańszczyźnianym u ziemianina Dołgorukowa. Wierzyłem w swój stan chłopski, wierzyłem w Boga i pokój na ziemi..

A teraz nie wierzę w nic — pomyślał, ale nie powiedział Syła Żerdiaha.

— Szkoda mi Franta — rzekł do Hawryły. — Nie mogę go porzucić. Teraz mi wszystko jedno. Rada by dusza do raj... ale się jej nie udało.

Dotąd wydawało mu się, że minie dzień, może dwa, a wszystko się zmieni, tabor wróci do Czernihowa, a on — do domu. Śniła mu się co noc własna chata, żona, syn Denys, maleństwo. Teraz zrozumiał — wszystko się skończyło: tamto było snem, a teraz zaczęła się rzeczywistość. Nie wróci do domu taki, jaki z niego wyszedł.

Serce go bardzo bolało, gdy podpisem stwierdzał, że zobowiązuje się przez sześć miesięcy wiernie i uczciwie służyć Dyrektorii. Zdawało się, że lada chwila się rozplacze, ale łza nie potoczyła się z oka, tylko z pióra spłynęła kropla atramentu. Opanował się.

Wypisał równymi literami: Syła Mynowicz Żerdiaha.

Te chwile pozostawiły bolesny ślad w pamięci Syły — ślad taki, jaki pozostawia twardy pilnik na błyszczącym ostrzu noża, one były decydujące; wyjazd z domu, droga z Czernihowa, wstąpienie do pułku — wszystko to stawało się drobne i nieważne w porównaniu z tym, co się działo teraz.

Pod wieczór wyjechali z Hawryłą na rozpoznanie. Pułkownik rozkazał dowiedzieć się, w jakiej odległości znajdują się czerwoni.

Jechali białym, nie kończącym się stepem. Hawryło wciąż mówił o tym, jak to dojdą do Kijowa, okopią się i stamtąd...

— Pomogą nam sprzymierzeni, którzy są w Odessie, inni sojusznicy uderzą z północy — od oceanu. Słychać, że idą także z Syberii i Galicji. Och, gorąco będzie! Zetrzemy na proch tych nędzarzy... Spójrz na nasz pułk... Wszystko ludzie dostatni, pełni sił...

Bolało to Żerdiahe: chciałby zeskoczyć z konia, zwinąć się w kłębek na miedzy i jęczeć... Nie słyszeć Hawryły — nie widzieć i nie słyszeć go!... Chodzi za nim jak cień — ani go odciąć, ani oderwać się od niego...

Na horyzoncie z zaśnieżonych przestrzeni wyłonił się wóz. Hawryło zatrzymał konia. Wóz jechał powoli, często przystawał. Wkrótce można było dostrzec, że na wozie siedzi dwu ludzi i że koń jest siwy. Siedzieli nieruchomo, pełni czujności. Potem zatrzymali konie i długo, bardzo długo wóz stał na środku drogi. Dwaj jeźdźcy stanęli również.

Najlepiej byłoby uciec — pomyślał Żerdiaha. — Wedle wszelkich oznak...

Nagle woźnica skręcił z ubitej drogi na prawo, na bezdroża.

— Oho! ho! ho! — zdjął z ramienia karabin Hawryło. — Uciekać chce!

Szczęknął zamkiem. Trącił konia.

— Ja ci dam uciekać.

Widać było, jak woźnica wychylił się z wozu i okładał konia biczyskiem. Koń śmiesznie wierzgał na głębokim śniegu.

— Przed kim uciekasz? — mówił Hawryło. — Od kogo chcesz zmykać? Och, ty...

Podniósł karabin, celował długo i starannie, wreszcie wystrzelił. Odwrócił się do Syły i roześmiał się. Woźnica wypadł z wozu na śnieg, koń jeszcze przez pewien czas wierzgał, lecz potem stanął.

Powoli, przygotowani na niespodzianki, ruszyli we dwójkę do wozu. Siedział na nim czarnowłosy chłopiec. Był niezwykle bladej. Zdało się, że czarne wąsiki na jego bladej twarzy są narysowane węglem.

— Dalej! — krzyknął Hawryło. — Złaż z wozu!

Chłopiec siedział nieruchomo i wpatrywał się nie w jeźdźców, ale w rozległy step, w białą przestrzeń, na której nie było widać najmniejszej plamki ani drzewka — tylko bezbrzeżne śniegi, a nad nimi spokojną jak morze, równą płachtę nieba.

— Nie rusz go! — powiedział Żerdiaha. — Widzisz, że dygocze jak liść!

— Milcz — warknął Hawryło. — Nie pytam ciebie.

— Złaż — wrzasnął. — Czy jeszcze długo mam się z tobą patyczkować? Może mam wziąć cię pod rączkę? Tak cię wezmę, że nie doliczysz się żeber! Wstawaj prędzej, nie mam czasu!

I po co to? — pomyślał Żerdiaha. — Też znalazł sobie towarzysza do rozmowy!

Młodzieniec zsiadł z wozu. Był bardzo wysoki i bardzo chudy. Nogi w butach owiązanych wyrudziały sznurkami zapadały się w śniegu, poruszał się, jakby miał nogi przetrącone; aż dziw, że mógł na nich stać. Na pewno było mu zimno, bo ubrany był tylko w czarną kurtczynę i wystrzępione spodnie.

— Podejdz bliżej! — rozkazał Hawryło. — Coś ty — panienka?!... Do kogo mówię?

Chłopiec, z trudem wyciągając nogi ze śniegu, posunął się jeszcze kilka kroków.

— Skąd? — zaczął pytać Hawryło.

— Z Czernihowa. — Chłopiec miał niski, piersiowy głos. Wydawało się, że nie mówi, lecz śpiewa.

— Dokąd?

— Do Kijowa.

— A kto jest w Czernihowie?

Chłopiec milczał.

— Kto w Czernihowie? — powtórzył Hawryło.

Chłopiec milczał nadal. Nawet dziwne to było, że milczy tak uparcie i długo.

— Przyszli tam komuniści?

— O Szczorsie słyszałeś? — dorzucił Syła Żerdiaha. — No, opowiedz!

Chłopiec spojrzał na niego tak, jakby go dotąd nie spostrzegł. W oczach jego Syła Mynowicz wyczytał przerażenie i coś, czego nawet nie mógł od razu sobie uświadomić.

To jego spojrzenie przeraziło Żerdiahe.

Jak on patrzy! — pomyślał Żerdiaha. — Matko moja, jaki ten chłopak straszny. I cóż będzie dalej?

— Żyd — powiedział Hawryło. — Czarniawy... milczy. Na pewno komuniста!

Hawryło zeskoczył z konia.

— E-ech, dopieklj nam Żydzi... Zabić go to za mało...

Wtedy chłopiec krzyknął przeciągle, rozpaczliwie, jakoś po dziecinnemu:

— Ma-a-mo!

Żerdiaha naraz jakby się ocknął.

— Zaczekaj! — krzyknął do Hawryły. — Zaczekaj, co robisz?

Hawryło pogrzebał w głębokich kieszeniach płaszcza i wyjął składany nóż.

W rękach jego błysnęło połyskujące ostrze.

— Ma-a-mo! — lamentował chłopak.

— Będiesz krzyczał „mamo“? — zaperzył się Hawryło. — „Mamo“ krzyczy! Czy ja krzyczę? Więc czego? Czego wrzeszczysz?

Podszedł do chłopaka.

— Dokąd idziesz? — rozpaczliwie krzyknął Żerdiaha. — Co ty robisz? Co chcesz z nim zrobić?

Hawryło odwrócił się. Patrzył na Żerdiaha szklanymi, jakoś dziwnie przezroczystymi, bezbarwnymi oczami.

To on taki? — pomyślał Żerdiaha. — To on i tak potrafi?

— Wytnę mu gwiazdę na czole — powiedział Hawryło. — Niech wie...

— Po co?... — krzyknął rozpaczliwie Żerdiaha. — Po co masz wycinać? Nie trzeba! Nie trzeba!

I Żerdiaha z całej siły uderzył konia. Frant, spłoszony krzykiem i uderzeniem, szybko pomknął drogą.

— Syło! Zaczekaj! Ja ci pokażę! — słyszał Żerdiaha za sobą krzyk Hawryły.

Koń gnał wciąż przed siebie.

Ale Hawryło wreszcie go dopędził. Obaj na koniach stali naprzeciw siebie.

Hawryło był straszny...

— Uważaj — powiedział. — Jeżeli zrobisz tak jeszcze raz, to i ciebie zarżnę. Dla mnie to fraszka!

Ruszyli dalej stepem, mijając zabitego woźnicę, który leżał zgięty na śniegu, jakby zbierał kamienie. Jechali w milczeniu.

Stało się to wszystko jakoś głupio. Gdyby spróbował sam to opowiedzieć, wypadłoby bardzo śmiesznie. Wolał słuchać, jak opowiadają inni, wtedy wydawało się naprawdę ciekawe.

Pierwsza potyczka pułku imienia Petlury z czerwonymi nastąpiła niespodziewanie. Właściwie nie była to potyczka.

Pułk był już zorganizowany i opuszczał wieś. Miejscowy pop, bardzo ruchliwy, śpiewający tenorkiem, odprawił nabożeństwo na intencję zwycięstwa oręża, pokropił wszystkich wodą święconą, chór dziewcząt o przenikliwych, stepowych głosach odśpiewał „Długie lata życie nam“ i pułk opuścił wieś wychodząc na zasypane śniegiem zimowe bezdroża.

Zaledwie pułk minął ostatnią ulicę i wyszedł na step, nagle z lewej strony, z gęstego, okrytego śniegiem lasu wypadła kawaleria. Jeźdźcy mknęli jak wichur, widać było z daleka śnieg wzbijany końskimi kopytami. Nie czekając nawet na komendę, nie ostrzelany, nie wysz-

kolony pułk popędził jak tabun przez płytką rzeczkę do widniejącego z daleka lasu. Wraz z innymi gnał na koniu także Żerdiaha.

Oto chrzest bojowy! Teraz już się nie wykręcimy. Co robić? — myśli przelatywały mu przez głowę, a z tyłu już padały strzały i chrapały konie. Zapamiętał jeszcze, jak ich pułkownik, Barabasz, pędził na przedzie do rzeczki, dziko coś wykrzykując.

— Ratuście! — zawołał Żerdiaha. I nagle poczuł, że ustał pęd, który go ogarnął. Pozostał sam. Jeźdźcy i pułkownik Barabasz oddalali się. Jego koń, Frant, zgiął przednie nogi i nie upadł, ale miękko usiadł na zadzie, na przyprószonej śniegiem ziemi. Żerdiaha zaledwie zdążył zsunąć się na ziemię i gdyby nie uskokzył w bok, koń przygniótłby go sobą.

— Ratuście! Gwałtu! — krzyczał Żerdiaha.

I zamilkł. Oszołomiło go to, co zobaczył w tej chwili. Głowa Franta naraz poczerwieniała, krew biła strumieniem z żyły i pienila się na szyi konia.

— Franciku! Mój Franciku!

Rzucił się do Franta i próbował podtrzymać mu głowę, ale koń coraz bardziej pochylał ją na bok.

— Przepadnie bydło! Zginie konik — szeptał usiadłszy na ziemi obok Franta. — Co robić? Zraniony mój koń. Jak ci mam dopomóc?

Jak poryw szalonego wiatru przemknęli ponad jego głową kawalerzyści. Nic nie widział i nic nie słyszał. Ginał jego koń! Przytulając twarz do gorącej głowy konia, szeptał:

— Koniku mój! Mój Franciku! Ko — ni — ku!

Żrenice konia rozszerzyły się, przypominały dwa węgielki. Krwawa piana buchała mu z pyska. Zachrapał, uderzył z rozmachem głową o ziemię i wyprężył się...

— Zginął! Nie ma Franta! — wyszeptał Żerdiaha.

Dopiero teraz podniósł głowę i zobaczył jak przez mgłę, co się dzieje dokoła. Pułk imienia Petlury uciekł i ukrył się na górze w lasku, po drugiej stronie rzeczki. Czerwonych również nie było widać. Znikli w jarach.

— A co teraz?... Co teraz? — pytał sam siebie Żerdiaha. — Co robić teraz?

Usiadł obok konia i długo siedział tak, bez myśli i pragnień. Jakby coś się w nim zerwało. Remez wyprowadził go ze wsi, porzucił i zdra-

dział. Tylko Frant z nim pozostał. Tyle się namęczył przez tego konia. Z taborem poszedł, do pułku się zapisał... I oto koń padł.

Teraz Żerdiaha był już całkowicie samotny. Sam, sam jak palec. Wziąć kijek i machnąć się do domu — pomyślał.

To była ta myśl, na którą już od dawna miał przygotowaną odpowiedź.

Dokąd teraz pójść? Gdzie są swoi, a gdzie obcy? Gdzie dom rodzinny? Na prawo czy na lewo? Zabłądziłem... Skąd wezmę konia?

Rozgniewał się nagle: Też głupie z nich diabły. Zaledwie ich trochę z tyłu szturchnęli, zaraz rzucili się do ucieczki. Ilu było tych czerwonych? A naszych przecież cały pułk! Ech, tchórze!

W tej chwili on sam naprawdę się nie bał. Czego ma teraz bronić? Nie ma nic oprócz życia! I to życie też jakby obce.

Wstał i powoli poszedł do rzeczki, na której lód potrzaskał pod końskimi kopytami. Stał nad wodą. Rzeczka była płytka, raczej wąziutki strumyk — woda zaledwie sięgała mu do kostek, stare, pochodzące jeszcze z carskich czasów buty nawet nie przemokły. Dobre były buty.

Gdy przeszedł przez rzeczkę, zdjął z ramienia karabin. Tu gdzieś w pobliżu powinni być petlurowcy. Strzelił raz, drugi i trzeci — wystrzelał cały magazyn. Strzelał nie celując, najczęściej w górę.

W lasku dopędził pułk. Chciał opowiedzieć, jak głupio stracił konia.

Pułkownik Barabasz wyjechał na jego spotkanie wraz z oficerem ordynansowym. Przyjrzał się Żerdiasze utykającemu ze zmęczenia... i kazał oficerowi ordynansowemu zejść z konia.

— Jak się odważyłeś, staruszkule, zająć ich od tyłu?

— Ja... koń mi padł, a ja obok niego!

— Ilu ustrzeliłeś?

Żerdiaha zdumiał się. Przecież do nikogo nie strzelał.

— Koledzy słyszeli, jak strzelałeś do nich tam koło rzeczki.

— Oho! ho! ho! — zrozumiał Żerdiaha. — Postrzelałem trochę. Któż może wiedzieć, ilu ustrzeliłem! Po co rachować?

— Zuch z ciebie, Żerdiaha — powiedział pułkownik.

— Oto, panowie — zwrócił się pułkownik do otaczających go petlurowców — Trzeba uczyć się od tego starego. Trzeba walczyć tak jak on... Mamy zapasowego konia! Istny ogień! Dajcie go staremu!

Stary Żerdiaha chciał opowiedzieć wszystko, co mu się przytrafiło, ale zrozumiał, że to wydawałoby się śmieszne.

Toteż i potem, gdy była mowa o tej potyczce, zawsze mawiał:

— Niech młodzi opowiadają. Rzecz starych — słuchać.

Wszyscy zaczęli go uważać za nie byle jakiego bohatera. Nie zaprzeczł — niech się ludzie zabawiają. Przecież nikt nie wie, jak on się męczy i trapi, co mu się śni po nocach w obcych chatach, w obcych obejściach.

Pułkownik Barabasza nie mógł się uspokoić.

— O, pan Żerdiaha — witał go przy każdym spotkaniu. — Bardzo się cieszę, że pana widzę. Prawdziwy bohater z pana!

— Ja... ja... — Żerdiaha nawet nie wiedział, o jakim bohaterstwie mówi pułkownik. — Jestem prosty człowiek...

Do czego on zmierza? O jakim bohaterstwie mówi? — rozmyślał uparcie Żerdiaha wiedząc, że nie jest żadnym bohaterem.

— Nie wszyscy tak rozumieją swój obowiązek jak pan — mówił dalej pułkownik. — Nie wszyscy są świadomi, czego bronią — mówić uroczyście, jakby w czasie kazania w cerkwi. — Mamy dużo młodzieży, która dziś idzie z nami, walczy niby to o ziemię, o własność, ale jutro... jutro ucieknie z armii.

Żerdiaha sam wiedział, że w pułku jest dużo młodych, którzy uciekali, ale przytrafiało się to nie tylko młodym, uciekali też starsi. Jedni uciekali do domu, drudzy do czerwonych: po każdym przemarszu tępniała liczba ludzi w pułku, a trupów na polu też jakoś nie było widać.

— Szanujemy tych, którzy idą z nami, świadomi zaszczytnego celu, tych, którzy tak jak my wysoko trzymają nasz sztandar...

Na diabła mi wasz sztandar — chciał powiedzieć Żerdiaha — za-
błądziłem, ot co!

Ale nie powiedział nic. Słuchał i milczał.

— Cenimy tych, którzy idą z nami. Dajemy im odznaczenia.

Ujął rękę Żerdiahy i mocno, długo ją ścisnął.

— Dziś z rana mieliśmy naradę w sztabie. Postanowiliśmy, i taki rozkaz wydał także naczelny ataman, nagrodzić tych Kozaków, którzy wiernie nam służą. Postanowiliśmy również panu dać nagrodę — pułkownik usiadł przy stole i napisał coś ołówkiem na papierze. — Oto dokument nadania ziemi. Gdy wróci pan po wojnie do domu, dadzą panu trzy dziesięciny ziemi. No a poza tym otrzyma pan pie-

niądze. Rząd Wysokiej Dyrektorii da panu dwa tysiące grzywien jako pożyczkę bezzwrotną. Tu, proszę, kartka do skarbnika pułkowego, aby wypłacił od razu dwa tysiące grzywien, a tu dokument na trzy dziesięciny ziemi. I jeszcze raz szczerze panu winszuję..

Żerdiaha nie zdążył nawet zapytać, co to jest pożyczka bezzwrotna.

— I, panie Żerdiaha — odwrócił się pułkownik wychodząc ze sztabu — proszę każdemu powtarzać, że rząd Dyrektorii wydał rozporządzenie o nadaniu trzech dziesięcin ziemi każdemu, kto mu wiernie służy... I każdemu Kozakowi wypłacamy teraz po dwa tysiące grzywien.

Odszedł pośpiesznie. W sztabie Żerdiaha otrzymał dwa tysiące grzywien nowymi papierkami, które przyjemnie szeleściły mu w palcach.

A w nocy siedział w obcej chacie, długo rozmyślał nad tym, co zaczęło, i teraz dopiero zrozumiał, że stała się rzecz nie do naprawienia. Może i nie chciał tego, ale sprzedał i sprzedaje petlurowcom swą duszę, siebie całego. Dali mu już pieniądze, a paperek na trzy dziesięciny ziemi leży w jego kieszeni — koniec, przepadł Syła Żerdiaha na wieki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Do sztabu prowadzono na badanie partię jeńców. Spotkał ich Denys Żerdiaha. Długo, z zainteresowaniem przyglądał się jednemu z jeńców, którego twarz wydała mu się aż nadto znana. Jeniec przystanął i równie długo i badawczo przyglądał się Denysowi, jakby chciał do niego przemówić.

— Nie zatrzymywać się! — krzyknął konwojent. — Pędzej!

Przed Denysem Żerdiaha, cokolwiek tego dnia robił — czyścił karabin czy też szedł na obiad — przez cały czas stała twarz jeńca, jego oczy nieprzyjemne, zimne i złe. Spodziewał się, że stanie się coś niezwykłego, że nie na próżno nastąpiło to spotkanie.

I nie pomylił się. Wezwano go do sztabu. Wszystkich jeńców już wyprowadzono i w sztabie pozostał tylko jeden — ten, który na ulicy zwrócił jego uwagę. Jeniec stał na prawo koło okna. Na pewno wiedział, że ma wejść Denys Żerdiaha, bo uśmiechnął się, gdy go zo-

baczył. Przy stole siedział dowódca Szczors, komisarz polityczny i kilku oficerów sztabowych.

Denys cicho podszedł do stołu i spojrzał Szczorsowi prosto w oczy.

— Towarzyszu Żerdiaha — spokojnie i wyraźnie powiedział Szczors. — Ten jeniec mówi, że zna ciebie i twego ojca.

— Ojca? — Denys spojrzał na jeńca.

— Tak — uśmiechając się powiedział jeniec. — Znam Syłę Mynowicza Żerdiaha, petlurowca z pułku imienia Petlury, i znam ciebie, Denysa, jego syna...

— Petlurowca? — krzyknął Denys. — Z pułku Petlury?

Jeniec skinął głową.

— Żerdiaha, czy znasz tego jeńca? — przerwał Szczors.

Denys myślał o ojcu, usiłował zrozumieć, jak i co się mogło stać, z jego ust gotów był wyrwać się krzyk, pytanie... ale opanował się i badawczo przyglądał się jeńcowi.

— Znasz go? — zapytał Szczors.

— Zaraz... zaraz... — usiłował przypomnieć sobie Denys.

— Jestem ze wsi Behacze... sąsiad... My... — podpowiedział jeniec — z biedoty... — i mrugał porozumiewawczo.

Denys przypomniał sobie wreszcie. Jeniec pochodził ze wsi Behacze, rzeczywiście z sąsiedztwa. Jest synem behaczewskiego bogacza Trościaneckiego, służył w wojsku hetmana i nawet raz przyjeżdżał z oddziałem wojska hetmana, tak zwaną „wartą“, do ich wsi. To on chłostał ludzi we wsi...

— Kłamiesz!... — krzyknął Denys. — Ty jesteś Trościanecki. Bandyta behaczewski.

Spiesząc się, zachłystując od natłoku wspomnień, opowiedział o tym, jak Trościanecki wpadł raz z kompaniami do ich wsi, jak chłostał na placu biedaków wiejskich i parobków.

I przypomniał sobie jeszcze, że gdy zabito dziadka Czornomora, Trościanecki był wśród tych, którzy wtedy napadli na wieś. Wówczas Denys nie poznał go, ale teraz przypomniał sobie. To oni zabili dziadka, który poprzedniego wieczora opowiadał o rewolucji 1905 roku w Behaczach.

— To on zabił dziadka — pokazał palcem Denys i podszedł do jeńca — Ty bandyto! Ty splamieś swe ręce jego krwią Ty!...

— Zaraz!... Zrozumiał, że powiedział wszystko, co trzeba. Ale co bę-

dzie dalej? Jeniec twierdził, że ojciec Denysa jest petlurowcem i służy w pułku imienia Petlury.

Ojciec jest petlurowcem? — natrętna, okropna myśl.

— To wszystko! — odezwał się Szczors. — Możesz odejść, towarzyszu Żerdiaha. Dziękuję. Możesz odejść. Nie, nie, idź!

Gdy jeńca wyprowadzono, Denys podszedł do niego.

— Gdzie go widziałeś? — zapytał wprost Trościaneckiego.

— Idź na dworzec w Nieżynie — odpowiedział pogardliwie i drwiąco jeniec. — Sam bandycki syn, a innych nazywa bandytami. E-ch, gadzina!

— Milcz! — krzyknął Denys. — Milcz, przeklęty bogaczul!

Wartownicy poprowadzili jeńca. Denys chciał rzucić się za nim, uderzyć łajdaka, który odważył się nazwać go synem bandyty, zabić łotra, który ośmielił się zastrzelić dziadka Czornomora.

Ale się pohamował. Stał tak długo, aż konwojenci i jeńcy zniknęli za zakrętem. Gdzieś niedaleko we wsi śpiewano piosenkę:

*Aż Kozak wróci z wojenki — czekała,
Swoje dziewczęce lata zmarnowała.
Nie doczekała się swego Kozaka,
Więc pokochała młodego junaka.*

Denys poszedł na swoją kwaterę. Stąpił szeroko, śnieg cicho skrzypliał mu pod nogami. Wszedł do chaty, siadł na ławie i zamyślił się. „Co robić dalej?”

Tak dobrze się wszystko składało. Sedniów, Czerniów, przyzwyczaił się do towarzyszy. Szukał ojca w Czernihowie, a potem przestał szukać, bo myślał, że ojciec okólnymi drogami pojechał do domu, na wieś, omijając czerwone pułki.

Remez mówił, że ojciec uciekł z petlurowcami, ale Denys nie wierzył mu — jego ojciec nie należy do tego rodzaju ludzi, zresztą czego ma tam szukać!

Okazało się jednak, że ojciec nie pojechał wówczas na targ, lecz wstąpił do pułku petlurowskiego, poszedł przeciwko czerwonym, przeciwko swemu synowi.

Co się stało? — głowa mu płonęła. — To nie może być — nie wierzył sam sobie. — Nie mógł pójść z własnej woli... Jakże to — Remez jest dozorcą w Czernihowie, a mój ojciec?...

Palili go wstyd. Czuł, jak płoną mu policzki. Wstyd za ojca... i za

siebie. Jak teraz jechać obok towarzyszy? Może jutro, a może już dziś dowiedzą się, że jego ojciec jest petlurowcem. Jak spojrzeć w oczy swemu dowódcy — Szczorsowi? I czemu Szczors nic nie powiedział, gdy usłyszał o jego ojcu?

Nie — postanowił. — Tylko tak należy zrobić: trzeba iść. Trzeba iść, dopóki nie jest za późno. Iść do Nieżyna! Ratować ojca, uratować siebie od wstydu...

Nie wiedział, czy ma wziąć ze sobą karabin, czy zostawić. Wziął go nawet do rąk, potem położył na ławce. Zatrzymał tylko rewolwer.

Wstąpił do sztabu pułku. Czekał w sieni, bo Szczors naradzał się z dowódcami.

Hałaśliwie opuszczali sztab dowódcy, przystawali już w sieni, byle prędzej zapalić, bo Szczors nie pozwalał palić w sztabie. Wszedł do Szczorsa dopiero po ich odejściu.

— Przyszedłem do was, towarzyszu dowódco pułku.

— To dobrze. — Szczors podszedł blisko do Denysa. — A ja już wydałem rozkaz, żeby cię szukano i przyprowadzono tutaj.

Przyprowadzić... — słowo to nieprzyjemnie dotknęło Denysa. — Przyprowadzić, a potem... Co robić z nim, synem petlurowca... synem zdrajcy Syły Mynowicza Żerdiahy, który porzucił wieś, dom rodzinny, poszedł do petlurowców i stał się wrogiem? Armia Czerwona zmiecie w walce, zniszczy Syłę Żerdiahe — wszystkich takich jak Żerdiaha — a jego, syna Żerdiahy, także trzeba zabić albo przepędzić jak najdalej, wypędzić precz z pułku. Nie ma dla niego miejsca w sławnym pułku Bohuńskim, nie śmie nawet spojrzeć w oczy Mykoły Ołeksandrowicza...

— Ja... towarzyszu dowódco... Ja... towarzyszu Szczors...

Nie śmiał patrzeć mu w oczy. Spojrzał wreszcie — i nie zrozumiał. Spoglądały na niego wesołe, radosne, zmrúżone oczy Szczorsa.

— Ja... co mam zrobić?

— Dziś w nocy — mówił Szczors — wyruszysz stąd. Ubierz się jak najbardziej ubogo.

Wypędza — pomyślał Denys.

— Pójdiesz przez ten las, przejdiesz przez step — Szczors patrzył na mapę — jeszcze jeden lasek... i Nieżyn. Zatrzymaj się tam, rozejrzyj, gdzie i jakie stoją oddziały, gdzie są baterie, rozpytaj się

— I z powrotem. To jest zadanie skomplikowane i odpowiedzialne — rozumiesz?

— Rozumiem — cicho odpowiedział Denys.

Ale nie wszystko rozumiał. O ojcu Szczors nie wspomniał ani jednym słowem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Denys Żerdiaha siadł w kąciaku na peronie dworca, na przewróconym do góry kołami wagoniku. W poczekalniach kolejowych paliły się lampy i było jasno, ale wejść tam byłoby dlań niebezpiecznie. Na peronie w ciemności czuł się pewniej, nikt nie mógł go poznać.

Na wagoniku obok Denysa przysiadło jeszcze kilku ludzi. Jeden z siedzących śpiewał naderwanym, ostrym głosem, inni mu wtórowali:

*Kędy tylko zwrócę oczy,
Groźna wojna w krąg się toczy,
Ciągłe strzały, ciągłe boje
Ogłuszyły uszy moje,*

*Już mi się zmęczyła ręka,
A karabin ramię nęka,
Zrobił mi się wrzód na nodze
W długim marszu po zlej drodze*

Denys nie dosłuchał do końca. Zerwał się z miejsca. Na skraj peronu wyszedł, jak na scenę, jakiś człowiek i stanął nad czarnym spletem szyn jak nad przepaścią, zwrócony twarzą w stronę Kijowa. Ubrany był w kożuszek, szabla zwisała mu aż do pięt, czapka była zsunięta do tyłu. Denysowi postać człowieka i jego ruchy wydały się dziwnie znane. Nagle w pobliżu wynurzył się kolejarz z latarką. W jej świetle Denys zobaczył na chwilę nachmurzone brwi, zatroskane oczy i siwe, zwisające wąsy... Na peronie stał jego ojciec — Syła Żerdiaha.

Stary Żerdiaha obrócił się do niego.

— Denysie! — krzyknął wzruszony. Podszedł do syna i dotknął jego ręki, jakby się chciał przekonać, czy to naprawdę on...

— Popatrz, co za spotkanie! — powiedział.

Wszystko było nadzwyczaj dziwne. I to, że ojciec szedł obok niego, taki swój, dawny, stary: siwy, obwisły wąs, ściągnięte brwi — i to, że ojciec jest jakiś nieznany, obcy, stąpa w nowy sposób, stukając

obcasami, i że zielony klin szarej czapki zwisa mu aż na plecy, i że u pasa dynda mu ciężka szabla z miedzianym okuciem.

Dziwne było jeszcze i to, że idą ulicą nie swojej wioski, że są aż w Nieżynie, a gdzieś w pobliżu, w mroźne powietrze poranka, jak ostrze siekiery w suchy pień, wdziera się odgłos bitwy artyleryjskiej.

Wreszcie przystanął na przedmieściu Nieżyna, na skraju ulicy biegnącej nad stawem. Chatka o zielonych okiennicach, w oknach czerwone kwiaty. Mały kotek, biały w czarne łatki, miauczał żałośnie przy drzwiach. Weszli do chatki. Gospodyni — młoda, zdrowa kobieta — troskliwie zabrała z ławy czapkę i kożuszek, które zrzucił stary, powiesiła je na kołku przy drzwiach. Potem wyszła z chaty i widać było przez okno, jak pobiegła ulicą.

— Teraz możemy porozmawiać — Syła Żerdiaha usiadł w kącie pod ikonami. — Młódka mieszka sama, skierowano mnie do niej na kwatere. Chata jak mogiła, nikt nas nie podsłucha. I my nie usłyszymy nikogo — znacząco ciągnął Żerdiaha. — Wiele rzeczy mamy do omówienia, bo ile to czasu już minęło, jak wyszedłem z domu? Co się ze mną dzieje — uderzył ręką w stół. Zapomniałem... Zupełnie zapomniałem... Pewnie chcesz jeść? — w jego oczach błysnęło coś dawnego, ciepłego i rodzinnego.

— Jestem w drodze od wczorajszej nocy...

— No widzisz! A ja siedzę. Zaraz... zaraz... — Długo szperał pod poduszkami leżącymi na ławie, wreszcie wyciągnął butelkę siwego, żółto mieniącego się samogonu, pogrzebał w drewnianej skrzyneczce, wyjął pół bochenka chleba i kawałek słoniny, podbiegł do półki na naczynia, stojącej w rogu, wziął deseczkę i pokrajał na niej cebulę.

— Jedz, jedz! — mówił. — Najeść się to zdrowo! Jak się jeszcze zdarzy kawałek słoniny, to od razu przybywa sił.

— Nie chcę mi się jeść — ledwie wymówił Denys i musiał się hamować, by nie dodać słowa „tato“.

— Ale ja zjem i wypiję — rzekł stary. — Nie mogę nie pić. Z rana piję, w dzień piję i wieczorem piję. I idę spać pijany. Nie zasnąłbym inaczej — dodał po chwili milczenia. — Położę się, a wtedy myśli opadają mnie jak gawrony — całą chmarą. I wciąż polatują, fruują, nie dają usnąć. Daj Boże — zamyślił się — daj Boże, żeby te myśli poszły sobie do diabła. — Wypił i przewrócił do góry dnem szafirowy, emaliowany kubek w biały deseń. — I ty pij — powie-

dział surowo do Denysa — pij, żeby ożyła dusza! Teraz — dodał cicho — i ty będziesz musiał pić!

Nalał do kubka i Denys wypił śmierdzący, podobny do chudego mleka samogon. Od razu zrobiło mu się ciepło, zachciało się jeść i spać. Ale wiedział — nie wolno usnąć. Przecież zaraz zacznie się rozmowa, do której przygotowywał się przez całą noc.

— A więc porozmawiamy — zacierał ręce Syła Żerdiaha. — Porozmawiamy, Denysie! Widzisz, teraz ciepło nam, zapalimy i porozmawiamy. Nic więcej nie wzięłeś ze sobą? Tak się wyrwałeś? Trochę mało! No cóż, trzeba będzie zająć się tobą. Dawno wyszedłeś z domu?

— Nazajutrz po was.

— Widzisz, mówiłem ci — poweselał stary. — Mówiłem, że i ty przyjdiesz... Poplątało się, wszystko poplątało na świecie... W różne strony rozrzuca ludzi ta rewolucja! Widzisz, ja... Ale co tu mówić? Może teraz będzie lepiej — będziemy teraz we dwóch...

— Nie, nie będziemy — odpowiadał Denys. — Tutaj nie będziemy we dwóch. Przyszedłem, żeby zabrać was ze sobą, tato!

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Nie, nie „tato“! — krzyknął Syła Żerdiaha. — Jeżeli tak, to nie mów do mnie „tato“.

Oślepiało ich słońce bijące ostrymi promieniami w boczne okno. Oślepiało również mocny samogon, który rozlał się po żyłach, ręce i nogi wydawały się obrzmiałe, tętniące krwią. Zielone koła płynęły po niebieskich ścianach chaty jak liście lilii wodnych. W jednym z tych kół blado przeświecała żółtawa twarz Denysa.

— Po co przyszedłeś? — ochryple zapytał Żerdiaha.

Stał i czekał, czujny i surowy.

— Tato — powiedział Denys szczerze i ciepło, po rodzinnemu. — Przyszedłem spytać was o coś.

Siadł ciężko na ławie Syła Żerdiaha, jakby umyślnie chciał uderzyć się o nią, i siadłszy od razu opadł z sił.

— Mów cicho.

— Przyszedłem, aby was zapytać, dokąd wy zmierzacie? Czego szukacie? Z kim poszliście?

— Przecież widzisz, dokąd idę — uśmiechnął się Żerdiaha i wskazał szablę i zielony klin. — Pytasz, czego szukam?

Zamyślił się. Zabrakło mu słów. A syn siedział na ławie, bacznie przyglądał się ojcu i czekał na odpowiedź.

— Czego szukam? Chcesz, żebym ci odpowiedział.

Wtedy ogarnęły go, opadły wspomnienia. Fala po fali, strumyczek po strumyczku... Przypomina sobie, jak zaszedł do niego wieczorem ten bogacz Remez... potem zajazd w Czernihowie... nakaz wyruszenia z wozem... Step... padł Frant... przypomina sobie, jak podpisał zobowiązanie, że będzie służył Dyrektorij przez sześć miesięcy. Przypomina mu się nawet chłopiec stojący na stepie, blady, z czarnymi wąsikami.

Ścisnęło mu się serce — jak dużo przeżył w tak krótkim czasie i jaka straszna była ta przeszłość! Wyłożyć to Denysowi, opowiedzieć. I wszystko stanie się zrozumiałe.

Nie, nie zrozumie! — pomyślał Żerdiaha. — To nie na jego rozum sprawa.

— Dlaczego poszedłem, pytasz? Powiem. Słuchaj tylko.

Długo zbierał myśli.

— Dłuższy czas sam nad tym myślałem — mówił zamyślony, stojąc pośrodku chaty, z zamkniętymi oczami, jakby widział przed sobą szeroką przestrzeń stepu. — A jak się wyrwałem do rodzinnej wsi, do naszych zagonów na polu! Kocham swoją ziemię. Na wiosnę zdarzało mi się zasnąć na wozie, w polu. Budziłem się przed świtem, zaledwie zaczyna świtać, zjawia się jakby biała chmurka nisko nad horyzontem. Drży chmurka jak łaża — świta. A ziemia czarna, pulchna, słodka... znam jej smak — rozciąga się dokoła, oddycha... Westchnie... i cicho... Odetchnie... i znów cisza. Człowiek chce zeskoczyć z wozu, upaść na kolana i modlić się do niej, do świętej ziemi się modlić... Właśnie dlatego — tu spojrzął na Denysa obcymi, mętnymi oczami — wyszedłem z domu. Złakłem się, co tu dużo mówić, złakłem się, że chatę i pole, i wszystko oderwą od serca i będzie ze mną koniec. Nie mogłem znieść tego — poszedłem.

— Nie tak było. To Remez was namówił, tato.

— Remez? A czy ty wiesz, gdzie on jest? — w oczach Żerdiahy zapalił się niedobry płomyk. I czekał z niecierpliwością, czy Denys rzuci o Remezie to straszne słowo, które napelni go chłodem, które rozdzieli go z Remezem ostatecznie i nieodwołalnie.

— Jest w Czernihowie. Pracuje u swego kuma jako dozorca! — tryumfująco wykrzyknął Denys. — Zamiała ulicę. Chciałby wypły-

nać znów. Przeczeka w Czernihowie... Nie doczeka — krzyczał Denys — choć taki jest chytry!

— Dozorca... Ho! ho! ho! — gorzko roześmiał się Żerdiaha. — Wiesz go, w Czernihowie jest dozorca! Dlaczego robisz mu wyrzuty? Zajrzałeś mu w serce? Myślisz, że smaczny jest chleb dozorca. Gospodarz, mający zagrodę i ziemię, zamiata ulicę! Miotłą!... A może miotką? A to go wykierowali! Milcz! On nie jest winien! To nie on mnie namówił. Nie chciał, jak i ja nie chcę — oddawać ziemi!

— Nikt jej nam, tato, nie zabierze! — głośno krzyknął Denys. — Pracowaliście i nadal będziecie pracować na swojej ziemi. Zabiorą Remezowi, ale was nie tkną.

— Może gadałeś o tym z Leninem? — zapytał Żerdiaha.

— Szczors powiedział...

— Aha, Szczors! Rozumiem...

Przypomniały mu się długie, nocne przemarsze, rozmowy o okropnościach, które działy się na tyłach, straszne opowieści o głodzie. I jeszcze raz przypomniała mu się rozmowa z Remezem.

— Nie — znowu chodził po chacie jak we mgle. — Nie mów. Nie mów mi o Szczorsie. Nie uwierzę. Nie uwierzę, bo nie widziałem na własne oczy. I ty nie widziałeś także. Idziemy w ogień i nie wiemy, co się znajduje za tą ścianą ognia. Ani ja, ani ty!

Wydało mu się, że to nie Denys stoi przed nim, ale chłopiec z czarnym wąsikiem. Stoi, uśmiecha się i coś cicho szeptem bladymi ustami.

— Milcz... Milcz!... Widzę wszystko jak na dłoni! Car nie dawał ziemi, siłą mu ją wrywano. Kiereński z powrotem ziemię zabrał, miodem smarował po ustach, ale co z tego wynikło? Rada Centralna nie dała nic. Niemcy nas bili i zabierali wszystko... Przeganiiali ludzi przez kije... A kto wypędzał Niemców? — podszedł do Denysa.

— Szczors!

— Kłamstwo! — krzyknął Żerdiaha. — To Symon Wasyłowicz Petlura przepędził na łeb na szyję Niemców z Ukrainy. On nie tylko nie odbiera mi ziemi, ale rozkazał dodać jeszcze trzy dziesięciny. Pułkownik Barabasz wypłacił mi dwa tysiące grzywien nagrody. On też...

— Tato! — powiedział Denys. — Okłamano was. Błędzicie we mgle.

Żerdiaha rozejrzał się dokoła

— We mgle, mówisz? Może! To od gorzalki! Nie mogę pić. Nie piliem przez całe życie. A teraz trzeba.

— Chodźmy, tato, z powrotem. Ja — do Szczorsa, wy — do domu. Po co wam ta wojaczka. Będziemy wojować my młodzi. Dosyć..

— Ty?! — twarz Żerdiahy nabiegła krwią, poczerwieniała. — Chcesz mnie zwabić? Ile dostajesz od komunistów za nasze głowy? Ile ci obiecano za głowę ojca? Uważaj, nie daj się oszukać — ojciec jest tylko jeden. Drugiego nie będziesz miał.

— Tato! Co wy mówicie, tato!

— Mówię to, co wszyscy. Teraz taki świat. Syn Remeza był w wojsku hetmana, a stary zamiata ulice. A u nas — ty u Szczorsa, a mnie, widzisz, gdzie los rzucił. Nie mogę odejść! I nie pójdę! Niech już ta męka wypełni się do końca. Nie pójdę!

— Tato! Ostatnie słowo!

— Właśnie to moje ostatnie słowo.

Denys chciał jeszcze coś dodać. Ale nie powiedział nic. Przed nim stał nie ten ojciec, którego znał od dawna. Dzisiaj był to jego wróg.

Denys wyszedł z chaty bez pożegnania.

Poszedł.

Żerdiaha skoczył, podbiegł do drzwi, uczepił się futryny i długo tak stał przytuliwszy głowę do chłodnego drzewa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przy ulicy Jarosławskiej obradował sztab bolszewicki. Dowódcy oddziałów powstańczych składali meldunki. Robotnicy z Padołu, z Peczerska, z Kureniówki — było ich dwunastu — mówili o przygotowaniach do powstania. Już jest broń, granaty, bomby.

Gdy zebranie się skończyło, wychodzili z budynku na ciemną ulicę Jarosławską ostrożnie, pojedynczo.

Pierwszy wyszedł Horowacha. Zszedł na dół frontowymi schodami, przystanął, skręcił grubego papierosa, zapalił i wyszedł na ulicę, mocno zaciągając się jego dymem. Szedł stąpając miękko po bruku.

I nagle poczuł, że ktoś z tyłu łapie go za rękę. Nie zdążył nawet zrozumieć, co się dzieje, i już stał w bramie, a wokół niego sterczeli siczowcy.

Znowu zdrada — pomyślał Horowacha. — Doniosło jakieś bydłę. Kto to może być?

Po kilku minutach siczowcy przyprowadzili jeszcze jednego towarzysza, który był na naradzie. Potem jeszcze jednego i jeszcze jednego. Prowadzili ich w ciszy, sami milczeli i nie pozwalali rozmawiać aresztowanym.

Przyprowadzili Jaszę Cokaria. Przyprowadzili dziewiątego, dziesiątego. Horowacha pamiętał, że na zebraniu było ich dwunastu.

Przyprowadzili jedenastego.

— Wszyscy? — ochryplym głosem zapytał jeden z konwojentów.

— Powinno być jedenastu — przemówił znajomy głos. — Sprawdzicie.

I Horowacha zrozumiał wszystko. Było ich na zebraniu dwunastu i ten dwunasty — to był zdrajca, który zawiadomił dowództwo korpusu oblężniczego o zebraniu sztabu wojskowego i nasłał na nich siczowców.

Któż to jest? — pomyślał Horowacha — zabić takiego to za mało. Wyprowadzono ich na ulicę.

— Kogo brakuje? — zapytał Horowacha sąsiada.

— Milcz, bo rozstrzelamy na miejscu — syknął idący obok konwojent.

Pytał niepotrzebnie — gdy ich wyprowadzono, zobaczył sam: w bramie stał oficer petlurowski, a obok niego Wasyl Ostiuk, który był z nimi na naradzie i przemawiał z wielkim zapałem. Może nawet zbyt wielkim.

Więc tak! — zrozumiał Horowacha. — To ten!

I choć nie wiedział, co mógłby zrobić Ostiukowi ani czy będzie mógł kiedykolwiek coś mu zrobić — twardo wymówił tylko jedno słowo:

— Śmierć!

Ostiuk podniósł kołnierz i wtulił głowę w ramiona.

Na Podwalną, do Kowenki. Pod dziesiąty. Ale będzie noc! — myślał Horowacha.

Nie poprowadzono ich jednak na Podwalną, gdzie wierny pies Dyrektorii Kowenko całymi partiami rozstrzeliwał robotników. W pobliżu Podwalnej mieszkał sam Petlura, który przychodził przy-

glądać się egzekucjom. Minęli Kreszczatik i Aleksandrowską, szli pod górę, na Peczersk. Na ulicach było pusto, tylko od czasu do czasu przejeżdżały patrole, które zatrzymywały aresztowanych obrzucając ich pogrózkami i obelgami.

Była cudowna, kijowska noc grudniowa. Przez parkany ogrodów zwisały nad chodnikiem puszyste gałęzie. Niebo rozpościerało się nad miastem jak wspaniała namiot, utkany promiennymi, jaskrawo płonącymi gwiazdami, które chłodnym blaskiem migotały w oddali.

— Kierunek na lewo! — krzyknął idący na przedzie konwojent. Skręcili do parku nad Dnieprem.

Dokąd nas prowadzą? — pomyślał Horowacha. — Dlaczego do parku? Po co?... Dlaczego nie do sztabu?

W parku było jeszcze piękniej niż na ulicy. Gałęzie przyprószone śniegiem zlewały się nad głowami jak popielata, aksamitna kotara. Nogi zapadały aż po kostki w puszysty śnieg. Gdy ruszyli ścieżką i wyszli na główną aleję, na lewo odsłoniły się zadnieprzańskie dale. Gdzieś po tamtej stronie Dniepru, na łąkach, migotał płomyk. Był dziwnie zielony, zupełnie jak gwiazda, która spadła i płonie na ziemi. Na dole, u stóp góry, wyczuwało się skutny lodem, potężny nurt Dniepru.

Dokąd nas prowadzą? — uporczywie rozmyślał Horowacha.

Gdy idący dotykali głowami nisko zwisających gałęzi, na twarze sypał się śnieg i topniał na ciepłych policzkach. Prowadzono ich bardzo szybko; ciężko było piąć się pod górę, twarze wszystkich płonęły.

Wreszcie konwojenci kazali aresztowanym stanąć. Kilku konwojentów odeszło na bok i po cichu o czymś ze sobą rozmawiało. Potem podzielono więźniów na dwie grupki i pierwszą grupkę, złożoną z pięciu ludzi, poprowadzono naprzód. Horowacha z pięciu pozostałymi towarzyszami pozostał w alei.

Bacznie patrzył za tymi, których uprowadzono. Nie powiedział ani słowa.

Trzeba cierpieć — pomyślał Horowacha i tak pewnie myśleli ci wszyscy, którzy z nim zostali. — Cierpieć do końca. Zabiją nas, przyjdą inni. W mieście jest pełno naszych.

Pierwszą piątkę konwojenci otoczyli, poprowadzili aleją, skręcili w bok, na prawo, i znikli gdzieś w ciemnościach nocy.

W parku panowała niezwykła cisza. Ci, którzy pozostali, usiłowali nawet ciszej oddychać. Wsłuchiwali się w odgłosy nocy i chciwie łowili każdy dźwięk. Słyszeli, jak spadają płatki śniegu, jak wiatr cicho szmerze za urwiskami, dochodził ich przytłumiony gwar nocnego życia Kijowa, ale nic więcej oprócz tego nie słyszeli.

Wnet jednak usłyszeli. Gdzieś w końcu parku krzyknął ktoś rozpaczliwie, męczeńsko. Krzyk jak ostry nóż przeciął ciszę nocy. Temu, który krzyczał, zadawano okropny ból, włożył on w ten krzyk całą swoją mękę. Krzyk urwał się natychmiast, ale wszystkim się zdawało, że drga jeszcze w powietrzu, płynie z zakątków parku — przeciągły, niesamowity, że wydostaje się daleko poza park, za Dniepr, na łąki.

W tej chwili dowódca poruszył się. Konwojenci zrozumieli, o co chodzi. Cofnęli się o kilka kroków.

— Kończyć — powiedział dowódca.

Horowacha zdążył jeszcze dostrzec, jak jeden z konwojujących uniósł bagnet i z całej siły uderzył kogoś z aresztowanych. Horowacha usłyszał krzyk — blisko, tuż obok siebie. Jeszcze jedno uderzenie i znów krzyk — niesamowity, straszny.

— Co robisz? — padło z gromadki. — Bydłęta! Za co?

I Horowacha zrozumiał, że nie minie ułamek sekundy — a zimny bagnet petlurowca uderzy weń, przebije mu pierś i że on sam krzyknie tak jak inni, zdając sobie sprawę, że nikt, absolutnie nikt nie usłyszy go w tym ogromnym mieście. A jeżeli nawet ktoś usłyszy, to się przerazi na chwilę — ale w niczym mu nie pomoże. I nie strach zbudził się w nim, ale szalone pragnienie życia. Całe dotychczasowe życie stanęło mu w tej chwili przed oczami i wiedział, że tak go przerwać nie można. Powinien żyć, bo właśnie już tak blisko jak ten płomyk na łąkach zadnieprzańskich świta cudowne, nowe życie. Idą już do Kijowa czerwone pulki niosąc ze sobą życie. Szczors, Bożenko...

Żyć! Żyć! — chciał krzyknąć.

Ale obok czaiła się śmierć. Zaraz rzuci się nań — i będzie koniec. Czy może wszystko zakończyć się tak bezsensownie? Czyż oni mają zginąć — a ten przeklęty Ostiuk zostanie przy życiu i będzie cieszył się z ich śmierci? Przecież wyzwolenie było już tak blisko, zwycięstwo jest tuż.

— Uciekać! Uciekać! — uporczywie cisnęło mu się do głowy. — Ale dokąd uciekać? Jak uciekać? Z tyłu są konwojenci. Rzucić się na nich? Jak tu się rzucić bezbronnemu? Uciekać?

Przed nim widnieją strome zbocza parku. Urwisko, które spada do Dniepru. Tam też nie znajdzie ratunku. Tam też śmierć!

Wznosząc karabin już zbliżał się do niego konwojent. Światło dalekiego, zielonego płomyka z łąk zalsniło na bagnecie. Koniec.

I wtedy Horowacha zdecydował się.

— Kłamstwo! — krzyknął. — Tak nie może być... Nie mo-o-o...

Rzucił się w kierunku urwiska. Za nim biegł konwojent.

— Trzy-y-maj! Trzy-ma-a- aj!

Zagrzmiał wystrzał. Jeszcze jeden. Trzeci!

Na skraju urwiska stanął. Nie mógł dostrzec jego dna. Jakby stał na dachu wysokiego budynku, a gdzieś tam na dole w ciemnościach była ziemia. Tam na dole koniec! Ale koniec nie od bagnetu. Konwojent nie wbije kawałka stali w jego pierś. Umrze z własnej woli, nie dopuści, by wrogowie cieszyli się z jego śmierci. Skoczy z dniewowego urwiska, skąd widać dalekie przestrzenie. Będzie to skok na spotkanie tych, którzy niebawem nadejdą z oddali, skok nie ku śmierci, lecz ku zwycięstwu.

Machnął rękami, jak macha skrzydłami ptak, gdy gotuje się do wzlotu. I nagle oderwał się i zaczął spadać.

Konwojenci stali nad urwiskiem i patrzyli za nim w dół. Znikł człowiek w ciemnościach nocy. Runął gdzieś w przepaść bez dna.

— Pięciu zakłuliśmy, jeden zabił się! — weselo powiedział któryś z konwojentów.

Na drugi dzień z rana Ostiuk przyszedł do członka Komitetu Rewolucyjnego i komendanta Padolu Taranenki. Opowiedział o nocnym zebraniu sztabu powstańców.

— I taka sprawa... Ktoś najwidoczniej nas wydał. Gdy zebranie się skończyło i zaczęliśmy wychodzić na ulicę, schwytano nas jednego po drugim. Kto tylko wyszedł na ulicę, natychmiast łapano go za kark. Wyszedł następny i tego za kark.

— A ty? — zapytał Taranenko.

— Ja? — Ostiuk zawczasu już przygotował sobie odpowiedź. — Ja wyszedłem ostatni. Spojrzałem z góry ze schodów na dół, widzę, coś czarnego tkwi przy frontowym wejściu. Więc natychmiast wró-

ciłem i zbiegłem kuchennymi schodami. Wyskoczyłem na podwórze i przez parkan na Wołoskę. A tam, niech mnie łapią...

— Schodami kuchennymi, mówisz? No to zuch z ciebie! Mogłeś wpaść!

— A dziś z rana — spieszył się z opowiadaniem Ostiuk — idę z Peczerska na Padoł i słyszę, jak na ulicy opowiadają, że w Ogrodzie Cesarskim leżą pomordowani ludzie. No więc rzuciłem tam okiem. Wszystko nasi. I jak pomordowani! Wszyscy bagnetem w plecy.

— Tak — westchnął Taranenko — bagnetem w plecy? Bywają ludzie gorsi od zwierząt!

— Mówią, że dwóch skazańców wydostało się na ulicę — ciągnął Ostiuk. — Przechodnie wezwali pogotowie. Odwieziono ich do szpitala Aleksandrowskiego. Byłem już i tam, myślałem, że może potrzebują pomocy. Przecież znam naszych z nazwiska i twarzy. Rozpoznałbym nawet ich trupy. Ale czy tam można się czegoś dowiedzieć? Dzisiaj w nocy przywieźli do szpitala Aleksandrowskiego trzydzieści osiem osób. Obszedłem wszystkie sale, byłem w prosektorium sam obejrzałem wszystkie trupy...

— I co? — zapytał Taranenko.

— Nie ma. Po bagnetach petlurowskich trudno przyjść do siebie.

— A teraz — Ostiuk na chwilę przerwał potok słów — dowiedziałem się przypadkowo, że można kupić dwa karabiny maszynowe. Żądają za nie niedużo — dziesięć tysięcy grzywien. Gdyby były pieniądze...

— Dziesięć tysięcy? — Taranenko wstał.

— Tylko dziesięć tysięcy — westchnął Ostiuk.

— No cóż — Taranenko przeszedł się po pokoju. — To niewiele. A karabiny maszynowe potrzebne nam są na gwałt. Tyle pieniędzy ma Komitet Rewolucyjny.

— Może kupimy? — oczy Ostiuka poweselały, napełniły się radością.

— Oczywiście! Pójdziemy zaraz do kooperatywy „Życie“ — powiedział Taranenko. — Tam mamy swego człowieka. Może dostanę pieniędzy. Chodźmy!

W kooperatywie Taranenko nie otrzymał pieniędzy. Ale zaraz na miejscu — w sklepie — napisał kartkę do jednego ze swych towarzyszy na Kureniówce

— Ponieważ sprawa jest poważna — powiedział do Ostiuka — więc pójdzie z tobą jeszcze dwóch towarzyszy.

— Przecież karabiny maszynowe mogą kupić sam — próbował oponować Ostiuk.

— Karabiny kupisz sam, ale odbierać pieniądze pójdiesz z towarzyszami. Partyjny pieniądz — nie można inaczej. A dalej już wykręcaj się, jak potrafisz...

Ostiuk z dwoma towarzyszami poszedł na Kureniówkę.

Tramwaj nie kursował, więc udali się pieszo.

Gdy doszli do Kureniówki, zaczęło się ściemniać.

— Czy daleko jeszcze? — zapytał Ostiuk, gdy ostatnie domki pozostały za nimi, a oni wciąż szli dalej lasem, gdzieś w kierunku Puszczy-Wodocy.

— Już blisko — odpowiedział mu robotnik. — Nie pierwszy raz idziemy tędy. Nie zbłądzimy, zaprowadzimy, gdzie trzeba.

Skęcili na lewo i poszli w kierunku oświetlonej chałupki.

— Ot już i koniec — zwrócili się do Ostiuka — tam właśnie idziemy. Tam będzie koniec — powtórzył jeszcze raz robotnik.

Jeden z robotników wszedł do chaty, a drugi pozostał z Ostiukiem.

— Tu, zdaje się, w pobliżu nie ma innych domków? — zapytał Ostiuk.

— Nie ma. Jak na cmentarzu — odpowiedział robotnik i niewiedomo dlaczego roześmiał się cicho. — O, już idzie gospodarz — wskazał ganek.

Gospodarz powoli zszedł z ganku.

— Dobry wieczór — powiedział.

— Dobry wieczór — odpowiedział Ostiuk. I cofnął się o kilka kroków.

— Nie spiesz się — powiedział Horowacha. — Nie spiesz, bo daleko nie uciekniesz.

I Ostiuk zrozumiał, dlaczego posłano go po pieniądze tutaj, do zapadłej Kureniówki. Jaki był naiwny, że uwierzył Taranence. Na próżno biegał do Ogrodu Cesarskiego i szpitala Aleksandrowskiego, żeby się przekonać, czy wszyscy są zabici. Żywy i cały Horowacha, który jeszcze wczoraj siedział obok niego na zebraniu, stoi teraz

przed nim. Nie wiadomo jak się uratował, ale żyje i do niego wysłał go Taranenko na rozprawę.

— Więc twoim zdaniem — zaczął Horowacha — za mało zgubić jedenastu ludzi, jeszcze chcesz zarobić na nas trochę pieniędzy. Czy tak? Mów? Milczysz, prowokatorze, milczysz, morderco?! Nie oglądaj się, nie oglądaj! — ciągnął Horowacha. — Nie oglądaj się. Tu nie sztab korpusu oblężniczego! Ani Konowalec, ani Petlura nie pomogą ci! Stoisz przed bolszewikami i nie ma teraz dla ciebie ratunku.

Nie będę cię męczył. Ja nie tak! Chodźmy tam — Horowacha wskazał ręką las. — Idź tam, bo nie chcę tobą, obrzydliwce, kłaść naszej ziemi. My nie dźgamy bagnietami w plecy. Idź śmiało!

Ostiuk poszedł pokornie. Horowacha, opierając się na lasce, stapał ciężko za nim. Ostiuk zrozumiał, że wszystko stracone, że to koniec, że nie ma ratunku, że nie ma nic na swoją obronę.

Zaczął skomleć jak pies.

— Nie skamlaj! — powiedział gniewnie Horowacha. — Nie płakałeś, gdyś wydawał na śmierć jedenastu towarzyszy. Teraz umrzesz tylko ty jeden. Nie zasłużyłeś na inną śmierć. Ciesz się, nie skamlaj, gdyż zabiją cię nasze ręce. Stań tutaj — powiedział, gdy doszli do lasu. — Słuchaj no — Horowacha oparł się na kiju i stał nieruchomo na tle szarego lasu. — I niech usłyszy to cały świat. W imieniu partii komunistycznej, która walczy o prawdę, w imieniu władzy radzieckiej, która już jutro obejmie cały świat...

Mówił uroczyście, podniosłe, jakby słów jego słuchała cała ludzkość. Podniósł prawą rękę i trzymał ją przed sobą, jakby dzierzył w niej wyrok sądu.

— W imieniu bojowników, którzy zginęli dziś z twej ręki w Ogrodzie Cesarskim, za to, że zdradziłeś naród, że zdradziłeś towarzyszy, zdradziłeś zaufanie, jakim obdarzyła cię partia komunistyczna i my pracujący — postanowiono rozstrzelać cię... Bolszewicy nie katują, ale niszczą lub ułaskawiają. Twój apel do mego sumienia odrzucam, bo ty sam nie masz sumienia. Wyrok jest ostateczny. Imię twoje wykreśla się ze spisu ludzi uczciwych i przenosi się do spisu zdrajców ludu... — Milczał przez dłuższą chwilę, potem drgnął i jego kij ze świstem opisał łuk w powietrzu. — Strzelajcie teraz — powiedział Horowacha do robotników, — Psu — psia śmierć!

W nocy Horowacha opuścił Kijów. W kieszeni miał paszport wystawiony na nazwisko mieszczanina czernihowskiego Onoprija Demydowicza Zamyczkowskiego. Jego podarty płaszcz i zdeptane buty nie mogły w nikim wzbudzić pożądania. Pociąg dudnił. W wagonie nie było czym oddychać. Jechali chłopci, rozmawiali o targach, o jarmarku w Nieżynie, Konotopie, narzekali, że na targach nic nie można kupić. W Darnicy zrobiono w pociągu rewizję. Odbierano towar, który wieźli chłopci. Zrewidowano też Horowachę. Wysoki, krzepki dowódca warty długo przyglądał się paszportowi Onoprija Demydowicza Zamyczkowskiego. Na paszport padła smuga światła z latarki konduktora. Horowacha mimo woli musiał odczytać własny paszport. I nagle oblał go całego zimny pot. W drugiej linijce paszportu zamasyście zostało wypisane: Rok urodzenia 1987.

Zginałem — pomyślał Horowacha. — Zbyt pośpiesznie robiono paszport. Dołożyli prawie sto lat. Znow trzeba będzie uciekać.

— Wypadaloby, panie Zamyczkowski, wstąpić do naszej armii — przemówił wreszcie dowódca warty. — Wiek odpowiedni. Ma pan tylko...

— Trzydzieści jeden lat — bardzo głośno powiedziała Horowacha.

— Tak trzydzieści jeden, tylko wojować w tym wieku.

— Nie mam zdrowia. Inwalida z armii carskiej.

— A-a! — pobłażliwie przeciągnął dowódca. — Nikt nie ma napisane na czole. Nie wiecie pan nic zakazanego?

— Bochenek chleba i wędzoną rybę. Co może mieć inwalida?

— Proszę, proszę! Wkrótce nasza władza da zapomogi inwalidom z dawnej armii carskiej. Trzeba poczekać...

Poszedł dalej przeglądać worki i sprawdzać dokumenty. Przejechawszy jeszcze kilka małych stacji obywatel z dalekiej przyszłości — 1987 rok urodzenia — Onoprij Demydowicz Zamyczkowski wyszedł z pociągu. Ruszył dalej piechotą przez wsie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pułkownik Barabasz zawezwał Żerdiaha do sztabu.

— Oto, panie Żerdiaha, pełnomocnik Wysokiej Dyrektorii, pan Kijaszko. Jedzie do Basania, aby wyjaśnić zasady prawa agrarnego

wydanego przez Dyrekcję. Trzeba z nim kogoś posłać. Ochrony mu nie potrzeba — naokoło są nasze wsie, ale nie zawadzi mieć oko na wszystko.

— Są tacy chłopcy — powiedział Żerdiaha — można ich wysłać. Gdy poszedł szukać odpowiednich Kozaków, pomyślał:

W pobliżu Basania nie słychać o czerwonych. Droga bezpieczna, dlaczego nie pojechać samemu? Przez drogę można porozmawiać z pełnomocnikiem. A jeszcze lepiej będzie popatrzeć, jak przeprowadza nadziały. W ten sposób dowiem się o wszystkim.

Tak też powiedział pułkownikowi Barabaszowi.

Zaprzął parę dobrych koni — w nocy w Kozielcu odebrano je szpitalowi — do kieszeni włożył rewolwer i usiadł na przodzie jako woźnica, a pełnomocnika usadowił z tyłu, na wiązce siana, jak na poduszce.

— Z Bogiem!

Pojechali. Minęli rogatkę. W polu było cicho, spokojnie, brał lekki mróz.

— Więc tak — zaczął Żerdiaha — ziemia wymaga porządku. Czas już wielki wydać nowe prawo. Według wszelkich oznak... Bo o tym nikt nie wie nic pewnego. Jak rządzić ziemią, komu i ile dadzą i znów każdy się boi, żeby nie wróciła dawna władza, żeby obszarnik znów nie siadł nam na karku.

— O, teraz nie usiądzie już! — mówił pełnomocnik. — Dyrekcja opierała się i opiera na chłopach pracujących. Kto pracuje, ten je.

— Słusznie! — powiedział Żerdiaha. — Pasożyty trzeba tępić! Nie można im pobjąć, nie można. W pocie czoła...

— Czy dawno jesteście w armii? — zapytał Żerdiaha pełnomocnik.

— Niedawno! Miesiąc z okładem. Ja nie wojskowy. Wyszedłem z domu, aby uciec przed zawieruchą. Ale wciągnęła mnie jak wir. Wędruję teraz i szukam prawdy na ziemi.

— Odnajdziecie prawdę! Chodzi po ziemi, nie leży w skrzyni.

Na płaszczu pełnomocnika połyskiwały złote guziki.

Konie biegły zgodnie. Grudki śniegu leciały spod kopyt, płozy sań wesoło skrzypiały na twardym śniegu. Słońce, wielkie i czerwone, wisiało nisko nad horyzontem.

We wsi, w budynku gminy, pełnomocnik długo naradzał się z członkami ziemstwa*. Żerdiaha zaś chodził po wsi, przyglądał się ludziom, gadał z tym i owym.

— Przywieźliśmy nowe prawo — rozpowiadał żywo i wesoło.

— I co?

— Nie bójcie się — spoglądał Żerdiaha w zakłopotane i przestraszone oczy. — Nasi nie skrzywdzą was. Ziemię otrzymają tylko pracujący. Kto pracuje, kto uprawia ziemię, ten będzie jadł. Zabierzemy ziemię bogaczom, oddamy biednym, a takiego, który ma dużą rodzinę, a gruntu niewiele... trzy, cztery lub pięć dziesięcin na całą rodzinę, takiego nikt nie ruszy.

Zauważył, że nie wszyscy mu wierzą.

— Usłyszycie sami — mówił — i zobaczycie na własne oczy. Pełnomocnik zrobi zebranie, czy jak tam...

Pełnomocnik rzeczywiście zwołał zebranie. Zadzwoił dzwon, chłopcy ruszyli do gminy, otoczyli ganek, na który wyszedł pełnomocnik z wójtem.

— Dyrektorja wydała ustawę — powiedział z ganku pełnomocnik — na mocy której ziemia, lasy i wody zostały uznane za własność Ukraińskiej Republiki Ludowej.

— Chwa-a-ła! — krzyknęło kilka osób, które stały bliżej ganku.
— Chwała Dyrektorii!

— Przepraszam — odezwał się z tłumu wysoki, chudy człowiek.
— Jakże to? Własność Republiki. A co będzie z ludem? Przecież obiecali dać ziemię ludowi, a nie Republice.

— Milcz! — zaszepcota dokoła. — My później będziemy mówić.

— Cały naród ufa Wysokiej Dyrektorii — łagodnie odpowiedział pełnomocnik — tu nie ma o co pytać. Co należy do Republiki, należy do całego narodu.

Chłopcy umilkli. Wszystko zaczynało się nieco inaczej, niż opowiadał Żerdiaha.

— Rozdziałem ziemi zajmie się miejscowy samorząd — mówił

* Ziemstwo — samorząd powiatowy i gubernialny w przedrewolucyjnej Rosji. Faktycznie rządziła w ziemstwach szlachta obszarnicza. Po rewolucji 1905 r. ziemstwa pomagały rządowi carskiemu w dławieniu walki chłopów o ziemię.

dalej pełnomocnik — w mieście zarządy miejskie, na wsi ziemstwa gminne...

Z tłumy padło znowu:

— Co to ma znaczyć?... Rozdzielać będzie wójt z pisarzem?! Pozwólcie, panie pełnomocniku.

— Uwaga, panowie rolnicy! — zaczął się już gniewać pełnomocnik. — Pozwólcie mi powiedzieć choć jedno słowo.

I „panowie rolnicy“ umilkli, słuchając dalej, jak to same ziemstwa będą dzielić ziemię. Pełnomocnik odczytał nową ustawę, rozdział po rozdziale, paragraf po paragrafie, a chłopci wciąż stali w milczeniu i nie wiadomo, czy słuchali tych paragrafów i rozdziałów, czy też myśleli o innych sprawach, własnych.

Według ustawy żadna rodzina nie może posiadać więcej niż piętnaście dziesięcin ziemi — czytał pełnomocnik — bogaczy niszczymy, ale chłopu pracującemu dajemy wolność i możność najwydajniejszej pracy. Odebrana ziemię oddamy biedocie wiejskiej, która od wieków nie miała ani jednego zagonka, która z dziada pradziada marzyła o ziemi.

Odczytywał ustawę, z której wynikało, że wkrótce na ziemi nastanie prawdziwy raj. Nie trzeba będzie chodzić do pana, ponieważ nie trzeba się wynajmować się do obcych, jeżeli człowiek ma zdrowe ręce, to sam może uprawiać swój kawałek ziemi. I dzięki temu, że pełnomocnik często przerywał czytanie i uzupełniał ustawę własnymi słowami, a pewne rozdziały — żeby nie przetrzymywać „panów rolników“ i nie odrywać ich od pracy — opuszczał, wynikało, że nigdy jeszcze nie było takiego życia dla pracujących na wsi i dopiero teraz to życie dla nich się zaczyna.

Ale chłopcy słuchali w milczeniu, ani jedno słowo nie padło z ich ust. Żerdiaha siedział na saniach i słuchał także — dobre prawo, na takie prawo ziemia już od dawna czekała!

Trzeba dać ziemię tym, którzy chcą i umieją na niej pracować.

Kozacy Dyrektorii za wierną służbę otrzymają dodatkowy nadział gruntu — czytał pełnomocnik — trzy dziesięciny, gdy tylko wojna się skończy.

Otóż to — ucieszył się Żerdiaha. — A Denys mówił, że wszystko stracę. Nic nie straciłem na rewolucji, do swoich sześciu dołączę jeszcze trzy dziesięciny. No i razem będzie dziewięć dziesięcin. Można gospodarować... Za otrzymaną nagrodę kupię parę koni, a gdy nadejdzie wiosna, wyjadę na pole, ustawię plug w bruzdę i krzyknę: — Wio... koniki! Wio!

Pogrążony w marzeniach nie zauważył nawet, że pełnomocnik skończył czytanie ustawy i dopiero okrzyki „Chwała! Chwała!” przywołały go do rzeczywistości. Oklaski rozlegały się długo, dłużej nawet, niż spodziewał się Żerdiaha.

I wtedy to z tłumu chłopów wystąpił ten sam wysoki i chudy chłop, tylko teraz wydał się jeszcze wyższy i chudszy.

— Dziękujemy panu pełnomocnikowi za nowe prawo — powiedział. — Proszę przyjąć podziękowanie od nas i od naszych dzieci. Piśze Wysoka Dyrektorja, że darowuje ludziom ziemię, lasy i wody. Bardzo jej dziękujemy za to.

— Chwa-a-a-ala! — krzyknęto w pierwszych szeregach.

— Tylko — mówił dalej chłop — chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie i komu z nas należy się ziemia. Prosimy, aby odczytać nam spis tych ludzi z naszej wsi. I prosimy o pokazanie nam planu — gdzie, na jakim uroczysku jest ta ziemia, o której marzyliśmy, za którą walczyliśmy z hetmanem i przelewaliśmy krew na frontach. Najlepiej byłoby powbijać tyczki na polach, to przecież drobiazg, najwyżej godzina pracy. Wtenczas każdy będzie wiedział, że tu właśnie jest jego ziemia, jego działka i że nikt jej palcem nie tknie.

— Prosimy... prosimy! — krzyczał tłum.

— Tyczki mamy przygotowane — mówił dalej wysoki, chudy chłop. — Tylko wyjść w pole i powbijać je. Od dawna już czekamy na to prawo. Nasza jest cała ta ziemia, jakbyśmy ją w garści trzymali. Prosimy więc...

— Prosimy... Prosimy! — narastał krzyk coraz głośniejszy.

— Pan, panie pełnomocniku, wyjedź ze wsi, a czy my, niepiśmienni, potrafimy zrozumieć prawo? Tak je przekręcimy, że nawet za sto lat nie dojdziemy z tym do ładu. Będziemy musieli jechać do Kijowa, znów fatygować pana i wszystkich urzędników ministerstwa.

— Przecież macie ziemstwo — spróbował odpowiedzieć pełnomocnik. — Ono wam wytłumaczy.

— Nie, panie pełnomocniku, ziemstwo ziemstwem, ale my pana pokornie prosimy o pomoc.

Chłopi otoczyli ganek zwartym kołem. Pełnomocnik nie mógł z niego ani wyjść, ani się wyrwać. Hałasowali, krzyczeli. Całe naręcze tyczek, świeżo wyciętych z wikliny, znalazło się w rękach chudego chłopca.

— Prosimy!

Żerdiaha zszedł z sani. Niespokojnie było koło gminy, ale on rozumiał ten niepokój. I jego też koczyło, aby popatrzeć, jak to będą tę ziemię-matkę wytyczać. Popatrzmy tutaj, a potem to wszystko się przyda, gdy będą nadzielać ziemię w jego wsi... „Widziałem — powie wtedy Żerdiaha na zebraniu gminnym — jak dzielono ziemię we wsi pod Kijowem... Ano, przystąpmy i my do podziału, zabierzemy Remezowi nadwyżkę, zabierzemy Czynce, damy biedocie wiejskiej. Mnie zaś dajcie moje zarobione potem i krwią sześć dziesięcin i dodajcie jeszcze te trzy dziesięciny za służbę w wojsku“.

— Prosimy!... Prosimy! — krzyknął również Żerdiaha.

Wydawało mu się, że pan pełnomocnik Kijaszkowski spogląda nań błagalnie, szukając w nim pomocy i oparcia.

— Prosimy! — twardo powiedział Żerdiaha. — Trzeba obejrzeć tę ziemię i podzielić ją tak, żeby każdy pracujący otrzymał tyle, ile wynosi norma.

I pan Kijaszkowski poszedł wraz z tłumem chłopów. Nie mógł nie pójść. Otoczono go zwartym kołem i nie wypuszczano: długie tyczki rozebrały ludzie między siebie i nieśli je jak karabiny.

— No, całkiem jak wojsko! — powiedział Żerdiaha podążając z końmi za tłumem. — Co też ta ziemia z ludźmi robi!

Tłum stanął na polu za wsią. Szerokie, bezkresne pole. Cudowna, urodzajna ziemia. Ile w niej jest siły, jak wielkie zawiera bogactwa! I każdy pragnie na niej pracować, aby otrzymać nagrodę za swe trudy.

Rozłożyli na saniach wyciągnięty z archiwum gminnego plan wsi. Pełnomocnik długo spoglądał na arkusz grubego papieru, upstrzony zielonymi, czerwonymi i żółtymi czworokątami oraz kółkami, pokreślony w różnych kierunkach.

— Zaczynać! — krzyknął. — Układajcie spis!

Któs z ziemstwa przygotował się do spisywania nazwisk.

— Zaczynać od bogaczy — powiedziano z tłumu. — Zabierzemy im nadmiar ziemi, damy naszym bezrolnym i zaraz tam wbijemy paliki.

— Zaczynać od Bohackiego — padła już dokładna wskazówka. — Ma osiemdziesiąt dziesięcin, jest z czego brać. Takiego jak on ustawa nie chroni. Ustawa jest dla pracujących.

— Bohacki... Bohacki — szukał pan Kijaszko w spisach i długo nie mógł odnaleźć tego nazwiska. — Jest taki. Ma siedemdziesiąt sześć dziesięcin według planu.

— Wystarczy.

— Ale pan Kijaszko znów spojrział na Żerdiachę błagalnym wzrokiem. — Tu już jest uchwała ziemstwa. Pan Bohacki złożył oświadczenie, że czterej jego synowie, którzy obecnie znajdują się w armii Dyrektorii, zostaną osadzeni przez niego na wyodrębnionych gospodarstwach. Akta podziału na te nowe gospodarstwa ziemstwo już zatwierdziło.

— Można zostawić im trochę — odezwano się spokojnie i pobłażliwie z tłumu. — Dorzucimy dziesięcinę ponad normę... Z uwagi na niedzę...

— Nie — pośpiesznie powiedział pan Kijaszko — ustawa nie zezwala zabierać ziemi temu, kto posiada tylko piętnaście dziesięcin. Pan Bohacki pozostawił dla siebie przewidzianą prawem normę i każdemu z synów dał po piętnaście dziesięcin. Jest akt podziału. Nawet Ministerstwo Rolnictwa zatwierdziło ten akt...

— A więc — podszedł bardzo blisko do pana Kijaszki wysoki, chudy chłop — co możemy mu zabrać?

— Pozostaje tylko jedna dziesięcina ponad normę — pokornie powiedział pan Kijaszko. — Możemy ją zabrać!

Żerdiaha myślał, że tłum odpowie na to krzykiem i hałasem. Ale nie. Tłum stał cichy, nieporuszony, zastygły. Nawet cisza nad stepem jakby się pogłębiła, stała się kamienna, twarda.

— Dziel ziemię Rosenkranza — przeciął ciszę zachrypnięty, ale opanowany głos.

— Nie możemy ruszać ziemi Rosenkranza — odpowiedział spokojnie Kijaszko. — Jest obywatelem niemieckim i według nowej ustawy może posiadać nieograniczoną ilość ziemi.

— Przecież w jesieni przepędziliśmy niemiaszków hołoblami?

— Takie prawo!

— Dziel ziemię cerkiewną! Jest pięćdziesiąt dziesięcin! — zabrzmiały okrzyki.

— Cerkiew jest oddzielona od państwa.

— Bóg jest oddzielony. Jego nie ruszamy. Oddaj nam ziemię cerkiewne.

— Ustawa... taka ustawa! — powtarzał wciąż Kijaszko.

— Cóż to jest, panie pełnomocniku? — wystąpił naprzód chudy chłop. — Co się dzieje? Gdzie ziemia?

Milczenie było odpowiedzią na jego pytanie.

— Nigdy nie miałem ziemi! — krzyczał. — Przez całe życie byłem parobkiem u tego przekłętogo Bohackiego. Dzieci moje pomarły z głodu. Byłem na wojnie — płuca mi zgniły. Wypędzałem Radę Centralną — nic nie dostałem. Niemcy roztrzaskali mi głowę... A teraz?...

Daj mi — rzucił się w stronę pełnomocnika — moje... nie piętnaście, nie chcę piętnastu... daj mi moją dziesięcinę. Wpisz do spisów Hnata Koroba, daj dziesięcinę.

Nie mógł mówić ze zdenerwowania, ręce mu dygotały.

— I Petra Brojdę zapisz — wystąpił inny chłop, stary, brodaty, z drewnianym szcudłem zamiast nogi. — Pięcioro dzieci... dwoje ślepych... nogę mi ucięło na folwarku w dobrach Rosenkranza. Pisz, jestem nędzarzem — podnosił i wskazywał szcudło zastępujące mu nogę.

— Panowie... Panowie! — stanął w sianach pełnomocnik. — Jeszcze nie wszystkie spisy zostały rozpatrzone. Na razie jest do podziału tylko jedna dziesięcina, Bohackiego. Może jeszcze będzie ziemia. Dościniecie od Dyrektorii.

— Dyrektorii daleko! Dziel to, co mamy...

— Daj mi moją dziesięcinę!... Krwią, potem!... — krzyczał Korob.

— Zapisz dziesięcinę... dla ślepych, za kalectwo, za nogę! — jeszcze głośniejszym głosem krzyczał Brojda.

— Panowie... Panowie! — uspokajał tłum Kijaszko.

— Obywatele! — krzyknął rozpaczliwie Żerdiaha. — Uspokójcie się! Tu trzeba się zastanowić! Według wszelkich oznak...

— Oto ona — pokazał miedzę Korob. — Nie oddam nikomu... tej przekłetej!

Schwycił tyczkę i ruszył na miedzę Bohackiego. Ziemia leżała pod śniegiem cicha i spokojna.

— Oddaj tyczkę! — rzucił się na niego Brojda. — Oddaj!

— Oddaj moją tyczkę! — chrząkał Korob. — Nie łap mnie za gardło, nie łap, mówię...

Walczyli o tyczkę i cofali się ku miedzy coraz dalej od tłumu. Kijaszko pobiegł za nimi

— Panowie!.. Panowie! — próbował ich uspokoić.

— Obywatele! — krzyczał Żerdiaha, — Uwaga!

Nagle Korob wyrwał tyczkę kulawemu Brojdzie. Brojda upadł i przeokoziółkował kilkakrotnie, pośliznąwszy się na nierównej, pagórkowatej miedzy. Dębowe, ciężkie szczudło oderwało mu się od kikutu i Brojda leżał na śniegu — pokonany, bez nogi — kaleka.

— Hnat! — krzyknął wtedy ktoś z tłumu. — Hej, Hnat, co ty robisz!

Hnat z tyczką w rękę już uszedł kilka kroków w kierunku miedzy, ale gdy usłyszał ten rozpaczliwy krzyk, przystanął. Twarz jego była pąsowa, na czole nabrzmiały żyły. Był wzburzony, oddychał szybko, prawdopodobnie nie poznawał w tej chwili nikogo.

— Hnat! Za co? Co robisz? Co my robimy?

Tak krzyczał Brojda, który leżał na ziemi bezradny, pokonany, beznogi. Jego słowa powtórzył tłum.

— Co my robimy?

Hnat Korob nagle jakby się odmienił: twarz mu gwałtownie pobladła. Spoglądał dokła, jakby się budził z ciężkiego, dręczącego snu. Westchnął i wypuścił z rąk tyczkę. Potem schylił się i podniósł drewnianą nogę Brojdy...

— No więc, spokój!.. Pogodzili się! — powiedział pełnomocnik.

Korob podnosił w górę drewnianą nogę. Coraz wyżej i wyżej, a potem z całej siły uderzył nią po głowie pana Kijaszkę tak, że wszyscy usłyszeli głuchy trzask drewna. Na śnieg bryznęła krew. Kijaszko upadł na ziemię.

— Obywatele! — krzyknął przerażony Żerdiaha.

Nikt go nie słyszał.

— Bić go za petlurowską ziemię!

Tłum runął z krzykiem na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Kijaszko, i zdawało się, że tu na stepie ludzie ruszyli w szalony, straszny tan.

Żerdiaha widział rozpalone, okrutne twarze, słyszał wściekły tupot ludzi na stepie. I zrozumiał, że to dopiero początek.

Zaraz nastąpi coś strasniejszego..

Wskoczył na sianie, z całej siły uderzył batem konie, które wystra-

szone hałasem, pomknęły jak wicher gościńcem. Za Żerdiaha niósł się potężny ryk.

— Trzymać!... Trzymać złodzieja! Dać mu ziemię! Zie-e-mi-ę! Petlurowską ziemię!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Horowacha stanął na polu i rozejrzał się. Od strony wsi biegły kobiety, chłopci, dzieci. Obok Horowachy przemknęła para rączych koni. Na saniach dostrzegł wykrzywioną, siną twarz siwobrodego człowieka, który okładał konie batem. We wsi zabrzmiał dzwon. Uderzył na alarm. Na stepie za wsią huczał tłum.

— Więc tak — powiedział Horowacha. — Widać lud się buntuje.

Horowacha ruszył prosto na tłum. Szedł powoli, bacznie się rozglądając. Przystawał często. Wreszcie zbliżył się do gromady. Ludzie byli już zmęczeni. Zmasakrowany trup Kijaszkii zepchnęli na miedzę. Leżał tam zarzucony tyczkami. Beznogi Brojda potrząsał pięścią i krzyczał:

— Bracia!... Jak długo jeszcze Dyrektoria z dyrektorami będzie się nad nami znęcać? Jak długo jeszcze będą żłopać naszą uczciwą krew? Bracia! Trzeba im wszystkim porozwalać drągami głowy i wbić noże w gardła. Jak długo będziemy się z nimi cackać?

Hnat Korob wstał zawstydzony, czuł swoją winę. Milczał. Palce miał zaciśnięte na tyczce i wydawało się, że lada chwila rzuci się naprzód, pobiegnie w step.

— Żleśmy zrobili! — powiedział Hnat Korob.

W tej chwili właśnie Brojda zauważył Horowachę, który stał w milczeniu słuchając, jak huczy tłum.

Brojda rzucił się ku Horowasze.

— Skąd jesteś? Czego tu szukasz?

Otoczono Horowachę.

— Ts! — powiedział Horowacha. — Czego się czepiacie? Nie widzieliście nigdy człowieka, czy co?

— Pokaż paszport! — krzyknął Brojda zdenerwowany. — Tu są takie sprawy, że nie czas na żarty.

— Mogę pokazać — zgodził się Horowacha. Powoli, rozglądając się po ludziach, szukał w głębokich kieszeniach i wyciągnął paszport.

— Masz — powiedział Horowacha — przeczytaj, jeżeli masz ochotę!

Brojda wziął paszport i powoli odczytywał zestawiając litery i długo sylabizując...

— Ono-pri-j De-my-do-wicz Za-myczko-wsk... Czer-ni-how-ski mie-szcza-nin. Uro-dzo-ny w 1987 roku.

Horowacha ziewnął — chciało mu się spać.

— Ależ ty nudno czytasz — zwrócił się do Brojdy.

I uśmiechnął się do tłumu. Wszyscy patrzyli nań uważnie, oczekując z ciekawością, co powie po przeczytaniu Brojda.

— Przecież to paszport fałszywy! — obejrzawszy go ze wszystkich stron i sprawdziwszy znaki wodne na papierze, krzyknął wreszcie Brojda. — Ach, Boże mój! Tyś się jeszcze nie urodził! Pasz-port fałszywy!

— Powiedział nowinę! — odrzekł spokojnie Horowacha. — Najzwyczajniej w świecie fałszywy. Nie dla was go przygotowałem.

Powieki Horowachy przymykały się ze zmęczenia. Siedział w największej izbie w budynku gminy. Na stole przed nim, obok błyszczącego zwierciadła, stał dzbanek z mlekiem malowany w czerwone kwiatki i leżał wielki kawał chleba z hreczanej mąki.

— Więc rzecz jest taka — mówił żując czerstwy chleb. — Zapoznałem się ze wszystkimi waszymi sprawami. Postąpiliście słusznie zabijając pełnomocnika Dyrektorii. Niech idzie do chórów archanioelskich ze swoją nową ustawą. Musieliście go zabić. Ale bogacz w waszej wsi żyje jeszcze. Nie turbujcie się, on już posłał depeszę, tam gdzie trzeba, że pełnomocnika zabito. Ich telefon bez drutu pracuje na cały regulator. Wypuściliście także petlurowca — ten także roztrąbi wszystko. Nie inaczej, tylko tej nocy trzeba oczekiwać gości. A więc sprawa jest taka...

Przechylił dzbanek z mlekiem i łyknął kilka razy. Kilkudziesięciu ludzi przyglądało się Horowasze. Obserwowali, oblizywali usta, z jakim apetytem je ten człowiek! Może już do wsi zbliża się Kowenko z petlurowskim oddziałem, może, jak poprzednim razem, wiezie ze sobą trzyciałowe działo, a Horowacha siedzi tutaj, pije powoli mleko i jeszcze chlebem przegryza.

Odważny bolszewik — chodziło po głowie każdemu z obecnych.

— Więc taka sprawa — mówił Horowacha — że trzeba teraz że

wsi uciekać. Wszystko u was dzieje się tak samo jak w Kijowie. Nie ma teraz czasu na dzielenie ziemi, ale i na to kiedyś przyjdzie kolej, a teraz trzeba walczyć o tę ziemię. Jasne?

— Jasne, towarzyszu Horowacha — padła odpowiedź z tłumu — powiedz tylko, jak mamy walczyć.

— Trzeba uciekać ze wsi do czerwonych, do Szczorsa. Z nim dopiero można będzie wrócić. Wtedy będziemy górą. Nie obejdziecie się bez czerwonych. Bez nich was albo Kowenko pożre, albo wasi bogacze was połkną. Jasne?

— Jak słońce! Już teraz bogacze podnoszą głowy.

— No więc widzę, że nie ma wyjścia, muszę prowadzić was do Szczorsa. Spiszcie tych, którzy nie usiedzą w domu, i wychodźcie na plac, żebym mógł obejrzeć tych ludzi.

Ułożyli spis. Zapisało się ośmiu. Ten i ów radził im nie ruszać się ze wsi, siedzieć w domu. Nie wiadomo, gdzie będzie gorzej... Hnat Korob huknął:

— Ano, może jeszcze ktoś chce wypowiedzieć się przeciwko nam? Przygotujcie się do pójścia w ślady pana pełnomocnika.

Brojda krzyknął:

— Ja z drewnianą nogą ruszam w drogę, a wy, bracia, na co czekacie? Rozwali diabelska halastra chaty, a wtedy gdzie się podziemy z żonami i dziećmi?

Zapisało się jeszcze dziewięciu.

Wystąpiła Domacha Zawhorodna.

— Mego chłopca też zapiszcie do wojska. Nie ma po co wylegiwać się w domu na piecu i odparzać sobie boki. Dosyć tego! Dosyć się nabijał po cudzych klepiskach.

Odpowiedziano jej:

— Niech przyjdzie! Sam musi się zgodzić, nie można bez niego!

— Piszcie — wrzasnęła Domacha — piszcie moją ręką. A ja pobiegnę i sprowadzę go.

Zapisało się znów kilku.

— Świetne mleko — powiedział Horowacha.

I wypił od razu wszystko, co zostało w dzbanie.

Na placu uszykowano wszystkich według spisu. Na ganku Horowacha wybrał z kupy broni starą dwururkę z wyciorem, złożył się z niej i powiedział:

— Odpowiedni staruszek! A nuż się spudłuje? Zbiórka!
Ludzie stanęły w szeregu.
— Nie chodźcie — słychać było na pobliskich ulicach.
— Dokąd, dokąd mnie ciągniesz?
— Idź, idź, nie oglądaj się! — krzyczała Domacha Zawhorodna.
— Idź, maszkaro! Jeżeli już umierać, to razem ze wszystkimi. Nie ma po eo siedzieć w domu!

Przybyło jeszcze trochę ludzi.

— Byłeś w carskiej armii? — zapytał Horowacha Hnata Koroba.
— Kirasjerem, towarzyszu Horowacha!
— Tak — zamyślił się Horowacha — to nieźle. Specjalność odpowiednia dla nas. A ty? — zwrócił się do jego sąsiada.

— Kirasjer!

— Dobra! — wyrwało się Horowasze. — Mamy już dwóch kirasjerów na początek. A ty, rudy? — zwrócił się do trzeciego.

— Kirasjer! — głośno krzyknął rudzielec.

Horowacha przystanął.

— Ho! ho! ho! — roześmiał się głośno. — Ciekawe. A ty? A ty?... — pytał idąc wzdłuż szeregu.

— Wszyscy my kirasjerzy, towarzyszu Horowacha, wszyscy — wystąpił naprzód Korob. — Lud nasz zdrowy i silny. W carskiej armii wszystkich strzyżono pod jeden numer. Kto z naszej wsi, to tylko do kirasjerów.

— Tfu! — powiedział Horowacha. — Jakże będę z wami wojował? Kirasjerzy powinni mieć konie. A gdzie wasze konie?

— Mamy tylko koty na gospodarstwie, nawet psy wyzdychały.

— W tym sęk! — powiedział Horowacha i plasnął się rękami po polach. — Nic z tego nie wyjdzie, chłopcy! Nie wezmę was ze sobą.. Bo jakże was pokazać Mykole Oleksandrowiczowi Szczorsowi? Kirasjerzy... piechotą. Nie godzi się, chłopaki, prowadzić kirasjerów pieszo — to nieporządek. Lepiej wracajcie do domów.

Chłopi zwiesili głowy. Prawdę mówi towarzysz Horowacha z Kijowa. Co z nich za kirasjerzy bez koni.

— Zdobądźcie jeszcze mleczka dla mnie, ciotko Domacho — powiedział Horowachę. — Odwykłem w więzieniu od jedzenia, w żaden sposób nie mogę zapchać kiszek.

I poszedł do gminy. A za nim spoglądali piesi kirasjerzy. (

Siedział tam tak długo, aż Domacha Zawhorodna przyniosła mu jedzenie na drogę: gęste mleko z udoju porannego i całą miskę gorących, basańskich pierogów z serem.

— Jedz, gołąbeczku, bo czeka cię daleka, daleka droga. Naszych oberwańców nawet karmić nie ma człowiek ochoty. Co z nimi robić?

Horowacha na ostatek przed drogą pojadł sobie nielicho.

— Prowadź ich piechotą! — namawiała go Domacha. — Weź różgę i pędź ich! Niech zdobywają sobie konie w wojsku.

— Sza! — powiedział Horowacha. — Nie rozśmieszaj mnie, bo się mogę udławić pierogiem.

Skończywszy jeść Horowacha wyszedł na ganek... i rozłożył ręce: przed gankiem siedziało na koniach dwudziestu ośmiu ludzi. Rżały zastałe, silne konie bułane, kasztany, cisawe i myszate. Dobrze odżywione, rosłe; siedzieli na nich kirasjerzy i cały plac dygotał od końskiego tupotu.

— Ten dla ciebie — podszedł doń z koniem Hnat Korob — ofiarujemy ci pięknego konia. Prowadź nas teraz, towarzyszu Horowacha.

— Jak zdobyliście je?

— Pożyczyliśmy od naszych bogaczy na wieczne nieoddanie. Jak wojować, to wojować — zaczęliśmy od własnej wsi.

W całej wsi słychać było krzyki. Bogacze biegli za swymi końmi. Wskakiwali na ulicę. Gdzieś w zaułku wystrzelono z karabinu.

— Prędej — powiedział Hnat Korob — bo we wsi gorąco jak w piecu!

— Sza! — Horowacha skoczył na konia. — Teraz zdążymy. Ano, chłopcy, śpiewać! Kirasjerzy... naprzód marsz!

I jeźdźcy wypadli ze wsi.

Przedzierali się lasami w dzień i w nocy. Aż wreszcie natknęli się na patrol rozpoznawczy czerwonych i odnaleźli sztab.

— Jest pismo do ciebie, Mykoła Ołeksandrowiczu — Horowacha wyjął z zanadru kopertę. — Kijowscy bolszewicy przesyłają pozdrowienia. Galopowaliśmy na łeb, na szyję. A to są moi kirasjerzy, zuchy. Jest ich dwudziestu ośmiu. Chłopy na schwał.

Mykoła Ołeksandrowicz Szczors mocno ucałował wysłańca robotników kijowskich — dzielnego Horowache.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wściekły wiatr dał prosto w twarz. Pola przedzielone grzywkami miedz pędziły na spotkanie. Na rozległych obszarach stepu słychać było tylko chrapanie koni, ale Żerdiasze wciąż się zdawało, że gdzieś za nim rozlega się rozpaczliwy, straszny krzyk: „Ziemia!... Dać mu ziemię...” — i wtedy smagał batem okryte pianą konie.

Dopiero gdy z daleka ukazały się rogatki, wstrzymał konie. Ale uzcuc swych nie mógł powstrzymać — wszystko w nim burzyło się i wrzało.

Oto jak jest z tą ziemią! — myślał. — Oto za co walczyliśmy my i ja, Syła Żerdiaha! Ani jednej dziesięciny nie zostanie dla biedoty i ja też nic, ale to nic nie otrzymam. Remez ma synów, Czynka ma dwie córki, ziemie leżące wokoło wsi należą do obszarnika Łotockiego — nikt z nas nie otrzyma ani jednej dziesięciny!

I zdawało mu się, że papierek otrzymany od Wysokiej Dyrekcji, nadający Syłe Żerdiasze trzy dziesięciny ziemi, pali go pod sercem. Chciał go wyjąć, drzeć na drobne kawałeczki i puścić z wiatrem...

Nie podarł jednak — był już przy rogatkach. Spozrzegł znajome twarze.

Przepadła ziemia! — pomyślał.

I zauważył na przodzie w saniach plan wsi, który leżał tam od chwili, gdy pan Kijaszko podszedł do Koroba i Brojdy.

Żerdiaha szybko zwinął plan w rulonik i wsunął go pod siano.

Wróć! Uciekać! Do domu, do rodzinnej wsi.

Ale wrócić już nie mógł. Przypomniał sobie rozpalone twarze baśńskich chłopów, skądś z dalekiej przeszłości wystąpiły gniewne oczy syna Denysa. Wysoki, ognisty wał stanął teraz pomiędzy tym światem, w którym żył ongi, a światem, w którym obecnie się znalazł. Przebić się przez ten wał było trudno...

A ziemia przepadła...

Wszystko, wszystko przepadł!

Pułki Czarnomorskie, 1. i 2. pobite na głowę w bitwach pod Kozelcem, Ostrem, Bobrowicami wycofały się do Kijowa. Wśród nich cofał się także pułk imienia Petlury. Syła Żerdiaha maszerował w gęstym tłumie Kozaków, na pozór taki sam jak przedtem: szabla u pasa, czapka zsunięta do tyłu, za zielonym pasem rewolwer...

Ale wewnątrz coś się w nim zmieniło. Runęły marzenia o ziemi, o dodatkowym nadziale. Nocą, po podróży do Basania, naradzał się w chacie z innymi Kozakami. Opowiadał o tym, jak zabito pełnomocnika Kijaszkę.

— Głupstwo — powiedział Stupa, bogaty chłop z długą brodą, pochodzący spod Czernihowa. — Nie potrzeba teraz dzielić ziemi. Naród jest zły, niespokojny. Najpierw zdobyć władzę, a potem dzielić. Mówią, że w Kijowie zbiera się Kongres Pracy. Ma uchwalić nową ustawę dotyczącą ziemi. I nam ziemię zostawia, a i tobie się, Żerdiaho, coś dostanie. Aby tylko nie oddać Kijowa. Ale go nie oddamy. Ludzi zgromadziło się pod Kijowem cały milion.

I poszedł dalej Syła Żerdiaha, z nadzieją w duszy, że wystarczy tylko dojść do Kijowa, zobaczyć jego mury, ujrzeć Ławrę* — a wszystko się uspokoi, ucichną wzburzone fale, zakończy się straszna wojna, wszystko, wszystko się skończy, nastanie cisza i spokój.

I oto rozproszyły się chmury w dali, góra nad Dnieprem wygięła się jak koński grzbiet, na wierzchołku góry zaś strzeliła wysoko w niebo Ławra.

Ale z tyłu za nimi grzmiały działa: pośpiesznie cofały się pułki na Kijów, a wraz z nimi Syła Żerdiaha.

Gdzieś nie opodal maszerowały inne pułki — Kijowski, Strzelecki... wszystkie zdążyły do Kijowa, za drogowskaz służyła im Ławra. Lada chwila stanie ta lawina i najeży się bagnetami. Przecież wszyscy zmierzali tutaj. Ale im bliżej Kijowa, tym było boleśniej: ani radości, ani nadziei — pozostała tylko rozpacz.

Co robić? — gotów był pytać Żerdiaha każdego przechodnia. — Co się dzieje? Gdzie jest pokój, gdzie jest cisza i ład?

Nikogo o nic nie spytał. Nie można. Naprzód, wciąż naprzód, coraz dalej od nieznanego chłopca zabitego w stepie pod Czernihowem, dalej od dziesiątków innych nieznanych ofiar, które pozostały w rowach i na skraju dróg. I ten Hawryło, który idzie z tyłu, wyśpiewując piosenkę... prędej i dalej trzeba uciekać od niego!

Dalej od Basania!..

Zamarznięta ziemia kruszyła się pod nogami Syły Żerdiahy i z każdym krokiem kruszyła się jego zmęczona, udręczona dusza.

* Ławra — nazwa dużego klasztoru prawosławnego.

Nie opodal Kijowa, w Dymerce, zarządzono postój. Przed świtem weszli do wsi tak jak zawsze, żeby zjeść, ogrzać się — i znów dalej na styczniowy mróz.

— Będzie defilada... przyjeżdża sam Petlura — zatrzymał ich rozkaz w Dymerce,

Tymczasem do wsi wlewały się inne pułki: 1. i 2. Czarnomorski, 1. Kijowski, 1. Strzelecki i pułk siczowców. Na zgonionych koniach wjechali jeźdźcy 1. pułku kawalerii, od Kijowa sunął na spotkanie 3 pułk siczowców. Mnóstwo ludzi zgromadziło się w Dymerce. Wiś wrzała, huczała, hałasowała.

Na obszernym placu pośród resztek spalonych stogów zbierały się pułki. Syła Żerdiaha chciał się umyć, oczyścić buty, ale... zabrakło mu czasu. Na przedzie, po prawej stronie placu ustawiły się pułki Czarnomorskie, bliżej lasu stanęły półkołem pozostałe. Pośpieszył więc za swymi ziómkami, z którymi zbliżył się w czasie marszu. Przystanął tylko na chwilę, poprawił zielony pas, który wydano mu na defiladę, i przesunął chwasty na prawy bok, a potem wyciągnął powoli zza pasa rewolwer — „nagan“, spojrzął na bębenek z nabojami i wylotem lufy zwrócił rewolwer ku sobie. W bębenu tkwiło pięć naboji — pamiętał, że sam wczoraj wieczorem nabił rewolwer. Pamiętał to dobrze, lecz mimo to obracając bębenek sprawdził załadowanie. I wtedy pewna myśl, jedna tylko myśl przemknęła mu przez głowę, ale była tak straszna, tak nieprawdopodobna, że aż się sam wdrygnął i rozejrzał dookoła...

Poprawiając pasa i sprawdzając rewolwer pozostał z tyłu. Pułki były już na wyznaczonych miejscach i tylko on jeden pozostał na placu.

— Głupstwo — powiedział głośno Syła Żerdiaha, wsadził rewolwer za pas i ruszył przez plac na wyznaczone miejsce.

Ale nie mógł pozbyć się owej myśli. Wciąż krążyła: niby to zniknęła, ale zaraz wracała, jak dokuczliwa, natrętna mucha.

Tak! Chciał go ujrzeć, naczelnego atamana Symona Petlurę. Pod Czernihowem, gdy został sam na stepie, wydawało mu się, że uciekając przed nocą, która otaczała go zewsząd, uciekając przed trwogą, która narastała w nim — musi szybko dopędzić petlurowców, którzy już znikali w wąwozach. Co prawda w nocy Hawryło zabił gospodarza usiłującego uratować swego konia, później Syła Żerdiaha widział, jak Hawryło zamordował na stepie chłopca — nic straszniejszego

nad to nie można było sobie wyobrazić — ale przecież musi nadejść kres zabójstwom, ten kres jest bliski, bardzo bliski.

I oto jeszcze jeden tylko krok, minie zaledwie kilka chwil i Syła Żerdiaha zobaczy Petlurę, ujrzy tego, który prowadzi te pułki.

— Bacznosc! — rozległa się komenda gdzieś daleko we wsi.

Granatowy, lśniący samochód wpadł do wsi. Za nim, rozwijając największą szybkość, pośpieszały inne, nieduże, czarne jak żuki. Granatowy samochód stanął, a za nim zatrzymały się ze zgrzytem hamulców pozostałe.

Syła Żerdiaha nie widział nic prócz tych samochodów. Krzyczał coś pułkownik Barabasz, przebiegł chorąży — może i on, Syła Żerdiaha, stoi nieprzepisowo, może ma pochylone plecy, szeroko rozstawione nogi? Wszystko mu jedno — pochylił się cały do przodu, bo musi zobaczyć tego, o którym tak dużo i tak uporczywie myślał. Szeroko rozstawił nogi, bo stoi na własnej ziemi, tak rozległej, tak olbrzymiej, że można na niej stać tylko tak, to znaczy szeroko rozstawiwszy stopy.

— Ba-a-cz-ność!... — przeciągle podawano sobie z pułku do pułku.

Z granatowego samochodu wysiadło kilku ludzi. Wskakiwali wojskowi i cywilni z innych samochodów. Stłoczyli się w kącie placu w grupkę przypominającą czarne mrowisko. A potem ruszyli na prawe skrzydło do zgromadzonych pułków.

Z daleka, o kilkadziesiąt kroków od siebie, Syła Żerdiaha zobaczył jęgo — Petlurę. Wyczyszczone do połysku buty, szary żupan z siwym, barankowym kołnierzem, czapka z siwych baranków. Twarz jakaś skamieniała, niczego się z niej nie wyczyta, usta lekko skrzywione; oczy szybko biegają, patrzą to na żołnierzy pułku Czarnomorskiego, to na dwóch wojskowych idących z tyłu. Za nimi idzie brodaty, starszy człowiek w futrze, o czerwonej, pełnej twarzy.

Pop — przeleciała mu myśl.

Jeszcze jeden — w kapeluszu, z ostrą, rudą bródką. Dalej (Żerdiaha zrazu nie chciał wierzyć własnym oczom) szeroko stąpał w szarym płaszczu wojskowym i szybko wznosił i opuszczał ramiona ustrojone złotem naramienników krępy, stary człowiek... „Książę — przemknęło mu przez głowę. — Matko moja... Książę Dołgorukow! Ma dobra w Wielkich Topolach!”

I Żerdiaha pospiesznie, czując, że cierpnie na nim skóra, jeszcze raz spojrzął na najważniejszego z nich, na samego Petlurę, który

w tej chwili znajdował się o kilka kroków od niego. Petlura jeszcze bardziej wykrzywił usta...

No, po prostu znęca się, kpi sobie ze mnie! — wzdrygnął się Żerdiaha.

Oczy Petlury były jak mętna, bagienna woda: nie pozna człowiek, czy głęboko tu, czy płytko; nad górną wargą i na brodzie gęsta szpeczyna. Na lewym policzku stara blizna...

Ale przecież — omal nie krzyknął Syła Żerdiaha — poznaję... to...

Wypłynęło z głębi i wichrem przeleciało przez jego świadomość pewne wspomnienie. Było to w dzieciństwie... Nie, nie, później. Nie tak dawno. Do wsi przyjechali aktorzy. Grali w budynku szkolnym. Trzeba było zapłacić karbowanica, żeby móc obejrzeć przedstawienie. Zapłatę przyjmował krzepki, młody chłopak z blizną na lewym policzku.

Wieczorem, gdy skończyło się przedstawienie, na podwórzu odbył się jeszcze jeden spektakl. Aktorzy wypędzili z kasy chłopca, który sprzedawał bilety, i smagali go batami pożyczonymi od woźniców lub bili po prostu pięściami.

— Złodziej! — krzyczeli. — My gramy, a on przywłaszcza sobie nasze pieniądze! Złodziej! — i smagali go dalej.

I właśnie ten złodziej przechodził teraz obok niego. Tym złodziejem był Symon Petlura. Żerdiaha nie znał wówczas jego nazwiska, ale zapamiętał na całe życie odrażającą twarz złodzieja, z blizną na lewym policzku. Poznał go teraz od razu, natychmiast...

Boże... Boże mój! — pomyślał Żerdiaha. — Co się dzieje? Co teraz zrobić? Za kim ja poszedłem? Za złodziejem? Co robić dalej?

Petlura szybko minął go.

— Sła-a-wa! — huczało dokoła.

— A-a-a! — z bólem wykrzyknął Syła Żerdiaha; krzyknął, jakby był śmiertelnie ranny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wszystkich opanowywało zmęczenie. W chacie było ciepło, potniały szybki zamarzniętych okien, lampa ze szkłem zaklejonym papierem filowała; dużo palono, dym otulał sufit kosmatą, sinawą watą.

Zebranie ciągnęło się już kilka godzin. Szczors informował o sytuacji na frontach, z zapalem mówił o miastach, przez które przechodzili, o zadaniach nowoobranego Komitetu Rewolucyjnego.

Niedaleko od niego siedział czarny, smagły chłopak, podobny do Cygana. Płonące oczy chłopca połyskiwały, często przygryzał cienką, dolną wargę białymi, ostrymi zębami, rozglądał się dokoła, poruszał ramionami, prawa ręka chłopca wznosiła się do góry, drgały usta... Zdawało się, że coś powie, o coś zapyta.

— Kto chce się jeszcze wypowiedzieć? — ośmielał Szczors chłopca. — Nie wstyďte się, mówcie wszystko szczerze.

Ale ręka chłopca powoli, bezwładnie opadała w dół, zagryzał aż do bólu wargi — nie, nie mógł nic powiedzieć. Wezwanie nie pomogło.

I tak się zachowywał nie tylko ów młodzieniec. Młodość porywcz, gestami uzewnętrzniała swe uczucia. W izbie było dużo ludzi. Tu siedzi siwy, zgarbiony starzec oparty na kiju, a w jego oczach zastygło, jak liść pod skorupą lodu, jakieś zatajone pytanie. Tam dziewczyna, przytulona plecami do ciepłego pieca, spogląda w okno, przez które nic nie można dostrzec. Oderwała spojrzenie od okna, rozejrzała się po izbie — przed Szczorsesem przesunęło się jej nie widzące spojrzenie — i znów spogląda przez okno, w nocną mgłę, jak na dno bystrej rzeczki, zmienione, wykrzywione wartkim nurtem. Mają jednakowe spojrzenia — chłopiec, dziewczyna i starzec; tak samo spoglądają wszyscy pozostali. Na każdej twarzy odbita jest jak gdyby pieczęć smutku. I pytanie w oczach. Pytanie, które padnie lada chwila. I jakoś nie pada.

— Kto chciałby zabrać głos?

Milczenie.

— Może ty — spogląda Szczors na człowieka z rudą bródką. — Obraliśmy cię dziś przewodniczącym Rewkomu*. Masz tylko jedną rękę. Trzeba omówić wszystko, powiedzieć zebranim, jak mając jedną rękę, dasz sobie radę.

I od razu w izbie powstał szmer: tak się rodzi dźwięk, gdy lód wiosną odrywa się od brzegów. Dziewczyna odwróciła się od okna. Na twarzy chłopca zjawił się uśmiech, starzec zuchowato potrząsnął głową. A człowiek z rudą bródką — przewodniczący Rewkomu — wstał i szybko podszedł do stołu.

— Zaczęliście mówić o mojej ręce, słusznie! — przemówił. — Trafiliście w samo sedno, towarzyszu dowódco. Właśnie chciałem po-

* Rewkom (Rewolucyjnyj Komitet) — Komitet Rewolucyjny.

wiedzieć o ręce. Jaka ta nasza ręka i jakiej ręki się trzymać. Napatrzyliśmy się dosyć wszelkiej władzy. Po rewolucji przyszedł Kiereński i powiedział, że wszystko jest nie tak jak trzeba — ano, chłopcy, trochę na prawo! I cośmy osiągnęli? Groby za wsią. Potem wyskoczyła Rada Centralna — hej, na lewo! A dla nas co? Zamieszanie i lzy dla matek. Petlura nas łupi, Niemcy łupią, każdy ciągnie w swoją stronę, a każdy w inną. A my ani na prawo, ani na lewo, ani na przód, ani do tyłu, ani wio, ani pr... ani tam, ani sam... jakbyśmy mieli chomać na szyi, kręcąc nami, jak chcą.

Ale gdyście wy przyszli i gdy rozmawiałeś z nami, towarzyszu dowódco, wszystko widać jak na dłoni. Bogaczy ukróćmy, zimą obejdziemy pola z miarką, a na wiosnę po swojemu, po biedniacku je podzielimy... I wszystko słusznie mówisz, nawet o religii. Z Bogiem do progu, a bez Boga można nawet i za próg. Kto chce, niech się modli, ale jeśli pop i Bóg ogłosili, że zachowują neutralność, niech jej dotrzymują — wszystko to słuszne. Plan twój jest jak program partyjny. A co do siebie, to mogę tylko tyle powiedzieć, że chciałbym wstąpić do partii bolszewików i gotów jestem za komunizm oddać nawet drugą, prawą rękę... i całe serce.

To wszystko — przewodniczący Rewkomu odetchnął ciężko — to jest bardzo pięknie i inaczej nie może być. Przyjechałeś ze swymi pułkami, władzę ustanowiłeś i ruszacie dalej. Zerwaliście się i polecieście jak orły. Lećcie, zuchy! Ale my powinniśmy pomyśleć o sobie. Bo kto idzie z Czernihowa do Kijowa, nas nie ominie, z Nieżyna prosta do nas droga. Od Desny — znów my po drodze. A z lasów idąc — jakże można nas ominąć? My jak ten groch przydrożny — kto chce, ten nas skubie. A w naszej wsi bogacze myślą tylko o tym, jakby nas połknąć. Trzeba ich mieć na oku. Właśnie dlatego o tym mówię! Wy, orły, walczyście, torujecie prostą drogę na Kijów. Szczęśliwej drogi! Ale nie zapominajcie o nas.

Szczors gwałtownie powstał od stołu. Narzucił płaszcz, postawił kołnierz, starannie pozapinał guziki. Uśmiechnął się do dzieci, które siedziały na piecu przyglądając się wszystkiemu błyszczącymi oczyma, uściśnął rękę gospodarzowi i wyszedł.

Na grobli przejmująco wyła zamieć. Z nieba nie sypało, lecz wiatr porywał z ziemi kłujące, zamarznięte płatki śniegu i rzucał je lu-

dziom twarze, oblepił nimi konie. Niebo ciążyło nad ziemią, jał ciężkie drzwi piwnicy.

Na grobli tupotały konie. Na ulicach skrzypiały sanie. Koło studni chwiała się na tyce latarnia. Jęczał żuraw.

Koń dziwnie się skulił, gdy Szczors go dosiadł. Ale zaraz rozprężył mięśnie i wyprostował grzbiet.

— Możemy ruszać! — zwrócił się Szczors do adiutanta.

Adiutant szarpnął konia i popędził ku grobli. Mocniej i przeraźliwiej zajęczał żuraw, latarnia opadła w dół i zgasła. Wiatr ucichł.

Szczors dotknął szyi konia. Koń ruszył z miejsca ostrożnie, jakby badając kopytami ziemię. Szczors ścisnął go kolanami i koń zwiększył tempo, miękko kołysząc jeźdźca. Adiutant podjechał naprzeciw niego, potem gwałtownie zawrócił i dalej jechali już obok siebie, mijając rząd sań stłoczonych na grobli.

Ulica wiejska rozstępowała się przed nimi. Przyprószone śniegiem gałęzie drzew zlewały się z niebem. Chaty wynurzały się niespodziewanie z mroku i jakoś nagle, nadzwyczaj szybko pozostawały z tyłu. Za jeźdźcami coraz szybciej stukały kopyta końskie, płózy sań coraz głośniej skrzypiały na grobli.

Przy końcu wsi, koło rozłożystej wierzby, Szczors przystanął i odwrócił się do batalionu. Łańcuch sań już dojeżdżał do wierzby, a jego koniec ginął we mgle. Adiutant zatrzymał się obok dowódcy. Koło nich stanęło jeszcze dwóch jeźdźców na krępych, małych konikach.

— A kto to? — przyglądał im się Szczors.

— To my... z Rewkomu — Szczors poznał głos jednorękiego przewodniczącego Rewkomu. — To ja... i jeszcze jeden towarzysz z Rewkomu. Pojechaliśmy kawalek, żeby odprowadzić was. A teraz wracamy do domu. Szczęśliwej drogi, towarzyszu Szczors, życzymy wam szczęścia, powodzenia, wszystkiego dobrego. Żebyście i panów pobili, i o nas nie zapomnieli. Chętnie wam pomożemy i ugościmy z całego serca. A wracajcie do nas — przewodniczący długo szukał odpowiedniego słowa — ale nie w nocy... Odchodzicie w ciemną noc, lecz wracajcie za dnia i przynieście nam dzień.

Szczęśliwej drogi, Mykoło Oleksandrowiczu, życzę tobie i wszystkim twym żołnierzom! — jeszcze raz powiedział przewodniczący. — Zostajemy bez was jak sieroty.

Tym razem Szczors w słowach przewodniczącego wyczuł trwogę. Głos mu się załamywał ze zdenerwowania, ze wzruszenia, że ciemną nocą odprowadza żołnierzy. I jeszcze dlatego, że on — wczoraj nie nie znaczący chłop, biedak, dziś wraca do wsi jako przedstawiciel władzy, jako przewodniczący Rewkomu i gdy tylko bohuńczycy znikną w ciemnościach nocnych, wróci nie do cichej, spokojnej wsi, jaka wydaje się ona teraz pod osłoną nocy, ale do wsi podnieconej, strwożonej — która przypomina front..

Jakże chciałby im dopomóc.

Zajść wroga od tyłu, ubezpieczywszy sobie uprzednio własne tyły — to najważniejsze! — myślał Szczors.

Sanie stały stłoczone obok wierzby. Szczors zastanowił się chwilę.

— Znajdźcie mi Denysa Żerdiahe! — zwrócił się do adiutanta. — Natychmiast...

— Masz tutaj rozkaz. My ruszamy dalej na Kijów, a ty pozostaniesz tutaj jako przedstawiciel pułku Bohuńskiego, przedstawiciel władzy wojskowej we wsi.

— Rozkaz, towarzyszu dowódcu pułku! Jako przedstawiciel bohuńczyków i władzy wojskowej.

— Podejdz bliżej, Denysie — wyciągnął doń rękę Szczors. — Bywaj zdrów... Gdy na wsi umocni się władza — dopędź nas.

Przewodniczący Rewkomu zeskoczył z konia.

— Masz tu konia. Ja jestem przyzwyczajony do chodzenia piechotką. Wsiadaj i jedź, Denysie, a ja obok ciebie pójdę odważnie, aby umacniać władzę radziecką. A ty, Mykoło Oleksandrowiczu... pozwól, że ucałuję cię jak brata, jak ojca, w imieniu wszystkich pracujących naszej wsi. Dzięki! I od tej chwili niech rośnie i wzmacnia się nasz sojusz i nasza przyjaźń.

Z drugiego konia również pośpiesznie zsiadł jeździec, szybko podbiegł do Szczorsa i ucałował go.

— Dzięki...

Obok siebie dostrzegł Szczors twarz dziewczyny, członka Rewkomu, która także była wieczorem na zebraniu.

Koń ruszył. Ruszyły sanie. Na pagórku pod wierzbą zatrzymał się, zdjawszy czapkę, przewodniczący. Denys siedział na koniu, obok niego stała dziewczyna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dął przenikliwy, ostry wiatr. Za wsią wicher podnosił z ziemi i wzbijał w górę kłęby, kłującego, suchego śniegu.

Wśród wirującej zamieci stał Stepan Mazur. Wiatr uderzał go w pierś, to rzucał mu śniegiem w plecy, jakby usiłując zwalić go z nóg, uderzając z prawego boku rozwiewał poły jego płaszcza lub zmienacka, cieniutkimi, kłującymi strumykami przenikał aż do serca.

Było bardzo zimno. Nie opodał — przez welon śnieżnej zadymki — widać było, jak zapalały się wieczorne światła w chatach, gdzie tak ponętnie pachnie świeżym chlebem i suszonymi ziołami: macierzanką i cząbrem*. O sto kroków stąd jest ciepło, spokojnie, zacisznie...

Za wsią leży rozległy step, na którym wirują śnieżne tumany, i każdej chwili, nagle i niespodziewanie, może z niego wypaść oddział nieprzyjacielski, mogą wtargnąć do wsi całe kolumny nieprzyjacielskie. Ale Mazur jest przecież żołnierzem rewolucji. Tam za nim są ciepłe chaty, ale nie wolno mu nawet rzucić ha nie okiem, jego wzrok musi być przykuty do stepu, do oślepiającej oczy zawiei. I zresztą nie jest nawet tak bardzo zimno, być może, że nie minęła jeszcze godzina od chwili, gdy z dowódcą warty Machońką tu pod wierzbą zapalili papierosy. Machońko poszedł, aby rozstawić posterunki na drugim końcu wsi. Ta godzina dłużyła mu się, bo dął przenikliwy, kłujący wiatr. Poza tym był licho ubrany — miał dziurawe buty, onuce z worka, a pod płaszczem tylko koszulę.

Mazur wiedział jednak, jak należy walczyć z mrozem i wiatrem. Trzeba dużo chodzić, często poruszać rękami i całym ciałem. Zrobi się ciepło, krew zacznie szybciej krążyć. Właśnie tak... szybciej... mocniej tupać nogami. Jeszcze raz! O tak!

Chodził drogą. Sto kroków od wierzby, sto kroków z powrotem. Wiele razy przemierzył tę drogę. Wydeptał rów w naniesionym przez zawieję śniegu. Zdawało się, że wzdłuż tego rowu szybciej przelatują wichry i że od szybkiego ruchu ostry prąd powietrza zaczyna błyszczeć. W świetle tych prądów powietrznych nie przestawał wpatrywać się w horyzont; pilnował stepu.

* Cząbber — roślina, której młodych pędów używa się jako przyprawy,

Już przyzwyczaił się do szumu wichury i niewątpliwie natychmiast dosłyszałby każdy obcy dźwięk. Oczy go bolały i łzały od silnie iskrzących się strumieni powietrza. Wciąż był w ruchu. Szedł naprzód, po wojskowemu robił zwrot na miejscu, wracał, a melodie wichru zmieniały się w jego wyobraźni w szybki, ognisty marsz grywany podczas pochodu. Obawiał się tylko, aby się nie pośliznąć, aby nogi nie wypadły z rytmu dziarskiego marsza.

— Raz... dwa... trzy... cztery... — wybijał takt Mazur. Wiatr szalał, tempo marsza stało się tak szybkie, że Stepan nie mógł nadążyć. Właściwie nie był to już marsz.

Przystanął na chwilę i nasłuchiwał.

Żeby tylko nie zamarznąć — pomyślał. — Wystarczy raz wystrzeżić, a zjawi się zmiana jak spod ziemi.

— Nie — odpowiedział sam sobie. — Nie stało się nic szczególnego. Nie będę ludzi niepokoił.

Stepan Mazur oparł karabin o pień wierzby. Rozgrzać ręce można, ale odchodzić od karabinu nie wolno! I po tak gwałtownym marszu przyjemnie jest postać chwilę.

Ale wiatr przewiewał go do szpiku kości i Stepan doszedł do wniosku, że może stać pod wierzbą, może nie odchodzić z tego miejsca... ale trzeba, koniecznie trzeba się poruszać, bo wypadnie jeszcze długo stać, a opuszczać posterunku nie można.

Wreszcie marsz zamienił się w taniec. Był to dziwnie znany i przedziwnie prosty taniec. Stepan Mazur poderwał się, poruszył nogami...

*Rudy ojciec, ruda matka,
Rudy dziadek, ruda babka...*

Dobrał Stepan słowa do tego tańca, a wtedy melodia zadźwięczała mu wyraźnie, dźwięki tańca rozdziły się nie tylko obok niego, pod wierzbą — to śpiewał, grał i wzywał do tańca cały step...

Stepan Mazur ruszył w tany. Było to o wiele lepsze niż nudne chodzenie od wierzby do wierzby i było nadzwyczaj wesołe. Stepan zawzięcie przytupywał lub też, jak to robią dziewczęta, zginał ręce w łokciach i podrzucał w takt tańca ramionami: nie mógł powstrzymać swego zapału i zaczął tańczyć z prysudami. Przed nim stała ślicznotka, wysmukła wierzba, więc tańczył przed nią, to cofając się, to zbliżając do zamarzniętego, przyprószonego śniegiem pnia

*Rudy ojciec, ruda matka,
Rudy dziadek, ruda babka...*

Nie znał dalszych strofek, więc zaczął je układać sam:

*Niebo rude, wierzba ruda.
Rudy śnieg i droga ruda.
I ja rudy rudą pokochałem
I ja rudy rudej się spodobałem.*

Mazur przystanął na chwilę. Pomyślał o tym, że w stepie mogą posłyszeć jego śpiew. Wróg, idący przez śnieżną zadymkę, posłyszycie pieśń, a wtedy...

— Nie — powiedział do siebie Stepan Mazur — nie będę śpiewać. Na posterunku nie wolno śpiewać. Tańczyć na mrozie można, ale śpiewać — nie!

Wtedy zaczął tańczyć w milczeniu. Zmierzchało się. Wiatr wiał z przerwami, jakby po to, aby wpuścić na step mróz. Zadymka uciżyła się.

Pod Mazurem uginały się nogi. Taniec trwał zbyt długo. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Zrobiły się ociężałe i zginały się z trudem. Nad stepem zaległa cisza i milkła muzyka, którą dotychczas jeszcze słyhać było w porywach wiatru.

Wtedy zatrzymał się. Zatrzymał się, aby nie upaść. Stał długo baczenie spoglądając na step. Dookoła było już cicho. Niebo czyste. Na południowym jego krańcu zapłonęła pierwsza gwiazda. Powietrze było tak zimne, że zielony promień gwiazdy drgał w nim jak napięta struna. Dale stepowe świeciły liliowym blaskiem, liliowe również było niebo na horyzoncie. Stepanowi wydało się, że stoi na wysokim urwisku, a przed nim rozciąga się bezkresna przestrzeń i bezdenne głębina niezmiernego morza. Ale ten bezkres i ta głębina nie przygnębiały go — poczuł się mocny i silny, bo w tej chwili całkowitej ciszy i spokoju on był gospodarzem stepowych obszarów, był obrońcą, wiedział, że jest żołnierzem rewolucji i stoi na posterunku pod wierzbą, na skraju wsi...

Ale nie mógł już i stać, czuł, że zaraz upadnie. Wtedy pochylił się — tylko dlatego, żeby się przekonać, czy siedząc mógłby obserwować step, wcale nie mając zamiaru siadać, bo żołnierz na posterunku siadać nie ma prawa.

Lecz gdy pochylił się, zrozumiał, że teraz wstać już nie potrafi. Ale pocieszał się tym, że nawet siedząc też widzi cały step. Żeby zaś całkowicie przeciąć wszelkie wahania wyciągnął rękę do pnia wierzby, wzięł karabin za kolbę i położył go przed sobą; w karabinie było pięć naboł, z których jeden tkwił w lufie, zamek był przepisowo odbezpieczony. Oparł się plecami o pień wierzby, gdyż była to najdogodniejsza pozycja, żeby wystrzelać wszystkich wrogów, jacy tylko ośmielą się przejść obok wierzby w kierunku wsi. I nawet lepiej, że usiadł — dopóki stał, można go było z daleka dostrzec i zastrzelić, a teraz siedzi obok pnia, malutki, niedostrzegalny, jak pień, ale straszny dzięki tej niedostrzegalności.

I wtedy mróz zelzał; Stepan Mazur zagrzebał nogi w śniegu, zrobiło mu się znacznie cieplej, a od nóg ciepło rozeszło się po całym ciele.

Dobrze zrobiłem, że nie przywołałem zmiany — pomyślał Mazur. — To tylko mi się zdawało, że jest tak zimno, teraz jest mi ciepło jak w kołysce.

Teraz już nie jedna gwiazdka płonęła na horyzoncie, lecz całe mnóstwo iskrzących się gwiazd zasypało niebo — i blask ich odbijał się na równinie stepowej jak na powierzchni szerokiej rzeki. Skądś ze wsi płynęła piosenka — śpiewali bohuńcy — i Stepan Mazur bardzo się ucieszył, że tam we wsi mogą sobie tak śmiało śpiewać dzięki temu, że on, żołnierz rewolucji, stoi za wsią na posterunku. A jutro gdzieś w innej wsi będzie śpiewać Stepan Mazur, bo rewolucja ma dużo żołnierzy, a skoro on strzeże ich wszystkich dziś, to inni strzec go będą jutro.

— Cudownie — powiedział Stepan Mazur i była to rzeczywiście cudowna chwila w jego życiu. — Cudownie tak żyć!

Bardzo mu się chciało spać, ale nie zasnął, bo na posterunku spać nie można; bał się nawet przymknąć oczy, bo nie wiedział, czy potrafi je otworzyć. Więc siedział, uważnie patrząc w step, i mógłby tak siedzieć długo, może nawet całe życie, bo majestatyczny step rozciągał się przed jego oczyma, bo każda gwiazda na niebie była jak wszechświat; rozumiał, że tu przy tej wierzbie jest miejsce, skąd najlepiej dostrzega się piękno świata, tu odczuwa się najwyraźniej doniosłość faktu, że się stoi na straży tego piękna. Miał nawet ochotę krzyknąć o tym — ale wiedział, że na posterunku trzeba stać w mil-

czeniu, a poza tym może... nie znalazłby odpowiednich słów dla wyrażenia swej radości.

Zaczął marzyć, bo tylko marzeń brakowało, aby osiągnąć szczyty radości odsłaniające się mu w owej godzinie.

Nie myślał o przeszłości; przeszłość zawierała zbyt dużo nieszczęść, więc dlatego nie chciał do niej wracać. Brał pod uwagę tylko stan obecny: jest mu ciepło i zacisznie, stoi na posterunku, tam gdzie go postawiła rewolucja, i koniec wojny jest już bliski. Jego żona Hala pisała niedawno, że urodził się im syn. Stepan wróci do wsi, dumnie będzie chodził ulicami, bo nigdy nie zszedł z posterunku, ludzie będą go witać życzliwie, żona z synem* wybiegnie na spotkanie.

— No, to teraz — powie Mazur, gdy wejdzie do chaty — witajcie mi! Rewolucja zwycięża, a tobie dziękuję, żeś urodziła mi syna. Będzie miał teraz miejsce i cel w życiu.

Ale pozwólcie mi, ludzie kochani — Stepan powie tak i usiadzie na ławie, postawi w kątku karabin i położy na stole ładownicę — pozwólcie mi, ludzie kochani, uczynić zadość zwyczajowi. Chcę ochrzcić syna: popa nie potrzebuję, obejdziemy się bez modlitw, ale chciałbym mieć kuma... Jakie to życie na świecie bez kuma?

I zamyślił się. Siedział pod wierzbą, ale zdawało mu się, że nie jest sam, że obok niego siedzi żona i syn.

— Kogo zaprosić na kuma? — zapytał Stepan Mazur.

— Omełkę Mychajłowicza... pisarza gminnego — powiedziała Hala.

— Nie chcę mieć za kuma pisarza gminnego — odpowiedział Stepan. — Trzeba go w przerebłu utopić, a nie zapraszać na kuma.

— A gdyby tak Opanasa Kriaka? Człowiek bogaty, zawsze może się nam przydać.

— Nie po drodze mi z bogaczami — zaczął gniewać się Mazur.

— Więc może garbarza Wakulę?

— Nie waz się nawet myśleć o tym! — zagrmiał Stepan. — To jest rzecz poważna i trzeba ją rozważyć ze wszystkich stron.

I jeszcze długo tak siedział, a żona tuliła się do niego.

— Mykołę Ołeksandrowicza — błysnęła nagle myśl. — Towarzysza Szczorsa! Tylko jego! Jest dla nas jak ojciec. Na całym świecie nie znajdę lepszego kuma. Nas nie będzie, ale sława o nim będzie żyła wieki. Taki kum, to dopiero kum.

Żona Hala zgodziła się na to, a syn leżał tuląc się do jego boku. Stepan Mazur nie wypuszczał karabinu z rąk. Bo mógł marzyć i rozmyślać, ale nie miał prawa wypuścić z rąk karabinu, gdyż stał na warcie. Baczenie obserwował step, choć oczy bolały go od blasku iskrzącego się na stepie śniegu.

Nagle spostrzegł, że na horyzoncie ukazał się czarny punkcik, który powiększał się i rósł. Wkrótce można było dostrzec, że to dwaj jeźdźcy zbliżają się do wsi. Wiedział, że swoi są tylko tam z tyłu, za jego plecami, przeto do wsi może się zbliżać tylko nieprzyjaciel.

Chciał wstać. Ale poczuł, że nie może, i zrozumiał, że lepiej będzie nie wstawać: przyczajony pod wierzbą — dopuści nieprzyjaciela jak najbliżej i wtedy będzie mógł celnie strzelać, tak jak przystoi żołnierzowi rewolucji. Całe ciepło ciała przeszło w rękę i cały świat ześrodkował się na czarnym wylocie lufy karabinu: w karabini było pięć naboji i zamek był zabezpieczony.

Dopuścił ich bardzo blisko. Poznał przeklętych petlurowców. Wystrzelił kilka razy. Obydwaj jeźdźcy spadli w śnieg, ale on wystrzelił jeszcze raz do leżących, żeby być pewnym ich zagłady. I zdziwił się — bo płomień buchnął z karabinu, lecz nie był to czerwony płomień, ale błękitna, promienista ulewa. Coraz obficie i gęściej padał wokoło niego lazurowy deszcz i wreszcie on sam popłynął tym lazurowym potokiem. Nie czuł nawet, jak poruszony wystrzałami spada z gałęzi drzew puszysty śnieg i okrywa go. I szeroko rozwartymi oczami ujrzał, że od strony wsi mkną konie, że pędzą ku niemu bohaterzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nie było widać ani ziemi, ani nieba. Śniegowe morze kipiło, koledbało się ciężkimi falami. Z zawieruchy wypadali ośnieżeni, przemarznięci łącznicy.

- Tysiąc petlurowców zgromadziło się w Semipolkach
- Dwa tysiące...
- Trzy tysiące...
- Cztery!

Mknęli w zamieć. Wpadali w morze śniegu. I wypadali znów, żeby ściśle uzgodnić komunikaty.

— W Semipółkach jest dywizja siczowców pod dowództwem Rogulskiego. Od strony Kijowa nadciąga pułk konnych siczowców.

Rozbici pod Czernihowem, Królówką, Konotopem i Bachmaczem petlurowcy ściągali siły do Semipółków, skupiali się usiłując powstrzymać nacierających.

Pod osłoną śniegu petlurowcy umacniali się w Semipółkach Bo i któż pójdzie w taką zamieć do wsi? Na stepie nie ma ani dróg ani drózek. Graj, muzyko, śpiewajcie, dziewczęta! Lej się rzeką, gorzałko.

Dyrektoria się bawi.

Szczors zwołał dowódców do obszernej chaty nauczyciela. Na stole paliło się kilka kaganków — od dawna już zapomniano na wsi o istnieniu nafty. Dyrektoria umiała tylko wszystko ze wsi wywozić, ale dać coś — gdzież tam! Kaganki dymiły, gryzące pasemka czarnego dymu kłębiły się nad stołem i osiadały na nim w postaci sadzy. Szczors ciągle kaszłał. Twarz mu płonęła. Oczy błyszczały podnieceniem i gorączką. Gdy zaczynał kaszleć, dowódcy batalionów spoglądali na niego z niepokojem.

— Zgaście kaganki — poprosił Szczors.

Zaskwierczały knoty, pozostał tylko jeden kaganek, którego siny płomyk dawał słabe, migocące światelko.

— Tak dobrze... lżej oddychać!

Linie na mapie zlewały się w szarą plamę. Niebieski ołówek przebiegał po mapie. Dowódcy pochylili się nad stołem.

— W Semipółkach zgromadziło się — mówił Szczors — kilka tysięcy petlurowców. Cofnęli się spod Czernihowa, nadeszły uzupełnienia z Kijowa. Dział mają mało — a tylko przerzucając wędrowną baterię z miejsca na miejsce chcą wywołać wrażenie, że tych baterii mają dużo. Do Semipółków przybyła petlurowska szkoła podchorążych. Synkowie obszarników będą się bili zażarcie. Musimy się spieszyć! Przystępujemy do natarcia dziś w nocy.

— Mykoło Ołeksandrowiczu! — wyrwało się któremuś z dowódców. — Oni mają cztery tysiące, może nawet więcej, a my...

— Nas jest dwa razy mniej — odpowiedział Szczors. — I cóż z tego?

Milczenie.

— Po co pytasz? — zaśmiał się Szczors. — Matematyka to rzecz pożyteczna, ale nie zawsze można ją stosować do żywych ludzi. Znasz naszych ludzi? Wiesz, kogo prowadzisz? A ty... cztery tysiące...

Niebieskie kółko, otaczające Semipółki na mapie, zaciskało się jak pętla.

— Rewolucja rozkazuje — wysoko podniósł głowę Szczors — radziecka władza dyktuje, a my powinniśmy słuchać i zwyciężać!

Późno w nocy Szczors sam poprowadził jeden batalion okrężnymi drogami, aby obejść Semipółki. Posuwali się bezdrożami. Maszerowali pamiętając tylko o tym, aby nie skręcać, nie zbaczać ani na krok, iść szybko i przed świtem znaleźć się po drugiej stronie Semipółków, zaskoczyć petlurowców, którym nawet przez myśl nie przychodzi, że bohuńcy mogą natrzeć od tyłu.

Śnieg padał coraz obfitszy, zdawało się, że zostały naruszone wszelkie prawa ciężenia i płatki sypią się nie tylko z nieba, ale niepowstrzymanym strumieniem wznoszą się z ziemi do góry. Śnieg zasypywał ludzi, przesączał się przez poły płaszczy, ziębił rozgrzane szybkim marszem nogi, zamrażał krew w żyłach.

Gdy wyruszali ze wsi, Szczors jechał na wozie, na czele oddziału. Później maszerował piechotą na przedzie kolumny. Szedł pochylony, często kaszlał — ten jego kaszel słyszeli wszyscy żołnierze — ale ani razu nie przystanął i nie zboczył ani na krok.

Żołnierze wysoko podnosili nogi, bo grzęzli w zaspach. Szli w lodowatą, oślizłą, śnieżną mgłę.

W pobliżu Szczorsa siedł Dzendia. Wiedział już, że w Semipółkach zgromadzone są siły petlurowców, zdawał sobie sprawę, że teraz w nocy bohuńcy usiłują okrążyć petlurowców. Przejmował go dreszcz.

Patrzył na szczupłego dowódcę pułku, Szczorsa, który siedł na czele oddziału, i z głębi duszy wyrywało mu się: „Teraz koniec. Ludzie, którzy idą nocą przez zasy, na rano będą do niczego. Dojdą do Semipółek i padną ze zmęczenia. Pozasypiają na mrozie...”

Obok siebie zobaczył Dzendia ośnieżoną twarz Szczorsa. Oczy dowódcy płonęły, blasku ich nie zdołała przygasić nawet ciemność nocy. Bródkę Szczorsa przyprószył śnieg, wąsy pokrył szron, przypominał teraz starca z siwymi wąsami i siwą brodą, ale z cudownymi, młodzieńczo błyszczącymi oczami.

Nie pociągnie już długol — pomyślał Dzendia. — On również zgłonie pod Semipółkami. Tam będzie koniec!

— Stój! Zarządzam odpoczynek! — rozkazał Szczors po długich godzinach marszu.

Żołnierze upadli na śnieg, przytulili się do zasp, wtopili się w śnieżną mgłą.

— Odpoczynek! — rozległo się dokoła.

Step pochłonał żołnierzy. Zapadli się jakby pod ziemię. Tylko śnieżne tumany kłębiły się nad stepem, zasypywały leżących ludzi i w tej zamieci ktoś bezustannie, zachłystując się, zanosił się od kaszlu. Zmordowani żołnierze natychmiast usnęli. Pograżyli się w sen nie czując nawet zimna.

— Powstań! — rozległo się niebawem.

I znów ruszyli żołnierze w noc, wyciągając nogi z głębokiego śniegu, wyteżając wszystkie siły.

Ale z rana... — z uporem myślał Dzendia — aby tylko doczekać się rana — oni wszyscy polegą pod Semipółkami. To, co się nie udało pod Czernihowem, uda się tutaj, pod Semipółkami. Zakończy się pochód.

A wtedy — dalej płynęły myśli — trzeba przebiec do swoich, krzyknąć: „To ja — Dzendia! Swój!... Nie strzelajcie...“ I szybciej ruszać na Kijów, jak najprędzej wejść tam jako zwycięzca.

Ludzie wciąż szli naprzód, szli zwartą ławą, nieśli ciężące coraz bardziej, oblepione śniegiem karabiny maszynowe, skrzynki z nabojami. Tych, którzy ustawiali, prowadzono pod ręce. Odzyskiwali na nowo siły. Wyprzedzając wszystkich maszerował dowódca pułku, Mykoła Ołeksandrowicz Szczors.

W Semipółkach spali pijani petlurowcy. Nawet wartowników ścignęli z posterunków — niech zawieja strzeże dywizji, niech zamieć śnieżna nikogo do wsi nie wpuszcza.

A tymczasem bataliony zbliżały się do wsi. Dwa bataliony posuwały się na Semipółki czołowo, trzeci zaś obchodził je z lewego skrzydła. Ludzie, brnąc w śniegu, podchodzili do Semipółków.

Świt zastał ludzi na stepie. Zaczynał się dzień, ale niewiele różniący się od nocy. Tumany śniegu waliły z góry i podnosiły się od dołu. Płaszcze cieniutko podzwaniały, jakby były ze szkła. Ludzie oddychali ciężko, byli zmęczeni, szli przed siebie ze zmętniałymi oczami, nie widzieli już nic naokoło, ale mimo to szli. I zdawało się, że gdy na-

dejdzie decydująca chwila, czy ich nie zmienią się, że ci ludzie nie zdołają już podnieść nabrzmiałych, opuszczonych rąk, żeby wystrzelić z karabinu...

Szczors zatrzymał się. Drżenie przebiegło jego ciało. Wysoko podniósł głowę. Szeroko otworzył oczy, zsunął baszлык z głowy. I długo nasłuchiwał, oddychając szybko, z trudem.

Żołnierze wynurzali się ze śnieżnej mgły, skupiali wokół dowódcy i otaczali go kołem. Wielu spośród nich miało przymknięte oczy — spali.

Wydawało się, że wystarczy ich lekko popchnąć, a od razu upadną w śnieg i zasną głębokim, ciężkim snem. Wśród ciszy panującej na stepie słychać było ich senny oddech.

— Zaczęło się! — niezbyt głośno powiedział Szczors. — Od czoła bataliony uderzyły już na petlurowców. My obeszliliśmy nieprzyjaciela od tyłu. Towarzysze... chłopcy... naprzód!

Ludzie stali chwiejąc się, jak gdyby budząc się z ciężkiego, głębokiego snu.

— Naprzód! — powiedział Szczors. — Do ataku!

W tej chwili gdzieś daleko zagrzmiało działo. Z prawej strony zaterkotały karabiny maszynowe. Z lewej słychać było strzały karabinowe. Ktoś krzyknął na stepie.

Bataliony, które wyruszyły w śnieżną mgłę, maszerowały całą noc i punktualnie o wyznaczonej godzinie otoczyły Semipołki i petlurowców. Mykoła Ołeksandrowicz dobrze znał swych szeregowców i dowódców. Rozpoczęło się natarcie. We wsi miotali się petlurowcy. Słychać było, jak tam rżą konie, dolatywały niesamowite krzyki.

Minęła chwila. Szczors spojrział na żołnierzy. Zaczęli się poruszać, budzić ze snu. Szeroko otwierali oczy, jak gdyby dziwiąc się, że po tak głębokim śnie znaleźli się w bitwie.

Kolumny ruszyły.

Zapłonęły oczy, ręce poszły w ruch.

— Bohuńczycy!

I ludzie uderzyli tak, jakby wcale nie spędzili całej nocy w marszu, jakby wcale nie byli zmęczeni. Na ich spotkanie z zamieci wypadli piesi i konni petlurowcy i znikali we mgle, miotając się bezładnie w ciasnym, zamkniętym kole.

Fala porwała ze sobą Dzendię. Mknął w gąszczu bohuńczyków i myślał, że lada chwila spadną na żywy mur petlurowców. Wtedy się zatrzyma, podniesie ręce do góry i krzyknie:

— Swój! Zaczekajcie! To ja, Dzendia!

A bohuńcy pędzili; na przedzie w tumanach śniegu zjawiali się jeźdźcy i od razu wycofywali się do tyłu. Ukazywali się piesi, przeraźliwie krzyczeli i również znikali.

Wówczas Dzendia wyrwał się z tłumu i zawrócił na prawo. Przeskoczył przez płot, wpadł po szyję w zaspę, pobiegł łąką między krzakami.

— Hura! — rozległo się nie opodal na bagnie.

Cofnął się. Krążył pomiędzy kopami siana, wreszcie wpadł do szopy i ciężko dysząc stał długo na klepisku.

W pobliżu wybuchł pocisk. Dzendia przerażony do ostatnich granic wlaź do sąsiedka i zagrzebał się w kłującym sianie.

Długo tak leżał przysłuchując się odgłosom bitwy we wsi. Strzelanina ucichła, umilkły karabiny maszynowe, nie wybuchały już pociski.

Długo otrząsał z siebie siano stojąc przy drzwiach szopy.

— No, po bohuńczykach nawet śladu nie zostało.

Chwiejąc się wyszedł z szopy. Wypogodziło się. Przez szczeliny w chmurach widać było błękitne niebo. Zostawiając głębokie ślady na śniegu, Dzendia przedarł się przez krzaki na wiejską ulicę. Przez parkan zobaczył, że szeroki plac pełen jest wojska i że nad budynkami powiewają czerwone chorągwie.

— Dzendia! — rozpoznał go żołnierz z jego kompanii. — Czemu łazisz po krzakach?

— Zapędziłem się za petlurowcami... zbłądziłem w zadymce...

— Jazda na wiec! Wzięliśmy dwa tysiące jeńców! Chyba z pięćdziesięciu pułkowników i generałów! Mykoła Oleksandrowicz rozkazał zwolnić szeregowców, a pułkowników będzie sądził Trybunał.

Dzendia widział plac jak przez mgłę. Dwa tysiące jeńców stało bez broni. Byli rozbici, zgnębieni... Petlurowscy oficerowie, zbici w małą grupkę, stali na boku.

Dzendia spojrział na twarze oficerów i zatrzęsł się: patrzył na niego jego wuj, pułkownik Riabucha.

W mroźnym powietrzu migotały gwiazdy jak wielkie, srebrne kule. Oszronione gałęzie zwiisały nad parkanami. Zdawało się, że to obsypane białym kwieciami jabłonie stoją w sadzie. I cicho było jak w zapuszczonym sadzie. Brakowało tylko zapachu jabłoni. Śnieg skrzył się, jakby promieniując z siebie światło.

Dzienia szedł chwiejnym krokiem.

Uciekać! Uciekać! Uciekać!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mineło kilka dni od chwili, gdy Denys Żerdiaha pozostał we wsi. Daleko już odeszli bohuńcy i taraszczańcy, lecz Denysowi wciąż się zdawało, że są tutaj, blisko, obok wsi. Gdyby ktoś w nocy zapukał do okna i od progu dał się słyszeć znajomy głos — otworzyłby drzwi i wcale by się nie zdziwił ujrzawszy Szczorsa lub któregoś z bohuńczyków. Ani przez chwilę nie zapominał o Szczorsie i bohuńczykach. Cokolwiek robił, zawsze myślał o nich — pytał wciąż siebie, czy spodobałoby się to wszystko Mykole Oleksandrowiczowi, jak na jego miejscu postąpiłby inny bohuńczyk. A dużo już we wsi zrobiono. Komitet biedoty wiejskiej umocnił się. Członkowie komitetu odnaleźli stare plany, geometra im dopomógł; tyczkami wyznaczono, gdzie i kto z małorolnych ma na wiosnę przeciągnąć swoją miedzę. Zorganizowano oddział rekwizycyjny złożony z małorolnych, który chodził po zagrodach i zaglądał do sąsiedków bogaczy. Znaleźli dużo pszenicy sprzed dwóch, a nawet trzech lat, zsykali ją do worków, odstawili na kolej, posłali braciom do Moskwy i Piotrogradu.

Właśnie, gdy ruszały ze wsi wozy z pszenicą, wpadło dziesięciu petlurowców. Potem dopiero dowiedziano się, że ledwo żywi wyrwali się bohuńczykom spod Królówki i włóczyli się po polach, szukając własnych oddziałów. Żołnierze oddziału rekwizycyjnego, którzy na wszelki wypadek eskortowali wozy na kolej, wyciągnęli spod worków z pszenicą karabiny i pozwolili zbliżyć się petlurowcom. Pierwszy wystrzelił Denys Żerdiaha, za jego przykładem poszli pozostali.

Poczynając od tego dnia Denys Żerdiaha zarządził, aby w dzień stał na dzwonnicy wartownik, a w nocy, żeby wystawiano posterunki na obu krańcach grobli.

Następnej nocy za wsią zatrzymano wóz: jechał od strony Nieżyna. Na wozie było kilku rannych i woźnica. Zatrzymał ich Demyd Muzyczenko, silny, olbrzymi, barczysty chłop. Demyd zapytał, kim są,

skąd jadą i do jakiej partii należą. Nic mu nie odpowiedzieli; gdy powiedzą, że czerwoni, może okaże się, że on jest petlurowcem (zresztą bardzo wygląda na petlurowca), a powiedzą, że petlurowcy, to on może okazać się czerwony. Wobec tego przyprowadził ich do Rewkomu, gdzie mieścił się również komitet biedoty wiejskiej i sztab oddziału rekwizycyjnego.

Denys ucieszył się zobaczywszy rannych: swoi, towarzysze z pułku Bohuńskiego, wszyscy nawet z tej samej kompanii.

Opowiadali:

— Aż pierze leci z petlurowców. Usiłują się nam wymknąć, ale pierzemy ich i pędzimy na Kijów. Niedługo już pociągną.

Opowiadali również o nowinach pułkowych. Żołd wypłacano, wciąż napływają nowi ochotnicy, tylko odzieży brakuje. A odzież jest bardzo potrzebna, bo nastały silne mrozy. Stepan Mazur taki mocny chłop, a odmroził sobie nogi. Mykoła Ołeksandrowicz Szczorsa dał mu słowo, że będzie jego kumem, i Mazur odjechał do domu.

Sława wyprzedza Szczorsa, pędzi przed nim. Petlurowcy obiecują nagrodę za jego głowę i głowę Bożenki. Ale bohuńczycy strzegą go przyglądając się bacznie każdemu!

Ranni pojechali dalej — do szpitala w Czernihowie. Tego dnia Denys Żerdiaha chodził jakiś nieswój. Wciąż myślał o pułku, o swych towarzyszach, ciągnęło go do nich, gdyby mógł, zerwałby się jak ptak i poleciał za nimi!

Wieczorem zwołał zebranie Rewkomu. Zakomunikował, opierając się na słowach rannych, jak stoją sprawy na froncie, że petlurowcy uciekają w stronę Kijowa i jakby od niechcienia powiedział między innymi:

— Nastały silne mrozy. Nasi towarzysze nie mają ubrań. Miałem przyjaciela... Stepan Mazur. Kum towarzysza Szczorsa. Tak bił petlurowców, że wielu swoich się nie doliczą. I masz tobie — na posterunku odmroził nogi. Do Kijowa daleko! Petlura nie odda miasta bez walki. Może nawet trzeba będzie na dłużej zatrzymać się pod Kijowem... Trzeba zaopatrzyć ludzi w odzież.

Wtedy wstał jednoreki przewodniczący Rewkomu.

— Towarzysze! — powiedział. — Towarzysze i uczciwi obywatele, członkowie Rewkomu! Tydzień temu co u nas było? Nie trzeba wam chyba o tym przypominać. „Warta“ hulała po wsi, znęcała się nad

nami. Przyszedł Szczors z pułkami, pozostawił tutaj swego przedstawiciela, towarzysza Denysa Żerdiabę, i co się stało? Znow nie potrzebuję wam o tym mówić, bo widzieliście wszystko na własne oczy. Jak morze uciszyła się wzburzona wieś, a my jak na okrętach płyniemy ku nowemu życiu. Bogacze nasi — stuknął butem o podłogę — tu siedzą. Niech spróbują się ruszyć, rozgnieciemy ich jak gadzinę. Setki lat siedzieli nam na karkach, więc teraz i my z nimi nie będziemy się cackać. Naszej armii trzeba dopomóc. Pięćdziesiąt kozuchów i pięćdziesiąt par butów — bogacze setki ich mają pochowane w skrzyniach. Uchwalimy i trzeba dać. A jeśli ktoś dorzuci od siebie koszulę lub spodnie, to żołnierz przyjmie to jak podarunek od brata.

Pierwszą noc spędził Denys Żerdiaha u Sysoja Kykcia — przewodniczącego Rewkomu. Ciasno, ani się obrócić. Rozłożył swój kożuszek na ławie. Pod głową umieścił tobolek z rzeczami, karabin miał stale nabity i kładł go obok siebie.

Drugiego wieczora, po zebraniu, gdy już wszyscy się rozeszli, wybierał się znow na noc do Sysoja, ale nie poszedł; członek Rewkomu Maria Purga — znał ją już z pracy: energiczna, pełna zapału, gorąca dziewczyna — została po zebraniu w Rewkomie.

Była niezwykle cicha, zamyślona, siedziała przy ciemnym oknie i wpatrywała się w pustkę nocną. Na szafie migotał kaganek, Denys czytał gazetę przywiezioną z Czernihowa. Za oknem wyła zamieć: przeciągle, jękliwie. Maria długo milczała, a wreszcie powiedziała szczerze i po prostu:

— Chciałam poprosić was do siebie. Mam chatę z alkierzem. Boję się sama być w chacie. Od czasu jak ojca zabili petlurowcy... w nocy... boję się, nie mogę usnąć! Wciąż mi się zdaje, że ojciec chodzi po chacie. Wiem, że to głupstwa — nikogo nie ma, ale... nie mogę tak dłużej. Będę spała w izbie, a wy w alkierzu. Po co męczyć się na ławie u Kykcia?

Tej nocy Denys spał w chacie Marii Purgi. Nasłuchiwał uważnie. Słuchał, jak jęczała zamieć za ścianą, jak huczał różnymi głosami wiatr w kominie. Niekiedy zdawało się, że w jękach zawiei słychać głosy ludzkie: że ktoś ostrożnie chodzi pod oknem. Wtedy wstawał z łóżka, brał karabin, siadał pod oknem i wpatrywał się w szarą, mglistą ciemność nocy. Wichura miotła się po ulicy, zwały śniegu

leżały za oknem. Nie było widać nic i nikogo. Kładł się znów i próbował zasnąć.

Ale nie mógł. W sąsiedniej izbie Maria nie spała także. Wśród nocy, gdy już prawie zasypiał, wydawało mu się, że Maria cichutko zawołała nań:

— Denysiel

Wstał, podszedł boso do drzwi, otworzył je i nasłuchiwał. Słuchał i patrzył — przez szczytowe okno wlewał się do chaty strumień zielonkawego, księżycowego światła. Maria leżała na podłodze okryta białą, zgrzebną płachtą. Oddychała równo i spokojnie, tak, jak się oddycha tylko w głębokim śnie.

Wrócił do swego łóżka. Było mu trochę wstyd. Nie wiedział dlaczego, ale się wstydził. Lecz jednocześnie poczuł uspokojenie. Przy wyciu zawiei i pieśni wiatru w kominie wkrótce on też usnął.

Z rana obudził się rześki i wypoczęty. Zdawało mu się, że od dawna już tak dobrze i wygodnie nie spał w cieple i zaciszu. Nawet lepiej niż w domu. W domu nachodziły go różne myśli, w domu wciąż mu jakby czegoś brakło, dokuczwały mu wieczne roztrząsania ojca o ziemi i bogactwie, chciał odetchnąć swobodniej, szerzej, całą piersią.

Tu zaś, w obcej chacie, spał spokojnie. Wszystko przecie było takie proste: z rana obudzi się, pójdzie do Rewkomu, wyruszą z Sysojem Kykiem popatrzeć na pole, na zagony, obliczyć na oko, ile łąnów trzeba będzie zasiać na wiosnę, któremu z małorolnych należy dopomóc. Poza tym Denys postanowił po obiedzie zebrać młodzież i porozmawiać z nią, jak długo jeszcze ma zamiar siedzieć w chałupach i wypalać łuczywo na wieczornicach... Znajdzie się i dla nich robota. Denys zna kilka pieśni i sztukę, którą wystawiał jego pułk... Zaczyną od tego, gdy zaś chłopcy i dziewczęta utworzą zgrany zespół, będzie można zrobić wiele innych rzeczy.

Długo leżał obmyślając szczegółowo plan dnia.

A potem... jeszcze trochę wyteńczyć siły, jeszcze trochę przyłożyć się, a we wsi umocni się władza radziecka — wtedy będzie można wrócić do pułku. Ach, gdyby tak dopędzić ich jeszcze przed Kijowem. Ojciec taki popędliwy, pokłócił się z synem w Nieżynie, ale nim dojdzie do Kijowa — ochłonie, trzeba go będzie tam odszukać. Ale jeżeli nie zostanie go w Kijowie — trudno będzie szukać gdzie indziej. I w Kijowie do pułków napłynęło mnóstwo nowych ludzi, pułki ulegną przekształceniu — jakże wtedy szukać swoich!

Ale... co to? Wydało mu się, że słyszy w sąsiedniej izbie szcęk karabinu. Może mu się tylko zdaje...

Wyskoczył pośpiesznie z łóżka. Podszedł do drzwi i zajrzał do izby.

Nie, nie pomylił się Maria siedziała przy stole i trzymała w rękach karabin.

— Mario! — zawołał niezbyt głośno, a ona drgnęła i położyła karabin na ławę. Twarz jej poczerwieniała.

— Ja... ja... — i nie była w stanie powiedzieć, co robiła, czy też miała zamiar robić.

— Co robiłaś, Mario?

— Chciałam — powiedziała szczerze i po prostu — zrozumieć, jak strzela się z karabinu. Różne rzeczy mogą się przydarzyć. Czyż nie mam rąk? Potrafię chyba! Wszystko potrafię! Więc po prostu chciałam... nauczyć się strzelać.

— A gdyby tak — pokiwał z wyrzutem głową — gdyby karabin wystrzelił i trafił mnie prosto w serce?

— Nie — odpowiedziała — nie trafiłby w serce, bo lufę skierowałam... o tam, w kącie chaty...

Usiadł więc obok niej i zaczął pokazywać, jak należy ładować, jak celować, a ona siedziała przy nim taka bliska, swoja.

Denys Żerdiaha wrócił z zebrania zadowolony. Gdy wystąpił przewodniczący Rewkomu i zaproponował zbiórkę kozuchów i butów dla bohuńczyków, a uroczysta zgoda była odpowiedzią na jego słowa — Denys odczuł, jak mocno są zespoleni ze sobą biedacy wiejscy. Władza radziecka na wsi mocno stanęła na nogach, wyrobnicy i mało-rolni poczuli swoją siłę i już wiedzieli, jak jej mają użyć.

Ale wraz z zadowoleniem zjawił się także strach. Zasiały go słowa rannych bohuńczyków, którzy znów przejeżdżali przez wieś do Czernihowa. Z ich opowiadania wynikało, że wojska czerwone coraz bliżej podchodzą pod Kijów, coraz mocniej zaciskają pierścień dokoła petlurowców. Denysowi Żerdiasze było przykro. Przeszedł razem z bohuńczykami kawał drogi. Teraz w tych dniach decydujących walk trzeba być tam, pod Kijowem, zająć w pułku swe miejsce... Przecież Szczors żegnając się rozkazał mu zorganizować we wsi władzę radziecką, zostać tam kilka dni, a potem dopędzić pułk. Władza we wsi jest zorganizowana, Denys może śmiało odejść.

Ale czy rozkaz Szczorsa został całkowicie wykonany? Czy można zaręczyć, że i nadal wszystko we wsi będzie szło dobrze, że nie przytrafi się nic złego? Przecież petlurowcy próbowali jednak odbić zboże, które wieziono ze wsi, żeby dopomóc głodującym. Mogą zaskoczyć ich w nocy. Co wtedy powie Szczors? Pokiwa głową i rzuci gniewnie: „Więc to tak, Denysie Żerdiaho, bronzisz władzy radzieckiej? Tak wykonujesz zadanie bojowe? My walczyliśmy na jednym odcinku frontu, a tobie powierzono inny odcinek: polecono ci zorganizować robotę na tyłach, ale tyś nic nie zrobił i uciekł“.

Maria przygotowała kolację. W chacie było ciepło, podłoga wysłana słomą. Jasnym, niebieskim płomykiem świecił kaganek. Maria była przyjazna, radosna, szczera.

Denys nie jadł kolacji, poszedł do alkierza i po prostu zwałił się na łóżko, schował głowę w poduszki i długo tak leżał bez myśli, bez ruchu. Wciąż stały mu przed oczami zaśnieżone przestrzenie stepowe. A po tych przestrzeniach sunęły pułki. Żołnierze mijali go, nie mógł dojrzeć ich twarzy, lecz wiedział, że to idą jego towarzysze, bohaterzy, że prowadzi ich Mykoła Szczors i że nad pułkami powiewają czerwone sztandary.

— Nie będę jadł wieczerzy — powiedział do Marii, wysuwając głowę spod poduszek. — Nie mogę jeść!

Alkierz wydał mu się mały, ciasny, mroczny. Na twarz Marii padało światło z izby, oczy miała duże, promienne.

— Nie mogę jeść! — powtórzył siadając na łóżku, a oczy Marii przybliżyły się doń. — Miałem nadzieję, że wkrótce powrócę do pułku. Opowiadali dziś nasi, że Szczors zamierza uderzyć na Kijów. Cały aż płonę, przecież tam powinienem być! A muszę siedzieć tutaj. Ciężko mi. Radośnie i ciężko. Czy zresztą potrafię to wypowiedzieć?

Maria zgasiła kaganek. Denys nasłuchiwał dźwięków nocy: trzeszczała i szeleściła słoma na podłodze, skrobała mysz pod piecem, wiatr gwizdał w okiennicach.

Było już późno, ale nie mógł usnąć.

Maria także nie spała. Posłała sobie po ciemku, ale nie położyła się od razu. Domyślił się, że siedzi przy stole opierając głowę na rękę

kach... Westchnęła ciężko... i znów cisza nastąpiła w chacie — twarda i napięta.

Potem Maria położyła się, ale jakoś nie mogła usnąć. Denys odgadł, że jest równie jak on niespokojna, wciąż to kładła, to znowu podnosiła głowę z poduszki. Była bardzo zdenerwowana — wstała z postania, podeszła do półki z naczyniami, zaczerpnęła kubkiem zimnej wody, wypila parę łyków.

Po ulicy ktoś przeszedł śpiewając piosenkę. Słów nie można było rozróżnić, ale głos był mocny, młody i dźwięczny. Śpiewak poszedł do lasku, za nim powiał wiatr i znów dokoła nastąpiła cisza. Nawet mysz ucichła pod piecem, tylko żdźbła słomy odmarzając trzeszczały na podłodze.

Tak minęło sporo czasu. Denysowi płonęła głowa, w łóżku było mu gorąco, poduszka wydawała się twarda. Wciąż przepływały przez głowę nie kończące się myśli. Chętnie zawołałby Marię. W tej chwili mógłby jej dużo powiedzieć... Opowiedziałby o tym, co go ciągnie na front, do swego oddziału, do pułku Bohuńskiego, a także o tym, co go trzyma na wsi.

Posłyszał wśród ciszy głos:

— Denysie!

Zataczając się jak pijany wszedł do izby. Zatrzymał się na progu i stał wpatrując się w ciemność. Maria podeszła doń, objęła go rękami za szyję. Denys poczuł, że dziewczyna płacze. Mokre policzki dotknęły jego twarzy.

— Maryjko, Maryjko! — nic nie pojmował. — Co ci jest? Czemu płaczesz? Dlaczego?

— Chciałam ci coś powiedzieć — zaczęła nieporadnie. — Gdy zabili ojca, zostałam samiuteńka. Strasznie było mi tak żyć. Nie mam nikogo, nikogo na całym świecie. Ale teraz zrozumiałam...

Plakała i śmiała się równocześnie. Wszystko stało się tak niespodzianie, nic nie zauważyła i nagle wszystko się odmieniło.

— Nie porzucisz mnie? Nigdzie nie pójdziesz? — tuliła się do niego. — Mój dobry, mój kochany! Mój jedyny!

Świerszcz za piecem nucił swą nie kończącą się piosenkę. Szeleściła słoma na podłodze. Za oknem była noc. Cicho było dokoła. I Denys pomyślał, że Maria to dziwna dziewczyna. Już mu nie w głowie było spanie.

Z rana Denys i Maria milczeli. W nocy powiedzieli sobie tak dużo

i nawzajem otworzyli przed sobą serca tak szczerze, że teraz nie trzeba było mówić. I zresztą nie było o czym. Maria patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których malowała się cała jej dusza; każdy jej ruch przepojony był miłością, każda myśl — jemu poświęcona; on był dla niej istotą najdroższą, najlepszą na świecie. Ostrożnie stąpała po słomie, jakby w obawie, by nie spłoszyć ciszy, która narodziła się w nocy i nie znikala, choć już nastał dzień. On zaś zdziwił się tylko, że choć jego droga rozpoczęła się tak daleko od jej drogi, to jednak skrzyżowały się ich szlaki i dwa serca połączyły się jednym węzłem.

Poszedł do Rewkomu, a ona odprowadziła go do przelazu w płocie, wyszła niby to popatrzeć na podwórze, wyjrzeć na ulicę, a naprawdę... naprawdę chciała być z nim jak najdłużej. I długo stała na progu, patrzyła, jak on idzie środkiem ulicy, z szeroko rozrzuconymi polami kozuska, a dokoła niego słońce migocę na wierzchołkach zasp i na iskrzącej się, ubitej przez sanie drodze. Zaspiewała dźwięcznym, metalicznym głosem:

*Tam przy grobli szumią wierzy,
Które posadziłam...*

Przerwała śpiew — pomyślała chwilę... Zakończyła:

*Nie ma, nie ma tego chłopca,
Którego lubiłam.
Nie ma go i już nie będzie,
Pojechał za Desnę.
Czeka, czeka nań dziewczyna,
Czeka drugą wiosnę..*

Roześmiała się, ale nagle zrobiło jej się smutno. Piosenka przypominała wiele rzeczy. Zza Desny przyszedł on — jej ukochany. Iluż ludzi przychodzi zza Desny! Przychodzą i znów idą dalej. Odchodzą za Desnę i Dniepr.

Przed wieczorem Denys wrócił do domu.

Do domu! — pomyślała Maria, gdy posłyszała na ulicy jego kroki. — Do domu... on idzie do domu.

Wszedł i zatrzymał się w progu, niby po to, aby oczyścić miotłą buty ze śniegu. Ale naprawdę to kilkakrotnie w ciągu tego dnia wyobrażał sobie, jak to on wejdzie do chaty, zastanawiał się, jak przywita go Maria. I myślał także, że musi jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Ale czy ona go zrozumie?

Usiadł przy stole.

— Kozuszki i buty już zebrali! Jutro trzeba będzie je odesłać... Dziś uzyskaliśmy telefoniczne połączenie z bohuńczykami. Naciera ją na Kijów. E-ech, gdyby tak!... — Podeszedł do okna. — Nic z tego nie będzie — zakończył jakąś swą myśl. — Nic się nie da zrobić. Nic!

— Dlaczego? — zapytała Maria. Domyślała się, dlaczego nic nie da się zrobić.

— Roboty na wsi jeszcze jest dużo — odpowiedział swym myśłom.

— Właśnie... zresztą nie tyle robota... już są ludzie, których tu można zostawić. Przewodniczący sam mnie wysłał, wprost wypędza ze wsi, mówi, żebym jechał dopomóc bohuńczykom. Władza we wsi jest mocna.

Zamilkł, Maria także milczała.

— A zresztą — podeszedł do niej bliżej — zresztą... jakże ja ciebie zostawię?

Ale i na to nic mu nie odpowiedziała.

Nocą pobiegł do Rewkomu. Trzeba było wyznaczyć, kto ma odwieźć kozuchy i buty do Szczorsa.

Gdy wrócił do domu, Maria nie spała.

— Już się uporałem! — powiedział wesoło. — Wozy wyruszą po północy. Lepiej przeskoczyć przez las w nocy, gdy wszystkie psy śpią.

— Już wszystko przygotowałam! — odpowiedziała Maria nie jemu, lecz własnym myśłom.

Deńs zobaczył — wskazała mu zresztą oczami — że na ławie leży tobolek.

Zajrzał do niego — kilka koszul, dwa bochenki chleba i słonina zawinięta w gazetę.

— Nie żartuj — powiedział podchodząc do niej — przecież ci nic nie mówiłem. Czy prosiłem się o to? Nawet nie myślałem o wyjeździe!

— Długo myślałam nad tym — odpowiedziała Maria. — Musisz jechać. Po co masz tu siedzieć, gdy ziemia wokół płonie? Wiem, wiem, jak ci tu ciężko! Nie, źle mówię! Masz dużo radości w sobie, ale zdążymy osiągnąć wszystko. Jeszcze tyle szczęśliwych lat przed nami!

Siedzieć w domu wtedy, gdy na świecie rewolucja, nie można. Dlaczego oni zabili mego ojca? Fasy z nich drzeć za to, to jeszcze mało! I czy tylko mego ojca? Ile sierot zostało!

Usiadła przy stole i oparła głowę na rękach — zapewne płakała. Miał wielką ochotę podejść do niej, utulić, powiedzieć, że pójdzie, że pojedzie, dopędzi swój pułk, ale jeszcze nie dziś, nie jutro, a może i nie pojutrze. Pojedzie, ale będzie myślał o niej i wróci do wsi, gdy tylko skończy się wojna. Chciał powiedzieć jej jeszcze dużo ciepłych, dobrych i kojących słów...

— Idź! — podniosła głowę i zobaczył, że oczy ma suche, wcale nie płakała. Tylko ogień płonął w jej oczach. — Idź! — powiedziała jeszcze raz, ale już nieco głośniej. — Mówisz, że trzeba wyjechać po północy — mówiła chodząc po izbie. — Żeby tylko nie zapomnieć o niczym!

Denys pojął, że to co się stało poprzednio — cudowne godziny minionej nocy — jest niczym w porównaniu z chwilą obecną. I to, co jej mówił, jest niczym wobec tego, co jej należy powiedzieć. Choć nawet mówić nie trzeba, bo wszystko jest zrozumiałe i bez słów. Ona powinna wyczuć, powinna wiedzieć, jak wielkie uczucie w nim płonie.

— Mario — zaczął — gdybyś wiedziała, jak często będę cię wspominał... Całe życie spędziłem w ojcowskiej chacie i takich chwil nie przeżyłem. Wierz mi, że choć dziś w nocy opuszczę wieś i nie wiem, jak długo wypadnie mi iść, zawsze będę myślał o tobie... wciąż będziesz mi stać przed oczami..

— Nie stać, ale siedzieć... — roześmiała się wesoło i dźwięcznie.

— Coś ty powiedziała? — wydało mu się, że ona kpi sobie z niego.

— To, coś słyszała... Nie będę stać, lecz siedzieć lub też iść..

— To ty..

Chata wydała mu się ogromna, nieskończenie szeroka. A w kącie, w pobliżu półki, stała Maria. Warkocze oplatają jej głowę, oczy ma promienne, śmiejącą się twarz. Gdy wyszła z kąta i podeszła do stołu, do Denysa, wydało mu się, że przychodzi z bardzo daleka i że przebyła długą drogę. Maria podchodziła coraz bliżej; zniknął splot warkoczy, a rząd czerwonych koralików spływał w dół i spadał jej na ramiona. Tylko oczy świeciły przed nim i spozierały w głąb niego, a oczy te były jak gorejący płomień.

— Czyś ty myślał, że puszczę cię samego? Po co mam siedzieć w domu? Pójdziemy razem! Cóż będą robiła w domu? A tam... Tam znajdzie się robota — zakończyła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Brzegiem Desny włókł się krętą, wąską ścieżką Dzendia. Zmierzchało się. Śnieg leżący na brzegach rzeki miał odcień czerwony. Dzendia omijał wieś i szedł manowcami, kierując się w stronę siwiejących w oddali gór. Przedzierał się przez krzaki. Często przystawał i rozglądał się dokoła. Cicha, skuta lodem, przyprószona śniegiem leżała Desna; wierzby pochylały się nad zamarzlą ziemią.

Wieczorem zauważył, że wlecze się w kierunku Desny jeszcze jeden człowiek. Na pokrytych śniegiem przestrzeniach człowiek ten wydawał się czarną, wysoką tyką. Gonił za nim po śniegu długi, granatowy cień. Dzendia przyspieszył kroku, aby uciec przed obcym. Wtedy nieznajomy skierował się na przełaj po śniegu do Dzendi. Dzendia puścił się biegiem, to samo uczynił i nieznajomy — gonił go.

Długo tak biegli. — Dzendia brzegiem Desny, nieznajomy wyżej od niego — stepem. Zmierzchało się i obaj przypominali teraz dwa drapieżne ptaki, które płyną po czerwonym niebie, powoli zbliżając się do siebie. Wreszcie Dzendia zatrzymał się. Od szybkiego marszu zabrakło mu tchu. Stał chwiejąc się na swoich długich nogach i tykał kłujący śnieg, aby ochłodzić płonące ciało. Nieznajomy również przystanął i bacznie go obserwował. Stali tak długo, a niebo wciąż ciemniało, najpierw przybrało kolor purpurowy, potem fioletowy. Ze wschodu szybko nadchodził mroźny wieczór, podpierając na horyzoncie ciężkie, czarne, spiętrzone chmury różowymi słupami. Nadchodziła noc, nad Desną powiał wiaterek, a oni wciąż stali bojąc się poruszyć.

Wreszcie Dzendia usiadł. Całym jego ciałem wstrząsały dreszcze, które spowodował nie tylko wieczorny wiatr, lecz i strach. Czuł, że wraz ze zbliżaniem się nocy zbliża się coś jeszcze straszniejszego od niej, zbliża się to, przed czym dotąd tak długo i z powodzeniem uciekał. Pomyślał, że gdy zrobi się ciemno, będzie mógł uciec kryjąc się w nocnej pomroce. Ale był tchórzliwy, wystraszony i nawet nie chciał myśleć o tym, że miałby iść ciemną nocą nie widząc

przed sobą drogi. Zdawało mu się, że gdy tylko się ruszy, serce przestanie mu bić, zabije go strach.

Ruszył się jednak. Szedł znów brzegiem Desny, a za nim ruszył przez step nieznajomy. Minęła długa godzina. Pod Dzendią uginały się nogi. Często przystawał, nie tyle ze zmęczenia, ile ze strachu. Im dalej szedł, tym ciemniej robiło się dokoła i wreszcie włókł się w gęstych ciemnościach nocnych, nie widząc, dokąd idzie. Zdawało mu się, że tuż za nim słychać ostrożne kroki, a nawet ciężki oddech. Nieznajomy dopędza go, lada chwila jego zimna ręka dosięgnie karku Dzendi. Dzendia biegnął, padał, podnosił się, zszedł na lód, zrobił tam parę okrażeń i wrócił na brzeg. W ciemnościach wyraźnie rysowały się cienie łoża i urwisko.

— Stój! — zawołał nieznajomy, który leżał za pagórkiem i stamtąd śledził poruszenia Dzendi. — Stój, bo strzelam!

Nieznajomy podszedł całkiem blisko.

— Dowhalewicz! — wykrzyknął radośnie Dzendia. Serce mocniej zabiło mu w piersi.

— Dzendia!?

Długo siedzieli obaj na urwisku nad Desną. Dowhalewicz opowiadał, jak to zorganizował oddział, naprzyjmował kułackich synków, popowiczów i różnych łotrzyków i uwijał się z nimi na tyłach Szczorsa, ale podczas drugiej operacji przyłapali go, rozbili cały oddział i oto już drugi dzień, bojąc się spotkania z ludźmi, omijając wsie, piechotą przedziera się do Kijowa.

— Ale gdym ciebie zobaczył, postanowiłem zmierzyć się z tobą. Oko w oko! Jeść mi się chce. Nie jadłem od kilku dni. Gdybyś był obcy — zarznąłbym cię... i ogryzł..

Nocą powlekli się brzegiem Desny do Kijowa, jak dwa głodne, ale tchórzliwe wilki.

Kijów oszołomił Dzendię. Późnym wieczorem przez Darnicę wszedł z Dowhalewiczem do miasta. Kijów powitał ich — jak przystoi wielkiemu miastu — gwarem, zgiełkiem, wieczornymi światłami, różnobarwnymi reklamami. Po ciszy łąk nad Desną, po tej zdradliwej nocy, gdy szli obaj z Dowhalewiczem chowając się po krzakach, zdumiała ich muzyka miasta. Nawet zwykłe dzwonki tramwajów wydały im się melodyjne, rytmiczne, harmonijne i co najważniejsze — bezpieczne.

Po ulicach chodzili oficerowie petlurowscy, krzykliwe afisze zawiadamiały o benefisach, gościnnych występach, koncertach znakomitych artystów, przed „Klubem Kupieckim“ stały rzędem dorożki, kina pełne były petlurowców. W „Nowym Świecie“ szedł film pt. „Jama“ i ściany trzęsły się od krzyków, w kinie Szancera wyświetlano „Scherzo szatana“, w teatrze Bergoniego — „Śmierć nawet ją zwyciężyła“. O froncie, zdawało się, wcale tu nie myślano.

Latarnie przypominające księżyc rozlewały na ulicach mleczne światło. Szypiały sanki dorożkarzy. Miasto wrzało. I Dzendia radośnie chodził po ulicach, wdychając, niby wonne kadzidło, spaliny samochodów, koński pot, perfumy umalowanych kobiet.

Z wielkim trudem dostał pokój w hotelu na placu Dumy. Spędził w nim pół godziny i znów pociągnęło go do ludzi. Wyszedł na miasto. Chciał bez przerwy słyszeć gwar miejski, muzykę, śpiew. Obejrzał w cyrku Cinisellego mister Erosa i liliputa Lili. Jękliwie i tęsknie przygrywała orkiestra, błazen cyrkowy Jacques wykrzywił w przeraźliwym, diabolicznym uśmiechu twarz pomalowaną w czerwone i niebieskie smugi, cyrk grzmiał wybuchami śmiechu, było ludno i wesoło.

Z rana, gdy wyszedł na miasto, nie wydało mu się ono tak wesołe jak wczoraj, na pierwszy rzut oka. Kreszczatik zasnuwał ciemny, gryzący dym palonego drzewa.

Z okien sterczały i splatały się, jak sznury na masztach, cienkie rury żelaznych piecyków. Miasto było bez opału. Kartki na murach, parkanach, słupach telegraficznych wymownie informowały o braku opału w mieście:

„ZA SĄG DRZEWA WYNAJME POKÓJ...“

„ZA SĄG DRZEWA NAUCZĘ ANGIELSKIEGO...“

„ZA SĄG DRZEWA...“

Miasto umierało z zimna. Zagłębienie Donieckie było odcięte.

Brakło także chleba na targu, gdyż bano się przywozić go ze wsi, bo i tak wszystko zabiorą petlurowcy. Przed sklepami stały kolejki. Robotnikom fabryk, które obecnie były nieczynne, nic nie dawano. Robotnicy ci zostali skazani przez petlurowców na głód, chłód i przesładowanie.

Miasto przypominało pogorzelnisko lub tonący okręt. Ludzie spieszyli się, biegali, jakby groziła ulewa lub jak gdyby nad ich głową zawieszono ciężki walec, który lada chwila spadnie.

Najludniej było na ulicy Nikołajewskiej i na Kreszczatiku, obok kawiarni Semadeniego. Tu handlowano frankami, markami, nićmi, drzewem i duszami ludzkimi.

Często ulicę otaczali siczowcy i rewidowali wszystkich przechodniów. Niespokojnie było w mieście. Krzykliwe afisze przypominały krwawe rany na wynędzniałym, anemicznym ciele.

„OSTATNI KONCERT PIANISTY GAMALEI...”

Dzenda udał się do redakcji gazety eserowców „Borba”*. Źruciono się doń. Rozpytywano. Przybiegli reporterzy z „Narodnej Woli”**. Kłamał i zmyślał naprzód sam, a potem już zmyślali sprytni reporterzy, on zaś tylko przytakiwał i podpisywał korespondencje i felietony. Potem poszedł do KC eserowców. Wszyscy członkowie KC byli w rozjazdach. Urzędowało tam tylko kilka pańienek. Rozmawiały o cukrze i o drzewie. Tu na miejscu zamieniały się mieszkaniami. Dzenda odnalazł swego starego przyjaciela z czasów gimnazjalnych, obecnie kierownika działu administracyjno-gospodarczego w KC eserowców — Makara Stebelskiego — i długo z nim rozmawiał.

— Nasza polityka zmienia się co dzień — mówił Stebelski. — Skoro wsiedliśmy na eserowską lokomotywę, musimy jechać do stacji końcowej. Popieraliśmy związki zawodowe, dopóki nie przeszły do akcji przeciwko Dyrektorii. Teraz sprawa wygląda inaczej. Zerwaliśmy ze związkami zawodowymi. Rozpędzają tam ludzi, aresztują. Obecnie wszyscy członkowie rozjechali się w teren. Głównym naszym zadaniem jest zorganizowanie Kongresu Pracy. Wszystko się wali, jedyna nadzieja — to Kongres. Trzeba zapewnić bezpieczeństwo potrzebnym nam ludziom.

Wieczorem poszczyściło się Dzendi i przyłapał sekretarza KC, Zhubę. Ten długo wypytywał Dzendę o zdarzenia w Czernihowie, o nastroje czerwonych. Dzenda opowiedział o wszystkim, co widział w oddziałach Szczorsa. Członek KC kręcił z niezadowolaniem głową, zdejmował i zakładał niebieskie okulary..

— Przez cały czas na mityngach — mówił głosem, w którym drgało poczucie winy. — Oczy mnie boją od światła. Jestem chory!

* Borba — Walka.

** Narodnaja Wola — Wola Ludu.

Wydało się Dzendi, że sekretarz nie boi się światła, ale chce ukryć swe oczy przed ludźmi.

— Pan, panie Dzendia — mówił Zhuba — otrzyma jutro mandat na Kongres Pracy. Jako delegat Czernichowszczyzny. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić tam wyborów. I zresztą jakie tam wybory! Pan, człowiek bywały, wie, co trzeba powiedzieć. Czy dobrze mówię? He! he! he!... Na Kongres zjeżdżają się ludzie stateczni z całej Ukrainy. Niech pan pomyśli, może wypadnie i panu powiedzieć słówko. Powinniśmy stworzyć odpowiednią atmosferę. Jak najwięcej uczucia, jak najwięcej nieprzejednania. W chwili obecnej uratować sytuację może tylko Dyrektorja. W tym duchu niech pan prowadzi sprawę. Zresztą chyba nie muszę pana pouczać? Sam pan wszystko wie. A po Kongresie można będzie pana wysłać na robotę.

Wieczorem Dzendia poszedł do „Klubu Kupieckiego“. Odbywał się tam koncert wybitnego pianisty Gamalei, który grał utwory Liszta. Biletów na parter już nie było, ale dostał się na balkon. Siedział pomiędzy nieznanymi, gadatliwymi kobietami. I one mówiły o opale, cukrze, o tym, co też będzie jutro. Znudziło go to ostatecznie.

Dopiero gdy wyszedł z „Klubu Kupieckiego“, odetchnął z ulgą. Kreszczatik był taki cichy, spokojny, pusty. Srebrzyły się przyprószone śniegiem kasztany.

Niech go diabli porwą — myślał Dzendia. — Zrobię tak, jak pan kazał, panie Zhuba! A co potem, zobaczymy. Oho, jeszcze poznacie wy Dzendię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wieczorem Żerdiaha wybrał się do miasta. Pułk przerzucono do Kijowa. Zawrócą teraz czy też pójdą dalej? Tymczasem wszyscy pomknęli do miasta — nagrabili mnóstwo rzeczy, więc korciło ich, żeby wypić, pobawić się, choćby nawet po raz ostatni. Poszedł również Żerdiaha.

Pułk rozkwaterował się na Peczersku. Żerdiaha szedł więc do miasta ulicą Aleksandrowską i wstąpił po drodze do ogrodów położonych nad Dnieprem.

W Ogrodzie Cesarskim z daleka spostrzegł zgromadzony tłum. W jednym z zakątków parku ludzie utworzyli koło, jak gdyby przy-

glądając się jakiemś widowisku. Więc i on zawrócił, podszedł i stanął za tłumem.

Tłum stał w milczeniu bez słowa.

Teatr, czy co? — pomyślał Żerdiaha. — Żeby choć jednym okiem rzucić.

Wyciągnął głowę usiłując coś dojrzeć. Przeszkadzał mu szeroki kark. Wreszcie udało mu się bokiem wcisnąć w środek tłumu.

Na świeżo spadłym śniegu leżało kilku zabitych. Leżeli jakby nasłuchując szmeru ziemi, milczący, nieruchomi.

— To bolszewicy! — powiedziała gruba, dostatnio ubrana kobieta. — Wczoraj znów aresztowali ich podczas zebrania.

— To nasi ludzie! Przecież to są robotnicy! — powiedział ciemnonolicy, szczupły człowiek z ostrą bródką.

— Dla jednych nasi, a dla innych nie... — powiedziała kobieta.

— Ach, ty, podoba ci się niebieski kolor?!* — zawrzał gniewem człowiek z ostrą bródką.

— Nie chodzi o kolor, ale o twarz...

— Spójrz na własną twarz!

Żywi zaczęli swary w obliczu zmarłych.

— Zasłaniają się imieniem ludu pracującego — szeptał ktoś obok — a rządzą generałowie, kułacy, oficerowie. Taka jest ta twoja Dyrektorja.

— Dziś w nocy przyprowadzili ich tu i pozabijali pchnięciem bagnetu w plecy. Władza...

— Co to za zgromadzenie? — podszedł jakiś wojskowy. — Rozejść się!

Jeszcze bardziej zaniepokojony Syła Żerdiaha wyszedł z parku i podążył dalej do miasta.

Kreszczatik tętnił życiem. Zapalały się pierwsze latarnie. Pokrzykiwali dorożkarze, skrzypiały sanki na śniegu pokrywającym ulice. Z winiarni przy placu Dumy płynęły pijackie śpiewy i beładna muzyka. Na rogu ulicy Kościelnej przed afiszem stał pijak i mówiąc coś do siebie, śmiesznie kręcił się w miejscu, wymachując rękami jak ma-

* Niebieski kolor — kolor nacjonalistów ukraińskich, petlurowców.

rynarz podczas sztormu. Gmach Rady Miejskiej otoczony był przez oddział konnych siczowców. Miasto szalało pijane, zrujnowane, główna ulica pełna była gwaru.

I Żerdiaha, zdjęty rozpaczą, zapragnął złączyć się z tym pijanym tłumem, zapomnieć o wszystkim. Wciąż jeszcze miał w pamięci trupy, które widział przed chwilą w parku.

Ale wreszcie przestał o nich myśleć. Ulica całkowicie pochłonęła jego uwagę, był jak otumaniony, siedł bezwolnie, rosła w nim niepowstrzymana chęć, by upić się pijackim szalem ulicy, być pijanym jak ona. A było to takie proste i łatwe: trzeba tylko wejść do jednej z winiarni, które nawoływały gości światłem i muzyką. Miał w kieszeni dwa tysiące grzywien, wystarczy mu pieniędzy na całotygodniową zabawę.

W ostatnich czasach nie znał wartości pieniędzy. Wszystko miał za darmo. Jadł za darmo, ubierał się za darmo, ekspedycje karne wyruszały co dzień i przywoziły wszystko, czego tylko dusza zapragnie... Dwa tysiące, które miał w kieszeni, wydawały mu się skarbem.

Na rogu Proreznej zatrzymał się. W górę posuwał się oblepiony pasażerami tramwaj. Ulica przypominała wąski korytarz obstawiony z obu stron wysokimi parkanami — ścianami budynków. Tuż na rogu była winiarnia.

Pierwsze wrażenie, gdy zszedł po schodkach do lokalu, było takie, jak gdyby znów znalazł się na parowcu, którym ongi płynął po Desnie. W kąciку na podwyższeniu głośno grała orkiestra. Na sali stało dużo stolików. Pomiedzy nimi kręciły się kelnerki w białych fartuszkach. Przy stolikach siedziały pary, obejmując się, tuląc się do siebie, popijając wino. Pito i śpiewano...

Żerdiaha usiadł przy osobnym stoliku. Podbiegła doń kelnerka.

— Wódka, wino, zakąski?

Ser, kielbasa, szynka, jajka — powróciwszy z bufetu do stolika oznajmiła Żerdiasze. — Co pan jeszcze każe?... Wino, koniak czy piwo?

Szczebiotka — pomyślał Żerdiaha.

— Wódki. Zwyklej.

Nalał sobie pełną szklanekę. Szkło pokryło się zimną rosą. Wypił i poczuł, jak wódka spłynęła mu gorącym strumieniem do żołądka. Grzała i podniecała. Muzyka uspokajała go.

Oto jak wygląda życie. — Zerdiaha oparł się plecami o krzesło. — Jak są pieniądze — ma się wszystko do wyboru. Nie ma pieniędzy — to będziesz miał ogon śledzia i dziurkę z obarżanką na zakąskę. Pan Zerdiaha może dziś i jutro się bawić, może jeść i pić, bo ma ni mniej, ni więcej, tylko dwa tysiące grzywien, a za te pieniądze można długo żyć.

Myśli jego popłynęły jak okręty po szerokim morzu. Uderzy pierwsza fala i odrobinę zachwieje okrętem, uderzy druga — i znów go poruszy, ale mimo to okręt płynie wciąż naprzód i naprzód, hej, a przed nim bezkresne morze!

Rozejrzał się po sali. Najwięcej było wojskowych. Kobiety umalowane wyglądały jak lalki; takie lalki widywał w sklepach w Czernihowie. Orkiestra grała wesołe melodie. Przez okno w kącie winiarni widać było nogi ludzi idących ulicą. Nogi te szły bez przerwy.

— Jeżeli pan rozkaże, orkiestra może wykonać piosenkę na pańskie zamówienie — szczebiotła mu do ucha kelnerka.

— Niech zagrają naszą! — rozpędził się Zerdiaha. — Niech zagrają „Oj, na łące, hej, przy brzozie“.

I melodia pieśni, podchwycona przez dziesiątki pijanych głosów, nappełniła winiarnię.

— Śpiewajcie! — ryczał. — Dziś Zerdiaha się bawi! Jak bal to bal, lej więcej kwasu...

— Kwasu... — przeciągle potoczyło się jak w próżnej beczce po winiarni.

— Co pan jeszcze każe zagrać? — zapytywał muzykant o wyglądzie Cygana.

— Zagraj do tańca.

Przytupywał i w winiarni zrobiło się jeszcze głośniejsze.

Płacił kelnerce, płacił muzykantom, powiewał plikiem banknotów trzymany w ręce, zdawało mu się, że jest na drodze do najwyższego szczęścia. Myśli pędziły bezładnie, zjawiały się, znikwały, ale jedna myśl nie opuszczała go ani na chwilę.

Bawić się! Pić do końca, do ostatka... Bo jeśli nie będę pił, to zginę tu, na miejscu!

Siedział i śpiewał z orkiestrą, a przy pieśniach, przy wielu pieśniach minęło wiele czasu, śpiewał i zdawało mu się, że siedzi w nocy na stepie, śpiewa, a echo płynie daleko i szeroko...

Trzebaż było, matko moja,
Nie serce sokole,
Trzebaż było, matko moja,
Dać mi szczęsną dolę...

— Proszę płacić — zjawiała się obok niego kelnerka. — Czy każe pan podać rachunek? — podawała mu pokryty literami i cyframi papierek.

— Lepiej powiedz mi tak, po ludzku — odpowiedział Syła Żerdiaha. — Ile?

— Tu jest... — znów odczytywała wyrazy, których Żerdiaha prawie nie rozumiał, i zakończyła kilkoma słowami, które od razu doszły do jego świadomości: — Tysiąc dziewięćset grzywien...

— Co? — chwiejąc się powstał od stołu. — Coś powiedziała?

— Tysiąc dziewięćset grzywien.

Wszyscy dookoła podnieśli się od stolików.

— To ty... cóż ty?... — Żerdiaha nie mógł znaleźć słów. — Czy ty wiesz?!

— Tysiąc dziewięćset grzywien... tu, proszę, tu jest napisane... panie zarządzający! Tu jest pijany!... Chce mnie bić...

Zarządzający nadbiegł z daleka, z bufetu, w śmiesznych podskokach.

— Proszę... proszę!... Czego pan sobie życzy?

— Za co tysiąc dziewięćset? Skąd te tysiąc dziewięćset? Ja duszę swoją zatraciłem za dwa tysiące grzywien, a ty za trzy jajka i za gęsie skwarki żądasz ode mnie dwóch tysięcy?

— Wstyd — mówił ktoś obok — pan jest wojskowy i takie głupstwa mówi.

— Ja się nie wstydzę... ja nie mam wstydu...

— Ale zapłacić trzeba. Widziały oczy, co brały, teraz trzeba płacić — uśmiechał się zarządzający.

— Płacić, panie — sunęły nań dziesiątki osób, które siedziały przedtem przy stolikach.

— Niech pan płaci!

— Masz! — Żerdiaha rzucił na stół plik banknotów. — Udław się nimi!

— Trzeba było tak zrobić od razu! — zarządzający położył na stole resztę. — Widzieliśmy już...

— Niech się pan napije piwa. To bardzo pomaga — podawał mu ktoś kufel.

A orkiestra grała dalej Światło lamp zabłysło i znikło, roztopiło się, jak się roztopia księżyc we mgle. I wszyscy gdzieś poznikali z winiarni. Ale tak było nawet lepiej. Żerdiaha pragnął pustki, chciał się rozpląnąć w niej.

— A pieniądze... Niech je diabli porwą!

Długo tak siedział bez myśli i pragnień.

— Nie rusz! — krzyknął przeraźliwie, gdy ktoś szturchnął go w plecy. — Nie rusz mnie...

— Mało mu, że się najadł i napił, jeszcze chce się przespać w restauracji — mówił stojący nad nim zarządzający. Kelnerka stała tuż obok niego i uśmiechała się szyderczo.

— Wstawaj, gołąbku, bo my ci...

Zarządzającemu i kelnerce pomagał dozorca, którego twarz żywo przypominała Żerdiasze łeb krowy Mańki: takie samo szerokie czoło, te same nieruchome, zastygłe oczy, a zamiast wąsów kilka długich, białych włosków nad górną wargą...

— Nie trzeba popychać! Nie popychajcie mnie! — mówił Żerdiaha, gdy zarządzający i dozorca spychali go ze schodów. — Chcę obejrzeć obrazy na ścianach. Zupełnie jak Krym... Czego się mnie czepiacie?...

Ulicą na jego spotkanie szły oddziały wojska. Potok ten płynął, wciąż płynął, nie było widać końca. Wtedy skręcił w lewo i poszedł ciemną, bezludną ulicą.

Żerdiaha nie czuł ciemności i pustki, bo w nim samym też było pusto i ciemno, wtapiał się więc w noc, jednoczył się z nią jako jej cząstka. Nie chciał wracać do koszar. Nie, lepiej jest tak płynąć tą czarną ulicą, nic nie widząc, nic nie słysząc.

W duszy jego była pustka.

Przypomniał sobie, że gdy był jeszcze dzieckiem, posłano go na łąkę paść konie. Noc była taka duszna, że nie było czym oddychać. Gdy patrzył w ciemnościach na trawę, zdawało mu się, że widzi nad nią unoszące się smuzki aromatu rumianków, waleriany i młęty. W dąbrowie pokrzykiwały nad jego głową ptaki. Na bagnie krzyczały derkacze. Wieczorem rozpałił ognisko, siedział przy nim, ogień odbijał się setkami błyszczących cętek w zielonej tafli jeziora. Zda-

wało mu się, że z głębi jeziora wynurzają się i płyną do brzegu zwabione ogniem sumy, sumy ważące po sto pudów, które polykają ludzi, a żyją na dnie jeziora w głębokich rozpadlinach.

Gdy ogień zgasł, nie podsycił go suchymi gałęziami. Postanowił siedzieć w ciemności. I ciemności rozlały się wokół niego takie gęste, że czuł je na twarzy jak ciepłą wodę, zdawał się dotykać ich ręką.

Wtedy wydało mu się, że noc jest pełna żywych istot. Coś straszego, lepkiego i kłującego zbliży się doń w tych ciemnościach, dotknie go i owinie uściskiem jak płótnem. A wtedy nie będzie mógł ani odetchnąć, ani krzyknąć...

W ciemności zaczął uciekać. Nagle spłoszyły się konie. Tupotały za nim po wyschniętej ziemi, potem zostały w tyle. Zdawało mu się, że pędzą za nim setki istot — potwornych, strasznych, ze świecącymi w mroku oczami.

To był strach.

I właśnie teraz odczuwał taki sam strach. Zdawał sobie sprawę, że idzie ulicami Kijowa, ale wydawało mu się, że obok niego, pod osłoną nocy, dzieje się coś straszego. Gdzieś w pobliżu włóczy się złoczyńca, który lada chwila może mu zastąpić drogę, i dla żartu, dla zabawy może go zabić... Będzie leżał stary Żerdiaha na ulicy, krew strumieniem popłynie mu z głowy i nikt się tym nie zainteresuje. Może nagle zaterkotać wzdłuż ulicy karabin maszynowy, a wtedy Żerdiaha zwali się na bruk. Albo nadleci spoza budynków pocisk i wybuchnie, albo może...

— Nie — powiedział Żerdiaha — tego się nie boję. To nie jest takie straszne.

Gwiazdy jaskrawo świeciły nad Górką Włodimirską. Noc była chłodna.

— Co się stało? — zapytywał Żerdiaha samego siebie. — Jak się to wszystko stało?

Wytrzeźwiał. Chłodne powietrze odświeżyło go. Po drugiej stronie Dniepru ciągnęły się rozległe łąki. W oddali zapalały się i gasły płomyki. Dolatywało echo wybuchów — przeciągłe, rozpaczliwie rozdzielające nocną ciszę. Daleko, daleko w stepie coś płonęło. Żółtoczerwony język ognia wznosił się wysoko w górę i błakał się po krawędziach chmur.

Płonie kraj? — pomyślał Żerdiaha.

Zdawało mu się, że paląca iskra z dalekiej pożogi doleciała tu i wpadła mu do serca.

Zapłonęło serce, a błyskawice, strumienie ogniste, popłynęły do mózgu.

— Serce płonie — powiedział Żerdiaha. — Och, gdyby je uspokoić, oblać czymś tak zimnym, jak woda ze źródła! Ani wódka, ani samogon nie pomaga...

Ziemią obdarowali — przypomniał sobie papierek pułkownika. Trzy dziesięciny ziemi. Dali nagrodę — trzy dziesięciny.

Ile tej ziemi — spoglądał na łąki. — Ileż tu przestrzeni! Gdyby tak zaprząć parę wołów do pluga, przeorać Dniepr jak miedzę, worać się tam, w tę szafirową dal..

Trzy dziesięciny — wrócił do poprzednich swych myśli. — Gdzie są te trzy dziesięciny? Nie ma ich! Własnym dziesięcinom w żaden sposób nie mogę dać rady, a tu jeszcze trzy dziesięciny i dokument mam... Oto on — wyjął w ciemności z kieszeni papierek — nie napisane jakiej ziemi, nie powiedziane gdzie... W królestwie niebieskim ta ziemia!...

Strzępy papieru poleciały w mrok nocy...

A pieniądze — jął szukać po kieszeniach, lecz nic nie znalazł. — Były pieniądze — i nie ma. Przychodzą pieniądze i odchodzą ode mnie... pieniądze przychodzą i uciekają, ale Syła Żerdiaha zostaje.

Nie ma powrotu — zrozumiał. — Idziesz drogą, a drogi nie widzisz. Nic już mnie nie pociąga. I nie mogę zapomnieć. Ot, piliem całą noc, ale zaledwie minęła godzina, już znów serce pełne jest niepokoju. Nie mam spokoju. Wódka wpędza mnie w gniew i rozpacz. Dawniej bywało, że wypiję i ulży mi — zasnę, a teraz...

Wydało mu się, że ktoś stoi za krzakiem, słucha i obserwuje go, że w krzakach zabłysły czyjeś oczy. Poszedł, podbiegł tam, czepiał się rękami kłujących gałęzi, a napotkał tylko pustkę nocy... Stał i nasłuchiwał.

Znów posłyszał szmer w innym krzewie, w pobliżu altanki. Na pewno ktoś tam chodził, ten ktoś znów postąpił parę kroków i zatrzymał się. Jak ciężko oddycha! Może długo biegł, żeby śledzić jego, Syła Mynowicza Żerdiaha

Zaczyna się! — usiadł na ławeczce. — Nie ma nic. Tylko mi się coś przywidziało. Trzymaj się, Syło Mynowiczu!

Długo siedział ściskając głowę rękami. Zaczął padać zimny, gęsty, dokuczliwy deszcz. Przypomniawszy sobie tę noc, kiedy wyjeżdżał z domu. Wyraźnie widział żonę Marię, Denysa. W wiadrze na ławie stało mleko z wieczornego udoju. Ech, przecież mogło skwaśnieć, tacy to z nich gospodarze!

Ach, gdyby tak do domu... — pomyślał — do rodzinnej wioski! Wejść tak do chaty i powiedzieć żonie „dobry wieczór“. Usiąść na ławie i poczuć, że się jest w domu, że dookoła są twoi najbliżsi, żona, dzieci.

I jeszcze jedna myśl: przejść potajemnie w nocy przez Dniepr, ominąć wiry, gdzie nie zamarza woda, przedostać się lasami do domu, do wsi. Denys mówił prawdę. Koniec, nie ma powrotu.

Pędem zbiegł z górki, jakby go ktoś gonił, przedostał się przez tłumy wojskowych na Peczersk. I gdy potem aż do świtu pił cuchnący, mocny samogon, wydało mu się, że ma złamany kręgosłup, że takie złamanie jest śmiertelne, ale mimo to Syła Żerdiaha nie może umrzeć.

O świcie zbudzono oddziały, ale Syły Żerdiahy nie trzeba było budzić. Nie spał. Choć pił przez całą noc, czuł się tak, jakby n'e miał ani kropli alkoholu w ustach, tylko jakąś dziwną pustkę w głowie.

Teraz mi wszystko jedno — usiłował dotrzymać kroku innym. — Obojętne, gdzie mam iść. Aby tylko nie stać w miejscu!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Śnieg nawiany przez wiatr przyprószył bujną czuprynę Beethovena. Glinka odwrócił nieco głowę, jakby przysłuchując się dalekiej kanonadzie... W dole, pod balkonami gmachu Opery, chodzili siczowcy ubrani w nowe, starannie uszyte żupany. Kordon siczowców stał również po drugiej stronie ulicy Włodzimirskiej — przechodzenie przed gmachem opery było zabronione. Ulica była wyludniona, ale miała się na baczności.

Z dołu, od Kreszczatiku, środkiem ulicy Funduklejewskiej prowadzono aresztowanych otoczonych pierścieniem bagnatów. Oficer-siczowiec wyskoczył naprzeciw nich, coś szybko wymamrotał, potem

zaczął wymyślać, wysoko wznosząc ręce obciążone rękawiczkami. Nad aresztowanymi wznosiły się kłęby pary. Rzucono komendę: „W ty! zwrot!” i poprowadzono ich ulicą Puszkiniowską do suterenu budynku pod numerem 19 przy ulicy Podwalnej. W szybko zapadających ciemnościach jeden z aresztowanych rzucił się do ucieczki. Po kilku krokach dosięgła go kula i padł w poprzek chodnika.

Czarne mury budynków wisiały w powietrzu jak żagle. Śnieg przysypał bujną czuprynę brązowego popiersia Beethovena na balkonie gmachu Opery i jeszcze ciepłą twarz zabitego.

Dzienia nie opuszczał żadnego posiedzenia Kongresu. Przychodził punktualnie o dziesiątej godzinie rano do gmachu Opery i zajmował swe miejsce na parterze. Idąc do teatru słyszał daleką kanonadę — nawet w samym mieście strzelanina nie ustawała. Strzelano z dział na Peczersku, sto dwadzieścia dział wyrzucało pociski za Dniepr. Od czasu do czasu terkotały karabiny maszynowe na Padole. Pierwszego dnia, gdy szedł na Kongres — trafił na strzelaninę na samym Kreszczatiku — siczowcy konfiskowali złoto w sklepach jubilerskich. Nie pogodzili się między sobą, ktoś uciekał, ktoś strzelał, rozbiegały się w popłochu kolejki, które stały przed sklepami. Jakaś wystraszona kobieta z dzieckiem na ręku, niosąc pudełko, biegła środkiem ulicy.

— Złoto... Złoto!.. — krzyczeli siczowcy.

Dziecku przestrelono głowę, matka upadła trafiona w serce. Pudełko, które niosła, upadło i wysypały się z niego tutki papierosowe.

Punktualnie o dziesiątej Dzienia był w teatrze.

Nakaz opalania budynków wykonywany był sumiennie: w teatrze było ciepło. W pobliżu grzejników gromadzili się delegaci, odnajdywali ziomków, naradzali się.

Dzienia również odnalazł wielu znajomych. Właściwie większość delegatów to byli jego znajomi: niektórzy jeszcze z arystokratycznego gimnazjum imienia cara Aleksandra, wielu pamiętał z uniwersytetu imienia księcia Włodzimierza...

— Pamiętasz nasze gimnazjum na bulwarze? Chciano je przekształcić w liceum, ale ten łobuz Bagrow, który skończył nasze gimnazjum, zabił Stołypina i Mikołaj II odmówił podpisania dekretu.

Ileż to wspomnień, ile spotkań! Ludzie byli dobrani; sami swoi; porządek wyborów ustanawiały władze miejscowe. Nie posyłano na Kongres byle kogo — brano pod uwagę wykształcenie, stanowisko,

majątek. Zaproszono gości z Galicji — przyjechali także tylko poważni ludzie: dawni delegaci do austriackiej Rady Państwa, narodowi demokraci, radykałowie... nawet przewodniczącym Kongresu został obrany członek Rady Państwa Wittek, jego zastępcą — bogacz Staruch. Trochę to było niezręcznie, ale Kongres był ochrania-ny — siczowcy otaczali teatr, stali na schodach i w korytarzach, nawet ten i ów z delegatów czuł się, jakby był zaaresztowany.

Ale trzymali się buńczucznie. Pierwszego dnia odczytano uroczyście pismo Ukraińskiej Rady Narodowej i uniwersał Dyrektorii o zjednoczeniu Ukrainy Zachodniej i Wschodniej w „zjednoczoną, wielką, niezależną, samodzielną...”

— Niech żyje! — krzyczeli oficerowie-siczowcy.

— Hura! — wykrzykiwali piratyńscy, helmiaszowscy, kobelaccy, „kooperatorzy“ i popowicze... — Sława!

Z galerii rozległ się przenikliwy gwizd. Gwizdało kilku ludzi. Wartownicy podtrzymując szable pomknęli schodami na górę. Drzwi do sali zamknięto — oponentów wyprowadzono z galerii tylnym wyjściem na ulicę Teatralną... Prosto na Podwalną na przesłuchanie do Kowenki.

Z prezydium podano Dzendi kartkę z lakoniczną notatką. „Wystąpi pan z powitaniem w imieniu Czernihowszczyzny. Proszę się przygotować...” Zamknął oczy i zaczął się przygotowywać. Oddzielne zdania były wspaniałe. Gdyby je tylko jeszcze jakoś powiązać! Do diabła! Pcha się wciąż do głowy jakaś bzdura! Trzeba powiedzieć o ruchu mas, o podniesieniu... Jego przemówienie będzie czytane przez cały świat... w Paryżu, Londynie. A tu się pcha do głowy co innego! W Czernihowie przyłączyłem się do oddziału bohuńczyków... trup generała poniewierał się na ulicy... Szczors pyta: Czy słyszał pan o Mirbachu?... Nie, trzeba zrobić brulion. Wstęp: w imieniu... w którym imieniu? Pracujących? Nie! Inteligencji ukraińskiej? Też nie!... Więc chyba w imieniu uszczęśliwionej ludności Czernihowszczyzny? Tfu — dziecinada... Nie, nie!

— W imieniu pracującego ludu Czernihowszczyzny wygłosi powitanie pan Dzendia — wyraźnie i czysto zabrzmiał głos przewodniczącego.

Szedł brzegiem zielonego chodnika. Schodkami. Wyżej. I oto znalazł się już na estradzie.

— Wybaczcie, państwo — powiedział i spojrzał na wszvstkie pię-

ra teatru — przyzwyczajeni jesteśmy działać raczej orężem niż słowem. Pracujące chłopstwo Czernihowszczyzny gorąco wita legalny rząd ukraiński...

Nie to, nie to — dręczyła go myśl.

— Pracujące chłopstwo... wszyscy przysięgamy raczej polec...

Za co? To najważniejsze! — myślał uporczywie.

I wtedy spostrzegł w pierwszym rzędzie swego kolegę z gimnazjum, obecnie biskupa, Safrona Żerychowskiego. Biskup siedział mrugając lewym okiem i przebierał palcami ogniwa łańcucha, na którym miał zawieszony krzyż. Dzisiaj poczuł się pewniej, przytknęła oczy.

— Za naszą wiarę, nasze rycerstwo i nasze pieśni...

Przemówienie popłynęło gładko, dźwięcznie, ładnie...

Wracał na swoje miejsce nie dostrzegając chodnika. Taki był szczęśliwy — oto ona, ta upragniona sława.

A jutro... — myślał — jutro to przemówienie będzie czytał cały świat.

— Nie przygotowany byłem. — Jak wypadło? Nieźle?... — zapytał sąsiada, ziemianina z Łubniów.

— Bardzo dobrze.. O mało nie płakali! — ręka ziemianina była ciepła i wilgotna.

Podczas przerwy przecisnął się za scenę. Odnalazł stenografistkę, która zapisywała jego przemówienie.

— Chciałbym sprawdzić..

Spojrzała nań szyderczo i zamknęła mu przed nosem drzwi garderoby.

Przemówienie Dzendi w gazecie zajęło dziesięć wierszy. I tak nieprzyjemnie się złożyło: tuż przy jego przemówieniu; w tej samej kolumnie, umieszczony został długi spis rozstrzelanych.

Przedstawiciel Dyrektorii głaskał palcami koniuszek brody i tajemniczo opowiadał:

— Podczas przygotowań do powstania prowadziliśmy pertraktacje z bolszewikami. Wysunięte przez nas konkretne warunki — tu nastąpiło długie wyliczenie, szereg nic nieznaczących frazesów — bolszewicy przyjęli, ugoda została zawarta, ale potem okazało się — tu przedstawiciel zrobił długą przerwę — że bolszewicy nie mają

sił: w samym Kijowie mogli wystawić zaledwie dwustu do trzystu ludzi, a z Rosji także nie mogli nic przysłać.

Dzenia przypomniawszy sobie oddziały bohuńczyków, taraszczańców, tysiące bolszewików idących na Kijów. Przecież sam widział, jak przyłączają się do nich całe wsie, dziesiątki tysięcy, więc jakże tu mówić... o dwustu czy trzystu ludziach?.. Kłamie. Przedstawiciel po prostu łże.

— Bolszewizm kona — ciągnął tymczasem dalej przedstawiciel Dyrektorii — ostatkiem sił pcha się do Kijowa... Czołgi zwyciężą bolszewizm. Minie najwyżej pół roku, a po bolszewizmie zostanie tylko wspomnienie.

No, może nie pół roku — uspokajał siebie Dzenia. — Ale pomimo wszystko wkrótce będzie z nimi koniec. Pod Kijowem rozbiją ich, zniszczą.

Na trybunie, jak gdyby potwierdzając jego myśli, Rakow, członek delegacji, która jeździła do Ententy, czytał z kartki:

— Alianci gwarantują całkowitą nienaruszalność państwa... przyszli tu teraz kierując się wyłącznie uczuciami braterstwa... potępiają zaborczą politykę Niemców... Wyzwoleńcze siły narodowe wyciągają pomocną rękę do narodu... i my, i oni trzymamy się ścisłej neutralności..

A podczas przerwy ktoś rozrzucił po sali ulotki:

„Kijowski Komitet Komunistyczny (bolszewików) Ukrainy zawiadamia robotników miasta Kijowa o nowej zdradzie Dyrektorii. Zdradę tę ujawnia następująca umowa zawarta z aliantami. Drukujemy ją bez komentarzy, gdyż mówi sama za siebie..“

Siczowcy biegali po piętach, salę zamknięto, a w szatni ludzie Kowenki grzebali w kieszeniach palt, świtek i płaszczów...

— Kłamstwo! Jeszcze nie ma umowy! Nie ma umowy! — zapewniał Wittek...

I znów przeraźliwy gwizd na galerii. I jeszcze jeden, i jeszcze..

Jednak nie udało się nikogo ująć. Kongres skończył się wcześniej. Każdy spieszył na swoją kwaterę.

Przy wyjściu z teatru Dzenia w drzwiach nagle się cofnął. Na wprost niego stał żołnierz z karabinem, gotów przebić wychodzącego błyszczącym, zimnym bagnetem.

Wartownik! — domyślił się Dzenia i dumnie go wyminał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przez cały dzień było pochmurno, ale ku wieczorowi słońce zalało złotem wierzchołki kijowskich wzgórz. Z miasta często wylatywał samolot i skręcał na łąki, położone na lewym brzegu Dniepru. Wówczas koło Kniażyc i Pohrebów rozlegały się dźwięki przypominające dźwięk butelek pękających pod zbyt wysokim ciśnieniem. Wokół samolotu zjawiały się obłoczki i płynęły w błękitnym niebie jak kłaczkki waty. W przerwach między wystrzałami dział natychmiast zaczynały terkotać gdzieś za Browarami karabiny maszynowe i wysoko w górze, w mroźnej przestrzeni, ostro i przenikliwie gwizdały kule. Samolot kładł się na prawe skrzydło, potem na lewe, zawracał i znikał w złocistym świetle za Kijowem.

Od stacji Browary do pierwszych linii frontu sprawnie po gospodarsku, z turkotem kursował pociąg pancerny. Wąziutkie strzelnice w jego ścianach czerniały jak przymrużone oczy. A podobieństwo do oczu zwiększały jeszcze świecące jak źrenice, pokryte lodem lufy karabinów maszynowych.

Pociąg pancerny sunął w stronę mostu, często zatrzymywał się i dawał po parę strzałów, zupełnie jak gospodarz, który pochrząkuje z niezadowolaniem, widząc dokoła nieporządku.

Pułki ustawiły się w czworobok w pobliżu stacji Browary. Więcej było bohuńczyków, bo taraszczańscy kwaterowali w Boryspolu, Kniażycach i Aleksandrówce, a tylko sztab ich mieścił się w Browarach. Pośrodku czworoboku, na podwyższeniu, stały poczty sztandarowe. Szczors na czele sztabu brygady i pułku uważnie przyglądał się żołnierzom.

Dowódca pułku Taraszczańskiego Wasyl Nazarowicz Bożenko, w czarnym, cywilnym płaszczu, czarnej czapce i głębokich kaloszach, kręcił się w pobliżu swoich żołnierzy.

— Nie zróbcie mi wstydu, bracia taraszczańscy! Trzymajcie się!

Szczors i Bożenko z kilku innymi oficerami sztabu udali się do wagonu dowódcy przedstawiciela Rewolucyjnej Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego.

Z daleka z platformy wagonu przedstawiciel Rady Wojennej patrzył na pułki. Na jego spokojnej, starannie ogolonej twarzy zaigrał łagodny uśmiech. A potem w ciszy, którą przerywały tylko dalekie

wybuchy pocisków, obszedł czworobok. Garnęły się do niego chciwe spojrzenia żołnierzy. Przed nimi przechodził dowódca frontu, człowiek, który zaledwie wczoraj widział Lenina i Stalina, człowiek, który wydaje rozkazy wyruszenia pułkom, który dopomaga ich dowódcy Mykole Ołeksandrowiczowi Szczorsowi prowadzić je naprzód.

Dowódca frontu obchodził szeregi. Jego szare oczy gorzały, płonęły, na twarz padała poświata spływająca ze złotych chmurek żarzących się na zachodzie, wyraźnie rysowało się jego wysokie czoło, mocno zaciśnięte szczęki. Za dowódcą frontu szedł Szczors, również obłany promieniami wieczornego światła, tak samo kochany, tak samo bliski i jeszcze bardziej majestatyczny niż zwykle. Ciężko i niezgrabnie stąpał w kaloszach Bożenko.

— Doskonale się prezentują — cicho powiedział do Szczorsa dowódca frontu. — Płaszcz zniszczone, stare, wystrzępione, ale dopasowane do wzrostu; wszyscy mają pasy i ładownice. Przyszli z lasów, a wywierają wrażenie regularnej, zdyscyplinowanej armii. Zuchy! Dziękuję wam, dowódco brygady! Dziękuję, Mykoło Ołeksandrowiczu.

I nagle dowódca frontu podszedł do jednego z żołnierzy, który bez ustanku rozdierająco kaszłał. Żołnierz usiłował powstrzymać kaszel, zamarł w szeregu, nie oddychając, ale skutkiem tego rozkaszłał się jeszcze bardziej... Aż poczerwieniał, żyły wystąpiły mu na czoło, nie mógł się powstrzymać — zanosił się od kaszlu... Dowódca stał i cierpliwie czekał.

— Przeziębiony? — zwrócił się do żołnierza, gdy atak kaszlu minął.

— Tak, towarzyszu dowódco frontu! Przeziębilem się trochę.

— Trzeba do szpitala.

— Nie — wzdrygnął się żołnierz. — Nie potrzeba do szpitala. Przecież już Kijów...

— Zuch z ciebie! — powiedział dowódca frontu. — Zuchy jesteście. bohuńscy i taraszczańscy! — zwrócił się do wszystkich.

— Hur-a-a! — potoczyło się po szeregach.

Dowódca frontu powoli wszedł na zaimprovizowaną trybunę, która składała się z kilku desek ułożonych na skrzyniach. Zdjął czapkę — wiatr rozwiewał jego długie, jasne włosy.

— Towarzysze bohuńscy i taraszczańscy! Towarzysze oficerowie! Śledźcie codziennie ruchy waszych oddziałów. Wiem, jak uparcie

krok za krokiem posuwacie się. Macie za sobą bój pod Sedniowem, bohaterskie walki o Czernihów, bitwę w Semipolkach, Dymierce, Nieżynie. Chwałą i czią okryte są wasze pułki, które odbyły ciężką drogę i dziś stoją pod starym Kijowem, a jutro — jestem tego pewny — zdobędą go. Widok waszych pułków napełnia mnie radością. Gdy padł jeden — na jego miejscu stawały dziesiątki innych, nie cofaliście się ani o krok. Przetrwali wieki pamięć bohaterów, którzy oddali swe życie za rewolucję, wieczna chwała synom zwyciężonego narodu!

Dowódca frontu mówił z zapalem. Wiatr rozwiewał jego długie, jasne włosy. Żółte chmurki nad wzgórzami kijowskimi zgasły. Od Dniepru powiał wiatr. Nadchodził szybko zmierzch.

W wagonie dowódcy frontu zebrali się: dowódca 1. ukraińskiej dywizji, kombrig* Szczors, dowódca pułku Taraszczańskiego Bożenko i dowódca batalionów kwaterujących w Browarach. Dowódca frontu wydawał ostatnie zarządzenia, ustalał plan rozmieszczenia wojsk, które miały nacierać na Kijów. Jego spokojną, ale energiczną mowę często przerywały wybuchy — wieczorem ze wzgórz kijowskich zaczęły mocniej grzmieć działa.

Szczors często wychodził na platformę wagonu i nasłuchiwał. Przed wagonem, wyraźnie wybijając krok, chodził wartownik. Na stacji monotonna jęczała harmonia. Nad Kijowem migotała łuna pożaru. Niebo było szare i twarde jak beton. W Browarach rżały konie, dudniła zmarznięta ziemia — to 1. pułk konny wjeżdżał do pogrążonego w ciemnościach miasteczka. Na pierwszych liniach frontu, bliżej Dniepru, od czasu do czasu słychać było wystrzały.

Dowódca frontu kończył szkicowanie wstępnego planu. Dowódca dywizji i dowódcy batalionów notowali jego rozkazy.

— I jeszcze jedno — powstał od stołu dowódca frontu — pułki są w doskonałym stanie. Regularna, zdolna do walki armia. Ale źle ubrana. Płaszczki podarte, bluzy także..

— Zdobywajcie Kijów — dowódca frontu spojrzał na Szczorsa — i natychmiast odetnijcie nieprzyjacielowi drogi pod Fastowem i na Korosten. Amunicji mają do diabła, więc nie wypuszczajcie jej z garści. Trzeba ludzi ubrać, zapłacić im żołd. Stworzyliście pierwsze regularne oddziały — więc bardziej o nie dbajcie!

* Kombrig (komandir brigady) — dowódca brygady.

Dowódcy pośpiesznie opuszczali wagon Bożenki. W pobliżu konie niecierpliwie grzebały kopytami.

— Mykoła Oleksandrowicz — zwrócił się dowódca frontu do Szczorsa. — Proszę zostać na chwilę.

— Włodzimierz Iljicz — powiedział dowódca frontu, gdy już zostali sami — prosił, aby go zawiadomić o stanie twego pułku. Niedawno spotkałem towarzysza Stalina — także zapytywał o ciebie. Gdyby coś zaszło — zawiadom, telegrafuj, pisz.

Dowódca frontu przechadzał się po przedziale. Szczors siedział w fotelu bębniąc palcami po kolanie, jakby pod ręką miał aparat telegraficzny.

— Tam oczekują was delegaci. Przyjechali wczesnym wieczorem — zameldował adiutant.

— Delegaci? — Mykoła Oleksandrowicz ze zdziwieniem podniósł brwi. — Skąd?

— Z Czernihowszczyzny.

— Prosił!

Delegaci prawdopodobnie przez cały ten czas stali przed wagonem, bo zaledwie adiutant wyszedł, natychmiast kilka par nóg zatupołało na platformie, otrząsając śnieg z butów. Wraz z delegatami do wagonu wdarły się kłęby pary i przez długą chwilę nic nie było można dojrzeć; świeczka na stole koło Szczorsa nieporadnie migotała żółtym płomykiem.

— Pozwól no — przyjrzał się Szczors młodzieńcowi w płaszczu wojskowym i w czapce z czerwoną kokardką, gdy rozwiały się kłęby pary. — Przecież to...

— Ja — uśmiechnął się szeroko Denys Żerdiaha. — To ja, Denys Żerdiaha. Przybyłem z meldunkiem. Rozkaz został wykonany. We wsi, gdzie zostawiliście mnie, teraz już jest mocna władza, bogaczy poskromiono, wszystko wciągnięte jest do ewidencji i zapisane... Przesłano mnie, abym doprowadził do naszego pułku dziesięciu ochotników pochodzących z biedoty wiejskiej, żeby prędzej zdobyć Kijów, i poza tym przywozłem podarunek od wsi — kozuchy, buty, koszule.

— Zuch z ciebie, dzielnie pracowałeś na tyłach — serdecznie przywitał się z nim Szczors. — Gdzie są twoi chłopcy?

— Przyjmują ich starzy żołnierze. Czasu mało, więc już dzisiaj wzięli ich w obroty — pokazują im karabin... /

— A kto to jest tu z tobą? — Szczors przyglądał się bacznie młodej; rumianej kobiecie, która stała obok Denysa.

— To... członek Rewkomu, Maria Purga.. Obecnie moja żona. Maria Żerdiaha — cicho dodał Denys. — Ojca jej zabili petlurowcy.

Szczors przyjrzał się obojgu: młodej kobiecie i młodemu, wesolemu, pełnemu życia Denysowi, i przypomniał sobie, jak nocą na skraju wsi serdecznie zegnał się z przewodniczącym Rewkomu, Denysem i dziewczyną.

— Zuch z ciebie, Żerdiaha! — mówił Szczors spoglądając nań przyjaźnie. — Mieszkajcie sobie na wsi, organizujcie władzę. Gdy zdobędziemy Kijów, jeszcze więcej będziecie mieli roboty! Idźcie do domu — wyciągnął rękę do Denysa i Marii. — Idźcie i pracujcie, wzmacniajcie tyły! Teraz tam dużo roboty.

— Towarzyszu dowódco — zaczął Denys stropiony — jeszcze chciałem coś powiedzieć. Przewodniczący zwolnił mnie na wojnę. Obiecał, że sam da radę... Weźcie mnie i ją — Marię... porzuciła dom, chce walczyć... Dla nas teraz tylko jedna droga — na Kijów, z bohuńczykami.

Szczors uśmiechnął się, skinął głową.

— Dobrze. Zorganizuj na jutro pluton z nowych ochotników. Pójdiesz do 2. batalionu — tam są braki. A Marię... odprowadź do siostry Olgi. Potrzebni są nam tacy żołnierze!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Żołnierze rwali się do walki. Dowódcy batalionów i wszyscy żołnierze z Połtawy i Czernihowa byli czujni i gotowi.

— Ach, kiedyż? Kiedy? Prędzej do Kijowa!

A w Kijowie i dookoła niego siły petlurowców topniały. 1. i 2. pułk straciły połowę ludzi w Semipółkach; co dzień uciekali do bohuńczyków białocerkwianie i kijowianie. Z 1. pułku petlurowców uciekło naraz dwudziestu kawalerzystów wraz z końmi.

Wszyscy opowiadali, że wśród petlurowców panuje rozprężenie, na dowódców wyznacza się tylko siczowców, nawet własnym oficerom nie dowierzają. Siczowcy zaś wprowadzają swoje porządki. I już widać wyraźnie rozkład petlurowszczyzny; jedyną nadzieją Petlury są siczowcy — pozostałe oddziały rozpadają się nieustannie i rozpadną się ostatecznie po pierwszym uderzeniu.

Tak! Siczowcy będą się bronili do ostatka. Przecież to kwiat ukraińskich obszarników, bogacze, oficerowie. Muszą się bronić, bo wiedzą, że nadchodzi chwila, która ich zmiecie z powierzchni ziemi. Będą walczyć aż do końca, choćby ten koniec miał im przynieść zagładę. Pod Kijów zostały ściągnięte resztki sił petlurowskich.

Szczors nie spał. Późnym wieczorem zwykłymi chłopskimi saniami wyjechał z Browaru w kierunku Pohrebów i Zazymia, na prawe skrzydło brygady. Na stacji, na ślepych torze, dokąd niedawno przybył pociąg towarowy z Bobryku, z wojskowej bazy zaopatrzenia, Szczors zatrzymał sanie. W ciemnościach żołnierze hałaśliwie wyładowywali czarne skrzynie o ostrych kantach. Jedna ze skrzyń spadła z platformy: przeciągle zabrzączała miedź.

Szczors wysiadł z sań, podszedł do żołnierzy.

— Tak pracując narobicie nieszczęścia!

— My z nimi ostrożnie, towarzyszu kombrigu. Jak z niemowlętami! Nie wybuchną.

I znów zabrali się do noszenia skrzyń z amunicją.

Szczors rozkazał dowódcy baterii jeszcze w nocy ustawić działa w lasku na prawo i dostarczyć tam amunicję. Jezdny ruszył końmi, które szparko zastukały kopytami.

Skrzypiały płozy sań, noc była ciemna, tylko gwiazdy rozjaśniały mroźną siność nocy ostrymi, cienkimi promieniami. Na lewo, jakby ulepione niewprawnymi rękami z brudnej gliny, rysowały się w ciemnościach na horyzoncie wzgórza kijowskie.

Droga prowadziła przez łąki i zagajniki. Nie było jej widać. Znikły światełka stacji, ucichł hałas za nimi — przez długą godzinę jechali w milczeniu.

Nagle z prawej strony zabrzmiała pieśń. Wytrysnęła z ciemności nocnych jak świeże źródło. Zdawało się, że śpiew rozlega się tuż obok, zaraz za pogrążoną w ciemnościach dolinką, na pagórku.

Szczors dotknął pleców woźnicy.

— Zatrzymaj!

Konie stanęły. Zamilkły płozy. W oddali ktoś śpiewał, melodia była żwawa, wesoła, zadzierzysta; wyraźnie było ją słychać, tylko słów nie można było rozróżnić.

Od Semipółków nadjeżdża 1. konny pułk — rozpoznawał Szczors pieśń kawalerzystów, która płynęła z nocnej dali i rozbrzmiewała

wśród stepu. — Idą i idą pułki Zaciąga się ostatni węzeł dokoła petlurowców!

Wkrótce wynurzyły się czworokąty chat. Zaczynały się Pohreby. Wieś żyła, ruszała się. Na skraju wsi stały patrole. Jeden z nich zbliżył się do sań ze spokojnym, energicznym pytaniem:

— Kto idzie?

Poznali głos dowódcy brygady i pochylili się nad saniami, usiłując w ciemnościach ujrzeć znajome rysy twarzy.

— Do Kijowa rwą się dusze — po nocy twarze ich wydawały się szerokie, rozplaszczone — zacisnąć pętlę na szyi Petlury.

W sztabie batalionu nikt nie spał. Na stole — mapa, świeczka wetknięta w butelkę, bochenek chleba, kubek wody. Dowódca batalionu miał opuchnięte powieki, senne oczy...

— Wcale nie chce mi się spać, towarzyszu kombrygu!

— Wciąż studiujesz mapę? — zapytał rozcierając zmarznięte ręce Szczors.

— Proszę mi wierzyć, towarzyszu kombrygu — ta mapa jest mi wcale niepotrzebna. Na Desnie z wędką i dubeltówką oblażiłem wszystkie kąty, gdy ukrywałem się przed hetmanem Zanieś mnie w nocy w worku i porzuć, gdzie chcesz — popatrzę na krzaki spojrzę na niebo, powącham ziemię i już wiem, gdzie jestem.

— Wyrusz z batalionem punktualnie o szóstej. Po dwu godzinach marszu połączysz się z 2. batalionem. Tam też pociągnął konny pułk. Artyleria w Browarach...

Sańce skrzypiąc przesunęły się przez Pohreby. Zazymie i Puchówkę, wypadły na szlak czernihowski. Szczors siedział w saniach otulony kożuchem, z nogami zagrzebanymi w siano. Było ciepło i zaciszenie. Noc ciemna — nic nie widać dokoła. Ale wiedział, że z każdej wsi gdzie tylko spojrzy, płyną pułki do Kijowa, idą bohuńczycy, Wasyl Nazarowicz Bożenko prowadzi taraszczańczyków, czerwoni obchodzą Kijów z przeciwnej strony — zachodzą na tyły petlurowcom. Powstał cały kraj, pędzi, bije petlurowców.

— Będzie pętla dla Petlury*! — przed chwilą powiedział ktoś na ulicy w Zazymiu.

Kończy się wielka, pełna chwały droga. Do dalekich rubieży noca-

* Pętla i Petlura (ukr. „Petla” i „Petlura”) — nie dająca się przetrżnąć gra słów wynikająca z ich podobnego brzmienia

mi ciągnęli partyzanci z Czernihowszczyzny, Połtawszczyzny, Kijowszczyzny. Nieśli ze sobą wielką siłę, zdolną tworzyć cuda — swój gniew. Tam też, na rubieżach wykuwano pierwsze pułki. Wydaje się, że to wszystko było już tak dawno, a tymczasem minęło zaledwie kilka miesięcy. Spłynął, jak mętny potok, pochód niemiecki. Jak śnieg na słońcu znikły ich pułki. Spod Horodni, spod Sedniowa ruszyli bohuńcy i taraszczańcy bić, niszczyć panów. Gdzieś daleko w tyle został Czernihów, Kozielec, Nieżyn, Dymarka. I oto przed nimi kijowskie wzgórza, które niby stopy kamieni leżą w nocnej mgle.

Wieczorem patrole rozpoznawcze doniosły, że z Kijowa na front zostały przerzucone znaczne siły petlurowców — dwa pułki Czarnomorskie, pułk Białocerkiewski i Kijowski, pułk siczowców i jeden pułk konny. Wszystko, co tylko mają najlepszego, rzucają petlurowcy do bitwy.

A jutro... nie, już minęła północ i minuty znikają w potoku nowego dnia — dziś spotkają się dwie siły, dziś pod Kijowem odbędzie się ostatni, decydujący bój. Szczors wie — bo był za dnia w Kniażycach, w chutorach dokoła Browarów, w nocy zajrzał do Pohrebów, Zazymia i Puchówki — że wszyscy rwą się do walki, każdemu w piersi mocno bije bohaterskie serce, każdy ruszy w bój z radością, bo oto leży przed nimi złoty Kijów, bo już bliski jest dzień zwycięstwa.

I wówczas — Szczors przymknął oczy — niepowstrzymanym potokiem runą pułki poza Kijów. Nikt ich wtedy nie powstrzyma! Czy można uspokoić wzburzone sztormem morze?

Sanie skrzypiały po wyjeżdżonej drodze, brał coraz większy mróz i coraz jaskrawiej błyszczały gwiazdy.

— Więc może jutro już spotkam... Spotkamy się, będziemy walczyć — wypowiedział swe myśli woźnica.

— O czym mówisz? — spytał Szczors.

— O ojcu, towarzyszu Szczors! — roześmiał się wesoło Denys siedzący na przodzie sań.

Petlurowcy ruszyli o świcie. Gdy zaczęło się natarcie, pociąg pancerny stał za stacją. Szczors z tendra lokomotywy zobaczył przez lornetkę, że z żółtego morza naddnieprzańskich piasków, z zagajników wychodzą pułki. Słży zwartą masą, ramię przy ramieniu. Prawe skrzydło petlurowców przesunęło się w kierunku Kniażyc, lewe zagubiło

się we mgle gdzieś nad Desną i za Desną. Słysząc było rzadkie wystrzały i urywany krzyk.

Szczors pośpiesznie zeskoczył z tendra. Do pułków pomknęli łącznicy z rozkazami. W tej chwili w pobliżu Desny zagrzmiały działa: nie zdołają petlurowcy przełamać prawego skrzydła bohuńczyków. Również na lewym skrzydle na drodze z Boryspola do Kniażyc zaczęły bić działa — ale tam pułki jeszcze nocą stanęły jak mocny, niewzruszony mur. Słysząc było, że siczowcy natarcie rozpoczęli, ale natychmiast zaczęły się wycofywać i spod Pohrebów, i spod Kniażyc. Karabiny maszynowe petlurowców strzelały coraz rzadziej, a działa bohuńczyków wybijały minuty uroczyście, zwycięsko.

Wówczas na kilka minut, które wielu ludziom wydały się godzinami, strzelanina ucichła. Dokoła zapanowała cisza, niezwykła cisza.

Dowódcy 2. i 3. batalionu, których oddziały znajdowały się naprzeciw środka natarcia petlurowców, zameldowali się u Szczorsa.

— Atakować?

— Prowadzić ludzi? Rwą się sami!...

Nikt zapewne nie odczuł tej chwili tak głęboko, jak Szczors. Wydać krótki rozkaz — rzucić tylko jedno słowo — „Naprzód!” — i całe wojsko: bohuńcy, taraszczańcy, pułk kawalerii przydzielony do brygady — wszyscy ruszą w bój. Niech wróg zasypuje ich ogniem, niech wybuchają im nad głowami pociski — oni zaleją łąki, pomkną przez zagajniki, ławą ruszą naprzód.

— Wycofać 2. i 3. batalion. Cofnąć się do zagajnika — wskazał Szczors mały lasek na drodze do Czernihowa.

— Towarzyszu kombrigul — wyrwało się dowódcy 2. batalionu.
— My... przecież my...

— I cofać się natychmiast — dodał Szczors tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Dowódcy idący z nim od Unieczy, wspaniali, zdyscyplinowani oficerowie, wykonali rozkaz.

Działy się rzeczy niezwykłe. Prawe i lewe skrzydło było mocne, w żaden sposób nie można było ich przełamać. A między tymi obu skrzydłami, z rozkazu Szczorsa, zaczęto się cofać. Wycofywały się doskonale wyszkolone, najlepsze z oddziałów, bataliony 2. i 3., które nie zetknęły się jeszcze z petlurowcami, chociaż rwały się do boju. Wycofywały się przed bitwą, zanim wzięły w niej udział.

— Prędej! — Szczors posłał do nich łącznika. — Wycofywać się jak najszybciej.

Sam zaś popędził konno na prawe skrzydło w kierunku Pohrebów, tam, gdzie stał 1 batalion, gdzie ziemia jęczała pod kopytami koni, które nie mogły ustać w miejscu. Osadził zmydlonego konia na skraju lasu i wyjechał na pagórek; przed nim odkryła się rozległa panorama łąk poprzecinanых smugami lasów.

Widział, że rozbici na skrzydłach siczowcy ściągali wszystkie siły w jedno miejsce i przystąpili do decydującego natarcia w tę stronę, gdzie przed chwilą stał 2. i 3. batalion. Widać było, że uformowani w klucz siczowcy jak stado żurawi przebiegają łąkę. Podbiegnie kilka kroków taki klucz, położy się na śniegu i wali z karabinów do zagajników, w których nie ma już wojska... I znów biegną naprzód... Łąka przypomniawszy staw na wiosnę, po którym pływają, nurkują i przelatują kaczory, podczas gdy kaczki, schowawszy się w trzcinach, składają jaja. Siczowcy szybko posuwali się naprzód, napotykając tylko pustkę łąk i zagajników. Nawet na skrzydłach, skąd można było strzelać do siczowców jak do bekasów, panowała cisza, milczały działa i karabiny maszynowe — ani jednego dźwięku.

— To jest dopiero bitwa — powiedział Szczors czując łomot własnego serca — trudniej wytrzymać to ostateczne natarcie, niż uganiać się na koniu...

Siczowcy rozzuchwalili się. Ich stadka zbijały się w tabuny, tabuny w klin, klin zaś prawym skrzydłem już dosiadał nasypu kolejowego, lewe skrzydło przedzierało się dolinką, w pobliżu stanowiska Szczorsa i tabun siczowców kierował się coraz szybciej na łąki.

Ale od strony Dniepru nie nadchodziły już petlurowskie pułki — zgromadziły się wszystkie w dolinie, gdzie do niedawna stały bataliony bohuńczyków.

— Teraz — powiedział Szczors — można przystąpić do natarcia!

Z doliny słychać było wystrzały. Petlurowcy wciąż „macali“ laski i zarośla.

— Podciągnij kaemistów! — rozkazał Szczors dowódcy oddziału karabinów maszynowych. — I poślij ich tam — wskazał dolinę ręką w której trzymał nahajkę mającą zamiast rękojeści kozie kopytko.

Nagle nahajka wypadła mu z ręki. W mocno zaciśniętej pięści pozostało tylko kopytko. Kula wytrąciła Szczorsowi nahajkę z ręki.

Mykoła Ołeksandrowicz ze zdziwieniem spojrzął na kozie kopytko i powiedział w zamyśleniu:

— Nie umieją strzelać ci petlurowcy. Tyle tylko, że w uszach dzwoni...

— Pozwólcie, że zagramy im podzwonne! — krzyknęli dokoła bohuńcy.

— Pozwalam, chłopcy! — powiedział Szczors. — Pozwalam zniszczyć tę petlurowską hołotę!

— Zamknąć koło! — rozkazał i pomknął na czele pułku konnicy. Konie rwały naprzód jak ptaki. Kawalerzyści od razu odcięli siczowców od brzegów Dniepru i od Kijowa. Oba skrzydła piechoty ruszyły z lasów. Siczowcy wpadli w pułapkę. Na otoczonych siczowców uderzono ze wszystkich stron.

— Strażacy, naprzód. — krzyknął Szczors do kaemistów. — Zalejcie ich ogniem!

I oddział karabinów maszynowych wyrzekł swe ważne słowo. Znikł na pewien czas podział na plutony, kompanie i bataliony. Żołnierze gromadzili się wokół karabinów maszynowych jako punktów oporu. Ruszyli naprzód z setkami karabinów maszynowych.

Karabiny maszynowe niszczyły, siekły, rozpędzały petlurowską hołotę zgromadzoną pod Browarami. Petlurowcy usiłovali przedrzeć się w różnych kierunkach — bohuńcy i taraszczańcy siekli ich bezlitośnie. Nie było i nie mogło być dla nich łaski.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nacierano gęstymi tyralierami. Była to rozpaczliwa walka. Denys Żerdiaha ze swym plutonem stał w niebezpiecznym miejscu, w lasku nad wąskim jarem, przez który łatwo mogli przedostać się siczowcy. O świcie przejechał obok nich Szczors.

— Pilnuj, Denysie — powiedział — tu niezawodnie spróbują się oni przedrzeć. Gdyby tak miało być, natychmiast wysyłaj gońca do sztabu.

Pomknął dalej, na prawe skrzydło.

Siczowcy kilkakrotnie już próbowali się przedrzeć, ale szli małymi gromadkami, jak żurawie miotane przez wicher. Od czasu do czasu po kilku ludzi wypadało z jaru i dzikim okrzykiem poczynano biec

do lasku. Lecz częstowano ich ogniem karabinów maszynowych, strzelając do nich jak do szpaków, spadali więc w szczeliny, nie dobiegłszy nawet do środka jaru.

W południe Denys wysunął się na pagórek i zobaczył, że siczowcy suną już nie gromadkami, ale szeroką, zwartą, czarną lawiną. Zrozumiał, że oto nadeszła chwila, o której mówił Szczors.

Goniec pomknął do sztabu. I natychmiast ukazał się znowu — zawrócił go goniec ze sztabu. Szczors rozkazał nacierać. Wzdłuż tyraliery przebiegł dowódca kompanii. Z tyłu za lasem otworzyły ogień działa i grzmiały już bez przerwy. Na lewym skrzydle Denys posłyszał krzyk, gdzieś na prawo grała orkiestra.

Denys poszedł naprzód. Obejrzał się — za nim ruszyli jego chłopcy. Stoczyli się do jaru, szybko go przebiegli i zaczęli wdzierać się na strome zbocze.

Pluton łączył się z plutonem, pułki połączyły swe skrzydła, cała dywizja ruszyła do natarcia. Zdawało się, że dwa czarne, żelazne miecze suną na siebie. Lada chwila żelazo zadzwoni nad łąkami.

— Szybciej. Jeszcze szybciej! — Denys wiedział, że nie słyszą jego słów, ale mimo to krzyczał.

— A - a - a... — słyszał z tyłu za sobą.

Denys biegł. Biegł prosto na ostrze czarnego miecza. Wydawało mu się, że ziemia drży mu pod nogami. Nie czuł wcale strachu. Wręcz przeciwnie, chciał jak najprędzej przebiec tę łąkę i zderzyć się z czarną kolumną siczowców. Biegł bez wysiłku. Był jakby porwany szalonym wichrem i aby nie zostać w tyle, wystarczyło tylko dobrze wyrzucać nogi do przodu. Poza tym czuł, że za jego plecami sunie żywy mur ludzki i gdyby się zatrzymał, mur ten zmiotłby go i potoczył się dalej. Bieg stawał się coraz szybszy; z początku Denys dostrzegał wysoko skoszone ściernisko, czarne miedze, lecz potem wszystko to nabrało jednostajnej, szarej barwy.

Rąbek nieba na wschodzie poczerwieniał, jakby tam gdzieś daleko za naddnieprzańskimi łąkami i zagajnikami paliło się ognisko. Ognisko płonęło coraz mocniej — nikle, czerwone światło sączyło się z ukosa, nie dając cieni.

Syła Żerdiaha, odłączywszy się od Kozaków, szedł zgięty we dwoje, boleśnie odczuwając swoją samotność.

Szeroko stąpając przypominał sobie, jak to kiedyś dawno, trafił w Czernihowie do rzeźni miejskiej, gdy wpędzono tam stado owiec. Owce zatrzymywały się w bramie rzeźni i w milczeniu, wysoko podnosząc głowy, wdychały zapach krwi. Drżały — bały się wejść na gładką, połyskliwą i mokrą, kamienną posadzkę. Nagle jeden baran wyskoczył naprzód... Wyskoczył i zakrzyczał... Właśnie zakrzyczał. Za nim od razu rzuciły się owce, krętorogie barany, owieczki i jagnięta. Biegły pośpiesznie.

— Czemu milczysz? — ochryplym głosem zapytał idący za nim Hawryło.

Zawsze idzie z tyłu... jakby popędzał... zawsze jak cień za plecami — pomyślał Syła Żerdiaha.

— Myślę — odpowiedział Hawryło. I zamilkł.

— O czym? — zainteresował się Hawryło.

— O różnych rzeczach — Syła Żerdiaha przystanął. — Wiesz, jak to bywa, nie chcesz myśleć, myśli same wciąż się do głowy pchają i pchają... Nie opędzisz się im.

Chciał powiedzieć Hawryło, że przed chwilą przypomniał sobie rzeźnię w Czernihowie, gdzie widział gnane na rzeź stado owiec. I jeszcze miał ochotę dodać, że dzisiaj z rana poczuł się wśród Kozaków jak wśród stada owiec. Baran pobiegł gdzieś naprzód, a oni pędzą za nim, tłocząc się lub biegnąc zgodnie, niektórzy zaś z nich, jak na przykład on, Syła Żerdiaha, nawet nie wiedzą, dokąd biegną i po co...

— Nie, ja wiem — powiedział Syła Żerdiaha do Hawryły — teraz wiem wszystko... Tu ona jest — wskazał czerwieniejące przed nimi śniegi — ta nasza prawda. Tam daleko, daleko — wyciągnął do przodu krótką rękę — i ziemia, i wolność, i niepodległość...

— Ech ty, bohaterze ukraiński — szyderczo przeciągnął Hawryło. — Znalazł czas na płacze. Ty warchlaku. Masz babskie serce.

Syła Żerdiaha chciał mu odpowiedzieć. Było co powiedzieć. I było za co podziękować. Tak podziękować, żeby łeb mu się rozpadł na kawałki, jak panu Kijaszcze.

I ty zapłaczesz — pomyślał Żerdiaha. — Zapłaczesz jeszcze gorzkimi łzami.

Zamilkł i szedł dalej. Gdzieś w pobliżu strzelano z karabinów.

Ani na prawo, ani na lewo, ani do tyłu — uporczywie rozmyślał Żerdiaha. — Nie zobaczą już ani rodzinnej chaty, ani żony, ani dzieci.

Gdyby nie Remez i Hawryło gdyby nie oni wszyscy... gdybym tak wtedy w Nieżynie posłuchał Denysa — można byłoby jeszcze wrócić...

Przypomniał sobie Denysa. Jego szczupłą, zawsze uśmiechniętą twarz.

Zabije mnie — pomyślał. — Nie ma dla mnie przebaczenia. I nie będzie zgody między nami.

Teraz już zupełnie blisko strzelano z karabinów. Pobiegli szybciej Kozacy.

Na czele wszystkich biegł Syła Żerdiaha.

Z doliny po śniegu szli czerwoni. Wysypali się z jaru i szli pośpiesznie.

Żerdiaha nie zatrzymał się. Żadna siła nie mogła go już powstrzymać. Biegł, obok niego biegli jeszcze dwaj: z prawej strony — Hawryło, z lewej — wysoki Kozak o wąskich ramionach, w czarnej czapce z czerwonym denkiem.

Któż to jest ten z wąskimi ramionami, w czarnej czapce? — myślał Żerdiaha zapominając o niebezpieczeństwie.

I pobiegł szybciej, żeby wyprzedzić tego w czarnej czapce. Dopełdził go, biegł obok, przyjrzał mu się. Poznał.

— Remez! — krzyknął Żerdiaha. — Syn starego Remeza, Omełko! — wykrzyknął głośno, przeraźliwie. — Widzisz, gdzieśmy się spotkali. Witaj! A gdzie ojciec?

Biegł dalej.

— Daleko — wydało się Żerdiasze, że odkrzyknął Omełko Remez, ale nie mógłby zaręczyć, że posłyszał właśnie taką odpowiedź. Omełko jakby pokazał ręką w dal, ale Żerdiaha znów nie był pewien, czy Remez zrobił ten gest, ponieważ w tym samym czasie Omełko wznosił karabin do strzału.

— Ho! ho! ho! — krzyknął Żerdiaha. — Spieszcie się, bracia!

Wokół niego zawodziły setki głosów podobnych do jego własnego. Zawodziły rozpaczliwie, dziko i strasznie.

— Ho! ho! ho!... Żwawiej!... Sła-a-wa!

A czerwoni wciąż się zbliżali. Wśród tego zgiewku Żerdiaha posłyszał pojedyncze strzały. Złazy się one po chwili w jeden bezustanny,

ciemni gwizd Żerdiaha wciąż biegł i nie mógłby się zatrzymać, nawet gdyby przed nim stanęła sama śmierć.

— Ho! ho! ho!... Sła-a-wa!...

Żerdiaha znów zrównał się z Hawryłą i Omełką Biegli razem. W pobliżu nich wyrosły zwarte szeregi czerwonych. Zaciskała się obręcz.

Nagle Żerdiaha stanął. Zadrżał. Słup powietrza uderzył go w pierś. Zachwiał nim. Żerdiaha zamarł. Kręcił się na miejscu, wahając się, w którą stronę ma iść. Rozglądał się bacznie, spodziewając się spotkać tego, którego oczekiwał tak długo. Jakby wcale nie obchodził go ci, którzy się bili wokół niego. Rozglądał się dookoła i szukał.

Znalazł wreszcie.

Prosto na niego szedł jego syn, Denys. Powoli, chwiejąc się i utykając na lewą nogę. Taki, jakim go zapamiętał — wysoki, smukły, ruchliwy. Tylko bródka zaczęła mu ciemnieć.

— Spotkaliśmy się! — powiedział Syła Żerdiaha.

I rozumiał, że jeszcze tylko chwila — i nastąpi koniec wszystkiego. Zakończy się jego męka, zakończy się droga. Zakończy się tu na polu. Przejdzie po nim syn Denys i zapomni, że przeszedł po swym ojcu. Idąc zaczepi o pierś ojca ciężkim butem i nawet nie przystanie. Pójdzie dalej, utykając trochę na lewą nogę.

— Prędeż! — powiedział Żerdiaha. — Chodź no, synu!

Pragnął takiego zakończenia. Właśnie do takiego końca dążył tak długo.

— Prędeż!

Denys zatrzymał się i uważnie mu się przyglądał.

— Nie! — powiedział Syła Żerdiaha. — Nie będę cię prosił o przebaczenie. Dopędziłeś mnie wreszcie! Ale nie będzie zgody między nami...

— Nie mam syna! — krzyknął Syła Żerdiaha. — Nie mam syna! Postanowił. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Zabij mnie — prosił go w myśli. — Zabij, proszę cię!

Denys stał w milczeniu i coś straszego działo się wokoło nich, chwila ta nie mijała, trwała — ciężka i długa jak zmierzch jesienny.

Syła Żerdiaha zaczął wznosić karabin do strzału. Światło dookoła przygasło, zmrok coraz głębszy zapadał mu w duszy.

Zobaczy, że celują do niego — pomyślał Żerdiaha — i zabije mnie. Szybciej!

— Zabij mnie! — prosił.

Celował do syna. Celował prosto w pierś. I zobaczył to, na co tak długo w napięciu czekał. Syn jego gwałtownie wznosił karabin i wy-celował doń.

Już zaraz — pomyślał Żerdiaha — koniec...

I wtedy zobaczył, że z boku wypadł Omełko. Twarz jego była czerwona, nalana krwią. Straszny był Omełko Remez. Czapkę z głowy zerwał mu wiatr. Włosy miał rozwiane. Omełko wznosił karabin i celował..

— Do kogo ty? — krzyknął przerażony Syła Żerdiaha. — Do kogo ty celujesz?

Omełko Remez celował do jego syna Denysa!

— Omełko!

Żerdiahe opadł strach przed tym, co ma się stać za chwilę. Omełko celuje do jego syna. Minie jeszcze sekunda i Denys upadnie na tę kijowską ziemię.. Stary Remez najpierw wyciągnął z domu Żerdiahe — ojca, żeby doprowadzić go do walki z własnym synem tu, pod Kijowem, a teraz nasyła Omełkę, żeby mu syna zabił.

— Do kogo? — krzyknął jeszcze raz Syła Żerdiaha.

Pośpiesznie zwrócił karabin w stronę Omełki. Prawie nie celował. Z lufy karabinu trysnął żółty snop ognia i rozlał się po całym niebie. I Syła Żerdiaha zobaczył, jak Omełko Remez pada na ziemię.

— Stało się! Tak trzeba było! — powiedział cicho Syła Żerdiaha. I w tej chwili poczuł ból w piersi. Pociemniało mu w oczach, upadł na ziemię.

A gdy już leżał, zobaczył na różowym niebie karawanę błękitnych chmur.

— Szkoda! Nie widać końca karawany.

Żerdiaha zamknął oczy, poczuł się lekki i spokojny.

Denys nie strzelał. Z lufy jego karabinu nie wytrysnął płomień. Nie słyszał wystrzału. Ale ojciec — Syła Żerdiaha — wypuścił z rąk karabin, ugięły się pod nim nogi w kolanach i upadł. Denys rzucił się naprzód do niego — ojciec leżał z zamkniętymi oczami, szeroko rozkrzyżowawszy ręce.

Dopiero wówczas zobaczył Denys, jaka zawierucha rozpętała się dookoła. Kolumny siczowców drgnęły i zawróciły. Dopadli ich jeź-

dżcy i siekli, siekli bez litości. Ostro pachniało dymem i krwią. Wszystko pędziło naprzód, szaleńczo, niepowstrzymanie, jak wichura.

I Denys na czele swego plutonu pobiegł dalej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Urzędy w pośpiechu opuszczały Kijów. Z Kreszczatiku bulwarem sunęły na dworzec samochody, wozy wyładowane meblami, dywanami, obrazami w złożonych ramach. Gazety donosiły, że w Kijowie brak miejsca dla wszystkich urzędów i dlatego niektóre z nich zostaną przerzucone do pobliskich miast.

Pod samym Kijowem, koło Darnicy, przez kilka dni toczyła się zacięta walka. Z kijowskich wzgórz na wschód ponad łąkami leciały samoloty i pośpiesznie wracały. Pociski wpadały często nawet do miasta — wybuchały na Peczersku i Padole. Przez miasto na dworzec maszerowali siczowcy...

A gazety pisały, że pod Kijowem, na lewym brzegu Dniepru, zgromadzona jest olbrzymia armia, że bolszewików naumyślnie puszczono pod Kijów, żeby ich tutaj — obdartych, głodnych — zniszczyć doszczętnie... Spokój, panowie, spokój — historia pracuje tylko dla nas, na nas są zwrócone oczy całego świata...

Agencja telegraficzna donosiła z Odessy, że metropolita Płaton zwrócił się do sojuszników z listem:

„Do Was, szlachetni Amerykanie, wśród których spędziłem dziesięć najpiękniejszych lat swego życia, do Was, odważni Francuzi i Anglicy, do Was, bohaterscy Włosi — zanoszę swoje błaganie: dopomóżcie i wesprzyjcie Waszą sojuszniczkę Rosję!

I do Was, Grecy, współwyznawcy nasi potomkowie starożytnych filozofów, którzy dali początek kulturze całego współczesnego świata, a także do Was, Serbowie, Słoweńcy, Chorwaci i Czarnogórcy — bracia jednej krwi i jednej wiary — zwracam swoją gorącą prośbę: nie opuszczajcie w nieszczęściu wielkiej Rosji!”

Ten list metropolity poparty był lakonicznymi depeşami z Chersona, Nikolajewa i Odessy, że wylądował tam nowy desant Ententy... Pozornie panuje spokój, a więc — opanowanie i spokój, panowie.

W garderobach artystów, za sceną, ministrowie i sekretarze śpiesznie przygotowywali memoriał, odezwy, noty do wszystkich narodów świata..

Członek KC eserowców, opierając się o budkę suflera, zasypywał zebranych gradem słów:

- Prowokacja. Umowa z Ententą nie podpisana..
- Dać tu Rakowa. Gdzie Rakow?
- Rakowa nie ma. W podróży służbowej.

Dzienia krzyknął tak, że nie poznał własnego głosu:

— Na cóż tu Rakow? Nie chodzi nam o Ententę. Trzeba się oprzeć o siły realne. A skąd mamy wziąć te siły? Na kim się mamy oprzeć? Jeśli Europa uznaje..

Członek KC eserowców bił pięścią o budkę:

— Dopiero co wróciłem ze sztabu frontu. Kijów jest zagrożony. Francuzi i Anglo-Amerykanie dopomagają wyłącznie z poczucia braterskiej solidarności. W Fastowie jest jeszcze jedna dywizja siczowców... Z pomocą ich i sojuszników nigdy nie oddamy Kijowa...

Dzienia też podszedł do budki.

Niech będzie, co chce. Teraz albo nigdy. Potem będzie za późno. Myśli przylatywały i odlatywały, trzepotały jak skrzydła ptasie. Odwagi.

I rzeczywiście, poczuł się silny, postawił życie na kartę.

Gabinet ministrów jest nietrwały. Albo wszystko przepadnie, albo wysunę się na jedno z pierwszych miejsc.

I namiętnie, z zapalem zaczął przemawiać.

— Na skutek polecenia KC przyłączyłem się w Czernihowie do oddziałów bolszewickich. Szedłem z oddziałem bohuńczyków, którymi dowodzi Szczors, prawie do Kijowa. Opowiem, co tam widziałem, panowie, czego mamy się spodziewać, o co spieramy się teraz, kogo mamy się trzymać: bolszewików czy Ententy? W Czernihowie widziałem setki rozstrzelanych... morderstwa po wsiach.. Kto idzie przeciwko nam? Idzie żywioł — Moskale, Chińczycy, Łotysze. Przeciwno nim, przeciwko obcym występuje nasz naród... Po przejściu pułków Szczorsa zaczynają się rozruchy niezadowolonych. Sam widziałem wyszkolony, wspaniały oddział, którym dowodzi nasz eserowiec Dowhalewicz.

Wiecej więcej kłamstw — myślał Dzienia. — Więcej krwi. Przerazę ich.

Członek KC, przewodniczący zebrania, niby przypadkowo położył rękę na rękę Dzienia i uściskał ją.

Nigdy tego nie zapomnę — przeczytał Dzendia w jego oczach.
— Niech się pan uspokoi, panie Dzendia... Proszę szklankę wody...
Niech się pan nie denerwuje — prosił członek KC.

— Dziękuję... Nie, nie chcę wody. Nie mogę się uspokoić. Denerwuję się, skoro wspominam niedawne dzieje — sprzed tygodnia, kiedy przebywałem wśród bohuńczyków i gdy patrzę teraz na niesnaski wśród członków naszej partii socjalistów-rewolucjonistów... Czy można się wahać?... W takim czasie? I przed czym? Przed nawałą sunącą z północy? Nie, panowie, lepiej związać się z kimkolwiek — z Ententą, z Murzyhami, ale prowadzić walkę do końca, do zwycięstwa...

Dosyć — powiedział sobie Dzendia — dosyć, bo można zabrnąć za daleko.

Usiadł na miejscu.

— Powinniśmy wyrazić zaufanie naszemu rządowi, uchwalić uniwersał do ludu, odezwę do wojska, notę do wszystkich państw świata... i dziś zakończyć posiedzenie pierwszej sesji Kongresu Pracy.

Dzendia pierwszy wysoko podniósł rękę.

— Tego przemówienia Ukraina nigdy panu nie zapomni — powiedział Dzendi podczas przerwy członek KC.

— Jestem szczęśliwy, szczęśliwy... — wyrwało się Dzendi. — Zawsze byłem szczęśliwy... Chciałbym tylko... obecnie jestem do dyspozycji KC Chciałbym mieć jakąś realną funkcję w ministerstwie lub w aparacie Dyrektorii... Bliżej mas.

— Dziś w nocy będę na audiencji u premiera. Przypomnę mu o was.

Załatwione — ucieszył się Dzendia. O moim przemówieniu zapomną! Byle tylko być bliżej ministrów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

W dużym pokoju hotelowym już od dwóch godzin trwało posiedzenie gabinetu Dyrektorii. Dowódca korpusu obłąnczego Konowalec poruszał lisim pyszczkiem, jeżył rude wąsy, wyrzucał z ogromnej teczki różne papiery, stukał ołówkiem i wciąż bez przerwy referował sprawy. Komendant miasta, Kowenko, ociężały, zaspany, często wychodził na korytarz i telefonował na Podwalną do Komen-

dy Miasta, wymieniając coraz to inne nazwiska. Naczelny ataman oglądał rozłożone na stole mapy.

— Dyslokacja podstawowych jednostek na dzisiaj — czytał szef sztabu korpusu obłężniczego Konowalec — jest następująca: w okolicy Kijowa formuje się specjalny korpus kolejowy, w akcji jest dywizja „szarych żupanów“, pierwsza dywizja strzelców siczowych, pod stacją Browary — grupa pułkownika Rogulskiego... Te jednostki bronią Kijowa. Oprócz tego w Chodorowie działa ataman Stepanura, w Mohylowie — ataman Kirijenko, w Rozdzielnej — ataman Grigorjew; w Żytomierzu stoi 1. korpus, w Winnicy — 2. korpus, w Barze 10. korpus w akcji, w Jelizawetgradzie — ataman Hulyj. Właściwie to możemy się oprzeć tylko na 9. i 10. korpusie...

— Jaki jest nastrój w tych oddziałach?

— Doskonały — odpowiedział Konowalec — chociaż zdarzają się wypadki..

— Konkretnie.

— W Bałcie zbuntowały się pułki.. 55. i 59. przeszły do czerwonych. Powstanie w Bobryńskiej. Tuż pod Kijowem powstanie — nasze jednostki zostały rozbite i cofają się do Kijowa...

— Może już dosyć tego? — podniósł głowę naczelny ataman. Usta jego wykrzywiały nieprzyjemny grymas. Czerwone uszy poruszały się, zdawało się, że skóra na nich lada chwila pęknie i tryśnie krew.

— Mogę przerwać! — uśmiechnął się Konowalec.

— Otóż — naczelny ataman wstał i niezgrabnie, chwytając się krzesła, przeszedł po pokoju — sytuacja jest taka..

Członkowie gabinetu siedzieli w fotelach zamyśleni i milczący, jak starożytni mędrcy. Konowalec, usiłując nie szeleścić papierami, pośpiesznie podpisywał jakieś rozkazy... Kowenko stał przy oknie, jakby obserwując kogoś na ulicy.

— Humań, Zwienigorodka, Czerkasy, Smiła, Bobryńska zajęte są przez czerwonych. W Ryszczewie — naczelny ataman odwrócił się do stołu i patrzył na mapę pokreśloną czerwonym i niebieskim ołówkiem — członków Dyrektorii ogłoszono za wyjętych spod prawa. Charków zajęty już dawno, Czernihowa nie mamy. Tu klinem wysuwają się nasze stanowiska za Dniepr pod Kijowem i nie mamy już całej lewobrzeżnej Ukrainy. Powstaniem w Humaniu wbito nam nóż w plecy... Taka jest nasza sytuacja: oddać Kijów, czy nie?

— Bolszewicy rzucili wszystkie swe siły z północy — odezwał się Winniczenko.

— Milczeć — gniewnie przerwał mu Petlura. — Nie chodzi o bolszewików. Oni idą z północy, ale kogo mamy na tyłach? Nahajami ich wszystkich trzeba przetrzepać, odrodzić pańszczyznę, trzymać ich w niewoli, a nie cackać się z nimi!

— Będziemy bronić Kijowa do ostatka! — chmurnie, bez cienia uczucia powiedział Konowalec.

— Bronić? — spojrzął nań z ukosa Petlura. — Kim?

— Siczowcy...

— A gdy zabraknie tych jednostek, a zabraknie ich niezawodnie... Co wtedy?

Nikt nic nie odpowiedział.

— Ale z drugiej strony — po chwili milczenia mówił dalej Petlura — mamy wspaniałe perspektywy. Nadchodzą korpusy wojsk z Galicji. Panie Melnyk — zwrócił się do szefa sztabu generalnego — co donosi sekretariat generalny ze Stanisławowa?

— Tam działa 9. i 10. korpus. Ze Stanisławowa obiecują..

— Właśnie o to chodzi — poderwał się Petlura. — Należy zaoszczędzić je na później. Otóż jeśli dodamy te dwa korpusy do naszych pięciu, powstanie wielka, silna armia. Poza tym ostatnie depesze z Odessy donoszą o całkowitej zgodzie Ententy.. Ententa nas uznaje i udzieli nam pomocy. Jeszcze nie wszystko stracone.

— A Kijów? — padło od stołu.

— Kijów opuszczamy.

Konowalec i Kowenko opuścili pokój. Naczelnny ataman siedział w fotelu, głęboko zamyślony. Zdawało mu się, że całe ciało ma zbite i poszarpane.

Za oknem mignęły światła przejeżdżającego tramwaju. Wzdrygnął się. Z każdego okna może oczekiwać wystrzału. Każda szybka w oknie może zdradzić.

Uciekać, uciekać, uciekać! Jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba spróbować! Oprzeć się na Entencie, na Rzymie, Ameryce. Uciekać do Żytomierza, Winnicy. Spróbować jeszcze raz... i dopiero wtedy uciekać choćby do Paryża..

Wstał z fotela i podszedł do drzwi. Stał tam, zalękniony, przytułwszy się do framugi, członek Dyrektorii Szweć.

— A. to ty? Pilnujesz? Chcesz sprzedać?

I wpił się kościstymi palcami w ramiona Szwecia.

— Siadaj!

Przebiegł przez pokój i nagle przypomniał sobie:

— W safesach Dyrektorii były brylanty zabrane jubilerom kijowskim. To miliony karbowanów, to waluta, z którą można wyjechać do Europy. Gdzie brylanty?

Wieczorem rozeszła się wieść, że brylanty z safesów znikły.

— Gdzie brylanty? — zatrzymał się przed Szweciem. — Klucze były u ciebie.

Szwec histerycznie zatrzepotał rękami. Na twarz wystąpiły mu czerwone plamy.

— Gdzie brylanty?

— Zginęły.

— Odpowiadaj.

— Winniczenko miał służącą Paraszkę. Z Połtawszczyzny. Piękna. Pokochałem ją. Zabiegałem o jej miłość.

— Tfu!

— Obdarowywałem ją, mówiła mi, że Winniczenko daje jej więcej. Dawałem pieniądze — mówiła, że Winniczenko ma więcej. Więc ja...

— Dałeś jej brylanty?

— Tak... Wzięła brylanty i uciekła do Warszawy.

Petlura z całej siły uderzył Szwecia w twarz. Szwec skoczył i odpowiedział tym samym naczelnemu atamanowi.

W nocy została przekazana telegraficznie nota do rządu polskiego:

„Rząd Wysokiej Dyrektorii powiadamia, że polityczna awanturka bolszewicka Paraska Koziura skradła kosztowności — brylanty — należące do państwa i uciekła z nimi do Polski. Rząd Wysokiej Dyrektorii prosi o zatrzymanie zdrażczyni i zwrot kosztowności rządowi w jego miejscu pobytu...“

W tym samym czasie Petlura przyjmował przybyłego z Rzymu pana Tyszkiewicza. Pan Tyszkiewicz przesuwiał wychudłymi palcami paciorki różańca, cicho poruszając wąskimi jakby wyrzeźbionymi w kamieniu wargami.

— Papież udziela błogosławieństwa na walkę z bolszewizmem. Ojciec święty obiecuje dopomóc materialnie i moralnie Dyrektorii. Ojciec święty jest pewny, że wasza ekscelencja przejmie się duchem

świętego Kościoła katolickiego, że spłynę na pana łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, a naród pana powróci na łono prawdziwej wiary, wiary katolickiej...

— Amen — odpowiedział Petlura. — Ukraina od dawna pragnie wiary katolickiej. Ale co może nam dać realnie Ojciec święty? Pieńiądze czy broń?

Z dworca kijowskiego w ciemną noc popelził pociąg jak żółta, wypukłooka gąsienica.

W trzecim wagonie od lokomotywy pijany ataman Petlura uga-
szczał Szwecia.

— Odzyskamy brylanty, Symonie! Znajdziemy Paraskę w Warszawie. Jeszcze będziemy mieli za co pojechać na zachód i zabawić się tam. I Paraskę zabierzemy ze sobą — bełkotał Szwec.

Danzanel, rumuński markiz, mason trzydziestego trzeciego stopnia, obiecał pomóc Petlurze, gdy tylko jego wojska zblizą się ku granicom Rumunii.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zebrania Kongresu odbywały się nadal, uroczyste i podniosłe. Światło zalewało salę i łoża. Nic nie mogło się ukryć przed bacznym okiem wartowników.

Czytano uniwersał do ludu pracującego. Do odczytania go został zaproszony diakon z soboru. Czytał potężnym basem, przeciągając wyrazy, jak w cerkwi czyta się modlitwy. Niektóre ustępy uniwersału, które przez poetę zostały wystylizowane na modłę wiersza, prawie śpiewał. Delegaci siedzieli z na poły przymkniętymi oczami, wdrygając się, gdy bas diakona zabrzmiał głośniej.

Tenże diakon rozpoczął hymn; śpiewano go w zbyt szybkim tempie, więc mogło się zdawać, że to jakaś wesoła piosenka.

Potem odczytano odezwę do wojska, pełną aluzji do przeszłości. I znów śpiewano.

Rumiany profesor w ciemnych okularach w żółtej oprawie czytał notę skierowaną do wszystkich państw świata, do bratniej Francji, do wyznającej tę samą wiarę Grecji... Potem jeszcze raz zaśpiewano.

Przewodniczący Kongresu podsumował twyniki.

— Kongres Pracy zostanie zapisany w dziejach jako fakt historyczny.. Kongres ten wzniesił i w nas, i w naszym ludzie pracującym pragnienie walki i zwycięstwa — mówił przewodniczący. — Teraz nie oddamy Kijowa za żadną cenę. Wszyscy pójdziemy w bój! Pierwsza sesja Kongresu kończy się dzisiaj. Za tydzień lub dwa, po specjalnym ogłoszeniu, Kongres wznowi swe prace. Chwała Kongresowi!

Dzienia krzyczał „chwała“ z całych sił, aż gardło go rozboleło.

Czekał, dopóki wszyscy wyjdą z sali — chciał jeszcze raz podejść do członka KC; nie szkodziłoby nawet odprowadzić go do domu. Gdzie on może mieszkać? Oczywiście w centrum: w pasażu czy w kamienicy Ginsburga? Nie, raczej w hotelu! Koniecznie trzeba go odprowadzić! Może da mu od razu jakieś ważne zlecenie... Ach, gdyby tak jakieś naprawdę ważne zlecenie!.. No, na przykład w charakterze przewodniczącego delegacji — pojechać do czerwonych. Zaproponować im poddanie się! To dopiero będzie heca! Powie Szczorsowi: pana rozstrzelać, co dziesiątego rozstrzelać, oddać broń, wysłać komunistów na wyspę Tendrę lub...

Członek KC znikł. Dzienia poszedł za scenę — było tam pusto i zimno. Tylko jego własny płaszcz samotnie wisiał w szatni.

A, do diabła — wymyślał podnosząc kołnierz. — Straciłem taką wspaniałą okazję... Teraz szukaj gol!

Wyszedł na ulicę.

W mieście było ciemno. Gdźieniedzie na Kreszczatiku i Władimirskiej paliły się lampy. Zaułki i małe uliczki pogrążone były w ciemnościach.

Dzienia poszedł Władimirską, żeby skrócić w zaułek Iryniński — i schodami zejść na Michajłowską. A tam na placu Dumy, gdzie mieszkał w hotelu wojskowym, zaraz położy się do łóżka, okryje kołdrą, wygrzeje się.

I będzie marzyć, marzyć, marzyć!

Idąc powoli i ostrożnie, myślał, że może w tej chwili członek KC eserowców jest na audyencji u premiera, może teraz, gdzieś tu nie opodal, w dawnej siedzibie gubernatora lub we wspaniałym hotelu na Nikołajewskiej, członek KC eserowców stoi na lustrzanej posadzce w poczekalni i uroczyście wymawia nazwisko, które dźwięczy jak szmer fal.

— Dzendia... Dzendia!... Dzen-dia-a-a! dia!

Aż przystanął. Ten głos dźwięczał nie tylko w jego wyobraźni — rozlewał się dokoła, wypełniał ulicę. Zdawało się, że ktoś stoi tuż przy nim i śledzi go... Nie członek KC eserowców, ale ktoś inny.

— Kto idzie? — krzyknął w ciemnościach przerażony Dzendia i przestraszył się własnego głosu.

Jeszcze bardziej przestraszył się, gdy tuż obok od strony budynku ktoś odpowiedział mu:

— A ty kogo szukasz!?

— Ja... — Dzendia poczuł mrowie przebiegające mu po plecach.

Po jakiego diabła poszedłem tą ulicą? — przemknęło mu przez myśl.

— Ja... — powtórzył jeszcze raz.

— Mów: kto? — zapytał ktoś obok i Dzendia tym razem wyczuł w głosie pogróżkę.

— Ja... — mówił szybko — ...ja swój — delegat Kongresu. Proszę, tu mandat! Członek Kongresu Pracy!

Wyjął z kieszeni swój mandat, podał go człowiekowi, który podszedł do niego.

Zabije — myślał uporczywie Dzendia. — Tak doskonale wszystko szło... KC eserowców... I taki przykry wypadek.

Nieznajomy potrzymał chwilę mandat i zwrócił go Dzendi.

Prędej, uciekać od niego.

Nieznajomy poprosił go jeszcze o papierosa. Dzendia gotów był oddać mu wszystkie.

Od razu zawrócił z Irynińskiego zaułka. Lepiej iść Włodimirską i Kreszczatikiem.

Naprzeciw niego jechały wozy, toczyły się z łomotem po bruku armaty. Często spotykało się patrole, które sprawdzały dokumenty. Wtedy uroczyście wyjmował mandat członka Kongresu Pracy.

Z prawem decydującego głosu... Dzendia... Tak, właśnie. Dzendia. Proszę, proszę, przeczytać, teraz takie czasy. Do zobaczenia, panowie. Powodzenia, powodzenia...

Na Kreszczatiku było pełno ludzi. Potok wojskowych, płynący od Dniepru, na rogu Funduklejewskiej dzielił się na dwa nurty. Znowu sprawdzano dokumenty.

— Proszę bardzo, panowie! Takie czasy! Do zobaczenia!

Do hotelu przyszedł mokry od potu. Krótka droga, ale szedł bardzo szybko. Zaraz do łóżka. Marzyć, marzyć! Może zatelefonować do KC? Nie, zrobi to jutro!

W hotelu, gdzie co wieczór w pokojach rozlegały się pijackie piosenki, gdzie grała muzyka i było pełno ruchu i krzyków, panowała zdumiewająca cisza. Zatroskany czymś portier stał w przedsionku, jakby przygotowany do ucieczki: miał na sobie walonki, kozuch i czapkę z nausznikami. W poprzek schodów leżał fortepian.

— Co się stało? — podbiegł do portiera.

— Wszyscy wyjechali! Potłukli wszystko, pozdejmowali firanki, dywany... poobdzierali obicia z foteli. Fortepianowi nie dali rady, porzucili.

— Dokąd? Jak?

— Co też pan pyta? Spadł pan z księżycą? Uciekają! Cała armia opuściła Kijów. A ci przed wieczorem ruszyli zza Dniepru! Doigrali się. Koniec! Ale co ja mam robić? Może grać na fortepianie? O, gdybym umiał, to zagrałbym im tak, że...

Dzienia pobiegł do swego pokoju. Przestraszony, miotał się z kąta w kąt.

— Jakże to tak? Za tydzień sesja Kongresu — a oni opuszczają Kijów. Gdyby tu był członek KC, pomówiłbym z nim, poradził się.

Jak mysz w pułapce biegał Dzienia po wąskim pokoiku. Zabrał się do pakowania rzeczy do walizki.

— A co z tym robić?

Wziął do rąk bieliznę.

— A, do diabła! — I bielizna poleciała na podłogę.

Wreszcie zerwał koc z łóżka. Pokręcił go w rękę. Zwinął w wałek. Owinął nim szyję.

Zimno na dworze! Na diabła to wszystko?! Uciekać! Uciekać!

Pobiegł schodami na dół. Natknął się na portiera.

— I ty? — podbiegł do Dzienia. — Dokąd niesiesz koc? Oddaj, mówię ci! Oddaj! Złodzieju!

— Zabiję cię, bydlaku! — krzyknął Dzienia. — Tu rewolucja ginie, a on ze swoim kocem.

— Nie masz w sobie żadnych ludzkich uczuć! — klął za nim portier. — Złodzieje, szachraje! Tylko aby zabrać wszystko! A kto będzie dawał?

Znów Kreszczatkiem i bulwarem pobiegł Dzendia na dworzec, patrole już nie sprawdzały dokumentów, więc zmieszał się z tłumem przechodniów i popłynął wraz z nim. Na przedzie jechali kawalerzyści — wyprzedził ich. Walcząc, radząc sobie pięściami, przebił się przez zaludniony, zapelniony działami, kuchniami polowymi, woza-
mi plac dworcowy.

Wartownicy nie chcieli go wpuścić, więc wymachiwał swym mandatem.

— Jestem członkiem Kongresu Pracy!

— Idź do diabła z tym swoim Kongresem.

Wyrwał się im i wyskoczył na peron.

W tej samej chwili z peronu ruszał pociąg. Kusząco błyszcząły okna. Za wagonami pędziły setki ludzi, coś wykrzykiwali, grozili, prosili Pobiegł i on. Skoczył na platformę wagonu. Ktoś uderzył go w pierś.

— Też znalazł się minister! Wyoń się!

Upadł, mocno stłukł kolano. Ale wstał od razu i pobiegł znów.

— Aby tylko wsiąść! Jakież to byłoby szczęście!

Jedna po drugiej przelatywały przed nim platformy wagonów. Wszędzie było pełno. I nagle dostrzegł pustą platformę. Nikogo! Żywego ducha! Pobiegł szybciej, o coś zaczepiał nogami, w coś uderzał rękami. Wreszcie uchwycił się poręczy i wskoczył.

Na platformie nie było nikogo. Wolna. Po ciemku usiadł w kąciku na brudnej, zaplutej podłodze i owinał się kocem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Dookoła panowała niezwykła cisza. Żerdiaha próbował obrócić się na bok, żeby zobaczyć, gdzie się znajduje, ale nie zdołał. Odczuwał tępy ból w piersi, nie mógł poruszyć ręką, aby się na niej oprzeć.

Otworzył oczy. Nad nim, jak namiot, wisiało czarne, nocne niebo. Błyszczał Czumacki Szlak*, gwiazdy powoli przesuwwały się.

Późno już! — pomyślał Syła Żerdiaha. — Bo Wielki Wóz już obrócił się dyszlem aż tutaj.

Ktoś obok w ciemności powiedział głośno, prawie zaśpiewał:

* Czumacki Szlak — Mleczna Droga

— Nad rzekami Babilonu siedzieliśmy i płakali...

I zakończył werset straszny, szaleńczym wybuchem śmiechu, od którego Żerdiaha zadrżał.

— Płakaliśmy... Płakaliśmy... — powtarzał ktoś w ciemnościach.

Wśród ciszy dosłyszał Żerdiaha odgłos rżenia w ludzkiej piersi. W pobliżu niego ktoś umierał, zachłystując się krwią, i w męce śmiertelnej powtarzał bez przerwy ten werset, uparcie tkwiący mu w mózgu.

— Siedzieliśmy i płakaliśmy!... U-u-u... — płakaliśmy!...

Wśród ciszy nocnej posłyszał Żerdiaha jeszcze inne dźwięki. Były to jęki i westchnienia. Ktoś obok cierpiał, ktoś inny usiłował powstrzymać swe jęki, ale to tylko zrozumiał Syła Żerdiaha, że leży tu nie on jeden, lecz wielu żywych ludzi, wśród nich zaś wielu takich, którzy nie są już w stanie poruszyć się i umierają.

I mój koniec nadszedł — pomyślał Syła Żerdiaha. — Dopiero tutaj nastąpi mój koniec.

Przypomniał sobie ostatni dzień. Właściwie wspominać nie było o czym. Biegnie polem i pragnie tylko jednego — umrzeć, bo dalej tak żyć już nie może. Potem spotyka Denysa. A może to nie Denys... nie, na pewno to nie był Denys. Ten, kogo spotkał Żerdiaha, miał twarz bardzo podobną do chłopca, którego... to było pod Czernihowem... i do tego młodzika ośmielił się celować Omełko Remez — bogacz przeklęty. Nie wystrzelił, bo kula Żerdiahy trafiła go w serce, ale przedtem Remez zdążył jednak strzelić do Syły. Żerdiaha poczuł, jak kula przeszła jego ciało, i gdy zgiął przed chłopcem kolana — zwyciężony, postrzelony — było mu tak dobrze, jakby go unosiły fale morskie... I Denys podbiegł do niego.

A jednak — pomyślał Żerdiaha — nie umarłem. Nie udało mi się polec w bitwie. Umieram niesławnie, porzucony i zapomniany!

— Ludzie! — zaczął Żerdiaha. — Ludzie najmiłsi! Ja-a-a...

Zamilkł. Kogo prosić? Gdzie on jest? Kto może przyjść tutaj? Kto mu pomoże? Komuż to on tak pomagał, żeby teraz ten dłużnik przyszedł do niego i miłosierdziem spłacił swój dług?

— Ludzie! — Nie mógł powstrzymać się Żerdiaha. — Ludzie najmiłsi! Zawiniłem! Moja wina nie pozwala mi umrzeć!

Długo jęczał i wołał, głos jego osłabł, już nie mógł nawet jęczeć — nie miał sił. Długo jeszcze leżał w milczeniu i nasłuchiwał, jak jęczy

pole pełne męki ludzkiej, jak płacz wplata się w czarne przedziwo nocy.

— Nie płakaliśmy... nie płakaliśmy — poderwał się ktoś obok niego, ale zaraz ciężko padł na ziemię i boleśnie się potłukł.

— Wieczny odpoczynek! — powiedział Żerdiaha.

Popłynął dalej czarną wodą i płynął tak bardzo długo. Woda była nieruchoma, nikt nie poruszał wiosłami, ale łódź wciąż płynęła naprzód i oto nagle na przodzie zaświeciła gwiazdka — na stromym zboczu płonęło ognisko.

Wskazują nam drogę! — domyślił się Żerdiaha.

Łódź płynęła dalej, wpadła w wir przybrzeżny, gwarzyła woda. Ođ ogniska odeszła kobieta i zbliżyła się do nich. Żerdiaha zobaczył w smudze światła jej twarz.

— Zupełnie jak siostra miłosierdzia! — powiedział Żerdiaha wpatrując się w tę twarz i w białą chusteczkę na włosach.

— Jeszcze żyje — posłyszał głos obok. — Ranny w pierś. Trzeba go zabrać.

Ognisko zgasło.

Zasnął. Trudno było powiedzieć, czy długo spał. Może godzinę, może bardzo wiele godzin. Gdy się obudził, nie leżał już w polu, ale na łóżku i nawet nie otwierając oczu poczuł, że ma na sobie leciutką, ciepłą kołdrę, leżał na szeleszczącym, nakrochmalonym prześcieradle, a pod głową miał miękką poduszkę.

Mleczne światło zalewało salę.

— Nie świtało i dnia nie było, a już wieczór! — powiedział Syła Żerdiaha.

Na sali szpitalnej łóżka stały w dwa rzędy. Leżeli na nich ludzie. Byli nieruchomi, a twarze ich wszystkich były podobne do siebie. Twarze miały jednakowy, ziemistozielony kolor, oczy były zamknięte. Jeden, leżący naprzeciw, miał długie, czarne wąsy, opadające na policzki.

Jakby ktoś przykleił mu te wąsy — pomyślał Żerdiaha. — I na co mu one potrzebne?

Do łóżka zbliżyła się kobieta. W białym odzieniu, w białej chusteczce z czerwonym krzyżem.

— A ty skąd jesteś, młódko? — zapytał Żerdiaha.

— Proszę milczeć — odpowiedziała mu. — Nie można mówić.

— Ja tylko tak — wyszeptał. — Jak się nazywasz?

— Maria.

Wydało mu się, że gdzieś już widział tę dziewczynę. Od razu przemknęła myśl: gdzie mogłem ją widzieć? Nie, nigdy jej nie widział. Wydaje mu się.

Nazwisko? — spytał krótko i nawet podniósł głowę znad poduszki.

— Nazywam się Żerdiaha. Maria Żerdiaha — odpowiedziała i to głównie dlatego, żeby on milczał.

— Więc to tak! — zamknął oczy. Już nie widząc światła, powiedział sam do siebie, ale ona wyraźnie posłyszała jego słowa: — Nawet nie wiedziałem.

Po całym świecie chodzi Żerdiahy — pomyślał. — Gdzie się tylko ruszyć, spotkasz Żerdiahe. Żerdiahowie, syn i ojciec, walczą ze sobą, inni Żerdiahowie przyglądają się temu.

— Proszę wypić krople, pochyliła się nad nim.

Przecież to wtedy... we wsi, wieczorem, kiedy poznałem się z Hawryłą, widziałem ciebie, a teraz patrz, gdzieśmy się spotkali — przypomniał sobie Żerdiaha.

Widział blisko przy sobie jej nachyloną nad nim twarz. Zwłaszcza blisko były oczy. Nie dostrzegał ich koloru, nie widział tego, że jej szare źrenice były nakrapiane czernią — odczytał z jej oczu co innego.

No cóż, jak umierać, to umierać! — pomyślał Żerdiaha.

W tej chwili ktoś głośno i blisko, tak że słyhać było w całej sali, wypowiedział jedno słowo i to słowo wywołało dreszcz u wszystkich leżących na łózkach. Zielonkawoziemiste twarze poruszyły się, zadrdzał wąż sąsiada, siostra odeszła od łóżka ku drzwiom...

— Szczors!

I Żerdiaha, który czuł się zupełnie wyczerpany wypowiedzeniem tamtych kilku słów do siostry, zrozumiał jednak, że trzeba wyteńczyć wszystkie siły, podnieść głowę i popatrzeć na tego, o którym tyle słyszał.

Co prawda przed chwilą wyczytał w oczach siostry i sam zaczynał rozumieć, że wszystko jest dlań skończone, że pozostaje tylko śmierć — może nawet już umiera...

Żerdiaha z wysiłkiem uniósł głowę. Choć już umiera, choć nie może się poruszyć, jednak przed śmiercią chce, powinien zobaczyć tego, z kim i za kim szedł Denys!

Żeby go tylko zobaczyć! Trzeba było popatrzeć na niego jeszcze tam w domu i nie opuszczać wsi. Ale skoro już odszedł, to trzeba zobaczyć choć teraz. A potem już nie nastąpi nic strasznego, na tym zakończy się wszystko. Nie wtedy, w bitwie, nie później, gdy konał w nocy na polu, ale teraz, w tej sali, zakończy się jego daleka droga.

Podniósł głowę i patrzył. Przez drzwi naprzeciwko wszedł szczupły człowiek w białym, lekarskim kitlu. Szedł pewnym, twardym krokiem. Wszedł i przystanął tuż za progiem. Obrzucił spojrzeniem salę. Obok niego stał lekarz i coś mu cicho opowiadał.

To taki jest ten Szczors! — pomyślał Żerdiaha. — Boże mój, Boże! Co ja narobiłem?

Szczors zrobił jeszcze kilka kroków i stanął przy łóżku Żerdiahy. Patrzył nań z bliska, a na twarzy jego zjawiał się nikły uśmiezek. Oczy jego otaczała delikatna sieć zmarszczek. Pytał o coś lekarza, Żerdiaha nie słyszał, o co pytał. Lekarz odpowiedział kilku niezrozumiałymi słowami.

Ale Żerdiaha zrozumiał, że mówią o nim i że mało jest nadziei, aby wyzdrowiał. Jest ciężko ranny, pewno już nie wstanie z łóżka.

Ale ta myśl nie przeraziła go, nie czuł strachu, że może dziś lub jutro będzie musiał umierać. Co więcej — ucieszył się, że jeżeli nawet zakończy życie, to nie jak drapieżne zwierzę, nie jak zagoniony na polu wilk, ale tak, jak umierali jego ojcowie i dziadowie, w łóżku, mając świadomość, że umiera, i zdając sobie jasno sprawę ze wszystkiego, co uczynił i czego uczynić nie zdołał.

Stary Żerdiaha uczył radość. Miał ochotę podnieść się na łóżku, powiedzieć Szczorsowi, że już od dawna wszystko przemyślał, a w tej chwili rozumiał ostatecznie, że został sprzedany, okłamany, że znaleźli się ludzie, którzy poprowadzili ojca przeciwko synowi, ale teraz on, stary, widzi i wie, że się mylił, błędził, że prawdę mówił o Szczorsie i Armii Czerwonej syn Denys.

Ale nie powiedział nic. Nie mógł mówić, nie miał sił, choć gdyby nawet miał siły, to pewnie nie znalazłby potrzebnych w tej chwili słów... Zamknął oczy, zacisnął powieki, ale łzy lały się spod nich strumieniem — stary Żerdiaha płakał i czuł, że robi mu się coraz lżej, tak jakby wraz ze łzami uchodził zeń smutek i rozpacz... Umarły ostatnie pragnienia, zgasły jak iskry, roztopiły się cienie smutku. Przeszłość cofała się jak straszne, wróżące burzę, czarne chmury, które były

straszne dopóty, dopóki przeciągały nad głową, gdy zaś doszły do horyzontu, zamieniły się w szafirowozłociste obłoki. Nic już nie mogło naruszyć błęgiego spokoju jego duszy.

Gdy otworzył oczy, Szczorsa nie było już na sali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

5 lutego 1919 roku ostatnie oddziały Dyrektorii, rozbite pod Browarami, pośpiesznie przeszły przez miasto. Droga ich prowadziła poza Kijów. Na ulicach słychać było ostatnie wystrzały, rozpaczliwe krzyki kobiet.

Zasypane śniegiem miasto ogarnęła wieczorna, pełna napięcia cisza. Ulice były puste. Wszyscy czekali na przyjscie czerwonych, ale obawiali się, że oddziały Dyrektorii jeszcze raz wpadną do Kijowa i znów zacznie się straszny, koszmarny pogrom. Mógł on rozpocząć się w każdej chwili — na Górze Batyjowej słychać było strzały, wrzało jeszcze w Kureniówce.

Z podziemi konspiracji wyszedł komitet wykonawczy, nawiązał łączność z rejonami, sekretarz komitetu gubernialnego partii nie opuszczał sztabu; na spotkanie czerwonych wyjechała delegacja robotników z Arsenału i z fabryki Gretera. Sekretarz nawiązał łączność z rejonami, nakazał wzmocnić obronę, zwłaszcza na Padole, gdzie pet-lurowcy jeszcze gnieźdźdźli się i próbowali grabić ludność cywilną.

Na spotkanie czerwonych z rana wyjechała delegacja: dzień się już kończył, a ona wciąż nie wracała. Próbowano nawiązać łączność telefoniczną z Darnicą, z Browarami. Druty telefoniczne przy Dnieprze były przerwane i w żaden sposób nie można było nawiązać łączności.

Ale już patrole rozpoznawcze, a wraz z nimi przedstawiciele dowództwa dywizji, wjeżdżali do Kijowa. Delegacja, która przybyła do dywizji stojącej w Darnicy, zawiadomiła, że ostatnie oddziały Dyrektorii już opuściły Kijów. Ale patrole jechały rozglądając się bacznie dokoła, oczekując napadu na każdym kroku, zza każdego węgła.

Oto leży przed nimi majestatyczny Kijów, ten, do którego dążyły pułki bohuńcyków i taraszczańcyków. Twardą obręczą lodu skuł go potężny Dniepr. Cicho stoją sady na zboczach, średniowieczne budowle strzelają ostrymi igłami w szafirowe niebo, całe miasto leży przed oczami ciche i milczące. Ale było to czujne milczenie nadziei, miasto czekało. I za czarnymi szybkami okien łatwo się było domyślić przy-

tulonych do zimnego szkła, wyniszczonych, białych twarzy: kto, kto w wieczornym mroku nadchodzi tam od mostu do miasta?

Echo tupotu końskich kopyt unosiło się nad ulicą Aleksandrowską. Na rogu Aleksandrowskiej i Kreszczatiku patroli podzieliły się na dwie grupy — jedna pojechała w dół, na Podol, dokąd poszedł górą jeden batalion bohuńczyków, druga — ruszyła Kreszczatikiem.

Przed nimi leżała pusta, wyludniona ulica. Od strony Kościelnej wyszła grupka ludzi; zobaczyli jeźdźców i ukryli się w bramie. Zapadał zmrok, ale na ulicy nie paliły się lampy. Jeźdźcom zdawało się, że jadą przez pustynię lub przez wymarłe miasto, nie zaś ulicą wspaniałego, wielkiego Kijowa. I tupot kopyt końskich na Kreszczatiku, ściśniętym z obu stron murami wysokich budynków, dźwięczał jeszcze mocniej, jeszcze głośniej.

— Delegaci Rady — w wielkiej sali rady miejskiej odbywało się posiedzenie — wyruszą do rejonów. W nocy petlurowcy spróbują prowokacyjnych wystąpień. Broni mamy dużo, trzeba rozdzielić ją pomiędzy rejony.

Zmrok wypełniał salę. Elektrownia nie funkcjonowała.

Zapalono kilka świeczek. Na ozdobnym suficie poruszały się pokraczne cienie.

Głos mówcy był zachrypnięty z przeziębienia. Przy drzwiach stali wartownicy przepasani taśmami naboi. Przeszępowali z nogi na nogę; naboje brzęczały.

— Musimy wyczerpać wszystkie siły — mówił sekretarz komitetu gubernialnego — zmobilizować wszystkie nasze zasoby, wprowadzić żelazną dyscyplinę w mieście... Robotnicy Arsenału ochraniają Peczersk, przedstawiciel sztabu odbędzie zaraz tutaj naradę z pełnomocnikami rejonów...

Wysoko wznosiły się języki świec. I nagle języki te zadrgały, pochyliły się. Z trzaskiem i hałasem otworzyły się drzwi. Kilku ludzi — uzbrojonych, z karabinami w rękach — stanęło na progu.

— Nasi... — głośno powiedział sekretarz na trybunie — bohuńczycy przybyli.

— Towarzysze — na spotkanie sekretarza komitetu gubernialnego szedł wojskowy — jesteście. Bohuńczycy wchodzą do Kijowa.

— Towarzysze!

— Towarzysze! — grzmiała sala.

Z rana 6 lutego 1919 roku rozszumiał się stary Kijów. Na ulicach czuło się napięcie i pośpiech. Pod nogami topniał śnieg.

Kreszczatik gwarzył męskimi, kobiecymi i dziecięcymi głosami. Nieprzerwanym potokiem płynęły delegacje i robotnicy wszystkich fabryk. Ustawiali się w kolumny po obu stronach Kreszczatiku. I w poprzek ulicy zawieszono wesołe, purpurowe transparenty.

„CAŁA WŁADZA W RĘCE ROBOTNIKÓW I CHŁÓPÓW!”
„WIECZNA CHWAŁA TYM, KTÓRZY ZGINĘLI ZA SPRAWĘ REWOLUCJI!”
„WITAMY SŁAWNĄ I NIEZWYCIĘŻONĄ ARMİĘ CZERWONĄ!”

Wykrzykiwały plakaty.

Przy końcu ulicy ukazały się pierwsze kolumny wojska. Jeźdźcy wieźli sztandary. Turkotały po bruku żelazne koła taczanek. Z daleka słyhać było harmonię, pierwsze tony wesołej, ochoczej pieśni rozległy się na końcu ulicy. Uciął gwar na Kreszczatiku. Wszyscy zamarli.

— Hura-a-a! — wybuchło wreszcie na ulicy, zagrzmiało w głębokim tunelu Kreszczatiku i poleciało ponad dachami miasta.

— Hura-a-a! — potoczyło się bocznymi ulicami, gdzie gromadzili się ci, którzy nie zdołali przedostać się na Kreszczatik.

Miasto obchodziło swoje święto.

Na czele oddziałów, pod sztandarami, jechali Szczors i Bożenko, obok nich — robotnicy z Arsenалу, którzy wyjechali aż za mosty kijowskie na spotkanie żołnierzy. Robotnicy mieli na rękawach czerwone opaski. Za sztandarami szła orkiestra grając wesołego marsza.

Szli bohuńcy i taraszczańcy, okryci sławą zwycięskich marszów. Na ich piersiach, jak płomyki, jarzyły się czerwone kokardki. Czapki żołnierzy zsunięte były do tyłu. W szeregach, daleko za orkiestrą bohuńcy zaczęli śpiewać:

*Orły spoza góry
Wzleciały pod chmury,
Wzleciały, skrzeczały,
Zdobyczy szukały...*

Śpiewali ci, którzy wypędzili Dyrektorię, hetmana i Niemców, ci, którzy szli z daleka, z Polesia, z Czernihowszczyzny, z Potławszczyzny, torowali drogę na Kijów; śpiewali także ci, którzy tutaj, w Kijo-

wie, znosili mękę okupacji, deptani butem niemieckiego żołdaka, którzy marzyli o dniu, gdy przyjdą do miasta oddziały czerwonych oczekiwali tego dnia jak wesołego, radosnego święta.

*Szliśmy do boju ze słowem Lenina,
Szliśmy wciąż naprzód ze słowem Stalina,
I długo biliśmy się pod Kijowem,
Aby iść dalej za Kijów z tym słowem...*

W pobliżu gmachu rady miejskiej Szczors spostrzegł, że jeden z żołnierzy, maszerujący z tyłu, za orkiestrą, nagle zaczął zdejmować z ramienia karabin.

— A to po co? — przystanął Szczors.

— Szpieg na dachu, towarzyszu dowódcu — wskazywał żołnierz dach, gdzie obok jakiegoś instrumentu, przypominającego karabin maszynowy, poruszał się człowiek. Żołnierz wycelował do niego.

— Daj spokój! — krzyknął Szczors. — Robią zdjęcia do filmu. Stawaj do szeregu! Jesteśmy już w domu...

— Zdejmują nas — nieufnie zezował na dach żołnierz. — A czy koszul z nas nie zdejmowali? — stanął w szeregu czerwonoarmista.

I w tej szczęśliwej chwili przypomniał sobie Szczors, jak całkiem niedawno, pewnego złotego dnia jesiennego, maszynista kolei Libawsko-Romeńskiej Ołeksander Szczors przywiózł go, swego syna, do Kijowa — żeby umieścić w pewnej bezpłatnej szkole państwowej, szkole felczerów wojskowych.

— Przyjmujemy tylko dzieci urzędników i mieszczan — odpowiedziano w kancelarii szkoły.

Włókł się maszynista Ołeksander Szczors z synem Mykołą ulicami Kijowa. Byli obcy wszystkim i nikt tutaj nie chciał ich znać.

Trzykrotnie przyjeżdżał z ojcem do Kijowa. Trzykrotnie zginał ojciec grzbiet w ukłonach, nim przyjęto chłopca do szkoły. Chłopiec przestąpił jej próg nieufny, baczny i czujny. I ta czujność nie opuszczała go w szkole przez długie lata. Z okien szkoły widział mury więzienia „Pod Krzywą Basztą” i przeklinał wówczas obcy mu Kijów Kijów szubienic, Kijów panów, Kijów, który wydawał mu się złym snem.

Cicho stąpał koń Mykoły Ołeksandrowicza po Kreszczatiku — Szczors jechał ulicą prowadzącą do szkoły, w której uczył się niegdyś.

Właśnie stąd, z Kijowa, popędzono go na front rumuński. Wrócił

z frontu do Kijowa, stał na peronie dworca kijowskiego, kaszlał i pluł krwią. I odszedł z obcego miasta, gdzie znęcali się nad ludźmi Niemcy i żołnierze hetmana, na północ, żeby zorganizować tam oddziały partyzanckie, żeby tam tworzyć czerwone pułki, żeby, kierując się słowami Stalina, iść na południe, do Kijowa.

Teraz Kijów odsłaniał przed nim nowe oblicze. Gospodarze miasta szli jego ulicami. Mykoła Szczors widział nowy Kijów. Mykoła Szczors wchodził do Kijowa ze swymi pułkami po to, żeby ludzie pracy już odtąd nigdy nie męczyli się i nie cierpieli w tym pięknym mieście.

Cena zł 2,40

14.11.54

320/